

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 353

ISBN 2-7168-0006-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

POLSKIE LATO: KALENDARIUM WYDARZEŃ

zebrał i opracował Jan Kamiński

Ogłaszamy kalendarium wydarzeń, opisujące w kronikarskim skrócie przebieg wypadków, które doprowadziły 10 listopada 1980 roku do oficjalnego zarejestrowania Niezależnego Samodzielnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Nie jest to jednak po prostu historia powstania „Solidarności”; jej zarejestrowanie potraktowane jest tutaj jako data symboliczna. Kalendarium jest relacją o gwałtownym przyspieszeniu historycznym, które całkowicie zmieniło klimat i sytuację społeczną, polityczną, a przede wszystkim moralną w Polsce. Historia ruszyła nagle kłusem, i to przyspieszenie trwa nadal, chociaż w ostatnich miesiącach zmiany nie mają charakteru rozwoju, ale następujących po sobie błyskawicznie okresów zwiększonego i zmniejszonego napięcia. Na zmiany, które pozwoliłyby powstrzymać stacanie się kraju w katastrofę gospodarczą i administracyjną — nadal czekamy.

Lektura kalendarium uzmysławia nam ogrom dokonanych przemian. Pokazuje, jak z dnia na dzień to, co wydawało się niemożliwe, co było określane przez władze PZPR i PRL jako wykluczone i grożące krajowi zagładą — stawało się rzeczywistością. Uświadamia nam zarazem, jak wielu obietnic nie dotrzymano, ile spraw ledwie ruszyło z miejsca. A również i to, że wszystkie reformy i naprawy, nawet te najbardziej oczywiście niezbędne, były zapoczątkowywane przez społeczeństwo — i nieodmiennie napotykały na opór władzy.

Niniejsze kalendarium dalekie jest od doskonałości. Wiele w nim luk i braków. Zauważył na tym niemal całkowity brak, w publikowanych źródłach oficjalnych, opisów przebiegu akcji protestacyjnych. Zdając sobie sprawę z tych niedoskonałości mamy

jednak nadzieję, że obecna publikacja przyczyni się do lepszego poznania rozwoju wydarzeń w tym czasie oraz zapoczątkuje zbieranie dokumentacji okresu i uzupełnianie zestawu faktów, który obecnie jest przedstawiany czytelnikowi.

Przy opracowywaniu tego kalendarium wykorzystywane były materiały publikowane w Robotniku i Biuletynie Informacyjnym oraz w Biuletynie Dolnośląskim, Biuletynie Strajkowym „Solidarności”, Bratniaku, Głosie, Gospodarzu, Jedności, Opinii, Polityce, Przeglądzie, Wsi Rzeszowskiej, w codziennej prasie oficjalnej, w prasie związkowej NSZZ „Solidarność” oraz w drukach ulotnych. Wykorzystane zostały także relacje bezpośrednich świadków.

1980

20 czerwca, piątek. — Na konferencji ministerialnej zapadła decyzja wprowadzenia od 1 lipca podwyżki cen drobiu, podrobów i wędlin drobiowych.

26 czerwca, czwartek. — Na konferencji w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego poinformowano urzędników o podwyżce cen mięsa — także od 1 lipca. Podwyżka cen ma objąć 135 artykułów i przetworów mięsnych i ma wynosić od 41 % (karkówka) do 75 % (boczek wędzony).

27 czerwca, piątek. — Decyzja o podwyżce cen zostaje przekazana wojewodom.

1 lipca, wtorek. — Na temat podwyżki cen mięsa krążą tylko pogłoski, brak jest jakiegokolwiek komunikatu rządowego na ten temat; strajk drugiej zmiany niektórych wydziałów ZM „Ursus”; kilkugodzinny strajk na wydziale W-5 Sanockiej Fabryki Autobusów „Autosan”; uzyskano obietnicę podwyżki premii; strajk w Fabryce Obrabiarek Specjalizowanych „Ponar” w Tarnowie. Zażądano przywrócenia starych norm. Po uwzględnieniu tego żądania robotnicy podjęli pracę.

2 lipca, środa. — Strajk ZM „Ursus”; nie przerwały pracy jedynie dwa wydziały — odlewnia, gdzie gwałtowne wygaszenie pieców grozi ich zniszczeniem, oraz elektrociepłownia dostarczająca energię dla miasta i fabryki; strajki w filiach ZM „Ursus” w Ostrowiu Wielkopolskim i Włocławku; strajk drugiej zmiany stalowni W-35 i walcowni grubej W-45 w Hucie Warszawa, na trzeciej zmianie dołączyły również inne wydziały. W bufecie zakładowym ceny mięsa i wędlin zmieniano z godziny na godzinę.

1 lipca wprowadzono nowe ceny, 3 lipca między 10-tą a 12-tą obowiązywały stare, między 12-tą a 14-tą nowe, a od 14-tej 3 lipca przez cały dzień następny znów stare ceny. 5 lipca powtórnie je podniesiono.

Wskutek strajku w Rzeszowskim Kombinatorze Budowlanym w Dąbrowie Górniczej cofnięto ceny w stołówce zakładowej. W Tczewie w fabryce części samochodowych „Polmo” zastrajkowała pierwsza i druga zmiana. Domagano się podwyżki płac rekompensującej podwyżkę cen mięsa. W WSK Mielec zastrajkowała większość wydziałów. Zażądano podwyżki płac i wówczas dyrektor obiecał zmianę od pierwszego sierpnia stawek płacowych, z tym, że miano również zmienić normy. Gdy wycofano decyzję o zmianie norm, robotnicy podjęli pracę.

Oświadczenie KSS „KOR”: „... KSS „KOR” w pełni solidaryzuje się ze strajkującymi i popiera ich żądania. Szczególnie podkreślamy nasze poparcie dla postulowanego przez strajkujących dodatku drożyznianego. (...) Przestrzegamy władze państwowe PRL przed nieodpowiedzialnym prowokowaniem społeczeństwa, co prowadzić może do narodowej katastrofy. Apelujemy o nawiązanie rzeczowych pertraktacji z demokratycznie obranymi przedstawicielami załóg robotniczych. Zwracamy się do załóg robotniczych w całej Polsce, przestrzegamy przed takimi formami protestu, które władze mogą wykorzystać do sprowokowania awantury. Najsukcesowniejszą — a przede wszystkim najbezpieczniejszą — dla całego narodu formą dopominania się robotników o interesy własne i całego społeczeństwa jest organizowanie się w zakładach pracy, demokratyczne wybieranie niezależnych przedstawicielstw pracowniczych w celu wysuwania żądań w imieniu załóg, prowadzenia rozmów z władzami, kierowania akcją załóg w sposób odpowiedzialny lecz stanowczy”.

W dzienniku telewizyjnym nadany został wywiad z wiceprezesem „Społem” na temat sprzedaży mięsa, w którym poinformowano o „rozszerzeniu sprzedaży komercyjnej” niektórych gatunków mięsa i wędlin.

3 lipca, czwartek. — Dalej trwa strajk w ZM „Ursus”. Dokładnie odizolowano całą fabrykę od miasta oraz poszczególne wydziały od siebie. Zamknięto wszystkie bramy i przerwano połączenia telefoniczne. Na wielu wydziałach robotnicy wybrali delegacje do rozmów z dyrekcją, w jednym wypadku powołano Komitet Strajkowy. Dyrekcja obiecała podwyżki od pierwszego września „dla tych, którzy na to zasługują”. Komitet Strajkowy sformułował na piśmie żądania: zwiększenia dodatku za pracę

w szkodliwych warunkach, 10 % dodatku za pracę na drugiej zmianie, podwyżki płac rekompensującej podwyżkę cen i stałego dodatku drożyznianego oraz pisemnej gwarancji, że nikt nie będzie represjonowany za strajk.

Początkowo usiłowano złamać strajk pogroźkami („nie ma pracowników niezastąpionych”), a później imiennymi wezwaniami do pracy. Po pewnym czasie zgodzono się rozpatrzyć żądania strajkujących, dołączając jedynie życzenie, by przedstawiciele załogi nie używali nazwy Komitet Strajkowy. Robotnicy zgodzili się, by ich reprezentanci używali nazwy Komisja Robotnicza. Po negocjacjach dyrekcja zgodziła się przyjąć żądania z wyjątkiem ostatniego. Wówczas strajkujący przegłosowali rezolucję, że nie przystąpią do pracy przed uzyskaniem tych zabezpieczeń. Zgodę uzyskano, co doprowadziło do zakończenia strajku.

Zakończył się też strajk w filiach ZM „Ursus” w Ostrowie Wielkopolskim i Włocławku, gdzie uzyskano podwyżki płac.

Delegacja pracowników zajezdni tramwajowej na Kawęczyńskiej w Warszawie w rozmowie z dyrektorem zagroziła strajkiem, jeżeli podwyżka nie zostanie cofnięta do soboty 5 lipca. Dyrektor zapewnił, że stare ceny zostaną przywrócone.

Zastrajkowała część załogi warszawskiego „Zelotu” żądając odwołania podwyższonych cen paczek mięsnych. Obiecano obniżenie cen. W Piasecznie koło Warszawy zastrajkował jeden wydział Fabryki Lamp Kineskopowych „Zelos”. Domagano się cofnięcia podwyżki. Dyrekcja obiecała przywrócenie starych cen boczku. Strajk w zakładach „Pomet” w Poznaniu. Dyrekcja obiecała dodatek do płac wyrównujący podwyżkę cen, jeżeli wiadomość o strajku nie przeniknie na zewnątrz. W Stoczni Gdańskiej strajkowało od 7-mej do 10-tej rano kilkadziesiąt osób z wręgowni. Zażądano podwyżki płac. Przerwały pracę żyrardowskie zakłady remontu obrabiarek Ponar-Remo, zakłady garbarskie „Syrena” oraz spirytusowe „Polmos”. Rozpoczął się strajk w walcowni w Śremie, filii zakładów im. Cegielskiego w Poznaniu.

W porannej prasie codziennej (również w pismach regionalnych) ukazał się komunikat PAP o „rozszerzeniu asortymentu mięsa i wędlin w sprzedaży komercyjnej”. Nie podano pełnego cennika ani innych dokładnych danych o podwyżce.

4 lipca, piątek. — Strajk w ZM „Ursus” na wydziałach, których załogi otrzymały za niską rekompensatę. Strajk w Tarnowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego budującego osiedle Jasna. Żądano przywrócenia starych cen mięsa.

Edgar Faure, prezydent Instytutu Badania Praw Człowieka w Strasburgu, wręczył E. Gierkowi, jako politykowi zasłużonemu dla ochrony praw człowieka, medal tegoż instytutu.

5 lipca, sobota. — Spotkanie premierów PRL i NRD E. Babiucha i W. Stophy w Zgorzelcu z okazji 30-lecia układu granicznego.

7 lipca, poniedziałek. — Wbrew poprzednim zapewnieniom podwyżka cen objęła również mięso i przetwory mięsne sprzedawane w bufecie fabrycznym w WSK Świdnik (np. cena kotleta wzrosła o 80 %). Doprowadziło to do strajku.

8 lipca, wtorek. — Do WSK Świdnik przybył minister przemysłu maszynowego A. Kopeć, ale załoga fabryki nie chciała z nim rozmawiać. Żądano przybycia E. Gierka. W Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. R. Luksemburg w Warszawie załoga zrezygnowała z kupna paczek mięsnych, których cena została tego dnia podwyższona. Zastrajkowały Zakłady Lniarskie w Żyrardowie. Robotnicy żądali wycofania podwyżki cen mięsa, poprawy warunków pracy oraz warunków socjalnych, podwyżki stawek godzinowych, płacenia za przestoje średniej akordowej z poprzednich miesięcy zamiast stawek osobistego zaszeregowania. Domagano się pisemnego zobowiązania dyrekcji, że nikt nie będzie represjonowany za udział w strajku. Na rozmowy z dyrekcją udawały się delegacje wydziałów. Wybuchł strajk w Zakładach Mięsnych w Grudziądzu. Po dwóch godzinach obiecano cofnięcie podwyżki cen mięsa.

9 lipca, środa. — W dalszym ciągu trwał strajk w Zakładach Lniarskich w Żyrardowie. Dyrekcja obiecała 4 % podwyżkę płac i dała ustną gwarancję bezpieczeństwa osobom strajkującym. Rozpoczął się strajk w Żyrardowskich Zakładach Tkanin Technicznych. Robotnicy nie chcieli rozmawiać z dyrekcją i domagali się przyjazdu delegacji ze zjednoczenia. Po jej przyjeździe przedstawiono około 30 postulatów. Żądano m.in.: podwyżki płac o minimum 1.000 zł, wprowadzenia ponownie stałej premii zamiast dotychczasowej ruchomej, skontrolowania płac robotników, które są systematycznie obniżane, przybycia biegłych z NIK dla zbadania gospodarki materiałowej i zarobków, zmniejszenia liczby przełożonych, poprawy zaopatrzenia w żywność. Dyrektor Zjednoczenia obiecał odpowiedzieć na te postulaty do wtorku 14 lipca. Robotnicy postanowili strajkować aż do uzyskania odpowiedzi.

W Zakładach im. Świerczewskiego w Warszawie odbył się przy bufecie wiec. W jego efekcie dyrektor polecił zmienić ceny komercyjne na dotychczasowe.

O 10-tej rano stanął wydział lamp elektronowych w zakładach im. R. Luksemburg w Warszawie. Domagano się cofnięcia cen mięsa oraz podwyżki płac związanej z wprowadzeniem od 1 lipca wyższych norm.

Odbyła się w Warszawie narada centralnego aktywu partyjno-gospodarczego. Zapowiedziano utrzymanie podwyżki cen mięsa i wędlin, jednak w węższym zakresie niż wynikało to z telewizyjnej wypowiedzi wiceprezesa „Społem” z dnia 2 lipca. Oznajmiono o przyszłorocznym powiększeniu dodatków rodzinnych oraz rent i emerytur z tzw. starego portfela. E. Gierek oświadczył, że nie będzie podwyżki płac poza podniesieniem płac najniższych.

10 lipca, czwartek. — Kontynuowano strajk w Zakładach Tkanin Technicznych w Żyrardowie i w WSK w Świdniku. W Zakładach R. Luksemburg w Warszawie strajk rozszerzył się na nowe wydziały. Zastrajkowała cała Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie. Delegacja robotników w Zakładach Wytwórczych Urządzeń Telekomunikacyjnych w Warszawie w rozmowie z dyrekcją zagroziła strajkiem. Zażądano podwyżki płac. Dyrekcja obiecała wypłacić delegatom „zaległe” pieniądze, co zrozumiano jako próbę przekupstwa. W Lublinie zastrajkowały dwa wydziały Fabryki Samochodów Ciężarowych. W Myszkowie przerwała pracę zbrojarnia w betoniarni nr 1 oraz pierwsza zmiana Fabryki Naczyn Emaliowanych „Światowid”.

11 lipca, piątek. — Nadal trwał strajk w FSO w Warszawie. Dyrekcja zaproponowała podwyżkę premii o 10 %, lecz załoga zażądała podwyżki płacy podstawowej. Strajku nie przerwano. Do Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telekomunikacyjnych w Warszawie przyjechał o 11-tej minister komunikacji. Zaoferował 10 % premii pracownikom akordowym i zmianę tabeli pracownikom dniówkowym. Strajk zakończono o godz. 14.30. W Zakładach im. R. Luksemburg strajkował rano wydział świetlówek, ponieważ nie osiągnięto tam porozumienia. W Zakładach im. Świerczewskiego w Warszawie dyrekcja obiecała podwyżkę od 1 sierpnia.

Podjęła strajk załoga Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet”. W Lublinie strajkowały też tego dnia Zakłady Obuwnicze im. Buczka i Fabryka Naprawy Samochodów. Poza obsługą pieców, których wyłączenie przyniosłoby bardzo duże straty oraz elektrociepłowni obsługującej również miasto, cała załoga Fabryki Samochodów Ciężarowych przerwała pracę. Na spotkaniu z przedstawicielami załogi (ok. 200 osób) dyrektor

apelował do patriotyzmu i mówił o stratach powstających w wyniku strajku. Na koniec zapowiedział przyjazd kogoś z władz centralnych. Załoga powołała Komitet Strajkowy. Do Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku przyjechała duża grupa milicjantów, przebranych w mundury strażackie.

W Elblągu strajkowały zakłady „Zamech”, a w Toruniu zakłady „Ema-Apator”.

Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” wydał oświadczenie:

„... Nieprzemyślana polityka władz prowadzona w latach siedemdziesiątych, polityka rolna, która doprowadziła do kryzysu podaży produktów rolnych — wszystko to stworzyło prawdziwą katastrofę gospodarczą. Istotnym czynnikiem jest także obowiązujący od wielu dziesiątków lat nieprawidłowy i sprzeczny z prawami ekonomicznymi system cen. Ale ten system może być naprawiony tylko w ramach radykalnej zmiany całego systemu ekonomicznego. Istniejący system ekonomiczny jest nieracjonalny, marnotrawny, hamujący postęp i rujnujący morale pracowników. (...) Zmiana systemu cen może zostać zaakceptowana tylko wtedy, jeśli będzie to jeden z drobnych zabiegów radykalnej reformy ekonomicznej. Podstawową bowiem przyczyną kryzysu jest wieloletnia polityka rządów PRL, by podejmować decyzje poza społeczeństwem, zastępować reformy gospodarcze działaniami doraźnymi. Wszystkie ujemne konsekwencje tych działań ponosi społeczeństwo, a w szczególności warstwa najuboższe. (...) system gospodarczy i sposób podejmowania decyzji w sprawach dotyczących całego społeczeństwa musi ulec zasadniczej zmianie. KSS „KOR” nie wypowiada się co do kierunków tej reformy. Jesteśmy przekonani, że ustalić ją może tylko ogólnospołeczna dyskusja. Zapewne zostaną w niej wzięte pod uwagę propozycje reform formułowane w ostatnich latach przez niezależne instytucje społeczne. Powinien też zostać jasno sprecyzowany rządowy program reformy i podany terminarz jego realizacji.

(...) Ponieważ bezpośrednim powodem obecnego napięcia jest sytuacja na rynku żywnościowym, a w szczególności mięsny, należy natychmiast przerwać prowadzenie polityki rujnującej rodzinne gospodarstwa rolne — głównych producentów żywności. Należy zagwarantować prywatną własność ziemi wraz ze swobodą jej sprzedaży i nabywania. (...) ... jeżeli władze państwowe nie są w stanie zapewnić ludności zaopatrzenia w mięso dostępne w sklepach po normalnej cenie — należy znieść ceny komercyjne i wprowadzić powszechny system racjonowania produktów mięsnych, tzn. kartki po cenach sprzed 1 lipca br.

Niezbędne jest opublikowanie pełnych danych o sytuacji gospodarczej, a zwłaszcza zadłużeniach, bilansie mięsny. (...)

Jest sprawą zasadniczej wagi, by dyskusje i pertraktacje, przed którymi stoimy, odbywały się w spokoju, a ich wyniki wyrażały rzeczywiste stanowisko wszystkich grup społecznych.

(...) Należy umożliwić zebraniom pracowniczym powoływanie Komisji Robotniczych, Komisji Pracowniczych, niezależnych związków zawodowych i innych przedstawicielstw, które zdolne będą bronić interesów pracowników. Należy umożliwić organizowanie się obywateli do walki o swoje prawa oraz wysuwanie i przeprowadzanie inicjatyw mających na celu dobro społeczeństwa. Dla ułatwienia tego należy zmienić ustawę o zgromadzeniach i stowarzyszeniach.

Należy zmienić Kodeks Pracy, a w szczególności znieść art. 52 par. 1, umożliwiający usunięcie z pracy za udział w strajku. Prawo do strajku powinno być ustawowo zapewnione.

Należy stworzyć warunki do ogólnospołecznej dyskusji nad położeniem kraju i drogami wyjścia. Jedną z podstawowych przyczyn obecnej sytuacji gospodarczej, obok czynników czysto ekonomicznych, jest zakneblowanie społeczeństwa przez cenzurę i monopol masowych środków przekazu... (...) Należy więc dopuścić do środków masowego przekazu niezależnych ekspertów, publikować stanowiska załóg pracowniczych, niezależnych organizacji, zaprzestać ścigania wydawnictw i prasy niezależnej. W interesie ogólnonarodowym należy znieść cenzurę prewencyjną i wprowadzić ustawę prasową, precyzującą sposób obrony tajemnicy wojskowej i dobro osób prywatnych.

Należy zaprzestać represji wobec ludzi zajmujących się niezależną działalnością społeczną i polityczną. Kompetencje MO i SB powinny zostać ograniczone. Sądom należy przywrócić niezawisłość. Wszyscy więźniowie polityczni powinni być natychmiast zwolnieni.

Sprecyzowaliśmy powyżej formułowane od dawna warunki minimum, które muszą zostać spełnione, aby możliwe było podjęcie ogólnonarodowej dyskusji nad obecną sytuacją i osiągnięcie porozumienia między społeczeństwem a władzą”.

12 lipca, sobota. — Rano nadal strajkowała FSO w Warszawie. Uzgodniono z dyrekcją średnio ok. 800 zł podwyżki na osobę. Trwały pertraktacje związane z innymi postulatami. Od poniedziałku zaczął się miesięczny urlop załogi. Zakończył się strajk w WSK w Świdniku. Pracownicy otrzymali 15 % podwyżkę. Rozszerza się strajk w Lublinie; do strajkujących zakładów dołączyła Lubelska Fabryka Wag oraz Zakłady Mięsne.

Zaczął się strajk w Zakładach Elektronicznych „Warel” w Warszawie. Żądano podwyżki płac od 500 do 1.000 zł, zniesienia najniższej tabeli pracowniczej, wprowadzenia paczek miesięcznych, realizacji zaległych wniosków awansowych, pełnej informacji ze strony władz o zagadnieniach społeczno-ekonomicznych i dyskusji na temat cen oraz zwiększenia zasiłków rodzinnych.

Przyjęto żądania płacowe i obiecano paczki mięsne.

14 lipca, poniedziałek. — Zakończył się strajk w FSC w Lublinie. Pracownicy otrzymali po 1.000 zł podwyżki; minister przemysłu maszynowego zagwarantował strajkującym bezpieczeństwo. Zakończyły się również strajki w innych fabrykach lubelskich — w Fabryce Wag, Zakładach Remontu Samochodów, Zakładach Obuwniczych, Fabryce Maszyn Rolniczych „Agromet”. Rozpoczęte strajki w Zakładach Jajczarsko-Drobiarskich i w Herbapolu, także w Lublinie, spowodowały natychmiastowe podwyżki odpowiednio o 800 i 500 zł.

Żałoga Lubelskiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego zagroziła strajkiem i zażądała podwyżek płac od 600 do 1.000 zł na osobę. Dyrekcja obiecała odpowiedzieć 23 lipca.

Zakończył się strajk w wydziale zbrojarni betoniarni nr 1 w Myszkowie. Uzyskano podwyżkę od 900 do 1.000 zł na osobę. Ostatni dzień strajku w zakładach pracy w Żyrardowie. Strajkowały: Zakłady Przemysłu Pończosznego „Stella”, Wytwórnia konfekcji „Poldres”, Zakłady Lniarskie, Zakłady Tkanin Technicznych, Zakłady Remontowe Obrabiarek „Ponar-Remo”, Zakłady Garbarskie „Syrena”, Spirytusownia „Polmos”, „Bawełnianka”, Wytwórnia Płyt Paździerzowych. Osiągnięto podwyżkę ok. 1.000 zł na osobę.

Siedmiogodzinny strajk w łódzkim Elektromontażu spowodował obniżenie norm o 30 %. Rano rozpoczął się strajk w Warszawskiej Fabryce Pomp na Bródnie. Do fabryki przybył sekretarz KW oraz dyrektor Zjednoczenia. Starano się nakłonić majstrów i kierowników do wywarcia nacisku na robotników. Odmówili argumentując, że musi zostać przyjęta najpierw przynajmniej część postulatów.

Podczas wiecu załogi zażądano podwyżki o 1.000 zł dla każdego („bo żołądki wszyscy mają równe”), podniesienia dodatków rodzinnych do wysokości zasiłków milicyjnych, poprawy zaopatrzenia.

Ostatecznie zgodzono się na podwyżkę o 500 zł. O godz. 14-ej strajk się zakończył. Rozpoczął się strajk w Zakładach „Era-Predom” w Poniatowej koło Lublina.

15 lipca, wtorek. — Zakończenie strajku w Zakładach „Warel” w Warszawie. Otrzymano od 500 do 1.000 zł podwyżki płac, gwarancję rozpatrzenia wniosków o awans, obietnicę paczek żywnościowych. W Lublinie rozpoczęły strajk kolejne przedsiębiorstwa: Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkaniowego, Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych, Młyn nr 5. W Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego załoga powołała Komitet Strajkowy oraz zażądała podwyżki o 5 zł na godzinę, zniesienia sklepów komercyjnych, sprawiedliwego podziału mieszkań, zrównania dodatków rodzinnych z otrzymywanymi przez milicję, pisemnej gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących.

Rano rozpoczął się strajk w lokomotywowni PKP w Lublinie. Pracownicy zażądali 1.300 zł podwyżki, nowych wyborów do Rady Zakładowej (prawdopodobnie był to pierwszy tego typu postulat zgłoszony w tej fali strajków), zasiłków rodzinnych takich samych jak w milicji, wolnych sobót tak, jak w całej gospodarce, ogólnej poprawy zaopatrzenia, zaopatrzenia specjalnego w zakładzie, obniżenia wieku emerytalnego dla maszynistów do

55 lat, zakazu wstępu MO i SB do zakładu w czasie strajku oraz pisemnych gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących.

16 lipca, środa. — Strajk kolejarzy rozpoczęty w lokomotywni lubelskiej rozszerza się na cały lubelski węzeł kolejowy. Pociągi przestają kursować. Strajkujący powołują wspólny dla całego węzła Komitet Strajkowy. Rozpoczyna się strajk generalny, przerywają pracę wszystkie przedsiębiorstwa, które nie strajkowały wcześniej, m.in. mleczarnie, piekarnie, elektrociepłownia, zakład remontowo-energetyczny, Polfa, Transbud, Cefarm (magazyny leków i transport), Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego, Spółdzielnia Pracy Niewidomych, niższy personel szpitala im. Biernackiego. Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego przeprowadziła między 6-tą a 8-mą strajk ostrzegawczy. Z powodu strajku w PTHW nie są zaopatrywane sklepy. Mleko dostarczane jest wyłącznie do szpitali i żłobków. Aż do nocy z piątku na sobotę sklepy będą zaopatrywane w niektóre artykuły spożywcze (chleb, sery) tylko przez wojsko. Rozpoczął się strajk w Hucie Szkła w Lubartowie. Po otrzymaniu podwyżki płac zakończono strajk w Zakładach „Era-Predom” w Poniatowej koło Lublina. Odbył się kilkugodzinny strajk w Zakładach Mięsnych na Żeraniu w Warszawie.

17 lipca, czwartek. — Z Siedlec przyjechała do Lublina grupa maszynistów, aby złamać strajk. Na apel Komitetu Strajkowego odmówili podjęcia pracy i wrócili do Siedlec.

Odbyło się zebranie całej załogi węzła kolejowego z dyrekcją, na którym Komitet Strajkowy przedstawił żądania kolejarzy.

W gmachu dyrekcji przebywał w tym czasie wiceminister komunikacji, ale na spotkanie z pracownikami nie przyszedł. W Zakładach „Unitra-Omig” zastrajkowali mistrzowie, żądając podwyżki płac o 500 zł wyższej niż najwyższa pensja robotnicza. Pracownicy drukarni *Expressu Wieczornego* i *Przeglądu Sportowego* zagrozili, że w piątek rozpoczną strajk, jeżeli nie dostaną 1.000-złotowej podwyżki. W Hucie Stalowa Wola rozpoczął się strajk na wydziale narzędziowni. W Kraśniku przerwały pracę piekarnie, Państwowa Komunikacja Samochodowa, Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego.

W lubelskiej gazecie *Sztandar Ludu* została zamieszczona pierwsza wzmianka o „przerwach w pracy”. W tym kontekście zostały wymienione: FSC, WSK Świdnik, Fabryka Maszyn Rolniczych „Agromet”, Lubelskie Zakłady Naprawy Samochodów.

E. Gierek przebywał w Chełmie w związku ze zbliżającą się rocznicą Manifestu PKWN.

Prasa warszawska poinformowała o utworzeniu pierwszych sklepów z różnymi artykułami używanymi. Do końca roku ma powstać w Warszawie jeszcze kilkanaście takich sklepów.

18 lipca, piątek. — W Lublinie strajk Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego sparaliżował komunikację miejską. W Warszawie, zgodnie z zapowiedziami, rozpoczął się o godz. 7-ej strajk w drukarni *Expressu Wieczornego* i *Przeglądu Sportowego* przy Alejach Jerozolimskich. O 11-ej dyrekcja zgodziła się na podwyżkę płac od 650 do 1.000 zł na osobę i strajk się zakończył. Tego dnia zagroziły strajkiem dwie inne drukarnie — Dom Słowa Polskiego i Zakład przy ul. Okopowej. Dom Słowa Polskiego podwyżkę otrzymał. W Hucie Stalowa Wola strajk zaczął obejmować wydziały mechaniczne — nie pracowało już tego dnia ok. 5 tys. pracowników (ogółem zatrudnionych jest ok. 20.000). W Lublinie do strajku przyłącza się Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania i rozdzielnia Centrali Produktów Naftowych.

Rozpoczęły się strajki w Zakładach Automatyki Przemysłowej „Mera” w Ostrowie Wielkopolskim i w kopalni miedzi Polkowice w Zagłębiu Lubińsko-Głogowskim.

W Warszawie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Biura Politycznego PZPR. Komunikat z tej narady został opublikowany następnego dnia rano wyłącznie w lokalnej gazecie lubelskiej. „Biuro Polityczne wyraziło głębokie zaniepokojenie przestojami w zakładach produkcyjnych i komunalnych oraz w lubelskim węźle komunikacyjnym, a także ogólną sytuacją w mieście. Sytuacja ta podważa dobre imię naszego kraju, narusza zaufanie do Polski u jej partnerów i może budzić niepokój jej przyjaciół. Pociąga ona za sobą liczne kłopoty dla mieszkańców miasta. Atmosfera napięcia jest na rękę wrogom Polski, stwarza niebezpieczeństwo prowokacji politycznej”.

19 lipca, sobota. — W Lublinie od rana pracowała komunikacja miejska, której pracownicy otrzymali 500-złotową podwyżkę. Elektrociepłownia podjęła pracę w południe. Tutaj podwyżka wynosiła 200 zł. Kolej rozpoczęła pracę wieczorem o godz. 20-ej. Maszyniści i mechanicy otrzymali 600 zł podwyżki, pozostali — 400 zł. Obietnicę spełnienia żądań podpisali: dyrektor, prezydent miasta i wojewoda. Wszystkie żądania zostały obwarowane terminami. Kolarze zawarowali sobie prawo do strajku, jeżeli ktokolwiek będzie szykanowany lub jakieś żądanie pozostanie



niespełnione. Nadal trwa strajk w Spółdzielni Pracy Niewidomych. Załoga gotowa była przystąpić do pracy, jeżeli władze podejmą rozmowy z Komisją Robotniczą i przydzielą jej lokal. Komisja ma być stałym przedstawicielem załogi. W Kraśniku rozpoczął się strajk w Fabryce Łożysk Toczących. Wszystkie tamtejsze zakłady, prócz PTHW, podjęły pracę i zakończyły strajk. W Hucie Stalowa Wola stały wszystkie wydziały mechaniczne. Załoga zażądała m.in. zwrotu składek członkowskich związków zawodowych, podwyżki płac, dodatku drożyznianego, lepszego zaopatrzenia dla wsi (duża część pracowników to chłopo-robotnicy). Dyrekcja zgodziła się na podwyżkę płac o 10 % i obiecała zaopatrywać sklep zakładowy w mięso. Od rana do południa stała komunikacja miejska w Chełmie Lubelskim. O 12-tej pracownicy przerwali strajk do środy 25 lipca. W tym terminie obiecano im odpowiedź na żądania. W Chełmie zastrajkował również „Transbud”. Zakończył się strajk w kopalni „Polkowice”, zaczął się natomiast w kopalniach „Lublin” i „Rudna”. Górnicy domagali się takiego samego zaopatrzenia jak w Katowicach.

Jednodniowy strajk w bazie R-6 MPO w Warszawie. Uzyskano 10 % premii dla wszystkich i przywrócono wypłaty za godziny nadliczbowe.

Próby strajku w węźle kolejowym Stalowa Wola - Rozwadows.

Pierwszy artykuł w prasie warszawskiej na temat „przerw w pracy”. *Trybuna Ludu* zamieściła artykuł „Czas pracy i czas dyskusji”.

20 lipca, niedziela. — Komitety Samoobrony Chłopskiej i redakcje niezależnych pism chłopskich wystosowały „Odezwę do strajkujących robotników”:

„Władze państwowe i partyjne od 35 lat uczą resztę społeczeństwa nienawiści do chłopów. Nie dostrzega się naszej pracy i naszej życiowej roli. 'Chamy', 'wsiarze', 'dziady' — to tylko mała część epitetów, jakich musimy wysłuchiwać przebywając w mieście. Lekceważenie, z jakim spotykamy się w urzędach. Częsta nienawiść, gdy stoimy w sklepowych kolejkach. Mimo, że u siebie w sklepie dostać tylko możemy chleb, cukier, sól i kaszę, choć też nie zawsze, ludzie w mieście pretensje do nas mają, gdy kupujemy tam cokolwiek. Legendy krążą o naszych zarobkach i naszym bogactwie. (...) Na dalszym etapie musi być, po ustabilizowaniu gospodarki państwowej, przeprowadzona reforma rolna. Nie idzie tu o nowe podziały ziemi, lecz przede wszystkim o nowy system praw, nowe samorządne instytucje, prawdziwą spółdzielczość. Musi dojść do współgospodarzenia przez chłopów swoim terenem we wszystkich dziedzinach, z wyjątkiem obronności. Inaczej wiecznie będzie nam groził powrót do czasów głodu. Jeżeli

rozwiązania nie pójdą w tym kierunku, jeszcze mniej pozostanie młodzieży w rolnictwie, jeszcze mniej będzie żywności.

Niedługo władze partyjne i państwowe osiągną swój cel, cel strategiczny — zniszczą gospodarkę rodzinną. (...) Wy w mieście i w fabryce nie macie prawdziwych związków zawodowych, nie są szanowane wasze prawa, ale my na wsi traktowani jesteśmy jak niewolnicy. Naczelnik gminy i gminny sekretarz partii mają w stosunku do nas nieograniczone prawa. W każdej chwili mogą zabrać nam ziemię i wywłaszczyć z gospodarstwa, przenieść nasze dzieci do odległych szkół, zabronić dokończenia rozpoczętej budowy domu czy stodoły, powołać syna do wojska ze skierowaniem do Pegeeru, gdzie zamiast karabinu przydziela mu się kosę. Naczelnik decyduje co mamy uprawiać, kiedy mamy kosić, nie patrząc na to, czy taka produkcja da nam jakikolwiek zysk. Często bez naszej zgody naczelnik na nasze pola wysyła państwowe kombajny, by na nasz koszt koszone niedojrzałe zboża. W niektórych regionach kraju co roku przydziela się nam nowe pola zabierając stare. Jesteśmy całkowicie zdani na łaskę i niełaskę naczelnika przy zakupie choćby jednego worka cementu, 1 metra węgla, desek i innych materiałów. (...) Jako chłopcy wyrażamy pełną solidarność z Wami — robotnikami i popieramy Wasze żądania.

Na zakończenie przypomnijmy. Nie będzie mięsa w garnku i innej żywności na stołach Polaków, jeśli dalej będzie niszczone polskie rolnictwo. Przetrawanie gospodarki rodzinnej, to sprawa całego narodu”.

Odezwę tę podpisali: Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej, Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej, Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Rzeszowskiej, Komitet Niezależnego Związku Zawodowego Rolników i redakcje pism: *Biuletyn Informacyjny* *Zbroszy Dużej*, *Placówka*, *Rolnik Niezależny*, *Wiś Rzeszowska*.

21 lipca, poniedziałek. — Zakończony został strajk na wydziałach mechanicznych Huty Stalowa Wola. Nadal strajkowały wydziały hutnicze, żądając spotkania z wojewodą. Wróciła do pracy załoga PTHW w Kraśniku. W Warszawie strajkowało we wczesnych godzinach rannych Przedsiębiorstwo Transportu Samochodowego Łączności (kolportaż prasy). Pracownicy bazy przedsiębiorstwa przy ul. Towarowej otrzymali 1.500 zł podwyżki, a pracownicy bazy na Ratuszowej ok. 1.000 zł. Zakończył się strajk w Zakładach Automatyki Przemysłowej „Mera” w Ostrowie Wielkopolskim. Uzyskano podwyżkę płac i paczki mięsne. Później zastrajkowała filia ZM „Ursus” w Ostrowie Wielkopolskim. Zażądano poprawy zaopatrzenia w mięso.

23 lipca, środa. — Zakończył się strajk Spółdzielni Pracy Niewidomych w Lublinie. Dyrekcja uznała oficjalnie wyłonioną w wyborach Komisję Robotniczą i przyznała podwyżkę. W innych sprawach będą się toczyły pertraktacje Komisji Robotniczej z władzami spółdzielczości inwalidzkiej. Zakończenie strajku na wydziałach hutniczych Huty Stalowa Wola. Przyznana podwyż-

ka płac wyniosła 15 %. Ponownie wybuchł strajk w komunikacji miejskiej w Chełmie Lubelskim, ponieważ pracownicy uznali proponowaną im podwyżkę za zbyt małą. Pensje zostały zatem zwiększone ponownie.

W Ostrowie Wlkp. rozpoczęły strajk Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, a w pobliskim Ostrzeszowie Fabryka Urządzeń Mechanicznych.

W Stalowej Woli stała Fabryka Domów, której załoga zażądała podwyżki pensji i poprawy zaopatrzenia.

W Kombinacie Budowlanym „Rataje” w Poznaniu odbył się kilkugodzinny strajk operatorów dźwigowych, w wyniku którego otrzymali podwyżkę o trzy złote za godzinę (ich stawka wynosiła 21 zł za godzinę).

Na wydziałach W-2, W-4, W-7 w Zakładach Przemysłu Metalowego im. H. Cegielskiego odbył się kilkugodzinny strajk. Robotnicy zażądali podwyżki pensji, otrzymali 5 % podwyżki premii miesięcznej.

Pracownicy zajezdni Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie przy ul. Kawęczyńskiej zapowiedzieli strajk, jeżeli nie otrzymają podwyżki płac. Obiecano 10 % podwyżki. Personel warszawskich aptek wystosował do władz petycję z żądaniem podwyżki. Jeszcze tego samego dnia żądanie spełniono.

Rano rozpoczął się kolejny strajk Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego w Lublinie. Groźby przestraszyły jednak strajkujących i ok. 8-mej podjęto pracę.

Zakończył się strajk w Zakładach Odzieżowych „Delia” w Zamościu.

Strajk we wrocławskich „Azotach” i w Zakładach Garbarskich w Lubartowie.

24 lipca, czwartek. — W Ostrowie Wlkp. strajki objęły następujące zakłady pracy: bazę transportu Kombinatoru Budownictwa Przemysłowego, Zakłady Drobiarsko-Jajczarskie, Zakłady Przemysłu Drzewnego „Sklejka”, Zakłady Elementów Betonowych „Prefabet”. W Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego odbył się wiec z udziałem dyrekcji, na którym pracownicy żądali podwyżki o 20 % dniówki i 10 % stawek akordowych, zaopatrzenia w węgiel, zasiłków rodzinnych takich jak w MO i SB. W trakcie wiecu robotnicy wygwizdali przemawiającego przedstawiciela oficjalnych związków zawodowych. Zakończył się strajk w Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Ostrzeszowie k. Ostrowa Wlkp.

Rozpoczynają się strajki we Wrocławiu w zakładach „Fadro-

ma", „Pafawag", „Inco", „Elwro", „Hutmen" i „Dolmel". W „Dolmelu" wydziały W-1, W-2 i TP-2 zażądały 20 % premii, zrównania dodatków rodzinnych z przysługującymi MO i SB, podwojenia zasiłków chorobowych, polepszenia warunków BHP oraz lepszego zaopatrzenia.

W Świdnicy, Dusznikach i Namysłowie rozpoczynają się strajki w oddziałach Zakładów Elektroniki Motoryzacyjnej.

W spółdzielni zabawkarskiej „Bajka" w Lublinie rozpoczęto strajk z żądaniem podwyżki płac o 1.000 zł i większych zasiłków rodzinnych. Wybrano delegację, która przedstawiła żądania dyrekcji.

Przerwały pracę gdyńskie parowozownie w Chylonii i Grabówku. W Warszawie rozpoczął strajk oddział konstrukcyjno-warsztatowy Instytutu Łączności. Uzyskano 400 zł podwyżki. Stała się przędzalnia czesankowa w Stabłowicach oraz Zabierzowska Fabryka Maszyn.

W Komitecie PZPR odbyła się narada I sekretarzy KW oraz kierowników wydziałów na temat „aktualnych problemów realizacji wytycznych na VIII Zjazd PZPR w sprawie gospodarności i warunków pracy w przemyśle".

W prasie ogłoszono o rozpoczętych przygotowaniach do oficjalnych obchodów 100-ej rocznicy urodzin Władysława Sikorskiego.

25 lipca, piątek. — Zakończył się strajk gdyńskich kolejarzy, obiecano podwyżkę o 400 do 600 zł.

W Ostrowie Wlkp. rozpoczęto pracę w ZPD „Sklejka" i ZEB „Prefabet" — pracownicy uzyskali 10 % podwyżki.

W Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego pracownicy dniówkowi otrzymali podwyżkę o 800 zł, a akordowi o 500 zł do stawki podstawowej.

Odbył się jednodniowy strajk na trzech wydziałach (narzędziownia, CP-1, dożarki) Fabryki Archimedes. Załoga uzyskała poprawę zaopatrzenia w wewnętrzzakładowych bufetach i podwyżkę płac. Zakończył się strajk w Lubelskiej Spółdzielni Pracy „Bajka". W tarnowskich „Azotach" strajk transportu wewnętrzzakładowego spowodował natychmiastowe dostawy mięsa i wędlin sprzedawanych po normalnych cenach.

Strajkujący pracownicy Instytutu Techniki Ciepłej w Łodzi zażądali rekompensaty podwyżki cen i lepszych warunków społecznych. Dyrektor obiecał podwyżkę płac od 1 sierpnia, natomiast do rozpatrzenia pozostałych postulatów została zobligowana Rada Zakładowa.

26 lipca, sobota. — Strajkujące załogi zakładów Elektroniki Motoryzacyjnej w Dusznikach, Świdnicy i Namysłowie uzyskały 15 % podwyżki i obietnicę utworzenia sklepów wewnątrzzakładowych. Strajk został zakończony. Skończyły się także strajki rozpoczęte 24 lipca w kilku zakładach pracy we Wrocławiu.

Załoga Elektrowni w Gorzowie Wlkp. zagroziła strajkiem. Pracownicy zażądali podwyżki płac i sprawiedliwego rozdziału mieszkań. Dyrekcja przy pomocy MO i SB zmusiła robotników do podjęcia pracy. Nie zrealizowano również postulatów.

27 lipca, niedziela. — E. Gierek rozpoczął pobyt w ZSSR.

28 lipca, poniedziałek. — Odbył się półgodzinny strajk ostrzegawczy tramwajarzy w Trójmieście. Rano rozpoczął się strajk w Dolnośląskich Zakładach Maszyn Elektrycznych „Dolmel” we Wrocławiu. Żądano poprawy zaopatrzenia wewnątrzzakładowego, podwyżki płac, dodatku rodzinnego takiego samego jak w MO i SB, poprawy warunków pracy. Strajk przerwano o godz. 14.15 do 1 sierpnia. Tego dnia dyrekcja miała odpowiedzieć na żądania załogi.

Przerwały pracę służby energomechaniczne w Hucie Szkła w Wałbrzychu.

W *Życiu Warszawy* ukazał się artykuł nawiązujący do 85-tej rocznicy powstania Stronnictwa Ludowego. Przy omawianiu historii ruchu ludowego w ogóle nie wspomniano o Wincentym Witosie.

29 lipca, wtorek. — Rozpoczęła strajk dwutysięczna załoga II-go rejonu przeładunkowego w porcie gdyńskim. Pracownicy filii „Ursusa” w Gorzowie Wlkp. zagrozili strajkiem. Pracownicy Instytutu Techniki Ciepłej w Łodzi otrzymali przy wypłacie o 700 zł więcej niż wynosiły poprzednie zarobki. Spełniony został jeden z postulatów, wysuniętych podczas strajku 25 lipca.

30 lipca, środa. — Przerwali pracę robotnicy filii „Ursusa” w Gorzowie Wlkp. na wydziałach obróbki cieplnej, energetycznym i w magazynach. Strajkujący pracownicy „Dolmelu” uzyskali podwyżkę premii, wynegocjowała ją w pertraktacjach z dyrekcją delegacja wybrana przez strajkujących.

W porcie gdyńskim do strajku dołączają się kolejne działy: wydział mechaniczny, inżynierjno-budowlany, dział głównego mechanika i część elektrycznego. Port otaczają wzmocnione oddziały WOP. Strajk kończy się porozumieniem z dyrekcją.

Załoga Huty Szkła w Wałbrzychu, strajkująca od 28 lipca, otrzymała 10 % podwyżki pensji i wyższy dodatek uznaniowy.

31 lipca, czwartek. — Spotkanie E. Gierka z L. Breżniewem na Krymie.

1 sierpnia, piątek. — Przerwało pracę 170 osób z dwutysięcznej załogi Zakładu Tworzyw Sztucznych „Erg” w Bieruniu Starym. Otrzymali 20 % podwyżki pensji. Strajk obu zmian na wydziałach II, III, V i IX Fabryki SHL w Kielcach. Strajk w Fabryce Pras Automatycznych „Prasomat” we Włochach k. Warszawy. Trwał cztery godziny. Na wydziale tulei Zakładów Mechanicznych „Nowotko” odbył się pięciogodzinny strajk. W Warszawie odbyły się oficjalne uroczystości z okazji rocznicy wybuchu powstania.

2 sierpnia, sobota. — Rozpoczął się strajk w tarnowskich „Azotach”. W fabryce napięcie rośnie już od tygodnia. 25 lipca w ostatniej chwili powstrzymano, dodatkowymi dostawami mięsa, wybuch strajku. Obecnie kilkudziesięciu robotników z wydziału półspalania zażądało podwyżek płac o 10 %, nowych ubrań roboczych, zaopatrzenia bufetów i sklepów w mięso, trzytygodniowych urlopów profilaktycznych dla osób pracujących w warunkach szkodliwych dla zdrowia, usprawnienia komunikacji miejskiej. Dyrektor obiecał w tych sprawach zwołać wiec całej załogi z udziałem I sekretarza KW i wojewody.

Odbył się dwugodzinny strajk w rejonie II-go gdańskiego portu wiślanego. W Gorzowie Wlkp. zastrajkowały Zakłady Włókien sztucznych „Stilon”, Fabryka Przemysłu Jedwabniczego, Zakłady Stolarstwa Budowlanego. Załogi zażądały podwyżki płac i otrzymały ją.

4 sierpnia, poniedziałek. — W Łodzi przerwały produkcję Zakłady Wyrobów Papierniczych „9 Maja”, fabryki „Harnama”, „Skogar”, ZNT „Teofilów”. W fabryce wyrobów gumowych „Stomil” zaczęto strajk na wydziale pras. Na drugiej zmianie kolejno stawały wydziały zakładów im. Obrońców Pokoju. Strajki miały charakter wyłącznie ekonomiczny i nie wyłoniły Komitetów Strajkowych. Przerwała pracę tkalnia Ronotex w Kaliszu. Kolejne zmiany dołączały się do strajkujących. Robotnicy zażądali podwyżki płac, zwiększenia dodatków rodzinnych i zniesienia grup uprzywilejowanych.

W Warszawie rozpoczął się trwający tydzień strajk MPO. Powstał dziewięciososobowy Komitet Strajkowy. Wysunięto postulaty: nowych wyborów do rad zakładowych, pisemnej gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących, dniówek za okres strajku, dodatku za szkodliwość pracy. Strajk zakończył się kompromisem. Nagromadzone w czasie strajku śmiecie zabierały w sobotę

i niedzielę ciężarówki, obsługiwane przez cywilów nie będących pracownikami MPO. 11 sierpnia, w poniedziałek o godz. 6-tej rano w mieszkaniach trzech przywódców strajku przeprowadzono rewizję, a ich samych aresztowano. Pomogło to w zastraszeniu załogi. O godzinie 10-tej rano wszystkich trzech wypuszczono.

5 sierpnia, wtorek. — W świdnickim WSK rozpoczął się ponowny strajk, ponieważ pracownicy nie otrzymali zarobków za okres strajku lipcowego, a zamiast przyznania 15 % podwyżki płac zapowiedziano, że dostaną ją tylko ci, którzy zdadzą egzamin na wyższe kwalifikacje. W Poznaniu odbył się czterogodzinny strajk operatorów dźwigowych w kombinacie budowlanym budującym osiedle „Rataje”. Zażądano podwyżki stawek do poziomu, który uzyskali strajkujący 23 lipca operatorzy dźwigowi z innej budowy tegoż przedsiębiorstwa.

7 sierpnia, czwartek. — W Warszawie zastrajkowało Miejskie Przedsiębiorstwo Wodno-Kanalizacyjne, którego pracownicy zażądali 400 zł podwyżki.

8 sierpnia, piątek. — W Bielsku-Białej zastrajkowały zakłady Inierskie „Lenko”.

11 sierpnia, poniedziałek. — W Warszawie rozpoczyna się trwający trzy dni strajk Miejskich Zakładów Komunikacyjnych. Kolejno strajkowały wszystkie zajezdnie autobusowe i tramwajowe. Drugiego dnia do strajku dołączyli się taksówkarze MPT. Żądano podwyżek płac i lepszego traktowania ludzi. W Bielsku-Białej staje Fabryka Maszyn Włókienniczych BEFAMA. Powstaje Komisja Robotnicza. Oprócz żądań ekonomicznych wysunięto postulat zabezpieczenia strajkujących przed represjami i nowych wyborów do związków zawodowych. W Białowie w woj. Radomskim strajkowała Spółdzielnia Kółek Rolniczych, w Miłkowie Zakład Usług Mechanicznych. Po czterech godzinach dyrekcja wypłaciła pracownikom pieniądze, niesłusznie potrącone za paliwo. Rozpoczął się strajk w Zakładach Przemysłu Pończosznego „Sandra” w Aleksandrowie Łódzkim.

12 sierpnia, wtorek. — W Warszawie odbywają się pertraktacje delegacji z zajezdni autobusowych i tramwajowych z władzami miasta. Wczesnym wieczorem przestała pracować cała komunikacja miejska w Warszawie, z wyjątkiem kilku linii tramwajowych. Jacyś ludzie zatrzymywali tramwaje w centralnych punktach miasta, utrudniali prace dźwigom, które miały ustawić wykołone wagony przy pl. Starynkiewicza. Koło hotelu Forum, w samym centrum Warszawy, wytworzyło się zbiegowisko. Do-

piero koło północy interweniowały radiowozy milicyjne, bez użycia przemocy, i ludzie rozeszli się.

13 sierpnia, środa. — We Wrocławiu strajkował Zakład Doświadczalny Automatyki Energetycznej. Strajk rozpoczął się ponownie w Zakładach Tekstylnych Teofilów.

14 sierpnia, czwartek. — O godzinie 6-tej rano przerwały pracę wydziały K-1 i K-3 w Stoczni Gdańskiej. Przed ranną zmianą rozkolportowano przed stocznia i na mieście kilka tysięcy ulotek w obronie zwolnionej z pracy Anny Walentynowicz. Rozdawano również egzemplarze *Robotnika*. Nieco później stanęły wydziały silnikowe i C-5. Na terenie stoczni organizatorzy strajku porozwieszali plakaty informujące o zwolnieniu A. Walentynowicz i zawierające żądanie podwyżki płac o 1.000 zł. O 9-tej rano na placu na terenie stoczni rozpoczął się wiec. Wśród przemówień i pieśni ogłoszony został strajk okupacyjny i powołano Komitet Strajkowy. Sformułowano żądania strajkowe: przywrócenie do pracy A. Walentynowicz i L. Wałęsy, wystawienie pomnika Ofiar Grudnia 1970, zagwarantowanie bezpieczeństwa strajkującym, podwyżki płac o 2.000 zł, dodatki drożyniane i zasiłki rodzinne takie same jak w MO i SB. Przywódcą strajku został L. Wałęsa. Dyrekcja przyjęła tylko trzy pierwsze żądania. Strajkujący przejęli władzę w stoczni i powołali straż robotniczą, pilnującą porządku. Do jej zadań należało również sprawdzanie czy nie wnosi się alkoholu na teren stoczni.

Agencja Interpress zdementowała informacje o strajku w stoczni.

W wigilię 60-tej rocznicy obrony Warszawy odbyło się w warszawskim kościele św. Anny nabożeństwo w intencji żołnierzy tej bitwy. Po mszy spod kościoła ruszył pochód całą szerokością Krakowskiego Przedmieścia, pod grób Nieznanego Żołnierza. Pod figurą Matki Boskiej wygłosił przemówienie W. Ziemiński, na pl. Zwycięstwa — L. Moczulski.

15 sierpnia, piątek. — Rozpoczął się strajk w stoczni w Gdyni. Na czele Komitetu Strajkowego stanął Andrzej Kołodziej, pracujący tutaj dopiero od dwóch dni. Wcześniej pracował w Stoczni Gdańskiej, skąd został zwolniony za kolportaż *Robotnika* podczas przerwy śniadaniowej (zarzut brzmiał: „zakłócenie porządku na śniadaniu 10 grudnia 1979 roku, co spowodowało przedłużenie przerwy śniadaniowej”). Stanęła większość pozostałych stoczni i portów, komunikacja miejska oraz wiele zakładów kooperujących w ramach przemysłu stoczniowego.

O 12-tej przerwano łączność telefoniczną z resztą kraju.

W Stoczni Gdańskiej trwały negocjacje. Na wniosek dyrekcji po południu włączyli się do nich przedstawiciele innych wydziałów stoczni. Część z nich to ludzie niezdecydowani, niekiedy nasłani nawet przez dyrekcję. Osłabia to zwartość Komitetu Strajkowego. W Szczecinie odbyło się kilka krótkotrwałych strajków w stoczniach, w wyniku których pracownicy otrzymali podwyżkę 1,50 zł na godzinę.

Ruch Młodej Polski wydał oświadczenie, solidaryzujące się z żądaniami robotników. Czytamy tam:

„Władza rządząca w Polsce usiłuje przekonać społeczeństwo, że trudności gospodarcze mają charakter obiektywny, że jedyną drogą wyjścia z obecnego kryzysu jest rzetelna praca. Usiłuje uczynić całe społeczeństwo polskie współodpowiedzialnym za obecną sytuację w kraju. Nie możemy zgodzić się z taką oceną. Komuniści sprawują władzę w Polsce od 35 lat. Wzięli ją bez społecznego mandatu i nigdy nie starali się go uzyskać. Oni wytyczali i realizowali politykę społeczną i gospodarczą. Oni podejmowali decyzje — społeczeństwo było obiektem ich manipulacji i eksperymentów. Oni więc ponoszą pełną odpowiedzialność za obecny kryzys. (...) PZPR nigdy nie wykazywała się zrozumieniem polskiego interesu narodowego i polityczną mądrością. Musi je wykazać społeczeństwo polskie, strajkujące i opozycja demokratyczna.

Jedyną drogą jest spokojne organizowanie się, spokojne i rozważne upominanie się o swe prawa. Nie można dać się sprowokować i szukać zwycięstwa stosując przemoc. (...)”.

KSS „KOR” wydał oświadczenie, w którym solidaryzuje się ze strajkującymi i protestuje przeciwko przerwaniu łączności z Gdańskiem. Polska Agencja Prasowa po raz pierwszy poinformowała o „przerwach w pracy”. W swoim komunikacie PAP wymienił Zakłady Przemysłu Pończosznego „Sandra” w Aleksandrowie, Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów”, Stocznnię Gdańską oraz Komunikację Miejską w Warszawie.

W *Życiu Warszawy* ukazał się artykuł redaktora naczelnego, w którym ostrzegł przed wysuwaniem demagogicznych żądań.

Wieczorem premier E. Babiuch wygłosił przemówienie telewizyjne, w którym wzywał do zgody narodowej. Podkreślał trudną sytuację gospodarczą, spowodowaną trudnościami obiektywnymi. Zapowiedział mimo to utrzymanie starych cen mięsa do jesieni 1980 roku.

E. Gierek wrócił z urlopu na Krymie.

16 sierpnia, sobota. — W Stoczni Gdańskiej do południa trwały przetargi z dyrekcją. Dyrekcja dodatkowo zgodziła się jeszcze na podwyżkę płac 1.500 zł i przyznanie dodatku drożyznianego zwanego stoczniowym. Komitet Strajkowy w głosowaniu przyjął takie rozwiązanie i ogłosił zakończenie strajku.

W trakcie obrad przybywały delegacje z innych zakładów Trójmiasta, z którymi nikt rozmów nie podjął. Grożono im natomiast, że jak tylko zakończy się strajk w stoczni, mniejsze zakłady zostaną siłą zmuszone do podjęcia pracy. Jedna z delegatek powiedziała w stoczni: „jeżeli wy przestaniecie strajkować, to nas rozgniotą jak pluskwy”. Po zawarciu porozumienia dyrekcja przez megafony nawoływała do opuszczenia terenu stoczni i większość robotników udała się do domów. Pozostali, ok. 1.000 osób, podjęli strajk solidarnościowy z innymi zakładami pracy Trójmiasta. Przewodniczącym Komitetu Strajkowego został Lech Wałęsa.

W nocy przybyły na teren stoczni delegacje z 21 fabryk i zawiązano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który wydał swój pierwszy komunikat wydrukowany w Wolnej Drukarni Stoczni Gdynia i kolportowany wstępnie w formie ulotki:

„W wyniku porozumienia załóg strajkujących zakładów i przedsiębiorstw Wybrzeża, utworzono w dniu 16-go bm. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni Gdańskiej. Celem MKS jest koordynacja żądań i akcji strajkowej zakładów i przedsiębiorstw.

Opracowano tekst żądań i postulatów, będących wspólną uchwałą Komitetów Strajkowych. Postanowiono kontynuować strajk do czasu spełnienia żądań i postulatów załóg. MKS jest upoważniony do prowadzenia rozmów z władzami centralnymi. Ogłoszenie zakończenia strajku podejmuje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.

Po zakończeniu strajku MKS nie rozwiąże się i będzie kontrolował realizację postulatów oraz organizował Wolne Związki Zawodowe”.

PAP podała informację o zakończeniu strajku w stoczni.

17 sierpnia, niedziela. — Do Stoczni Gdańskiej zaczęli od rana wracać pracownicy, którzy poprzedniego dnia wyszli do domów. O 9-tej rano na placu przy głównej bramie rozpoczęła się msza. Po mszy postawiono przy bramie wielki drewniany krzyż. Nabożeństwo odprawiono również w Stoczni Gdańskiej. Komitet Strajkowy otrzymał ofiarę z tacy w wysokości 82.000 zł. W lokalnych programach radia i telewizji wygłosił przemówienie sekretarz KW PZPR Fiszbach: „... od godzin wieczornych 16-go bm. robotnicza dyskusja przekształciła się w nieustanne wiecowanie, któremu towarzyszą wystąpienia ludzi w ogóle ze stoczną nie związanych...”.

18 sierpnia, poniedziałek. — Rano powróciła do stoczni reszta robotników, którzy ją opuścili w sobotę. Dyrektor odciał obwód zasilający głośniki radiowe, pozbawiając przy tym energii elektrycznej szpital zakładowy. Przez pozostałe megafony nadawane były apele o powrót do pracy. Od rana były zrzucane z samolo-

tów ulotki wzywające do przerwania strajku. Odbył się wiec przed gmachem dyrekcji. Przemówienie dyrektora zostało wygwizdane. Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia wydrukowała ulotkę z kolejnym oświadczeniem MKS-u:

„W związku z masową dezinformacją przedkładamy wam informacje o aktualnej sytuacji strajkowej. Strajki trwają!!! Aktualnie strajkuje około 200 zakładów Trójmiasta, a strajki są typu okupacyjnego. Został utworzony Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Gdańskiej Stoczni im. Lenina i on jest naszym jedynym przedstawicielem do rozmów z władzami.

Strajkowe Komitety Zakładowe utrzymują porządek w zakładach pracy. Jest porządek, nie ma żadnych incydentów, możecie być spokojni o nas. Wytrzymamy!!! Międzyzakładowy Komitet Strajkowy”.

Na żądanie Komitetów Strajkowych władze miasta zakazują sprzedaży alkoholu.

Do MKS wchodzi po dwóch delegatów z każdego strajkującego zakładu pracy. Ukonstytuowało się 19-osobowe prezydium. MKS przyjął listę 21 postulatów, z których sześć pierwszych nie ma charakteru ekonomicznego, porusza natomiast sprawę Wolnych Związków Zawodowych, wolności przekonań i druku, więźniów politycznych, prawa do strajku. Delegacja MKS złożyła listę tych postulatów na ręce wojewody gdańskiego.

W Szczecinie o godz. 6-tej rano rozpoczął się strajk w stoczni remontowej „Parnica”. Utworzono Komitet Strajkowy i wysłano delegację do Stoczni im. Warskiego. Tam zostały uzgodnione postulaty i po południu, po dołączeniu się do strajku Fabryki Maszyn Budowlanych FAMABUD, Stoczni Remontowej „Gryfia” i Metaloportu utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Ustalono listę 36 żądań, na której znalazły się: prawo do tworzenia Wolnych Związków Zawodowych, podwyżka płac, emerytur i rent, poprawa zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe i konsumpcyjne, prawo do strajku, zniesienie cenzury, zrównanie zasiłków rodzinnych do poziomu MO, rozpowszechnienie treści Karty Praw Człowieka, gwarancje bezpieczeństwa dla strajkujących, zaprzestanie prześladowania działaczy opozycji, niedzielne msze w radiu i telewizji, tablica przed bramą stoczni upamiętniająca ofiary Grudnia 1970, poprawa lecznictwa, likwidacja sklepów komercyjnych i konsumów, lepsze zaopatrzenie stoczni w materiały potrzebne do produkcji, wolne soboty, przedstawienie przez rząd programu rozwiązania kwestii mieszkaniowej, ujednolicenie Karty Stoczniowca z Kartą Górnika, zlikwidowanie zbędnych wydatków w rodzaju inwestycji na loty kosmiczne, ogłoszenie tych postulatów w prasie. Od razu też zażądano telefonicznego połączenia z MKS-em w Gdańsku.

Odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR. W wieczornym programie nadano przemówienie radiowo-telewizyjne E. Gierka pod hasłem: Polsce potrzebny jest wewnętrzny spokój. „... żadne działania godzące w podstawy porządku politycznego i społecznego w Polsce nie mogą być i nie będą tolerowane. (...)”. Gierek potwierdził decyzję o zamrożeniu cen mięsa do jesieni 1981 roku, zapowiedział stopniowe podwyżki dodatków na dzieci od początku 1981 roku oraz badania kwestii wzrostu kosztów utrzymania; udzielił też poparcia działaniom Centralnej Rady Związków Zawodowych.

Dziennik telewizyjny wyliczył, ile kosztuje jeden dzień przestoju portów i stoczn i przeliczył to na szpitale.

Późnym wieczorem odbyło się Plenum KW w Gdańsku w obecności członka Biura Politycznego Kani. Wielu mówców wspomniało o terrorze wprowadzonym przez Komitet Strajkowy i siłach antysocjalistycznych prących do anarchii. Konradmirał Janczyszyn stwierdził, że wojsko nie uczyni niczego, co mogłoby zachwiać więź między nim a społeczeństwem.

W Zbroszy Dużej odbył się jednodniowy strajk solidarnościowy rolników. Wystosowano list do robotników.

Wydany został apel KSS „KOR” i redakcji *Robotnika*, w którym jego autorzy solidaryzują się z MKS w Gdańsku i wszystkimi strajkującymi; wzywają władze do uznania niezależnych reprezentacji robotników, ustanowienia specjalnego dodatku drożyznianego wyrównującego wzrost kosztów utrzymania oraz rozpoczęcia ogólnonarodowej, nieskrępowanej dyskusji nad reformą gospodarczą; postulują całkowitą rewizję dotychczasowej polityki rolnej; uznają za konieczny warunek wyjścia z obecnego kryzysu odblokowanie informacji i zaprzestanie represji policyjnych.

„Obowiązkiem każdego Polaka jest solidarność ze strajkującymi robotnikami...”.

19 sierpnia, wtorek. — W Gdańsku delegacja MKS złożyła w Urzędzie Wojewódzkim pismo adresowane do premiera Babiucha, żądające przystąpienia władz centralnych do rokowań. Tymczasem delegacje z 17-tu zakładów pracy przystąpiły do osobnych pertraktacji z przewodniczącym Komisji Rządowej T. Pyką.

Część zakładowych delegacji to dyrektorzy i sekretarze organizacji partyjnych. Według informacji radiowych wieczorem już 47 delegacji rozmawiało z T. Pyką. W niektórych przedsiębiorstwach powstały drugie Komitety Strajkowe.

Na spotkaniu w gdańskiej WRZZ przewodniczący CRZZ

Szydłak powiedział do zgromadzonych tam przedstawicieli Rad Zakładowych: „Nie oddamy władzy, nie podzielimy się władzą”.

MKS opublikował oświadczenie:

„W poniedziałek dnia 18 sierpnia do MKS dołączyło ponad 120 nowych zakładów pracy i przedsiębiorstw. Obecnie MKS reprezentuje ponad 250 zakładów i liczba ta wciąż wzrasta. Zasięg działania MKS wyszedł już poza teren Trójmiasta i obejmuje również zakłady Pruszcza Gdańskiego, Starogardu Gdańskiego, Elbląga i Tczewa. We wszystkich prawie zakładach trwa strajk okupacyjny. Wyjątek stanowią te przedsiębiorstwa, których funkcjonowanie jest społecznie niezbędne. W szczególności MKS zabezpiecza funkcjonowanie służby zdrowia, wodociągów, gazowni oraz przedsiębiorstw wytwarzających żywność. Możemy śmiało powiedzieć, że jesteśmy pierwszym autentycznym wolnym przedstawicielstwem rzesz pracowniczych w naszym kraju. Nakłada to na nas wielką odpowiedzialność wobec całego społeczeństwa. Naszym głównym celem jest utworzenie Wolnych Związków Zawodowych, niezależnych od PZPR i pracodawców, bowiem tylko wówczas prawa i interesy pracowników mogą być skutecznie broniące. Dopóki nie będziemy mieli Wolnych Związków Zawodowych, jedyną metodą obrony naszych interesów pozostanie strajk, a jest to najbardziej kosztowna społecznie forma pertraktacji. Tylko Wolne Związki Zawodowe potrafią zapewnić niezakłócone funkcjonowanie gospodarki narodowej i jednocześnie realizację postulatów pracowniczych. Pierwszym krokiem na drodze do powstania Wolnych Związków Zawodowych jest oficjalne uznanie przez władze centralne Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego poprzez przybycie władz do Stoczni Gdańskiej i podjęcie z nim pertraktacji.

Komitety Strajkowe wchodzące w skład MKS są gotowe do podjęcia pertraktacji z dyrekcjami zakładów lub zjednoczeń w sprawach poprawy warunków pracy i podwyżki wynagrodzeń. Podkreślamy jednak, że wynik tych pertraktacji nie ma wpływu na decyzję o zakończeniu strajku. Decyzja taka może być podjęta jedynie przez MKS po przeprowadzeniu rozmów z władzami centralnymi. W rozmowach tych MKS musi uzyskać gwarancję, która stale chroniłaby zdobycze strajkowe.

Oczekujemy więc na przyjazd władz centralnych. Każdy dzień zwłoki będzie dowodem, że władze nie chcą przyznać prawa do autentycznego przedstawicielstwa ludziom pracy w Polsce.

W imieniu reprezentowanych załóg oświadczamy, że pragniemy jak najszybciej podjąć pracę, ale jako pełnoprawni obywatele, będący rzeczywistymi współgospodarzami zakładów pracy. Każdy dzień zwłoki, to miliardowe straty dla naszej gospodarki, ogarniętej kryzysem z winy kierownictwa.

Walczymy o słuszną sprawę i zwyciężymy. Z każdym dniem jest nas coraz więcej, a od władz zależy jedynie wielkość społecznych kosztów zwłoki. Apelujemy jeszcze raz o rozwagę i odpowiedzialność”.

Do MKS przystąpiła drukarnia gdańska, w której drukowano ulotki antystrajkowe.

Pojawiły się pierwsze transporty żywności ze wsi podgdańskich. W Szczecinie rano rozpoczął się strajk zajezdni autobusowych. Około południa MKS zrzeszał 21 przedsiębiorstw. Na wniosek MKS w Szczecinie wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu. O godz. 23.25 naczelny dyrektor Stoczni poinformował

MKS o powołaniu komisji rządowej, upoważnionej do prowadzenia pertraktacji. Rozmowy mają się rozpocząć następnego dnia.

Odbyło się plenum KW PZPR w Szczecinie. Mówiono tam o przenikaniu do strajkujących zakładów osób w nich nie pracujących i chcących wykorzystać sytuację dla własnych, obcych załogom celów.

W Świnoujściu rozpoczął się strajk Morskiej Stoczni Remontowej. W Elblągu strajk rozpoczęli kolejarze ZAMECH. Dołączyła do nich komunikacja miejska. Prawie od razu powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. W Nowej Hucie rozpoczęła strajk nocna zmiana wydziału mechanicznego Huty im. Lenina. Dołączyły później cementownie, koksownie i elektrociepłownie. Nad ranem wkroczyła na teren Huty milicja, ale następnie szybko się wycofała. Strajk wygasł, gdy dyrekcja zaakceptowała postulaty strajkujących: podniesienie pensji i premii, zrównanie dodatków rodzinnych z MO i SB oraz zwiększenie dodatków za rozłąkę — obiecując udzielić definitywnej odpowiedzi 22 sierpnia.

W Lublinie w parowozowni odbyły się wybory do nowej Rady Zakładowej. Mimo szykan i represji SB kandydaci z listy Komitetu Strajkowego wygrali wybory. W Płocku przerwała pracę Fabryka Maszyn Żniwnych, w Sanoku — Fabryka Autobusów, w Warszawie — TEWA.

Odbyły się obrady prezydium CRZZ, w czasie których „... zaakceptowano działalność przedstawicieli Związków Zawodowych w wypracowaniu podjętych ostatnio przez rząd decyzji polepszających warunki płacowe załóg”.

20 sierpnia, środa. — MKS w Gdańsku podjął uchwałę, w myśl której Komitety Strajkowe poszczególnych zakładów nie powinny prowadzić z władzami żadnych rozmów, których przedmiotem byłyby wspólnie uchwalone postulaty. Delegacje, które prowadziły rozmowy z T. Pyką, pod naciskiem wycofały się z nich. W nocy T. Pyka został odwołany. MKS wydał oświadczenie, w którym m.in. stwierdzał:

„... oficjalne Związki Zawodowe nie tylko nie broniły i nie bronią naszych praw i interesów, ale przejawiają w stosunku do słusznej akcji strajkowej większą wrogość, niż czynnik partyjno-rządowe. Najostrzej o akcji strajkowej wypowiada się przewodniczący CRZZ J. Szydłak, ten, który sam uważa się za rzecznika interesów pracowniczych i reprezentuje instytucję ponoszącą główną winę za stan ostatnich dni w kraju (...). Nasz strajk określił jako przejaw sił wrogich i terror. (...) Mówiąc to informuje opinię publiczną, że chce być naszym reprezentantem bez naszej zgody. Nasz mandat jest dla niego bez znaczenia. MKS i strajkujące załogi nie mogą przejść obojętnie wobec takiego oficjalnego stanowiska CRZZ i uważają za konieczne udzielenie na nie odpowiedzi. Taką właśnie odpo-

wiedzą jest decyzja wszystkich delegatów strajkujących załóg skupionych w MKS o wystąpieniu z partyjno-rządowych związków zawodowych, podjęta na posiedzeniu w dniu dzisiejszym o godz. 10.00”.

Strajk poparli pracownicy Politechniki Gdańskiej oraz Opery i Filharmonii. MKS reprezentował już 304 zakłady pracy.

Rozpoczęła się fala represji. Milicja zaczęła zatrzymywać delegatów jadących ze Stoczni do macierzystych przedsiębiorstw, zdejmowano biało-czerwone chorągiewki, którymi udekorowane były samochody Komitetów Strajkowych. Lokalna prasa poinformowała, iż odcięcie się strajkujących od KOR-u i Ruchu Młodej Polski jest warunkiem wstępnym podjęcia rozmów. *Głos Wybrzeża* zamieścił artykuł, w którym znalazł się następujący fragment: „(...) ograniczana jest lub w nierzadkich wypadkach wręcz gwałcona wolna wola obywateli. Ludzi pragnących opuścić nieczynne zakłady zatrzymuje się siłą. Pracownikom chcącym wykonywać swe normalne obowiązki na rzecz miasta dewastuje się sprzęt i narzędzia. (...) Gdzie kończą się sprawy, oczekiwania i postulaty ludzi pracy, a gdzie zaczyna się gra polityczna prowadzona przez manipulatorów stojących za plecami robotników, techników i inżynierów unieruchomionych za bramami stoczni, portów, fabryk i baz transportu?”.

Strajkujący robotnicy oddali krew dla ofiar wypadku kolejowego pod Toruniem.

W Szczecinie na teren Zarządu Portu i w kilku innych przedsiębiorstwach próbowano wprowadzić łamistrajków.

O 5-tej rano przybyła do Stoczni delegacja Komitetów Strajkowych ze Świnoujścia. W Szczecinie strajkowało już 30 przedsiębiorstw — około 60 tysięcy osób. Dyrektor Stoczni i sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR namawiali do przerwania strajku — bez powodzenia. 199 robotników oddało krew dla ofiar katastrofy kolejowej pod Toruniem.

Około godz. 23-ej dyrektor naczelny Stoczni telefonicznie poinformował MKS, że Komisja Rządowa zaproponowała podjęcie nazajutrz rozmów. MKS wyraził zgodę.

W Nowej Hucie stanęły na kilka godzin wydziały MW-3, SP-2 i materiałów ogniotrwałych. Hutę otoczono kordonem milicji i próbowano uniemożliwić porozumiewanie się robotników pomiędzy wydziałami.

We Wrocławiu strajk w Fadromie. Drugiego dnia pracownicy otrzymali podwyżkę płac o 300-500 zł.

W Warszawie aresztowania. Schwymano ponad 20 członków

i współpracowników KSS „KOR” i *Robotnika*. W prasie nasiliła się kampania przeciwko „siłom antysocjalistycznym”.

64 intelektualistów podpisało apel o umiar i rozsądek po obu stronach, który rozpoczynają słowa: „Chwila obecna może okazać się krytyczna dla naszego kraju. Nikt jednak nie może powiedzieć, że zaskoczył go rozwój wypadków. Nie brakowało sygnałów nadchodzącego kryzysu gospodarczego i politycznego. (...)”.

Papież Jan Paweł II wystosował list do Prymasa Polski, w którym pisał: „... Modlę się, aby Episkopat Polski ze swym Prymasem na czele zapatrzony w Tę, która dana jest ku obronie naszego Narodu, mógł również i tym razem dopomóc temu Narodowi w ciężkim zmaganiu się o chleb powszedni, o sprawiedliwość społeczną i zabezpieczenie Jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju. (...)”.

W kilka dni później wydrukowała ten list Wolna Drukarnia Stocznii Gdynia.

21 sierpnia, czwartek. — Do Gdańska przybyła Komisja rządowa z wicepremierem M. Jagielskim na czele. O godz. 14-tej Jagielski zaproponował rozmowy branżowe ministrów z „trójkami zakładowymi” (Dyrekcja, POP, Rada Zakładowa). Od rana rozdawano i rozrzucono ulotki wydane przez Wojewódzki Komitet FJN: „Robotnicy! Stoczniovcy! Droga do rozmów i negocjacji z Komisją Rządową, pracującą obecnie pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego w siedzibie Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, przy ul. Okopowej 21/27, tel.: 31-19-00, jest nadal otwarta.

Wzywamy tych, którym rzeczywiście leży na sercu dobro ludzi pracy, dobro społeczne, aby podjęli tę możliwość. Jak długo można strajkować? Ile jeszcze wszyscy mamy stracić?”.

Przez radio, w lokalnym programie, przemawiał wicepremier M. Jagielski. Po trzech minutach z niewyjaśnionych przyczyn przerwał przemówienie. W porannej prasie ukazał się komunikat podający, że Komitety Strajkowe rozmawiające dotąd z komisją rządową odcięły się od KOR-u i Ruchu Młodej Polski. Lech Wałęsa na posiedzeniu MKS opowiedział historię KOR-u.

Po zrezygnowaniu z osobnych rozmów delegaci ze Stocznii Remontowej i Północnej weszli do MKS-u. MKS w oświadczeniu odmówił prowadzenia rozmów poza Stocznia, składając jednocześnie zapewnienie bezpieczeństwa dla delegacji rządowej na jej terenie. Milicja rozpoczęła kontrolę dojazdów do Stocznii. W nocy rozeszły się pogłoski o planowanych desantach na drukarnię

stoczni Gdynia (akcja Wieczerek — informacja z nasłuchu radiowego) i stoczną gdańską dla porwania MKS-u. Delegaci załóg rozeszli się na noc na różne wydziały.

W Szczecinie o godz. 10-tej przybyła do stoczni komisja rządowa. Przewodniczący MKS M. Jurczyk zaproponował uczczenie pamięci poległych w Grudniu minutą ciszy. Następnie odśpiewano hymn. Później przewodniczący odczytał głośno listę 36 postulatów, które zebrani przyjęli burzliwymi oklaskami. Przewodniczący komisji rządowej K. Barcikowski zaproponował zebranym powrót do pracy i kontynuowanie dialogu w nowych warunkach. Nie przyjął też żadnego punktu z postulatów MKS. Rozmowy zostały przerwane i przeniesione na następny dzień.

Wieczorem w Szczecinie strajkowały już 82 zakłady. Wszystkie miały swoich przedstawicieli w MKS.

Wracający z obrad MKS w Gdańsku delegaci MKS Elbląg zostali zatrzymani przez milicję. Poddano ich przesłuchaniom i zaproponowano współpracę za pieniądze i mieszkanie.

W dalszym ciągu wybuchały krótkie strajki w wydziałach Huty im. Lenina w Nowej Hucie. Nie były one ze sobą skoordynowane. Obok żądań ekonomicznych bywały również społeczne: utworzenie Wolnych Związków Zawodowych, powołanie nowej komisji mieszkaniowej, która sprawiedliwiej przydzielałaby mieszkania.

W trakcie strajków blokowano łączność telefoniczną z Krakowem.

W Słupsku rozpoczęły strajk Miejskie Zakłady Komunikacyjne i „Sezamor”. W Bydgoszczy nie pracowała również Miejska Komunikacja i „Romet”. W Toruniu stanęły Zakłady Okrętowe „Towimor” i Przędzalnia Czesankowa „Merinotex”, a w Tarnowskich Górach Zakłady „Faros”.

W Zakładach Mechanicznych „Ursus” powstał Robotniczy Komitet Solidarności ze strajkującymi robotnikami Wybrzeża. Członkowie Rady Zakładowej i pracownicy Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Warszawie zaapelowali do władz o uznanie MKS.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe wydało oświadczenie, w którym m.in. stwierdza:

„(...) Polityka władz jest sprzeczna z dobrem kraju. Dlatego protestują przeciw niej najsilniej robotnicy przedsiębiorstw najnowocześniejszych i najsprawniejszych. Dla nich powszechne marnotrawstwo widoczne jest najlepiej. (...) Obecny kryzys wykazał dobitnie, że władze nie zdają sobie zupełnie sprawy z nastrojów społeczeństwa. Ujawnił też niesprawność wyższego aparatu partyjnego. Strajkujący stocznioy i popierający ich solidarnie

robotnicy innych zakładów produkcyjnych Wybrzeża nie zagrażają ani socjalizmowi, ani bezpieczeństwu kraju. W okupowanych przez nich warsztatach pracy, które na mocy konstytucji PRL do nich należą, odradzają się zasady, ideały, prawa od których praktyka władzy daleko odeszła; tworzy się nowa jedność narodowa, która przekreśla podziały i różnice; tworzy się prawdziwe poczucie społecznej własności i odpowiedzialności za kraj. (...) Cel strajków jest jasny: doraźna poprawa bytu i warunków pracy oraz stworzenie rzeczywistych przedstawicielstw załóg robotniczych. Są one niezbędne zarówno dlatego, że tylko takie przedstawicielstwa mogą zabezpieczyć trwałość uzyskanych obietnic, ustępstw i zdobyczy, jak i dlatego, że są one konieczne dla prawidłowego funkcjonowania naszej gospodarki. (...)”.

W *Życiu Warszawy* artykuł o potrzebie dania odporu siłom antysocjalistycznym, których hasła sprzeczne są z interesem klasy robotniczej.

22 sierpnia, piątek. — W Gdańsku ministrowie przeprowadzali branżowe rozmowy z „trójkami” transmitowane przez miejscową rozgłośnię. Trójki nie reprezentowały jednak załóg, które oświadczyły, że podejmą negocjacje tylko za pośrednictwem MKS-u. MKS stwierdził zaś: „Rozmowy prowadzone przez ministrów z przedstawicielami przedsiębiorstw i zakładów pracy nie posiadających upoważnienia strajkujących załóg zmierzają do rozbicia solidarności robotniczej i opóźniają przystąpienie Rzecznika Rządu PRL do pertraktacji z MKS. (...) MKS jest jedyną władną instancją mogącą podjąć decyzję o zakończeniu strajku...”.

Wieczorem delegacja prezydium MKS udała się do wicepremiera Jagielskiego i doręczyła mu następujące oświadczenie. „Międzyzakładowy Komitet Strajkowy raz jeszcze powiadamia delegację rządową pod przewodnictwem wiceprezesa Rady Ministrów, że jest gotów do podjęcia rozmów na temat postulatów ujętych w naszej 21-punktowej liście — mogących doprowadzić do zakończenia strajku”.

W Szczecinie w południe rozpoczęły się rozmowy MKS-u z delegacją rządową. K. Barcikowski referując stanowisko komisji powiedział, że np. postulat zniesienia cenzury jest do przyjęcia. Natomiast przy punkcie 32 (żądanie, aby zaprzestano oddelegowywania pracowników do szkół partyjnych na koszt zakładów pracy) stwierdził — „za dużo ode mnie chcecie”. Zaproponował, aby zredagować wspólny komunikat i zakończyć strajk. Zapytany o sytuację w Trójmieście odpowiedział, że w Gdańsku są „skoczkowie polityczni”. Zarządzono 8-godzinną przerwę w celu opracowania odpowiedzi na propozycje Komisji Rządowej. Rozmowy kontynuowano o godz. 22-ej. Przedstawiciel MKS odczytał list solidarnościowy od pracowników naukowych wyższych uczelni szczecińskich. Odczytane zostały również postulaty

MKS w niezmienionej właściwie formie. Rozmowy znalazły się w punkcie wyjścia. K. Barcikowski oświadczył, że „żadna komisja nie jest władna spełnić postulatów strajkujących”. Mimo to powołano wspólną komisję do opracowania postulatów ekonomicznych i przerwano rozmowy do następnego dnia.

Wieczorem w Szczecinie strajkowało już 100 przedsiębiorstw.

Na jeden dzień przerwał pracę wydział zgniataczy w Hucie im. Lenina. Na wydziale wielkich pieców odbyło się zebranie załogi, na którym wysunięto żądania takie same, jak na innych wydziałach. W Zakładach Budowy Maszyn i Aparatury im. Szadkowskiego w Krakowie odbył się strajk ostrzegawczy. Natychmiast po rozpoczęciu strajku w Fabryce Armatur załoga otrzymała podwyżkę płac.

Strajk w Krakowskiej Fabryce Kabli.

Rozpoczął się strajk w Zakładach Koncentratów Spożywczych w Skawinie. Robotnicy zażądali podwyżki płac. Na budynku warsztatów wywieszono tablicę z napisem: „Solidaryzujemy się z robotnikami Wybrzeża”. Ponieważ dyrekcja dwukrotnie ją zabierała — przyśrubowano ją do muru na stałe.

33 intelektualistów poznańskich wystosowało list otwarty do strajkujących: „Popieramy Wasze sprawiedliwe żądania, wpisany jest w nie los nas wszystkich i każdego z osobna. Podziwiamy Waszą stanowczość i godność z jaką walczyście o nasze prawa. Wasz czyn dowodzi że jako naród jesteśmy gotowi do dzieła politycznej i gospodarczej naprawy”.

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Socjologicznego wystosował do premiera Babiucha list, popierający ideę wolnych związków zawodowych i prawo do strajku. Zespół Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” ogłosił tekst „Od czego zacząć?” na temat natychmiastowych reform społeczno-gospodarczych:

„Nie ma dziś czasu na dalsze odwlekanie zasadniczych zmian i reform. Wedle uczestników ankiet 'DiP' powinny one objąć w pierwszej kolejności:

a) przedstawienie narodowi pełnej prawdy o jego sytuacji oraz całkowitą zmianę sposobu informowania i prowadzenia dialogu ze społeczeństwem;

b) uznanie konieczności daleko idących zmian w całokształcie stosunków władzy ze społeczeństwem, a zwłaszcza w dziedzinach:

— stosunków z klasą robotniczą, co musi objąć uznanie prawa robotników do formowania autentycznej, własnej reprezentacji zawodowej i prawa do strajku,

— stosunków ze wsią, co musi dotyczyć przede wszystkim pełnego równouprawnienia rolnictwa rodzinnego w strukturze gospodarczej oraz zapewnienia rozwoju samorządności wsi,

— stosunków z ogółem ludzi wierzących, co musi objąć rzeczywiste przekreślenie ich dyskryminacji w sferze swobód religijnych,

— stosunków z bezpartyjnymi obywatelami kraju, co musi objąć uznanie ich równouprawnienia i przedstawienie gwarancji ich autentycznego współuczestnictwa w politycznych, społecznych i gospodarczych decyzjach i działaniach.

— stosunków z inteligencją, światem nauki i kultury, co musi objąć zwłaszcza zasadnicze ograniczenie i ustawowe unormowanie uprawnień cenzury,

— stosunków wewnątrzpartyjnych, co wyrażać się musi w ich rzeczywistej demokratyzacji, likwidacji przywilejów i wprowadzeniu jawności;

c) uznanie konieczności uregulowania i przebudowy porządku prawnego dla zapewnienia praworządności, równości wobec prawa, autentycznej niezależności sądów i społecznej kontroli nad aparatem ścigania;

d) przystąpienia do prac nad reformą systemu przedstawicielskiego w kraju i ordynacji wyborczej, a także deklarację co do kierunku reform w sferze funkcjonowania machiny państwowej;

e) przystąpienie do prac nad szeroko zakrojoną reformą gospodarczą przy dopuszczeniu najszerszych warstw społeczeństwa do swobodnej dyskusji nad jej problemami”.

23 sierpnia, sobota. — W Gdańsku zostały tego dnia aresztowane kolejne osoby związane z opozycją demokratyczną. Lech Wałęsa wezwał do zaprzestania represji. O godz. 14-tej przybył do Stoczni wojewoda gdański dla nawiązania z MKS kontaktu roboczego. Ustalono, że o godz. 20-tej do Stoczni przybędzie Komisja rządowa z wicepremierem M. Jagielskim na czele. O 20-tej Komisja rządowa przybyła do Stoczni. Ponieważ jednak nie został spełniony warunek wstępny nawiązania rozmów, tzn. odblokowanie łączności telefonicznej Gdańska z resztą Polski (Jagielski tłumaczył brak łączności komplikacjami technicznymi po huraganie, jaki przeszedł nad Warszawą i innymi miastami 21 sierpnia), głos zabrał tylko M. Jagielski. Odpowiadając na postulat utworzenia wolnych związków zawodowych stwierdził, że należy zmodyfikować dotychczasową ustawę o związkach zawodowych i przeprowadzić nowe wybory do rad zakładowych. Pominął postulat o prawie do strajków i pośrednio odmówił opublikowania żądań MKS w prasie. Podkreślił konstytucyjne gwarancje odnośnie wolności słowa i druku oraz przekonań politycznych („w Polsce nie ma więźniów politycznych”). Zdziwił się, że osoby wspomagające strajk bywają represjonowane i dał gwarancję bezpieczeństwa dla strajkujących. W nocy osoby aresztowane w Gdańsku zostały zwolnione. O wydawnictwach niezależnych powiedział tylko, że są szkodliwe: antysocjalistyczne.

W Stoczni Gdańskiej ukazał się pierwszy numer strajkowego *biuletynu Solidarność*. W numerze, poza ostatnimi informacjami na temat przygotowywanych rokowań, znalazły się konwencje Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz artykuł „Czego żądać?

Jak strajkować?”. MKS wydał oświadczenie, w którym stwierdza:

„Cały kraj z napięciem czeka na rzetelne i prawdziwe informacje z ogarniętego strajkiem Wybrzeża. Tymczasem wiadomości podawane przez prasę, radio i telewizję są zniekształcane i tylko częściowo odpowiadają prawdzie. Całkowicie przemilcza się istnienie w Gdańsku Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz podobnych Komitetów w Szczecinie i Elblągu. Przemilcza się zasadniczy dla oceny sytuacji na Wybrzeżu fakt, że akcja strajkowa jest w pełni koordynowana i kierowana przez demokratycznie powołane Międzyzakładowe Komitety Strajkowe — komitety, którym dobrowolnie podporządkowały się Komitety Strajkowe poszczególnych zakładów upoważniając MKS-y do wyłączności w prowadzeniu pertraktacji z władzami. (...) ... próby rozbijackich rozmów, w których władze usiłują przekupić część strajkujących wysokimi podwyżkami pieniężnymi, przedstawia się jako pertraktacje zmierzające do spełnienia naszych postulatów i zakończenia strajków. (...)”.

W Szczecinie od rana trwały obrady MKS-u z komisją rządową, transmitowane na całą stocznię. Przy megafonach zainstalowanych nad bramami gromadziły się tłumy mieszkańców miasta. Barcikowski zaproponował prace w komisjach redakcyjnych i zakończenie strajku. MKS postanowił wysłać delegację do Gdańska, Barcikowski osobiście zagwarantował jej bezpieczny przejazd. O godz. 16-tej delegacja z dodanym jej dla bezpieczeństwa wiceministrem wyjechała i przybyła do Stoczni Gdańskiej późnym wieczorem. O godz. 17-tej została włączona łączność telefoniczna z gdańskim MKS-em.

KSS „KOR” wydał oświadczenie biorące w obronę więzionych działaczy opozycji demokratycznej (13 osób aresztowanych i przetrzymywanych bez sankcji prokuratorskich i 4 osoby skazane w sfałszowanych procesach). „Główną przyczyną tych aresztowań była usilna praca KSS „KOR” nad przełamaniem blokady informacji o strajkach, ich przebiegu, żądaniach robotniczych”. KSS „KOR” wstawił się też za braćmi Kowalczykami, więzionymi od 10-ciu lat.

„Nie może być mowy o zaufaniu do nowego kierunku polityki rządu, póki w aresztach i więzieniach znajdują się więźniowie polityczni, póki trwają represje, póki w Polsce panuje bezprawie”.

24 sierpnia, niedziela. — W Gdańsku kolportowane były ulotki, podpisane przez wojewódzki komitet FJN, oskarżające MKS o odrzucenie propozycji rozmów z komisją rządową. W Stoczni odbyło się spotkanie z przybyłymi sygnatariuszami „Apelu intelektualistów” reprezentującymi różne dziedziny nauk społecznych. Powstała komisja ekspertów przy MKS, w skład której weszli: T. Mazowiecki (przewodniczący), B. Geremek, T. Kowalik,

A. Wielowieyski, J. Staniszkis, W. Kuczyński, B. Cywiński. Do tego czasu aneks do „Apelu” podpisało jeszcze ok. 200 osób. Przy bramie Stoczni odprawiono nabożeństwo.

W Gdańsku *Strajkowy Biuletyn Informacyjny* podał, powołując się na informacje uzyskane od delegacji szczecińskiej, iż postępowanie MO i SB jest tam poprawne, nie było i nie ma blokady telefonów, a „stanowisko K. Barcikowskiego charakteryzuje się dużo większą skłonnością do ustępstw, niż stanowisko przewodniczącego komisji rządowej w Gdańsku M. Jagielskiego”.

W Szczecinie rozmowy komisji redakcyjnej do spraw ekonomicznych zostały zawieszone. O godz. 12.40 MKS wydał komunikat, że nie podejmie żadnych rozmów do czasu powrotu delegacji z Gdańska. Delegacja wróciła po południu, przywożąc ze sobą przedstawicieli gdańskiego MKS. Wspólnie postanowiono, że postulat dotyczący utworzenia wolnych związków zawodowych jest najważniejszy.

W Krośnie zaczęły strajkować Zakłady Motoryzacyjne, Miejska Komunikacja Samochodowa, Huta Szkła i WSK. Robotnicy podkreślali swą solidarność z Wybrzeżem.

Odbyło się IV Plenum KC PZPR. Z Biura Politycznego zostali usunięci: E. Babiuch, J. Łukaszewicz, J. Szydłak, T. Wrzaszczyk, T. Pyka i Z. Żandarowski.

Powołano do Biura Politycznego: S. Olszowskiego i J. Pińkowskiego oraz J. Waszczuka i A. Żabińskiego (na zastępców członków). Komitet Centralny dokooptował T. Grabskiego. Na stanowisko premiera opróżnione przez E. Babiucha zaproponowano J. Pińkowskiego. Nastąpiły również duże zmiany personalne w Radzie Ministrów. Na Plenum Z. Grudzień oświadczył, że na Śląsku nie ma, nie było i nie będzie strajków.

25 sierpnia, poniedziałek. — W Gdańsku przez cały dzień prowadzono pertraktacje w sprawie odblokowania połączeń telefonicznych, co było warunkiem wstępnym kontynuowania rozmów. O godz. 15-tej rzecznik prasowy MKS opublikował w tej sprawie komunikat:

„Stwierdzamy z przykrością, że mimo rozpoczęcia 23. bm. rozmów i mimo ważnych faktów, które nastąpiły w kraju w dniu wczorajszym, nie otrzymaliśmy odpowiedzi w tej sprawie od komisji rządowej, a połączenia są dalej blokowane”. Cały MKS podjął jednogłośnie decyzję, aby nie podejmować rozmów przed otwarciem połączeń telefonicznych z resztą kraju. Strona rządowa chciała uczynić to elementem przetargowym i stopniowo odblokowywać połączenia w trakcie rozmów, w miarę ich postępu. Późno w nocy prezydium MKS wyraziło zgodę na rozpo-

częcie negocjacji, po otwarciu połączeń z Warszawą i Szczecinem. W prasie, radiu i telewizji całego kraju mają być nadawane komunikaty z obrad w stoczni, a w rozgłosniach lokalnych Trójmiasta będzie nadawany 20-minutowy program, w którego przygotowaniu mają brać udział przedstawiciele MKS.

W Stoczni odbył się koncert muzyków z filharmonii gdańskiej. Lokalna gazeta gdańska *Wieczór Wybrzeża* po raz pierwszy podała informację o istnieniu MKS-u i listę 21 postulatów.

W Szczecinie MKS zrzeszał w południe już 142 zakłady. W trakcie obrad MKS-u reprezentant strajkujących pracowników Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Warta” zgłosił postulat, aby założyć Towarzystwo Polonijne w ZSSR. Zostało to skwitowane oklaskami. Późnym wieczorem przybyła delegacja Komitetu Strajkowego w Zakładach Chemicznych „Police”. Przekazali na fundusz przyszłych wolnych związków zawodowych 60 tysięcy złotych zebranych z dobrowolnych składek. Cały dzień trwały obrady wydzielonej komisji, omawiającej postulaty ekonomiczne.

W Nowej Hucie od godz. 22-ej strajkował transport wewnętrzny Huty. W Skawinie wybuchł strajk w Przedsiębiorstwie Budownictwa Energetycznego „Ebud”. Na początku przerwała pracę tylko jedna osoba, po kilku godzinach strajkował już cały zakład. Zażądano m.in. utworzenia wolnych związków zawodowych, zniesienia cenzury, przyznania załodze Karty Energetyka i uniezależnienia lekarza zakładowego od dyrekcji.

Rozpoczęła strajk cementownia „Kujawy” w Bielawach i Kujawskie Zakłady Przemysłu Lniarskiego w Pakości.

W wieczornym dzienniku telewizyjnym nadano wywiad z ministrem finansów Krzakiem, w którym po raz pierwszy podano oficjalnie do wiadomości ogólną sumę długów państwa — osiągnęła ona poziom 20 mld dolarów.

26 sierpnia, wtorek. — Do Stoczni Gdańskiej przybyła o godz. 11-tej komisja rządowa w celu kontynuowania rozmów. Na wstępie M. Jagielski odciął się zdecydowanie od zrzucanych w niedzielę ulotek, podpisanych przez WK FJN. Stwierdził, że brak połączeń telefonicznych wynikał z zerwania sieci przez huragan (nad Warszawą huragan szalał 21 sierpnia). Omawiając listę postulatów ominął punkt pierwszy (o Wolnych Związkach Zawodowych) i przeszedł do żądań materialnych (pkt. 8-21). Zapewnił, że zostaną one spełnione w miarę możliwości i zaproponował wspólne ustalenie terminów ich realizacji. Prezydium MKS podkreśliło, że kluczowym punktem ich żądań jest postulat pierwszy. Po przybyciu ekspertów rządowych, bez których

M. Jagielski nie chciał omawiać tej sprawy, strona rządowa podkreśliła, że rozwiązanie sytuacji jest możliwe przez odnowę ruchu związkowego i ewentualne nowe wybory do Rad Zakładowych. Prezydium MKS oświadczyło, że nie chce odnawiać starych związków zawodowych, lecz utworzyć związki zawodowe wolne, niezależne od manipulacji. Przedmiotem pertraktacji winien być tryb przekształcania Komitetów Strajkowych w Związki Zawodowe. Postanowiono utworzyć komisję do omawiania tego postulatu.

Dziennik Bałtycki omówił listę 21 postulatów MKS.

W Nowej Hucie zastrajkował wydział stalowni. Powstał 20-osobowy Komitet Strajkowy, który wyraził pełną solidarność ze strajkującymi na Wybrzeżu. Sformułowano listę 41 postulatów, m.in. przywrócenie do pracy zwolnionego inż. Grabczyka, miejscowego działacza opozycyjnego, zniesienie przywilejów grupowych i zmniejszenie wydatków reprezentacyjnych. W nowohuckim kościele rozpoczęła się głódówka 5 osób na znak poparcia żądań strajkujących robotników.

W Skawinie przerwały pracę Fabryka Materiałów Ogniotrwałych i Fabryka Kawy Inka.

We Wrocławiu pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacji rozpoczęli strajk solidarnościowy z Wybrzeżem. Do strajku dołączyły się stocznie Remontowa i Rieczna, Energomontaż Zachód, Budowa Czechnica, PKS, MPT, PBM, Hutmen, FAT. Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w VII zajezdni MPK, który uznał 21 postulatów z Gdańska za własne. MKS zażądał odblokowania połączeń telefonicznych z innymi miastami oraz wprowadzenia zakazu sprzedaży alkoholu, do czasu zakończenia strajku. Wysłano 8-osobową delegację do Gdańska. Została aresztowana w Bydgoszczy. Delegacja jadąca do Szczecina dotarła tam 28 sierpnia.

W Łodzi o 9-tej rano stanęła komunikacja miejska. Powołano Komitet Strajkowy, który ogłosił solidarność z Wybrzeżem i dołączył własną listę 16 żądań. O godz. 18-tej odbył się wiec taksówkarzy państwowych i prywatnych, na którym odczytano postulaty gdańskie i ogłoszono strajk.

W Rzeszowie rozpoczął się strajk solidarnościowy w WSK „Zelmer”, przerwała również pracę komunikacja miejska.

W Pasłęku milicja usiłowała wedrzeć się na teren budowy Elbląskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, którego załoga strajkowała. Milicji nie wpuszczono.

W Olsztynie rozpoczęły strajk OZOS i Stomil, w Poznaniu Zakłady im. Cegielskiego, w Sandomierzu Huta Szkła, w Kościa-

nie Fabryka Urządzeń Przeciwpozarowych, w Koszalinie i Białsku-Białej zastrajkowała miejska komunikacja, a w Toruniu Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego.

Rozpoczął się strajk na dwóch wydziałach Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie oraz w Zakładzie Montażu Podwozi w „Ursusie”. Prezydium Rady Zakładowej ZNP w Polskiej Akademii Nauk wyraziło pełne poparcie dla żądań robotników z Wybrzeża. Jednocześnie postawiło wniosek o votum zaufania dla siebie, wyrażając gotowość podania się do dymisji, jeżeli go nie otrzyma.

W Lublinie, Stalowej Woli i Rzeszowie rozpoczęły się głódki dla wyrażenia solidarności z Wybrzeżem. W programie telewizyjnym przekazano z niewielkimi skrótami homilię Prymasa Polski Kardynała Stefana Wyszyńskiego, wygłoszoną w Częstochowie. Tekst homilii nie był autoryzowany. Komitet Strajkowy Stoczni Gdyńskiej, prawie natychmiast po nadaniu programu, podejrzewając sfałszowanie tekstu lub przeinaczenie sensu wystąpienia, wysłał delegację do Księdza Prymasa. W wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego nadano komentarz redaktora R. Wojny, w którym omawiając sytuację w kraju oraz nawiązując do żądań robotników Wybrzeża (żądanie prawa do strajku oraz ograniczenia cenzury), zrobił wyraźną aluzję do rozbioru Polski („grozi nam powtórzenie sytuacji z końca XVIII wieku” — cytata z pamięci). *Trybuna Ludu*, przedrukowując następnego dnia to wystąpienie, ten fragment pominęła.

W Warszawie rozpoczęły się obrady plenum CRZZ. Ze stanowiska przewodniczącego CRZZ ustąpił J. Szydłak. Nowym przewodniczącym wybrany został R. Jankowski, przewodniczący Związku Zawodowego Metalowców, który zrzesał dotąd m.in. stoczniovców.

27 sierpnia, środa. — W Gdańsku w godzinach popołudniowych kontynuowane były rozmowy grupy roboczej, powołanej przez komisję rządową i prezydium MKS. Omawiano punkt pierwszy żądań robotniczych, czyli sprawę wolnych związków zawodowych; prawne warunki ich istnienia i działania oraz założenia nowej ustawy o związkach zawodowych. MKS reprezentował już tego dnia ponad 500 zakładów. Elbląski MKS przekazał swoje uprawnienia Gdańskiemu Komitetowi Strajkowemu. Część dziennikarzy polskich przybyłych do Stoczni Gdańskiej wydała oświadczenie, w którym m.in. stwierdzili: „... wiele informacji dotychczas publikowanych, a zwłaszcza sposób ich komentowania, nie odpowiadało istocie zachodzących tu wydarzeń. (...)”.

W Szczecinie o godz. 9-tej MKS wydał komunikat, iż od południa poprzedniego dnia oczekuje na rozmowy z komisją rządową. O godz. 18-tej komisja rządowa przybyła do stoczni, ale wkrótce po tym rozmowy zawieszono, gdyż wicepremier Barcikowski oświadczył, że postulat żądający wolnych związków zawodowych jest nie do przyjęcia. Pozostałe żądania nadal rozpatrywała mieszana komisja robocza.

W południe suma darów na Fundusz Wolnych Związków Zawodowych osiągnęła wielkość 2 milionów 850 tysięcy złotych.

W Łodzi do strajku przyłączyły się Zakłady Fonika, Kombinat Budowy Domów — Południe, Zakłady Włókiennicze im. F. Dzierżyńskiego, kioski „Ruchu”, PKS, Zakłady „Olimpia”, Fabryka Barwników „Boruta” w Zgierzu.

W Wałbrzychu powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który zrzeszał 36 zakładów. Strajkowały m.in. kopalnie: Thorez (przerwała pracę jako pierwsza), Wałbrzych, Victoria, Nowa Ruda i komunikacja miejska. Punktem pierwszym listy żądań było poparcie dla postulatów gdańskich. MKS zdecydował, że koksownie w kopalniach będą czynne.

W Bielsku-Białej strajkowała Fabryka Samochodów Małolitrażowych „BEFAMA”.

W Opolu powstał Komitet Strajkowy w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego, a w Świdnicy Robotniczy Komitet Solidarnościowy.

W Krakowie odbył się strajk ostrzegawczy w Fabryce Maszyn Odlewniczych FAMO. Z zajezdni autobusowej Czyżyny nie wyjechało na pierwszej zmianie 300 autobusów. W Świdniku, w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, działający tam Komitet Postojowy zgłosił dyrekcji rozpoczęcie dwugodzinnego strajku solidarnościowego z Gdańskiem. Egzekutywa Komitetu Zakładowego PZPR zaprosiła Komitet Postojowy na rozmowy, a na cały zakład nadano przez radiowęzeł przemówienie wzywające przeciw strajkom, argumentując przy pomocy cytatów z homilii częstochowskiej Księdza Prymasa i z artykułów prasowych. Komitet Postojowy opuścił salę. Rozpoczął się strajk, który trwał cały dzień.

W „Ursusie” na poszczególnych wydziałach odbyły się wiece załogi, popierające żądania Robotniczego Komitetu Solidarności. Wezwano do tworzenia Komitetów Solidarności z Wybrzeżem w całym kraju. Rada Główna Episkopatu Polski wydała komunikat, w którym m.in. wyraziła uznanie „zarówno strajkującym robotnikom i ich komitetom, jak i władzom za to, że nie dopuściły do zaburzeń porządku publicznego”. Jednocześnie wyliczyła

podstawowe i niezbywalne prawa narodu — prawo do Boga, do prawdy, do godnej egzystencji, do znania pełnej historii i kultury narodowej, do indywidualnego posiadania i władania ziemią w gospodarstwach rolnych, do zrzeszania się obywateli, do samodzielności przedstawicielstw i samorządów.

Odbyło się posiedzenie rządu, po którym ogłoszono sprzedaż cukru na kartki i zamrożenie cen mięsa do jesieni 1981 roku. Nie podano, na jakim poziomie mają być ceny utrzymane.

Warszawskie pismo *Sztandar Młodych* opublikowało pełną listę 21 postulatów z Gdańska. Numer został rozprowadzony tylko w Warszawie, nakład pozawarszawski oddano, po wydrukowaniu, na przemiał.

W Warszawie od dwóch dni codziennie sypały się z dachów ulotki informujące o postulatach robotniczych, sytuacji w kraju oraz aresztowaniach. Łączną ilość rozrzuconych w Warszawie ulotek w czasie strajku w Gdańsku można oszacować na 200 tys.

Życie Warszawy omówiło stan rozmów w Gdańsku. W artykule brak było wzmianki o punkcie żądającym uwolnienia więźniów politycznych. Poznańska *Gazeta Zachodnia* opublikowała przemówienie wygłoszone na IV Plenum KC PZPR przez tamtejszego I sekretarza KW. Nawiązał on do wydarzeń z czerwca 1956 i grudnia 1970 roku i stwierdził, że należy dołożyć starań, aby „podobnie gorzkie lekcje” już się nie powtórzyły.

W telewizyjnym dzienniku wieczornym wystąpił M. F. Rakowski. Powiedział m.in.: „(...) Słowem chcę powiedzieć, że nasza Ojczyzna zbliża się do punktu krytycznego. Partia, do której należę, popełniła poważne błędy w kierowaniu państwem, ale gdyby miało dojść do katastrofy, to nie przyniesie ona nikomu satysfakcji, ani tym bardziej korzyści. (...)”.

28 sierpnia, czwartek. — W Stoczni Gdańskiej rozpoczęły się o godz. 11-tej rozmowy z komisją rządową. Dyskutowano sprawę cenzury i więźniów politycznych (punkt pierwszy odnoszący się do wolnych związków zawodowych nie został jeszcze uzgodniony w komisji roboczej). Po zaprezentowaniu stanowisk rozmowy odroczono do godz. 17-tej.

Na występy do stoczni przybył Teatr Wybrzeża. Lech Wałęsa, przewodniczący MKS, wygłosił przemówienie apelujące do wszystkich zakładów pracy o poparcie, ale bez przerywania pracy.

W szczecińskim MKS odbyła się publiczna dyskusja nad uzgodnionymi przez mieszaną komisję roboczą postulatami. Przedstawione ustalenia nie zostały przyjęte przez MKS i w związku z tym rozmowy ekspertów rozpoczęły się ponownie.

Stale powiększał się Fundusz Wolnych Związków Zawodo-

wych. Największą sumę ofiarowali przedstawiciele PŻM — 176 tys. zł.

Delegacje dwóch związków zawodowych zrzeszonych w CRZZ również złożyły na ten fundusz wpłatę 4 tys. złotych.

W Nowej Hucie strajk objął walcownię blach karoseryjnych. W Komitecie Strajkowym znaleźli się przedstawiciele 16 wydziałów. Rozpoczął się strajk w FAMO. Zażądano podwyżki płac, dodatków za pracę w warunkach zagrażających zdrowiu oraz skrócenia czasu używalności odzieży roboczej.

W Łodzi powrócili do pracy taksówkarze, którzy uzyskali poważne ustępstwa ekonomiczne. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji zażądało powołania komisji ekspertów i ogłosiło deklarację solidarności z Wybrzeżem. Strajkowały również następujące zakłady w Łodzi: Elta, Artech, Walter, Zakłady im. Marchlewskiego, Obrońców Pokoju, Transbud, Femina, Marko, Zenit, Elektromontaż, PKS.

Wrocławski MKS zrzeszał już ok. 70 zakładów. Władze podjęły próbę prowokacji. Przed zajezdnię tramwajową, w której mieściła się siedziba MKS wysłano bojówkę, która jednak szybko uciekła, gdy wybiegli zza ogrodzenia sprowokowani robotnicy.

W Elblągu na objęty strajkiem teren dyrekcji PKS przybyli przedstawiciele KW PZPR. Zarzucono Komitetowi Strajkowemu sianie dywersji ideologicznej. Jeden z przybyłych zapytany odparł, że jeżeli będzie trzeba strzelać to uczyni to. Twierdzono również, że 90 % pracowników chce wracać do pracy. Przewodniczący KS przeprowadził anonimową ankietę wśród załogi — 16 głosów było za podjęciem pracy, 1 wstrzymujący się, 112 za kontynuowaniem strajku.

W Warszawie Fabryka „Predom” podjęła strajk solidarnościowy. Kilku działaczy demokratycznej opozycji przebywających w aresztach otrzymało sankcję prokuratorską z art. 276 KK.

W wieczornym dzienniku telewizyjnym wygłosił przemówienie przewodniczący CRZZ.

29 *sierpnia, piątek*. — W Gdańsku komisja rządowa nie przybyła na godzinę 12-tą na kolejną turę rozmów. Przyjechał natomiast delegat z zagłębia miedziowego i poinformował, że strajk solidarnościowy rozpoczęły kopalnie: Polkowice, Rudna, Sieroszowice, Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń, Zakłady Robót Górniczych oraz Energomontaż. Przez dalekopis dotarła też wiadomość o strajku kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu.

Do Stoczni Gdańskiej przybyła delegacja MKS z Bydgoszczy, która reprezentowała już wtedy 32 przedsiębiorstwa. Przybyły

również delegacje z poszczególnych fabryk Lublina, Wrocławia i Bytomia.

W Szczecinie nadal trwały rozmowy w grupach roboczych. W nocy odbyło się ostatnie posiedzenie MKS i komisji rządowej.

W Łodzi zapowiedziało strajk pogotowie ratunkowe. Miałby on przybrać formę uchylecia się od obowiązków administracyjnych, nie ewidencjonowania wizyt i darmowego rozdawania leków. Wobec zapowiedzi podwyżki płac pracownicy ogłosili deklarację solidarności z Wybrzeżem i odwołali strajk.

W Krakowie zakończył się strajk w FAMO — fundusz płac podniesiony został o 500 tys. złotych. Pół dnia trwał strajk w Przedsiębiorstwie Transportu Budowlanego „Transbud”. Robotnicy domagali się podwyżek płac, przyznania dodatku za pracę szkodliwą, skrócenia czasu używania odzieży ochronnej i honorowania zwolnień wystawionych przez uświadomioną służbę zdrowia. Dyrekcja podniosła stawki godzinowe z 19 na 21 złotych, a później — zmniejszyła premie o 5,5 %.

W Busku Zdroju zastrajkował personel kuchenny w zespole sanatoriów. Dyrekcja skierowała do pracy w zastępstwie personel gabinetów zabiegowych. Strajkujący zażądali poprawy warunków pracy, podwyżek płac i wyrazili solidarność z gdańskim MKS-em. Zmieniony został dyrektor sanatorium, podwyższono uposażenie o 3 grupy i obiecano zwiększenie liczby personelu lub zmniejszenie liczby kuracjuszy.

W Poznaniu strajk objął Zakłady im. Cegielskiego, Fabrykę Łożysk Tocznych, Pomet, Transbud, MPK, PKS.

W Krośnie powstał MKS, do którego weszli przedstawiciele ostatnio strajkujących zakładów — Huty Szkła, WSK, Lotniczych Zakładów Naprawczych, Naftomontażu, FABOS, Zakładów Naprawczych Urządzeń Naftowych, Fabryki Amortyzatorów POLMO. MKS zdecydował o zawieszeniu strajku w zakładach pracy. Delegaci poszczególnych przedsiębiorstw pojechali strajkować do stoczni gdańskiej. Jeżeli postulaty Wybrzeża nie zostaną spełnione, strajk okupacyjny zostanie wznowiony.

W Rybnickim Okręgu Węglowym oprócz kopalni „Manifest Lipcowy” stanęły również kopalnie „Moszczenice”, „Jastrzębie” i „Bolesław Śmiały”. Na Górnym Śląsku zaś kopalnie: „Lenin”, „Borynia”, „ZMP”, „XXX-lecie PRL”, „1 Maja”, „Suszec”, „Barbara”, „Wieczorek”, „Staszic”, „Katowice” a także huty: „Katowice” i „Baildon”. Zażądano zniesienia czterobrygadowego systemu pracy, zlikwidowania kominów płacowych, weryfikacji karty górnika i 14 pensji, a także wyrażono solidarność z Wybrzeżem.

W Żywcu stanęła miejska komunikacja, w Opolu przerwała pracę cementownia, w Polanicy zakłady obuwnicze, w Zawierciu huta a w Oławie zastrajkował PKS.

W Warszawie ogłoszono strajk solidarnościowy na trzech działach Huty Warszawa. Na bramie został wywieszony transparent z napisem „Solidaryzujemy się z robotnikami Wybrzeża”. Taką samą deklarację ogłosili pracownicy trzech baz komunikacji miejskiej. Na plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków podjęto uchwałę, popierającą żądania strajkujących robotników.

Słowo Powszechne ogłosiło list otwarty J. Dobraczyńskiego i W. Olszewskiego, w którym podkreślili przepaść między rządzącymi i rządzonymi i zaapelowali o otwarcie drogi „... dla szkoły polskiego realizmu narodowego”.

W prasie ogłoszone zostało kolejne wystąpienie na IV Plenum KC PZPR. Tym razem uczynił to lubelski *Sztandar Ludu*, drukując wypowiedź tamtejszego I sekretarza. Zadawał on m.in. pytania: „... czy też naruszałoby nasze pryncypia, gdyby przewodniczącym KSR nie był koniecznie pierwszy sekretarz zakładowej organizacji partyjnej? Czy ubyłoby nam na autorytecie, gdyby przewodniczącym rady narodowej tego czy innego szczebla był na przykład bezpartyjny, uczciwy obywatel naszego kraju?”.

W wieczornym programie telewizyjnym wystąpił K. Barcikowski, omawiając stan rozmów w Szczecinie.

30 sierpnia, sobota. — W Stoczni Gdańskiej o godz. 10.30 rozpoczęła się trzecia tura rozmów między MKS a komisją rządową. Paraflowano uzgodniony wcześniej dokument dotyczący dwóch pierwszych postulatów. Później przewodniczący MKS poruszył sprawę aresztowań i zwrócił się do Jagielskiego o wypuszczenie więźniów. Ten nie ustosunkowując się do tej kwestii zaczął omawiać projekt wspólnego oświadczenia o zakończeniu strajku. Tego również nie uzgodniono do końca, ponieważ premier wybierał się na godzinę 15-tą do Warszawy (V Plenum). Po jego wyjściu odbyła się burzliwa dyskusja między członkami całego MKS, koncentrująca się wokół niezależności nowych związków od PZPR oraz ich zasięgu terytorialnego (czy cały kraj czy tylko Wybrzeże). Poruszono też sprawę uwięzionych działaczy opozycji.

W ciągu dnia przybywały do stoczni kolejne delegacje z całej Polski.

W Szczecinie o godz. 8-ej przybyła do stoczni delegacja rządowa. Po publicznym odcytaniu ostatecznej wersji postulatów podpisano porozumienie.

W Łodzi do strajku przyłączyli się rozwoziciele prasy oraz agencyjni sprzedawcy kiosków „Ruchu”. Postulaty dotyczyły spraw socjalno-ekonomicznych, rozdziału premii i wolnych sobót. Lokalna rozgłośnia łódzka podała informację o 14 strajkujących zakładach.

W Krakowie strajkowała komunikacja miejska i PKS. Ponadto strajk odbywał się w poszczególnych przedsiębiorstwach Suchej Beskidzkiej, Kłodzka, Tych, Jeleniej Góry i Zielonej Góry.

W Warszawie odbyło się V Plenum KC PZPR. Referat o sytuacji w kraju wygłosił S. Kania. KC przyjął do zatwierdzającej wiadomości sprawozdania komisji rządowych z Gdańska i Szczecina.

31 sierpnia, niedziela. — W Stoczni Gdańskiej od południa odbywało się podpisywanie kolejnych punktów porozumienia. Do punktu 4 o więźniach politycznych Prezydium MKS dodało aneks z nazwiskami więzionych działaczy opozycji. M. Jagielski nie chciał się zgodzić na pisemną gwarancję, że zostaną oni wypuszczeni. Wobec jednak zdecydowanej postawy strajkujących wydał oświadczenie, że zostaną wypuszczeni w poniedziałek do godziny 12-tej. O godzinie 17-tej nastąpiło podpisanie porozumienia między MKS, reprezentującym ponad 700 przedsiębiorstw, i komisją rządową. Nieco później nastąpiło oficjalne podpisanie protokołu porozumienia w obecności delegatów wszystkich komitetów strajkowych zrzeszonych w gdańskim MKS.

W Łodzi o godz. 22-jej komunikacja miejska przerwała strajk. Według lokalnej rozgłośni radiowej strajku nie przerwała tylko załoga Przedsiębiorstwa Transportu Przemysłu Lekkiego.

Rada Sygnatariuszy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela wydała oświadczenie datowane „Sierpień 1980”:

„Protest ludzi pracy, jaki przeżywa obecnie nasz kraj, nie jest w swej istocie protestem ekonomicznym. (...) Jest to po prostu wynikający z wielowiekowych polskich tradycji protest przeciw sytuacji, w której władza jest przed wszystkim a społeczeństwo niczym, protest przeciwko pozbawieniu społeczeństwa jego podmiotowości. (...) Staje się dziś coraz bardziej oczywiste, że powodem obecnego krytycznego stanu naszej ekonomiki jest z jednej strony ubezwłasnowolnienie społeczeństwa, z drugiej zaś niekontrolowana samowola władz. Wolność jest więc nie tylko potrzebą naszej godności, lecz też warunkiem koniecznym dobrego funkcjonowania naszego społeczeństwa, a więc warunkiem rozwoju. Właśnie dlatego wysunięte przez komitety strajkowe postulaty wolnościowe, jak postulat utworzenia Niezależnych, Samorządnych Związków Zawodowych oraz respektowania prawa do wolności słowa, zasługują na poparcie szczególne. (...) Jest więc oczywiste, że jeśli obowiązujący u nas system sprawowania władzy nie zostanie poddany gruntownym, demokratycznym zmianom, jeśli zasady i priorytety polityki ekonomicznej w dalszym ciągu ustalane będą poza społeczeństwem,

jeśli Polacy pracować będą nadal w taki, jak dotychczas sposób, wreszcie, jeśli władze w dalszym ciągu nie będą miały obowiązku poważnego, niezafałszowanego rozliczania się z każdej złotówki narodowego dochodu i nadal zabroniona będzie wnikliwa, publiczna dyskusja nad oficjalnymi sprawozdaniami — wówczas pozostanie tylko jedno: rozczarowanie i perspektywa dalszych protestów. (...) Pomiędzy strajkującymi i przedstawicielami władz zawarta została pewna umowa. Niestety, znane metody postępowania władz nienawykłych do tolerowania tego, co niezależne, dają podstawę do obaw, że również i tym razem mogą z ich strony zdarzyć się próby niedotrzymania przyrzeczeń. Takie postępowanie władz byłoby jednak jeszcze jednym błędem. Gdyby bowiem nawet jakiś oszukańczy manewr udał się, władze oszukałyby przede wszystkim siebie. One to bowiem łudziłyby się, że sprawa została załatwiona, gdy w rzeczywistości byłoby to ponowne zapalenie lontu prowadzącego do wybuchowego ładunku, jakim jest gniew ludzi oszukanych”.

1 września, poniedziałek. — Rozpoczęła się normalna praca w Trójmieście, Elblągu, Szczecinie, Słupsku, Bydgoszczy, Koszalinie i Olsztynie. Załogi przedsiębiorstw w Toruniu oczekiwały na powrót swoich delegatów i przystąpiły do pracy po południu. Również we Wrocławiu rozpoczęto pracę dopiero po powrocie delegatów. W Wałbrzychu MKS wezwał załogi do podjęcia pracy po telefonicznej rozmowie z L. Wałęsą. W ciągu 2-ch godzin wszystkie wałbrzyskie przedsiębiorstwa podjęły pracę. Tylko kopalniom wyznaczono podjęcie pracy we wtorek, 2 września.

Do Jastrzębia przyjechała komisja rządowa z wicepremierem A. Kopciem na czele, by rozpatrzyć postulaty górników. Strajkowały kopalnie: „Jaworzno”, „Czerwone Zagłębie”, „Miechowice”, „Sośnica”, „Piast”, „Czerwona Gwardia”, „Makoszowy”, „Wujek”, „Anna”.

Mieszkańcy dwóch wsi w Bieszczadach — Teleśnicy i Danówki — powołali własny samorząd wiejski.

W Warszawie odbyło się posiedzenie CRZZ, na którym omawiano założenia nowej ustawy o związkach zawodowych.

W *Trybunie Ludu* ukazał się artykuł, w którym podkreślano otwartość i dobrą wolę PZPR w odniesieniu do nowych związków zawodowych oraz podniesiono kwestię szkodliwej działalności elementów antysocjalistycznych.

2 września, wtorek. — W Jastrzębiu toczyły się nadal rozmowy między MKS a delegacją rządową.

Nadal trwał strajk miejskiej komunikacji w Częstochowie, Zakładów Produkcji Barwników „Boruta” w Zgierzu, węzła kolejowego w Kutnie oraz w Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie” w Łodzi.

W Gdańsku powstał Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Gdańskiego. Ogło-

szony został w prasie kolejny komunikat o obradach zespołu rządowego, który zajął się kontrolą cen.

Warszawska gazeta CRZZ zamieściła wywiad z przewodniczącym Rady Wydziałowej, brygadzystą z wydziału obróbki mechanicznej w ZM „Nowotko”, który oświadczył: „Wśród naszej załogi nie ma wniosków o powołanie wolnych związków zawodowych”.

W niektórych gazetach rozpoczęto publikowanie apeli o rozpisanie pożyczki narodowej dla ratowania gospodarki. Po kilku dniach zaprzestano to robić.

3 września, środa. — W siedzibie MKS w Jastrzębiu, kopalni „Manifest Lipcowy”, zostało podpisane porozumienie między komisją rządową i MKS. Dokument wyraża poparcie dla 21 postulatów gdańskich, znosi system 4-brygadowy, wymienia konkretne sprawy płacowe, socjalne i z dziedziny organizacji i zarządzania pracy, które mają być załatwione w określonym trybie i terminie. Natychmiast po zawarciu porozumienia w Jastrzębiu rozpoczęły się strajki w kopalniach Górnego Śląska „Rydułtowa”, „Zabrze”, „Gliwice”, „Szombierki”, „Reduta”, „Wawel”, „Rozbrak”, „Marcel”, „Dymitrow”, „Bobrek”, „Dębiński”. Załogi żądały oficjalnego potwierdzenia, że obejmuje je nowopodpisane porozumienie. W Bytomiu powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.

Strajki trwały również w Myszkowie w papierni i w Fabryce Naczyń Emaliowanych w Białymstoku, w Kombinacie Meblowym, Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym i Przedsiębiorstwie Transportowym Handlu Wewnętrznego.

Rozpoczął się strajk w ZM „Nowotko” w Warszawie jako odpowiedź na publikację *Głosu Pracy*.

4 września, czwartek. — W Tarnowie trwał strajk w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym i Lokomotywni. W Mielcu pracę przerwały Państwowe Zakłady Lotnicze i Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego.

W Zakładach Mechanicznych „Ursus” odbyło się spotkanie przedstawicieli załóg Huty Warszawa, FSO, „Tewy” i MZK, na którym został utworzony Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Mazowsza, który później wszedł w skład ogólnokrajowej organizacji związkowej „Solidarność”.

W głównym gmachu telewizji w Warszawie zostało powieszone na tablicy informacyjnej niepodpisane wyliczenie posiadłości byłego prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji M. Szczepańskiego. Wymieniono dwie wille, jeden pałac, jacht

Pogoria z galerią starych obrazów, willę w Nairobi, tuczarnię, masarnię, owczarnię, teatr Kwadrat itd.

5 września, piątek. — Powstał Międzyzakładowy Komitet Założycielski NSZZ w Łodzi. W ciągu pierwszego tygodnia działalności nie otrzymał lokalu od prezydenta miasta. Punkt informacyjny mieścił się w prywatnym mieszkaniu, bez przerwy inwigilowanym przez milicję.

Po otrzymaniu żądanych gwarancji kolejno podejmowały pracę kopalnie i huty Górnego Śląska.

Nadal toczyły się strajki w Białymstoku („Fasty”), Tarnobrzegu (kopalnia i zakłady przetwórcze siarki), Płocku (Fabryka Maszyn Żniwnych), Tomaszowie Mazowieckim (Zakłady Przemysłu Bawełnianego) oraz Tarnowie, Bielsku-Białej, Piotrkowie Trybunalskim, Skierniewicach, Siedlcach i Suwałkach.

W Warszawie zebrał się Sejm na pierwszą sesję jesienną. Zatwierdzone zostały zmiany w rządzie. Rozpoczęto prace w sprawie przywrócenia nadzoru Sejmowi nad Najwyższą Izbą Kontroli.

Posłujący już drugą kadencję G. Holoubek powiedział m.in.:

„(...) Skąd mianowicie zebrało się w narodzie tyle rozgoryczeń i rozczarowań, tyle bólu i buntu. Jaka jest przyczyna determinacji, która kazała dokerom i stoczniowcom, całej klasie robotniczej wykrzyczeć słowa protestu i postawić ultimatum. Należy sądzić, że zwalanie wszystkiego wyłącznie na trudności gospodarcze, na pogarszającą się sytuację ekonomiczną kraju i w konsekwencji na kłopoty zaopatrzeniowe — byłoby tłumaczeniem niedostatecznym. Nasz naród nie w takich sytuacjach dawał dowody samozaparcia, cierpliwości i solidarności. Ale działo się tak tylko wtedy, kiedy kryzysom towarzyszyła wiara w sens przetrwania, albo przekonanie, że czynimy to dla zachowania wspólnoty, albo nadzieja, że u kresu wyrzeczeń czeka nas sprawiedliwy podział wyprodukowanych dóbr. Nie ulega więc wątpliwości, że u podstaw wydarzeń leżało coś więcej niż troska o materialne przywileje, klasa robotnicza żądała przede wszystkim gwarancji. I za faktem tym kryje się dramatyczna tajemnica protestu. Cóż bowiem zdanie to oznaczało, jeśli nie całkowity brak zaufania wobec złożonych przyrzeczeń oraz wiary w dotrzymanie słowa. (...)”.

Na zebraniu organizacji partyjnej przy Związku Literatów Polskich S. Bratkowski wygłosił przemówienie zwracając się do wszystkich członków PZPR:

„(...) Potrzebna jest partia, której prestiż nie będzie zależał tylko od trafnych albo niemądrych decyzji kierownictwa, lecz od jej członków, zajmujących się polityką i działalnością społeczną, a nie urzędniczym i wyręczaniem administracji, czy też popieraniem wszelkich możliwych pomysłów kierownictwa i świadczeniem mu uwielbienia. (...). Niestety nasza partia choć w nazwie ma 'Zjednoczona', zapomniała, że dziedziczy, że powinna dziedziczyć tradycje po wszystkich ruchach lewicy i postępu w Polsce, po dawnych socjalistach, związkowcach, ludowcach, spółdzielcach, syndykalis-

tach, wiciarzach, ... (...) Musimy dziedziczyć po wszystkich, którzy przybliżali sprawiedliwość społeczną. Inaczej, miast być bujnym drzewem, będzie to partia kołków w płocie, ogradzającym prywatne folwarki naszych bonzów.

Dlaczego jednak ta partia? Odpowiem krótko: bo innej nie ma. Rozumiem rozgoryczenie, kolejne rozczarowania, zde gustowanie wreszcie. Ale kto chce robić socjalizm, a więc realnie zajmować się polityką na rzecz socjalizmu, musi brać rzeczywistość jaką ona jest. (...)

Ten socjalizm musi należeć do wszystkich. Przed marksowskim socjalizmem był chrześcijański, spółdzielczy, syndykalistyczny. Socjalizm wziął się z nakazów moralnych, z dążenia do sprawiedliwości społecznej. To nas łączy. Poza nami, komunistami, niech każdy ma prawo do swoich socjalistycznych motywacji. I byłoby dobrze, gdyby nasza partia, za przykładem włoskiej, działającej w kraju o zbliżonej kulturze i tradycji, przyjęła m.in. zasadę, że nie światopogląd jest warunkiem przynależności, lecz zgoda na wspólny program polityczny. (...) Chodzi o demokratyzację partii, której półwojskowy system organizacji sprawdzał się w warunkach walki o władzę, ale dziś przekształcił się w feudalny system lenny, rządzony przez coś w rodzaju oligarchii magnackiej. Partia musi wykształcić również wewnętrzne mechanizmy samokontroli, by nie funkcjonować wedle reguły 'co 5 lat zjazd, co 10 — katastrofa'. To co się stało nie jest klęską. To rzeczywistość upomniała się o swoje prawa. Bo samorządy we współczesnych systemach władzy są akurat po to, by władza centralna nie musiała brać odpowiedzialności za wszystko. Więc nie klęska, lecz kwestia zdrowego rozsądku. (...) Krótko: potrzebujemy nadzwyczajnego zjazdu partii i rzeczowej, uczciwej, nie histerycznej dyskusji w duchu, że tak powiem, 'doświadczenia i przyszłości'. Potrzebujemy mądrego, opanowanego kierownictwa, które bez strachu przed reformami, bez kompleksu klęski, lecz z wiarą, że te reformy, to szansa i nadzieja tej partii, potrafiłoby rozwiązywać stojące przed nią problemy. Które potrafiłoby nie czekać na kolejny społeczny protest, nie guzdrać się przeciągając strunę i licząc, że coś da się zachachmęcić, wymanewrować, oszukać. Reformy są niezbędne, bo państwo stoi (...)"

Zlikwidowano popołudniową audycję radiową „Jedynka”, „wyjątkowo prymitywnie i topornie robioną propagandówkę”. E. Gierek uległ zawałowi serca — komunikat o tym został podany dopiero następnego dnia.

W nocy z piątku na sobotę (5/6 września) zebrał się Komitet Centralny. Na posiedzeniu tym wybrano nowego I sekretarza — został nim Stanisław Kania. Edward Gierek został zwolniony z pełnionych funkcji z powodu złego stanu zdrowia. Do Biura Politycznego powołano K. Barcikowskiego i A. Żabińskiego, a na stanowiska sekretarzy KC — T. Grabskiego, Z. Kurowskiego i J. Wojcieckiego. Zapowiedziano kontynuację obrad plenum KC, które miałoby ustosunkować się do propozycji zwołania nadzwyczajnego zjazdu PZPR przez końcem 1980 roku.

6 września, sobota. — Opublikowano komunikat o stanie zdrowia E. Gierka, podpisany przez 5 lekarzy. Chory otrzymał pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia od L. Breżniewa.

W Krakowie zastrajkowała obsługa Wawelu. W Radomsku koło Częstochowy przerwała pracę komunikacja miejska i Fabryka Kabli „Mostostal”. Towarzystwo Kursów Naukowych wydało oświadczenie w sprawie powstania nowych organizacji studenckich:

„(...) Pragnąc przeto w obecnej ciężkiej i pełnej napięć sytuacji kraju zapobiec powstaniu jeszcze jednego ogniska konfliktu, TKN gorąco wzywa wszystkich nauczycieli akademickich, a nade wszystko władze instytutów, wydziałów i uczelni oraz ministerstwo szkolnictwa wyższego, aby od razu na początku nowego roku akademickiego wyjść naprzeciw postulatami studium młodzieży i umożliwić jej, a nawet ułatwić, odbudowę samorządnych i apolitycznych organizacji. (...)”.

Ogłoszono postanowienie Rady Ministrów o podwyższeniu z dniem 1 stycznia 1981 roku najniższych pensji, rent i emerytur z tzw. starego portfela i dodatków rodzinnych.

7 września, niedziela. — Odbył się w Warszawie zjazd delegatów reprezentujących kilkadziesiąt środowisk wiejskich z terenu całego kraju. Delegaci ci podjęli decyzję stworzenia Tymczasowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników.

8 września, poniedziałek. — Nadal trwały strajki w różnych miastach całej Polski. Nie pracowały Zakłady Przemysłu Odzieżowego w Kamiennej Górze, Przedsiębiorstwo Produkcji Pomocniczej i Montażu Budownictwa Rolniczego w Olecku, Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Ełku, miejska komunikacja w Tarnowie i Płocku, Fabryka Obuwia w Augustowie, „Energoprzem” w Skawinie, Zakłady Graficzne im. M. Kasprzaka w Poznaniu.

Opublikowane zostało przemówienie S. Kani na plenum KC.

I Sekretarz S. Kania spotkał się w Gdańsku z miejscowym aktywem PZPR.

Warszawska gazeta *Sztandar Młodych* podała informację o dalszej sprzedaży w handlu wewnętrznym za dewizy polskich samochodów i maszyn rolniczych.

Prasa doniosła o rozpoczęciu na terenie Polski manewrów „Braterstwo broni”.

9 września, wtorek. — Odbyła się narada aktywu PZPR w Katowicach z udziałem S. Kani.

10 września, środa. — Odbyło się walne zebranie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty. W zebraniu wzięło udział 286 delegatów reprezentujących ok. 10 tys. członków związku. Przyjęto tymczasowy statut.

Powstał Środkowo-Wschodni Komitet Założycielski NSZZ w Lublinie. W skład komitetu weszli przedstawiciele 13 zakładów. 12 września o powstaniu Komitetu poinformowała lokalna prasa a wojewoda obiecał przydział lokalu.

W Warszawie powstał Komitet Założycielski Niezależnego Związku Studentów.

Została powołana Komisja Rządowa do Spraw realizacji porozumień zawartych z Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi.

W Moskwie złożyła wizytę delegacja rządowa z M. Jagielskim i H. Kisielem na czele.

11 września, czwartek. — Zawarte zostało porozumienie między komisją rządową, której przewodził min. hutnictwa, a Międzyzakładowym Komitetem Robotniczym z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice. MKR zrzeszał załogi 27 zakładów, m.in. hut: „Katowice”, „Baildon”, „Zawiercie”, „im. Dzierżyńskiego”, kopalń: „Wujek” i „Lenin” oraz Siarkopolu i kopalni siarki w Tarnobrzegu. „Gwarancje realizacji postanowień porozumienia gdańskiego z dnia 31 sierpnia 1980 roku w odniesieniu do Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych zwanych dalej Niezależnymi Związkami polegają na akceptacji i nieprzeciwdziałaniu przez organa administracji państwowej, MO i SB, oraz kierownictwa zakładów pracy i zakładowych organizacji politycznych — powstawaniu, organizowaniu i funkcjonowaniu tych związków, z tym że z chwilą wejścia w życie nowej ustawy o Związkach Zawodowych, Niezależne Związki dopełnią formalności w niej przewidzianych”.

W Bielsku-Białej zawiązał się Wojewódzki Komitet Założycielski NSZZ Podbeskidzia. W jego skład weszli przedstawiciele 29 zakładów.

W Poznaniu odbyło się zebranie założycielskie NSZZ. Uczestniczyli w nim przedstawiciele ok. 20 przedsiębiorstw.

KSS „KOR” wydał oświadczenie, w którym stwierdzał:

„(...) KSS 'KOR' od chwili swego powstania przestrzegał opinii publicznej przed fatalnymi konsekwencjami polityki państwowych władz, przed zatajaniem prawdy o położeniu kraju, przed korupcją i łamaniem praworządności, przed podejmowaniem decyzji ponad głowami społeczeństwa. Podkreślaliśmy wielokrotnie, że tylko dialog władzy z demokratycznie obraną reprezentacją załóg robotniczych może doprowadzić do skutecznych rozwiązań politycznych.

Pragniemy wyraźnie podkreślić, że KSS 'KOR' był, jest i pozostanie nadal instytucją społeczną, a nie partią polityczną. KSS 'KOR' grupuje wokół siebie ludzi różnych orientacji politycznych i światopoglądowych,

których zadania i cele zostały jednoznacznie sformułowane w chwili powstania i nie uległy zmianie do dziś.

Są to: — walka z represjami stosowanymi z powodów politycznych, światopoglądowych, wyznaniowych czy rasowych oraz udzielanie pomocy ludziom prześladowanym; walka z łamaniem praworządności i pomoc pokrzywdzonym; walka o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich; popieranie i obrona wszelkich inicjatyw społecznych zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela.

Sformułowane w ten sposób cele jednoznacznie charakteryzują nasz stosunek do nowo powstających Niezależnych, Samorządnych Związków Zawodowych, realizujących podstawowe uprawnienia ludzi pracy, zagwarantowane w ONZ-owskiej Karcie Praw Człowieka i Obywatela oraz w Końcowych Postanowieniach Helsińskich. (...)”.

12 września, piątek. — W prasie ukazał się komunikat odwołujący Centralne Dożynki, przewidziane na 14 września w Zamościu.

13 września, sobota. — Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Wyrzeża w Gdańsku przyjęło projekt statutu nowych związków i rozesłało do dyskusji.

Rada Państwa podjęła uchwałę o trybie rejestracji związków zawodowych. W paragrafie 9 uchwały podano: „W przypadku gdy po rejestracji działalność lub struktura związku zawodowego okaże się sprzeczna z obowiązującym prawem, Sąd Wojewódzki unieważni rejestrację”.

15 września, poniedziałek. — Międzyzakładowy Komitet Założycielski NSZZ we Wrocławiu reprezentował w połowie września załogi ok. 1.000 zakładów z Dolnego Śląska.

16 września, wtorek. — Powstała federacja robotników, rolników i innych grup zawodowych Bieszczad „Solidarność”.

Powstał Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, który skupił 24 stowarzyszenia. Jako cele działania postawił przed sobą opracowanie projektu ustawy o cenzurze, raportu o stanie kultury i postulatów budżetowych w dziedzinie kultury.

17 września, środa. — W Gdańsku odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ-ów z całej Polski. Przybyły delegacje ok. 150 MKZ-ów. Omawiano sytuację w poszczególnych regionach. Przedstawiciel Opola powiedział: „My na Opolszczyźnie sparaliżowani jesteśmy strachem. Jak dotąd jesteśmy jakby w podziemiu. O niezależnych związkach ludzie mówią jedynie u siebie w domu”.

Postanowiono powołać jeden ogólnopolski związek zawodowy pod nazwą „Solidarność” z zachowaniem dużej autonomii regio-

nów. Podjęto uchwałę w sprawie występowania starych związków zawodowych z CRZZ: „(...) Decyzję o wystąpieniu z CRZZ czy też niezależności i samorządności podejmują przecież te same Zarządy Główne, które przez długie lata kierowały działaniami starych związków, najczęściej wbrew interesom pracowniczym. Mamy zatem podstawy, aby traktować niektóre z tych decyzji jako działania manewrowe, skierowane przeciwko nowym związkom. (...)”.

MKZ Wybrzeża i Mazowsza wydały oświadczenie:

„W całym kraju w prasie centralnej i lokalnej mnożą się ataki na siły określone przez władze jako antysocjalistyczne, które rzekomo usiłują wciągnąć się do niezależnych związków zawodowych. Kampania ta zaczęła się już w czasie strajków. (...) MKZ oświadcza, że nic mu nie wiadomo o tym, aby jakieś siły antysocjalistyczne, teraz czy kiedykolwiek, usiłowały opanować niezależny ruch związkowy. Wiadomo nam natomiast, że aparat starych, skompromitowanych związków przy pomocy kłamstwa i prowokacji usiłuje powstrzymać rozwój tego ruchu. Wiadomo nam, że w wielu ośrodkach działalność NSZZ jest przez administrację sabotowana, a ludzie którzy chcą do naszego związku należeć — zastraszeni. (...)”.

Warszawski tygodnik *Kultura* zamieścił artykuł swojego redaktora naczelnego D. Horodyńskiego, w którym zaatakował on J. Kuronia i L. Moczulskiego. Określił ich jako niebezpiecznych fanatyków, a L. Moczulskiego jako faszystę.

Odbyło się pierwsze posiedzenie rządowej komisji do spraw reformy gospodarczej.

18 września, czwartek. — W Warszawie odbyło się ogólnopolskie spotkanie delegacji Komitetów Założycielskich nowych organizacji studenckich.

19 września, piątek. — W Uniejowie rozpoczęła się ogólnopolska narada aktywu SZSP.

W wieczornym programie telewizyjnym zostało nadane przemówienie M. Jagielskiego.

I sekretarz KW PZPR w Katowicach Z. Grudzień zrezygnował ze swojego stanowiska i z funkcji w organach partyjnych. Jego miejsce zajął A. Żabiński.

21 września, niedziela. — W Warszawie odbyło się zebranie delegatów Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników. Uchwalony został statut związku.

Nadana została pierwsza transmisja radiowa Mszy Świętej.

22 września, poniedziałek. — Ogólnokrajowa Komisja Porozumiewawcza „Solidarność” wydała oświadczenie, popierające tworzenie związku zawodowego rolników i stwierdziła, że Porozu-

mienie Gdańskie „(...) winno dotyczyć również wszystkich zatrudnionych w rolnictwie, w tym także rolników indywidualnych pracujących na swoich gospodarstwach”.

W wieczornym dzienniku telewizyjnym nadano w tendencyjnym wyborze wywiad udzielony przez L. Moczulskiego tygodnikowi *Der Spiegel*.

23 września, wtorek. — W wieczornym dzienniku telewizyjnym nadano spreparowane wywiady udzielone dziennikarzom zachodnim przez J. Kuronia i M. Płońską.

Aresztowano L. Moczulskiego, któremu postawiono zarzut z 270 art. § 1 KK w związku z 273 art. § 1 KK.

W Gdańsku obradowali przedstawiciele Komitetów Założycielskich NSZZ z całego kraju. Powołano Komisję Porozumiewawczą, do której weszli delegaci z 35 MKS-ów: Gdańska, Huty Katowice, Poznania, Bytomia, Rzeszowa, Szczecina, Białegostoku, Opola, Kędzierzyna, Ziemi Łódzkiej, Beskidzkiego, Mazowsza, Gorzowa Wielkopolskiego, Legnicy, Słupska, Opoczna, Jastrzębia, Bydgoszczy, Siemianowic, Świnoujścia, Regionu Lubelskiego, Stalowej Woli, Legnicy, Krosna, Torunia, Prudnika, Elbląga, Koszalina, Szczecinka.

Komisja Porozumiewawcza wydała oświadczenie w związku z nadanymi wywiadami M. Płońskiej i J. Kuronia:

„(...) Komisja Porozumiewawcza NSZZ 'Solidarność' oświadcza, że powstanie niezależnych związków zawodowych nie byłoby możliwe bez pomocy ludzi dobrej woli, między innymi bez pomocy niezależnych działaczy demokratycznych, którzy od lat bronili krzywdzonych i prześladowanych. (...) Ci, których propaganda określa jako 'siły antysocjalistyczne', od czterech lat głoszą hasła wysuwane dziś w ogólnokrajowej dyskusji nad programem odnowy.

Szkalowanie działaczy i osób wspomagających NSZZ traktujemy jako akcję wymierzoną przeciw niezależnym związkom i jako łamanie porozumienia gdańskiego, które poparli robotnicy całej Polski”.

24 września, środa. — Komisja Porozumiewawcza NSZZ Solidarność oraz Zarząd NSZZ Rolników złożyli statuty swoich związków w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie w celu ich zarejestrowania. Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” wydała oświadczenie w związku z opublikowaniem składu powołanej przez Radę Państwa komisji do opracowania projektu ustawy sejmowej o związkach zawodowych:

„(...) Skład tej komisji nie był konsultowany z NSZZ 'Solidarność' a jego przedstawiciele powołani zostali bez pytania o zgodę. Komisja Porozumiewawcza uważa, że zaproponowany skład komisji stwarza rażącą nierówność i praktycznie odbiera NSZZ wpływ na treść opracowywanego projektu”.

Komisja Porozumiewawcza odbyła rozmowy w Radzie Ministrów a potem spotkanie na stadionie w Ursusie. MKZ Wybrzeża wznowił wydawanie *Biuletynu Informacyjnego „Solidarność”*, który wychodził w czasie sierpniowego strajku.

Restytuowana została wspólna komisja rządu i Episkopatu. 27 września, sobota. — *Trybuna Ludu* zamieściła redakcyjny artykuł „Jedność polityczna ruchu”. Po zaprezentowaniu argumentów za odnową starych związków stwierdzono odnośnie powstających związków NSZZ „Solidarność”: „(...) W statutach tych... musi znaleźć wyraz jasne uznanie socjalistycznej własności środków produkcji, zasad Kontytucji PRL, międzynarodowych sojuszy naszego państwa i kierowniczej roli partii w życiu kraju. (...)”.

29 września, poniedziałek. — Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” zapowiedziała na 3 października godzinny strajk ostrzegawczy. Jako przyczyny tej decyzji podano: niezrealizowanie przez rząd ustaleń o podwyżkach płac do 30 września; utrudnianie działalności NSZZ w terenie; uniemożliwienie NSZZ dostępu do środków masowego przekazu. Jeżeli strajk ostrzegawczy nie odniesie pożądanego skutku do 20 października, KKP rozważy decyzję o strajku powszechnym.

30 września, wtorek. — Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych przy NSZZ „Solidarność” zwrócił się z apelem do społeczeństwa o pomoc w ustaleniu pełnej listy ofiar wydarzeń grudniowych w Trójmieście oraz opracowaniu wiarygodnej rekonstrukcji wydarzeń.

Podpisane zostało porozumienie między Komitetem Założycielskim NSZZ „Solidarność” Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego a komisją rządową na temat płac i zabezpieczeń socjalnych, trybu i organizacji pracy, funkcjonowania zakładów i przedsiębiorstw inwestycyjnych w górnictwie i hutnictwie miedzi.

W wieczornym programie telewizyjnym wystąpił wicepremier K. Barcikowski. W swoim wystąpieniu negował celowość strajku ostrzegawczego przewidzianego na 3 października oraz podał, że dochody ludności w wyniku ostatnich podwyżek zwiększyły się w skali roku o 120 mld złotych.

Na przełomie września i października powstał w Warszawie Uczniowski Ruch Odnowy, który chce obok nauczycieli mieć wpływ na program nauczania, tworzyć koła samokształceniowe i wydawać pisma i materiały dyskusyjne.

W ciągu września mnożą się informacje o publicznie zgłasza-

nych na zebraniach zarządów głównych branżowych związków zawodowych oraz komitetów partyjnych żądaniach wkroczenia wojsk sowieckich do Polski i zaprowadzenia porządku (posiedzenie Zarządu Głównego ZZ Pracowników Handlu Wewnętrznego, posiedzenie aktywu PZPR we Wrocławiu).

1 października, środa. — Wicepremier Jagielski przybył do Gdańska na spotkanie z prezydiem MKZ NSZZ „Solidarność” w sprawie odwołania strajku ostrzegawczego zapowiedzianego na 3 października.

„(...) Delegacja Prezydiu MKZ udała się na spotkanie z nadzieją, że strona rządowa zadeklaruje konkretne sposoby usunięcia przeszkód w tworzeniu i działalności NSZZ, dostępu do środków masowego przekazu i uwzględnienia woli załóg przy podziale funduszu podwyżek.

Prezydium MKZ proponowało uregulowanie problemów płacowych do 20.10.1980 r. Wstępnie zarysowały się możliwości uzyskania porozumienia. Powołano dwustronną grupę dla opracowania wspólnego komunikatu.

Po przerwie strona rządowa przedstawiła swój projekt, który nie zawierał żadnych ustaleń ani zobowiązań ze strony rządowej w omawianych sprawach. (...)”.

W komunikacie MKZ NSZZ „Solidarność” podkreślono jeszcze, że strajk ten nie stanowi zerwania porozumienia, lecz jest wyrazem protestu przeciwko uniemożliwianiu jego realizacji.

Decyzją rektora Uniwersytetu im. A. Mickiewicza S. Barańczak, członek KSS „KOR”, został przywrócony do pracy w Instytucie Filologii Polskiej, skąd go zwolniono w 1978 roku. Była to pierwsza decyzja przywrócenia do pracy pracownika wyższej uczelni.

2 października, czwartek. — Prezes Sądu Wojewódzkiego w Warszawie w wywiadzie telewizyjnym stwierdził, że wymogiem rejestracji NSZZ „Solidarność” będzie potwierdzenie w statucie uznania kierowniczej roli PZPR, podkreślenie, że związek nie będzie podważał sojuszków politycznych PRL, nie pozbawi biernego prawa wyborczego kierowników zakładów pracy oraz osób zasiadających we władzach partyjnych.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe wydało oświadczenie, w którym stwierdziło m.in.:

„(...) W szczytowym momencie akcji strajkowej okazało się, że władza sama przez się nie jest zdolna do przeciwstawienia się jakimkolwiek żądaniom społeczeństwa. Ograniczyć te żądania mógł tylko wzgląd na ZSRR.

Zawarta między komitetami strajkowymi a władzami ‘umowa społeczna’ powinna więc być przez społeczeństwo rozumiana jako układ powierniczy. Ponieważ ZSRR wymaga, aby partia sprawowała władzę, choćby uszczuploną — naród zgadza się na to jako na tymczasowy kompromis. Pozostawia

partii władzę, ale pod określonymi warunkami, których spełnienie będzie kontrolował.

Ten powierniczy układ stosunków między narodem a sprawującą władzę partią jedni uznają za trwałe i docelowe — inni, stanowiący z pewnością większość, za stan ściśle związany z obecnymi warunkami w Polsce, a przede wszystkim z sytuacją międzynarodową.

Wydarzenia sierpniowe i zawarta 'umowa społeczna' mogą zapoczątkować proces przekształceń ustrojowych, wynikający z dopominania się społeczeństwa o odebrane mu prawa. Obecnie zadaniem naczelnym jest zapewnienie trwałości zawartych porozumień, ich pełnego wypełnienia przez władze, a także rozszerzenia osiągniętych uprawnień samorządowych na inne środowiska społeczne i zawodowe: przede wszystkim na pomijanych dotychczas rolników, na młodzież, uniwersytety, stowarzyszenia twórcze. (...)

(...) Tak zwana opozycja demokratyczna położyła ogromne zasługi, przygotowując społeczeństwo do zaszłych przemian przez paroletnią akcję informacyjną i uświadamiającą, przez kolportaż wydawnictw pozacenzuralnych, a przede wszystkim przez ofiarną i nieustępliwą obronę praw człowieka i obywatela. Obecnie margines swobód uległ znacznemu rozszerzeniu, ale zadania pozostały w zasadzie takie same: informować, uświadamiać i bronić. Za naczelną obowiązek ruchów wolnościowych w Polsce uważamy dalsze wychowywanie narodu — dla przyszłości. (...)”.

3 października, piątek. — W całym kraju odbył się godzinny strajk ostrzegawczy. Na Wybrzeżu miał on charakter powszechny, w województwach Dolnego Śląska strajkowała większość zakładów, w pozostałych regionach jedynie zakłady wytypowane. W Szczecinie — 8 przedsiębiorstw, w Zielonej Górze — 18, w Płocku — 3 (w tym Petrochemia). W Łodzi, z uwagi na rynkowy charakter produkcji w tym mieście, strajkowała tylko komunikacja miejska. Początek i koniec strajku obwieściły syreny, strajkujący i popierający strajk wywieszali biało-czerwone flagi.

W Nyskich Zakładach Urządzeń Przemysłowych pracownikom przygotowującym się do strajku zagrożono użyciem przeciw nim wojska z pobliskich koszar.

W Częstochowie władze uzgodniły z MKZ „Solidarność”, że komunikacja miejska nie będzie strajkowała, ograniczając się do poparcia strajku. W wozach MPK rozplakatowano oświadczenia, popierające strajk, wydrukowane na koszt Rady Miejskiej. W około kwadrans po rozpoczęciu strajku pasażerowie sami zatrzymali autobusy i zablokowali nimi główny węzeł komunikacyjny.

4 października, sobota. — Wznowione zostały obrady VI Plenum KC PZPR.

6 października, poniedziałek. — W Gdańsku odbyło się posiedzenie Komisji Porozumiewawczej, na którym podjęto uchwałę w sprawie stanu informowania społeczeństwa o sprawach zwią-

kowych. Uchwała domaga się prawa do wydawania własnego dziennika, periodyków regionalnych, publikowania książek i broszur, telewizyjnych transmisji z konferencji prasowych „Solidarności”, przyznania raz na tydzień przynajmniej 10 minut czasu antenowego w programie ogólnopolskim telewizji, podobnych audycji radiowych, przekazywania przez prasę codzienną komunikatów „Solidarności”, utworzenia w radiu i telewizji własnej redakcji.

Zakończyło się VI Plenum KC PZPR. Z KC odeszli: E. Babiuch, Z. Żandarowski, J. Łukaszewicz, J. Szydlak, T. Pyka, T. Wrzaszczyk, Z. Grudzień, M. Szczepański, S. Kulesza, E. Patyk, A. Kowalski.

Do Biura Politycznego KC PZPR powołano: W. Kruka i R. Neya.

8 *października, środa*. — Sejm zmienił ustawę o Najwyższej Izbie Kontroli, która odtąd będzie podporządkowana Sejmowi.

Uchyłono immunitet poselski M. Szczepańskiego.

Po raz pierwszy przeprowadzono transmitowaną w programie ogólnopolskim godzinę pytań i odpowiedzi. Posłowie pytali o sprawę tzw. rowu poznańskiego, stan rokowań z górnikami, zaopatrzenie rolnictwa, ilość koksu w kotłowniach, stan prac nad rejestracją nowych związków zawodowych w tym „Solidarności”, tryb przyznawania stopni profesorskich oraz sprawę przerywania ciąży.

9 *października, czwartek*. — Czesław Miłosz otrzymał literacką nagrodę Nobla.

10 *października, piątek*. — W Szczecinie odbyła się narada aktywu PZPR z udziałem S. Kani. Po niej S. Kania przyjął prezydium MKZ „Solidarność” w Szczecinie.

We Wrocławiu zawiązał się Społeczny Komitet Panoramy Racławickiej, który ma zająć się gromadzeniem funduszy, nadzorem nad renowacją Panoramy oraz budową pawilonu wystawowego.

13 *października, poniedziałek*. — Na walnym zebraniu delegatów NSZZ Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty podjęto uchwałę o rozwiązaniu związku i przejściu kół do NSZZ „Solidarność”.

Odbył się zjazd przedstawicieli przedsiębiorstw komunikacji miejskiej z całej Polski. Odrzucony został projekt statutu przewidujący utworzenie branżowego związku zawodowego. Opowiedziano się za wstępowaniem do NSZZ „Solidarność”.

14 *października, wtorek*. — Dotychczas 9 branżowych związków

zawodowych podjęło decyzję wystąpienia z CRZZ, a 14 ogłosiło taki zamiar.

15 października, środa. — W Warszawie rozpoczął się trzydniowy strajk pocztowców. Polegał on na odmowie roznoszenia prenumeraty. W Hucie Katowice rozpoczęły się rozmowy między komisją rządową a Międzyzakładową Komisją Robotniczą w sprawie postulatów załóg hutniczych, budowlanych i transportowych zrzeszonych w MKR.

16 października, czwartek. — Do Warszawy przybyła delegacja „Solidarności” w celu wyjaśnienia wątpliwości sądu co do statutu. Rozpoczął działanie zespół przygotowujący projekt ustawy o związkach. Skład jego został powiększony.

17 października, piątek. — Prasa przedrukowała fragmenty wypowiedzi V. Bilaka, członka KC KPCz.: „Nie ukrywamy, że to, co się dzieje w Polsce, dotyczy nas głęboko od strony politycznej, ideologicznej i gospodarczej. Dlatego towarzysze polscy zawsze mogą liczyć na pomoc naszej partii i naszego ludu”.

18 października, sobota. — Delegacja Komisji Porozumiewawczej „Solidarność” z L. Wałęsą rozpoczęła objazd województw południowych (Kraków, Tarnów, Nowy Targ, Jastrzębie, Katowice).

We Wrocławiu powstał Uczniowski Komitet Odnowy Społecznej, który w złożonej deklaracji domagał się m.in. aby szkoły przestały być narzędziem tresury ideologicznej, zniesienia obowiązku przynależności do WSPS i jakichkolwiek innych organizacji oraz autonomizacji samorządów uczniowskich.

W październiku w Gdańsku powstał Ruch Parlamentarny Młodzieży Szkół Średnich.

19 października, niedziela. — Ks. kardynał S. Wyszyński odprawił mszę św. w prywatnej kaplicy dla członków prezydium MKZ Mazowsze i delegacji MKZ w Gdyni. Po mszy św. odbyło się krótkie spotkanie.

W Gdańsku odbyło się spotkanie delegatów wyższych uczelni, placówek PAN oraz Instytutów Resortowych zrzeszonych w NSZZ „Solidarność”. Powołano Krajową Komisję Porozumiewawczą Nauki Polskiej, która z upoważnienia KKP „Solidarność” będzie występować wobec władz w sprawach dotyczących nauki i szkolnictwa wyższego.

Odbył się nadzwyczajny zjazd Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Uchwalony został manifest, w którym m.in. stwierdzono: „(...) rozumiemy, że spełnienie się sztuki społecznie i

artystycznie światłej i nowoczesnej niemożliwe jest w warunkach ucisku myśli, braku szczerości, przedkładania treści i rozwiązań banalnych i powierzchownych ponad treści istotne, choć bolesne, prawdziwe, choć niewygodne... (...)”.

Rozpoczęło się spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw należących do Układu Warszawskiego.

20 października, poniedziałek. — W Jastrzębiu odbyło się posiedzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej (KKP) „Solidarność”. Rozważano ewentualność strajku wobec braku rejestracji. Zdecydowano powstrzymać się na razie od strajków i rozpocząć szeroką akcję propagandową.

Rozpoczął się (?) strajk w Okręgowych Zakładach Przemysłu Mięsnego w Kielcach w związku z powtarzającymi się aresztowaniami pracowników, którzy potem miesiącami oczekiwali w areszcie na zamknięcie śledztwa.

Opublikowane zostało wspólne oświadczenie Biura Politycznego KC PZPR i Naczelnego Komitetu ZSL na temat spraw wsi. Zapowiedziano w nim pewne zmiany w polityce rolnej.

21 października, wtorek. — Ks. kardynał S. Wyszyński, Prymas Polski, spotkał się z I sekretarzem PZPR S. Kanią. Spotkanie odbyło się w mieszkaniu prywatnym.

22 października, środa. — W Lokomotywni Wrocław-Główny rozpoczęła się protestacyjna głódówka 33 kolejarzy z 8 okręgów kolejowych. Powodem był brak zgody ministerstwa na tryb rozdziału podwyżek płac oraz ich zbyt niski poziom.

Do tej pory zostało zarejestrowanych 14 związków zawodowych.

23 października, czwartek. — Odbył się trzygodzinny strajk w Z.M. „Ursus” w związku z zaproponowanym przez władze projektem podwyżek płac i rozpoczęciem ich wypłacania. Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” zażądał przerwania wypłat i wznowienia negocjacji. Ponieważ dyrekcja nie zgodziła się na to, o godz. 12-tej proklamowano strajk. Po przybyciu L. Wałęsy strajk przerwano a projekt został wycofany do dalszego uzgadniania.

24 października, piątek. — Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” wydała oświadczenie:

„W dniu dzisiejszym Sąd Wojewódzki w Warszawie po jawnej rozprawie wydał postanowienie, mocą którego orzekł rejestrację naszego Związku, jednocześnie dokonując w arbitralny, jednostronny sposób zmian w naszym Statucie. Sąd skreślił fragmenty Statutu odnoszące się do prawa do strajku,

a dopisał sformułowania o charakterze deklaracji politycznej. Zmiany te zostały dokonane wbrew wyraźnemu oświadczeniu woli upoważnionych przedstawicieli Związku. Oczekiwaliśmy od miesiąca rejestracji naszego Związku, uważamy ją za oczywisty i niezbędny warunek realizacji postrajkowych porozumień, a jednocześnie wynikający w całej pełni z obowiązującego prawa. Przedstawiony przez nas Statut, w pełni zgodny z prawem, w bezprecedensowy w dziejach polskiego wymiaru sprawiedliwości sposób został poddany bezprawnemu okaleczeniu, bez zgody Komitetu Założycielskiego. Fakt ten uznajemy za oburzający. Na tego typu ingerencję, naruszającą zasady niezależności i samorządności naszego Związku nie wyrażamy i nie wyrazimy zgody. Oświadczaaliśmy już nie raz, że sami chcemy decydować o swoich sprawach — powtarzamy to teraz z całą mocą.

W naszej pracy będziemy kierować się uchwalonym przez nas Statutem bez wniesionych przez Sąd poprawek. Jednocześnie zaskarżamy orzeczenie Sądu Wojewódzkiego w części wnoszącej zmiany w naszym Statucie i oświadczamy, że ich nie przyjmujemy”.

Pod gmachem sądu, w którym dokonywano rejestracji zebrały się setki ludzi z biało-czerwonymi flagami i transparentami: „Naród zatwierdził”, „Naród żąda”, „Prawo ustala naród”, „Sędzia Kościelniak spiesz się”, „Naród czeka”. Skandowano m.in. „Wałęsa, nadzieja, naród”, „Czekamy 35 lat”, „Czekamy 15 minut”, „Solidarność gwarantem wolności narodu”, „Rejestracja, nasza racja”, „Naród czeka, sędzia zwleka”.

MKZ Gdańsk, MKZ Jastrzębie, MKR Katowice zwróciły się do głodujących kolejarzy z propozycją przerwania głódówki i pozostawienia negocjacji KKP „Solidarność”. Do Wrocławia przyjechał na rozmowy wiceminister komunikacji. Po spotkaniu z nim kolejarze zażądali przybycia premiera lub wicepremiera.

W Toruniu 5 kolejarzy podjęło głódówkę solidarnościową. W wieczornym dzienniku telewizyjnym wystąpił minister komunikacji tłumacząc powody głódówki kolejarzy. Racje głodujących nie zostały przedstawione.

25 października, sobota. — W Bydgoszczy rozpoczęła się głódówka solidarnościowa 8 kolejarzy. MKZ w Gdańsku zapowiedział na 27 października strajk Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego i zaproponował rozszerzenie go na całą Polskę, jeżeli władze nie przyjmą żądań kolejarzy.

W kościele św. Anny w Warszawie pod patronatem Prymasa odbyło się ogólnopolskie sympozjum na temat „Związki zawodowe w świetle katolickiej nauki społecznej”.

W Warszawie rozpoczęło się dwudniowe spotkanie instruktorów harcerskich z różnych środowisk z całej Polski. Uczestnicy postanowili połączyć wysiłki zmierzające do odnowy harcerstwa. W tym celu stworzono Porozumienie Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego.

26 października, niedziela. — W Warszawie odbyły się rozmowy delegacji MKZ Wrocław z wicepremierem A. Kopciem w sprawie postulatów kolejarzy. Powołany został mieszany zespół roboczy, który przystąpił do pracy w Lokomotywowni Wrocław.

W Łodzi odbył się zjazd pracowników przemysłu lekkiego zrzeszonych w NSZZ „Solidarność”. Negatywnie oceniono proponowany przez ministerstwo projekt nowego układu zbiorowego opracowany bez konsultacji z „Solidarnością”.

Przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji przesłał do podlegających mu redaktorów w całej Polsce informację w związku z odbytą naradą delegatów „Solidarności” z 10 głównych ośrodków PRiTV. Delegaci dążą do tego, „... aby Telewizja i Radio były autentycznymi wyrazicielami całej opinii publicznej, a nie tylko poglądów partii i rządu”. Poleca „... poinformować całą załogę, że treści programowe radia i telewizji są i będą ustalane przez rząd, przez kierownictwo PRiTV oraz dyrekcje terenowe”. „Proszę zdecydowanie poinformować przedstawicieli NSZZ „Solidarność”, że ich żądania wpływu na program PRiTV nie będą realizowane, jest to bowiem sprzeczne z duchem porozumień z Gdańska, a także oświadczeniami przedstawicieli KKP NSZZ „Solidarność” o apolityczności związku”.

27 października, poniedziałek. — W Lokomotywowni Wrocław wstępnie uzgodniono tekst porozumienia. Głodówka została przerwana, odwołano przygotowywany strajk. W Warszawie odbyło się spotkanie przewodniczących branżowych związków zawodowych, na którym powołano Komisję Porozumiewawczą. Komisja wyraziła protest przeciwko stanowisku Komisji Mieszanej ze Szczecina o rozwiązywaniu rad zakładowych starych związków zawodowych, jeżeli do tych związków należy mniej niż 10 % załogi.

28 października, wtorek. — Narasta napięcie spowodowane sfałszowaniem statutu w czasie rejestracji w Sądzie Wojewódzkim. KKP przeniosła swą siedzibę na teren stoczni. Do Gdańska przybył M. Jagielski na rozmowy z KKP. Uzgodniono, że 31 października odbędą się rozmowy delegacji związku z premierem.

Sąd Wojewódzki odmówił zarejestrowania związku zawodowego rolników „Solidarność Wiejska”.

30 października, czwartek. — S. Kania i J. Pińkowski udali się z krótką wizytą do Moskwy.

31 października, piątek. — Odbyły się rozmowy delegacji NSZZ „Solidarność” z przedstawicielami rządu pod przewodnictwem

premiera. Nie został wydany wspólny komunikat, ponieważ do uzgodnionego już wspólnie tekstu strona rządowa chciała wprowadzić w ostatniej chwili zmiany, na które związkowcy nie wyrazili zgody. Rząd oświadczył, że „Solidarność” uzyskała w wyniku rejestracji osobowość prawną. Jednocześnie zapewnił, że odwołanie do Sądu Najwyższego zostanie rozpatrzone w terminie do 10 listopada. „Solidarność” domagała się, aby podwyżki płac były rozdzielane w porozumieniu z załogami. Strona rządowa uważała, iż Samorząd wiejski należy ulepszać lub tworzyć w oparciu o istniejące już struktury kółek rolniczych. „Solidarność” złożyła wniosek o potrzebie powstania nowych form zrzeszania się rolników.

Na naradzie po rozmowach KKP uzgodniła, że postanowienie o gotowości strajkowej na dzień 12 listopada (w związku z odwołaniem się od postanowienia Sądu Wojewódzkiego w sprawie rejestracji) nadal obowiązuje.

W ciągu października kolejarze z Medyki dzwonili do Komitetu regionalnego NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu z pytaniem czy mają rozkręcać tory, ponieważ po stronie sowieckiej zauważyli ładowanie czołgów na tory kolejowe.

3 listopada, poniedziałek. — Sekcja branżowa Pracowników Służby Zdrowia NSZZ „Solidarność” podjęła akcję protestacyjną (praca w biało-czerwonych opaskach, plakaty, flagi) przeciw dyskryminowaniu służby zdrowia. (Przeciętna płaca w służbie zdrowia po ostatnich podwyżkach była niższa o 2.400 złotych od średniej krajowej). 50 % pracowników służby zdrowia zarabiałoby poniżej 3.000 zł. Polityka rządu doprowadziła do degradacji zawodów medycznych, negatywnego doboru kadr i stałego pogarszania się opieki medycznej.

W Gdańsku zostały zawieszone rozmowy pracowników łączności zrzeszonych w NSZZ „Solidarność” a komisją ministerstwa. Rozbieżności dotyczyły zasad podwyżek płac.

4 listopada, wtorek. — Rozpoczął się strajk we wszystkich (z wyjątkiem Poznania) Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w związku z tym, że dwutygodniowe rozmowy z delegacją rządową na temat zasad podziału podwyżek nie dały rezultatu. Wieczorem porozumienie podpisano.

W Gdańsku odbyło się sympozjum na temat: „Związki zawodowe wobec problematyki społeczno-gospodarczej”.

Maszyny poligraficzne przysłane z zagranicy dla „Solidarności” zostały zwolnione od cła.

Wydana została instrukcja strajkowa na 12 listopada. Strajk

ma mieć charakter okupacyjny, pracownicy powinni przynieść koce i zapas żywności na 2 dni. Obowiązywać ma zakaz sprzedaży alkoholu. Ze strajku zwolnione są: służba zdrowia i apteki, służby komunalne. PKS, PKP, szkoły i placówki opiekuńcze, handel spożywczy, produkcja i transport żywności. Radio i telewizja mają nadawać komunikaty „Solidarności”.

W Warszawie powstał Międzyszkolny Komitet Odnowy.

5 listopada, środa. — Papież Jan Paweł II złożył wizytę bawia-cemu w Rzymie Prymasowi Polski ks. S. Wyszyńskiemu.

S. Kania spotkał się z aktywnym partyjnym Nowej Huty.

Powstało Ogólnopolskie Towarzystwo Popierania i Krzewienia Nauk.

6 listopada, czwartek. — Strajk na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Jako żądania wysunięto zniesienie prohibi-tów w bibliotece i zmianę jej dyrektora oraz rewizję programów i metod nauczania przedmiotów „ideologicznych”.

Trwał strajk pocztowców w Poznaniu, którzy zażądali zniesienia obowiązku roznoszenia przez nich prenumeraty.

7 listopada, piątek. — Pracownicy komunikacji miejskiej Trój-miasta, Lublina, Słupska i Elbląga wyrazili poparcie dla postula-tów służby zdrowia, przeprowadzając godzinny strajk solidarno-sciowy. Rozpoczęła się okupacja Sali Herbowej w Urzędzie Woje-wódzkim w Gdańsku przez pracowników służby zdrowia. Dołą-czyli do nich nauczyciele oraz później przedstawiciele dużych zakładów pracy, m.in. „Ursusa” i Huty Warszawa.

Akademia Medyczna w Gdańsku proklamowała strajk okupa-cyjny, a Opera Bałtycka odwołała przedstawienia.

Minister Zdrowia stwierdził w telewizji, że żądania płacowe lekarzy są nie do przyjęcia.

Podpisano porozumienie z pocztowcami w Poznaniu, którzy nie będą roznosić prenumeraty od nowego roku.

Trybuna Ludu wydrukowała artykuł MKZ Jastrzębie odcina-jący się od „sił antysocjalistycznych”.

Rada Państwa wydała apel o spokojną i wydajną pracę.

8 listopada, sobota. — W Pruszcze Gdańskim zerwane zostały rozmowy między pracownikami cukrownictwa zrzeszonymi w NSZZ „Solidarność” a delegacją ministerstwa. Pracownicy zajęli Dom Kultury w Pruszcze w oczekiwaniu przyjazdu komisji rzą-dowej.

Sekretariat KW PZPR w Płocku oświadczył: „Działalność niektórych osób spośród kierownictwa NSZZ „Solidarność” zmie-

rza do dezorganizacji życia społecznego, godzi w podstawy ustrojowe naszego kraju, czego nie ukrywają w prowadzonych przez nas rozmowach”.

9 listopada, niedziela. — Rano została wydana decyzja o cofnięciu akredytacji wielu dziennikarzom zachodnim oraz niewpuszczeniu innych z ważnymi wizami wjazdowymi. Cofnięto je po południu. Do podjęcia tej decyzji przyznał się później S. Olszowski.

W Warszawie na posiedzeniu KKP „Solidarność” podjęto decyzję o dołączeniu do statutu załącznika, zawierającego I część Porozumienia Gdańskiego oraz konwencje 87 i 98 MOP. Udzielono poparcia żądaniom pracowników cukrownictwa.

W Ustrzykach Dolnych odbył się sejmik delegatów Federacji Robotników, Rolników i innych grup zawodowych Bieszczad „Solidarność”.

W telewizji został nadany reportaż z trwających na terenie Polski manewrów wojskowych. Później eksperci zachodni oświadczyli, że w tym czasie na terenie Polski nie odbywały się żadne manewry.

10 listopada, poniedziałek. — Sąd Najwyższy zarejestrował NSZZ „Solidarność”. Region Mazowsze wydał oświadczenie:

„W związku z rejestracją statutu 'Solidarności' dokonaną przez Sąd Najwyższy niezbędne jest jasne określenie naszego stanowiska.

Sąd Najwyższy zarejestrował statut 'Solidarności' dokładnie w takim brzmieniu w jakim został on przygotowany przez założycieli 'Solidarności'. Nie wprowadzono żadnych zmian, natomiast wszystkie zmiany dokonane przez Sąd Wojewódzki 2 października zostały usunięte.

Załącznik do statutu jest to tylko treść ustaw, na które statut się powołuje, a więc: Porozumienie Gdańskie i treść obydwóch konwencji MOP”.

Odbyła się konferencja prasowa rzecznika rządu i „Solidarności”.

W Częstochowie wojewoda nakazał dyrektorom przedsiębiorstw ogłoszenie stanu wyjątkowego, zablokowanie radiowęzłów, wydanie zakazu działalności NSZZ „Solidarność”, zrywanie plakatów i odbieranie informatorów. Zagroził, że strajki stłumione zostaną siłą.

W warszawskim Teatrze Wielkim odbył się koncert dla delegatów „Solidarności”.

WSPOMNIENIA

Henryk JÓZEWSKI

ZAMIAST PAMIĘTNIKA (2)

PRAWOSŁAWIE

70

W rzeczywistości polskiej zagadnienie prawosławia jest tematem samym w sobie. W istnieniu i stawianiu się Rzeczypospolitej prawosławie ma swój wymiar i znaczenie *pro foro externo* i swoje znaczenie i sens *pro foro interno*.

O pierwszym mówić nie będę, ograniczę się do zwrócenia uwagi, że przez szereg wieków sprawa prawosławia była jednym z naczelných zagadnień polskiej polityki państwowej. Usiłowano sprawę prawosławia rozwiązać. Nie udawało się to wskutek układu sił międzynarodowych. Nie można także nie wspomnieć o Watykanie. Miał on ustalony pogląd na tę sprawę i metody postępowania. Polityka Watykanu nie liczyła się z racją państwową Polski, polską oceną sytuacji i metodą postępowania. Pamiętam rozmowę z biskupem Szelażkiem. Tłumaczył mi, że Polska powinna spełniać decyzje Watykanu nie oglądając się na nic i na nikogo. Służenie Watykanowi jest błogosławieństwem, jest zaszczytem, jest dobrem...

Polityka Watykanu szła drogą unii, a ostatnio wyłonił się „obrzędek wschodni”. Ani jedno, ani drugie sprawy prawosławia w układzie panujących w Polsce stosunków nie załatwiało.

Nie było do przyjęcia na Wschodzie Polski, na ziemiach białoruskich i ukraińskich. Nie miało szans w Rosji.

Dzisiaj dopiero, za czasów pontyfikatu Papieża Jana XXIII, stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie. Polska państwowa polityka prawosławia, która przez wieki starała się dojść do głosu i w końcu zabłysła „kongregacją Pińską” Sejmu Czteroletniego, a ostatnio znalazła swój wyraz w stanowisku Marszałka Piłsudskiego i delegacji rządu dla uporządkowania sprawy Kościoła prawosławnego w Polsce, której miałem zaszczyt przez osiem lat przewodniczyć, znalazłaby przychylny odzew ze strony Watykanu i Ojca Świętego. Dzisiaj mój dialog z biskupem Szelażkiem wyglądałby inaczej.

Poza względami natury ogólnej, nasz instynkt państwowy kazał szukać rozstrzygnięć, które uwalniałyby Polskę od ingerencji Moskwy w życie wewnętrzne Rzeczypospolitej, ingerencji pod pretekstem opieki nad obywatelami Rzeczypospolitej wyznania prawosławnego.

Do tego właściwie sprowadzało się zagadnienie prawosławia *pro foro interno*. Panowało powszechne przekonanie, że prawosławie nie może być pomyślane bez Moskwy, nie może nie być rosyjskie, może być tylko rosyjskie. Podobnie rzecz się miała z Polską i polskością a wiarą katolicką. Polska mogła być tylko katolicka, jak prawosławie mogło być tylko rosyjskie.

Niejedno dałoby się o tym powiedzieć. Prawosławie w Polsce może być tylko polskie. Jest to zgodne ze stroną kanoniczną i prawną prawosławia, co więcej, inaczej być nie może zgodnie z duchem Kościoła prawosławnego. Właśnie za czasów dwudziestolecia zostało to zrealizowane raz na zawsze.

Polacy na ogół nie wiedzą, że istnieje niezależny i samoistny polski Kościół prawosławny, a Moskwa nie ma tu nic do powiedzenia.

Inaczej było wśród prawosławnej ludności Wołynia. Już w okresie prac przygotowawczych, po ukazaniu się orędzia prezydenta Rzeczypospolitej o zwołaniu Soboru Prawosławnego, w świadomości prawosławnej ludności coś drgnęło. Zaczęto się domyślać, że prawosławie nie jest „bezdomnym podrzutkiem”, którym opiekuje się spoza granic Rzeczypospolitej Moskwa, nie jest wrogo do Polski usposobionym intruzem odziedziczonym w spadku po historii, ciałem obcym, które nie może budzić dobrych uczuć Polaków i katolików. Zaczęto sobie zdawać sprawę, że prawosławie nie może być prześladowane przez katolicką Polskę, że nie jest wrogiem Polski, że posiada rodzinne prawo obywatelstwa jak wszystko co polskie.

Dotychczasowy stan rzeczy zaczął ulegać zasadniczej zmianie. Została usunięta jeszcze jedna przeszkoda polsko-ukraińskiego braterstwa, i to nie tylko na Wołyniu. Należy zdawać sobie sprawę, że pomimo polsko-ukraińskiego pokrewieństwa i obyczajowości polsko-ukraińskiej na ziemiach naddnieprzańskich, Polska akcentowała swoje katolickie stanowisko wobec prawosławnego świata. I to pomniejszało możliwości układu korzystnego dla Polski i Ukrainy.

Tak działo się przez długi czas i świadomość tego wrastała w życie. Moskwa robiła co mogła, żeby grozę katolickiej Polski powiększać, robić z Polski tradycyjnego straszaka. W rozgrywce polsko-ukraińskiej na obszarach bałtycko-czarnomorskich był to w rękę Moskwy nie lada atut. Otóż atut ten się skończył z chwilą ogłoszenia autokefalii polskiego Kościoła prawosławnego. Od tej chwili Polska współdziałała z prawosławiem i odbiera Moskwie reprezentowanie prawosławia w życiu polskim.

Autokefalia Kościoła prawosławnego jest niewątpliwie w odrodzonej Polsce aktem o wielkim znaczeniu historycznym.

71

Jak już wspomniałem, ludność prawosławna zaczęła zdawać sobie sprawę ze zmiany sytuacji i perspektyw przyszłości. Mniej zrozumiałe i oczywiste było to dla strony polskiej, dla polskiego katolickiego świata i świata katolickiego w ogóle.

Świat katolicki założył sprzeciw. To, że Polska wzięła udział w dźwiganie się prawosławia ku lepszej przyszłości, dyskredytowało Polskę w oczach prawowiernych katolików.

Prawosławie, zgodnie z tym sposobem myślenia, można tylko nawracać na wiarę katolicką i poddawać pod katolicką jurysdykcję. Właśnie unia i „obrzędek wschodni” były tego wyrazem. Takie było stanowisko Rzymu i katolickiej hierarchii. Nie mogło to nie mieć wpływu na pojmowanie tych spraw przez polskie katolickie społeczeństwo.

Nie jeden „prawosławny” Polak-katolik patrzył na mnie niechętnym, a w wielu razach wrogim okiem, miał mnie za zdrajcę Kościoła i Polski. Fabrykowano o mnie i mojej rodzinie przeróżne pogłoski. Krążyły one wszędzie, nawet w sferach rządowych. Odznaczeni w tym między innymi panowie oficerowie, którzy poczuli wolę Bożą do działalności politycznej o typie endecko-oenerowskim.

Mówiono na przykład, że w moim domu rozmawiano po

rosyjsku. Moje córki (których nie miałem) mówiły tylko po rosyjsku. Moja żona miała być córką popa... Nie chcę przytaczać nazwisk ani politycznego salonu w Warszawie, gdzie tego rodzaju konferansjerkę prowadził znany w Polsce oficer.

Wspomnę o wydarzeniu wyjątkowo wymownym i pełnym ekspresji. Moja żona, jak każda wojewodzina, stała na czele wojewódzkiej organizacji ZPOK. Taki był obyczaj. Pewnego razu przewodniczyła na powiatowym zebraniu ZPOK w Sarnach. Po zakończeniu obrad, kiedy na sali zrobił się ruch, jedna z pań, pułkownikowa Szmidtowa, z domu Przeździecka, podeszła do żony wyraźnie skonsternowana i zapytała „czy pani wojewodzina jest panną Bolewską z Kijowa, z którą dobrze się znałam i tańczyłam na niejednym balu?”.

Pułkownikowa Szmidtowa przeżywała sytuację niepokojącą, graniczącą ze wstrząsem metafizycznym. Oto dotyczyła osoby, którą identyfikowała jako pannę Bolewską, dobrze jej znaną, a jednocześnie źródła najbardziej autorytatywne — na pewno na czele z pułkownikiem-mężem, stwierdzały, że wojewodzina Józewska jest córką popa, prawosławną Rosjanką.

Do oskarżenia o zdradę Polski na rzecz Ukraińców doszło jeszcze prawosławie. Nie było jednak tak źle. Wołyń — wołyńskie życie było ze mną. Za mną był Piłsudski. Paraliżowało to skutecznie endeckie porywy poszczególnych oficerów. Zresztą nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że za mną jest Polska taka, jak ją Pan Bóg stworzył, nie ubrana w endecką albo endeckoidalną mentalność. W czasach roznamiętnienia politycznego polskich umysłów świeckich i kościelnych zjawił się w moim urzędowym gabinecie młody ksiądz. Proszę sobie wyobrazić urok młodości w sutannie i czysty, młody, wpatrzony przed siebie wzrok... Miałem wrażenie, że ksiądz mówił głosem przyciszonym. Powiedział: „Panie Wojewodo, przychodzę do pana w imieniu moich kolegów księży, żeby pan wiedział, że młodzi księża za pana się modlą. Pan uczy nas miłości bliźniego”. Ksiądz prosił o tajemnicę, żebym nie zdradził się z tym biskupowi Szelażkowi. Oczywiście było to ze strony młodego księdza grzechem przeciwko swej duchownej władzy. Ale nadawało to scenie osobliwy urok młodzieńczej niezręczności, urok młodości.

Moje stanowisko w sprawie Cerkwi i udział w uregulowaniu jej sytuacji w Polsce zbliżały do mnie ludność prawosławną.

Miałem tego niejednokrotnie dowody. Uważano mnie za „swe-go”. Dla „polityki wołyńskiej” był to sukces, który przyszedł „z zewnątrz” pomimo, że prawdę mówiąc o wszystkim zadecydował Wołyń i dał natchnienie całej akcji.

Na drodze tej wygranej sprawy piętrzyły się różnego rodzaju trudności i przeszkody.

1. Przeszkodą była postawa „bogoojczyźnianych Polaków”, odnoszących się niechętnie do polskiego prawosławia.

2. Przeszkodą było stanowisko Rzymu, polskiej hierarchii katolickiej i kleru.

Jak dalece polska polityka prawosławia „działała na nerwy” watykańskim dostojnikom, przekonałem się na osobie Metropolity Szeptyckiego. W 1930 roku, jak już o tym pisałem, nawiązałem z Metropolita bliskie i serdeczne stosunki. Metropolita ofiarował mi swoją przyjaźń. Bardzo to ceniłem. Kiedy po moim warszawskim urzędowaniu powróciłem do Łucka, Metropolita komunikował się ze mną przez zaufanego zakonnika, ks. Rzewuskiego, który parę razy jako wysłannik Metropolity odwiedził mnie w Łucku. Ksiądz Rzewuski robił ujmujące wrażenie swą aparycją, kulturą, inteligencją. Pewnego razu zostałem zawiadomiony, że w pracowniach Metropolity wykonuje się przeznaczony dla mnie obraz Matki Boskiej, który Metropolita ma zamiar mi ofiarować.

Tak było przez pewien czas. Kiedy jednak moja rola i udział w polskiej polityce prawosławnej stały się ogólnie znane, Metropolita zerwał ze mną. Przerwane zostały negocjacje, wymiana myśli — ks. Rzewuski znikł z horyzontu. Miałem wiadomości miarodajne, że Metropolita stał się moim wrogiem i źle o mnie mówi. W pewnej chwili miał się wyrazić, że nie zdziwiłoby go, gdybym padł z ręki UWO, tzn. ukraińskich galicyjskich terrorystów.

3. Przeszkodą były hierarchia i duchowieństwo prawosławne z tytułu swej rosyjskości. Składały się one z rodowitych Rosjan, często o tendencjach reakcyjnych i *istinno-ruskich*. Na parafiach proboszczowie musieli się *nolens volens* z parafianami dogadywać, układać stosunki. Była to ludność prawosławna — ukraińska, coraz bardziej narodowo uświadomiona i do Rosji niechętna. W większości wypadków proboszczowie dawali sobie radę i w teren ukraiński wrastali.

Hierarchia z metropolitą *wsieja Polszi* Dyonizym na czele była zespołem typowo rosyjskim, o tradycjach prawosławnych carskiej Rosji. Z zespołem tym, tzn. św. Synodem, miałem do

czynienia przez osiem lat systematycznych posiedzeń Synodu z polską delegacją rządową. *Ruskiej duch* św. Synodu nie był dobrym partnerem w rozważaniach sprawy polskiego prawosławia.

Najbardziej rosyjsko-carski był Metropolita Dyonizy. Pewnego razu metropolita wyjechał do Berlina by szukać pomocy i natchnienia u biskupa Hermogena i kół carskiej rosyjskiej emigracji. Miałem z tym nielada kłopot. Metropolita po powrocie z Berlina zajął postawę nieprzejednaną i zerwał rozmowy. Wrazem bojowości metropolity miała być wielka manifestacja prawosławia w Poczajowie w dzień św. Jowa. W dniu tym zbierały się w Poczajowie tysiące pątników. Może cień Heliodora i dawne poczajowskie tradycje z czasów carskich natchnęły Dyonizego do manifestacji w stylu *istинно русkim*...

Gdy doszły do mnie te wieści, wezwałem posła Skrypnika i omówiliśmy plan działania. Chodziło o zorganizowanie w murach Poczajowa manifestacji ukraińskiej. Przyznaję, że plan był dość ryzykowny. Tysięczne tłumy w czasie takich manewrów ściśnięte w murach klasztoru mogły spowodować tragiczne skutki i ofiary w ludziach.

Przyszedłem do przekonania, że będzie najlepiej, jeżeli w dniu św. Jowa wojewoda będzie nieobecny w Łucku, a miejsce pobytu nieznane. Tak się stało. Wczesnym rankiem wyjechałem na polowanie na cietrzewie. Wieczorem wróciłem do Łucka. Oczekiwałem na hiobowe wieści, raporty policji, straty, protesty i skargi metropolity, wiadomości o zabitych i rannych... Mogłem się wszystkiego spodziewać. Z niepokojem zbliżałem się do biurka i do pliku leżących papierów. Natknąłem się na telefonogram posła Skrypnika, dowódcy akcji. Przeczytałem, że ofiar w ludziach nie było. Odetchnąłem. Wkrótce dowiedziałem się o przebiegu poczajowskich wydarzeń.

Żywiółowa ukraińska manifestacja sparaliżowała z miejsca akcję Dyonizego. Na dzwonnicy poczajowskiej pojawił się *блє-kitno-żowtyj prapor*, w tłumie ukazały się ukraińskie transparenty z hasłami o ukraińskiej cerkwi, o Polsce, o Ukrainie. Hulały ukraińskie okrzyki, panowały ukraińskie pieśni.

Dyonizy przegrał. Triumfował Skrypnik i reprezentacja ukraińska sejmu i senatu.

Ledwo żywego Metropolitę wyprowadzili biskupi poprzez manifestujący tłum do metropolitalnego domu. Do domu udała się delegacja posłów i senatorów, by na ręce Metropolity złożyć oświadczenie w sprawach cerkwi. Metropolita przebywał w

stanie zupełnego załamania i wysłał na rozmowę z delegacją poselską biskupa Krzemienieckiego, Aleksego.

Po wręczeniu oświadczenia grupy parlamentarnej uroczystość Poczajowska się skończyła.

Po Poczajowie Metropolita bez zastrzeżeń przystąpił do dalszej pracy z delegacją rządową.

Chodziło o ukraińskie elementy w prawosławnych instancjach i instytucjach. W Łucku zastałem prawosławne „Bractwo podniesienia św. Krzyża”. O ile sobie przypominam, powstało ono za czasów Jana Kazimierza. Kiedy Rosja załała Wołyń, ukraińskie bractwo przemieniono na ortodoksyjne rosyjskie. Ostatnio była to instytucja rosyjskiej „Czarnej Sotni” pod opieką Poczajowa i „Poczajowskiego Listka”. Bractwo było bogate. Na mocy królewskiego nadania było właścicielem dwóch trzecich Łucka. Kiedy zjawiłem się w Łucku, zdałem sobie niebawem sprawę, że Bractwo to „dobry interes” dla łuckiej ludności żydowskiej i hierarchii prawosławnej. Miejscowi działacze Bractwa Rosjanie także nie mieli na co się skarżyć...

Bitwa z Metropolitą Dyonizym o Bractwo trwała szereg miesięcy, obfitowała w barwne i wstrząsające momenty. Były poruszone wysokie czynniki państwowe. Miałem do czynienia i kłopot z prokuraturą. Wreszcie Dyonizy się poddał. Sprawa została wygrana. „Bractwo podniesienia św. Krzyża” stało się bractwem ukraińskim, tak jak za Jana Kazimierza. Ukraińcy uzyskali cerkiew przy reprezentacyjnej ulicy Łucka. O ile się orientuję, była to pierwsza prawosławna ukraińska cerkiew w Polsce. Proboszczem został ks. Paweł Paszczewski — kiedyś „Protopreswiter Ukraińskiej Armii”. Była to postać wspaniała, pełna uroku i wyrazu, ogólnie szanowana i znana. „Otec Pawło” nosił się z ukraińska, był petluowcem. Gdy zjawiał się w moim gabinecie, miałem wrażenie, że przyszło Zaporozże.

Z czasem powstało ukraińskie towarzystwo imienia Piotra Mohyły, skupiające wokół siebie wiele wartościowych jednostek z ukraińskiego społeczeństwa. Wreszcie udało się zainstalować w Łucku, stolicy Wołynia, pierwszego biskupa Ukraińca, Polikarpa, ks. Sikorskiego. Były to pierwsze kroki na drodze „odrosyjszczenia” polskiej prawosławnej cerkwi.

Nie mogę nie wspomnieć o jedynym w swoim rodzaju epizodzie, mówiący o pasji, jaka ogarnęła biskupa Szelążka na widok urzędującego w Łucku prawosławnego biskupa.

W rozmowach ze mną, gdy dochodziło do biskupa Polikarpa, biskup Szelązek nie wymieniał słowa — biskup. Mówił „episkop”. Podczas jednego z uroczystych zebrań w prywatnych apartamentach wojewody, na którym były obecne wszystkie najwyższe urzędowe figury, posłowie, senatorowie, dygnitarze, biskupa Polikarpa spotkano z całą atencją i kurtuazją należną biskupowi. Po pewnym czasie wchodzi do salonu biskup Szelązek. I oto stało się coś, co zbulwersowało wszystkie znajdujące się w salonie figury, nawet usposobione endecko. Biskup Szelązek, witając się ze wszystkimi, ostentacyjnie nie przywitał się z biskupem Polikarpem. Wszyscy byli oburzeni. Biskup Polikarp w tym „pojedynku biskupim” wygrał na całej linii. Sympatia obecnych skupiła się na nim, a on demonstrował chrześcijańską pokorę i miał oblicze prawie świętego.

75

Przytoczyłem fakty i obserwacje z życia naradzającej się polskiej Cerkwi prawosławnej, z ówczesnie panujących nastrojów i sposobu myślenia Polaków i Ukraińców. Należało zdawać sobie sprawę — polska Cerkiew prawosławna stała się faktem, zgodnie z kanonami, tradycją i duchem prawosławia. Chodziło o to, by to wielkiej miary historyczne wydarzenie stało się ciałem i krwią polskiej rzeczywistości w odrodzonym państwie polskim.

Miało to wielkie i najbardziej realne znaczenie dla „wołyńskiej polityki”, dla polskiej polityki wschodniej. Polska przestała straszyć, przestała być „anty-prawosławna”, przestała być narzędziem wojującego katolicyzmu. Ukazanie się polskiego prawosławia miało znaczenie na forum międzynarodowym.

76

Spółeczeństwo ukraińskie

Jak już wspomniałem, ludność ukraińska Wołynia wynosiła ponad 80 % ludności województwa. Przeważnie była to masa chłopska. Inteligencji ukraińskiej było bardzo mało, a raczej prawie jej nie było.

Narodowa świadomość ukraińskiej ludności robiła pewne postępy. „Lawina wydarzeń”, jaka przewaliła się przez Ukrainę Naddnieprzańską, zahaczyła o Wołyń, zrobiła swoje, pobudzała

do myślenia. Ludzie przecierali oczy, dostrzegali to, czego dotąd nie widzieli.

Miało to ogromne i decydujące znaczenie, że Wołyń znalazł się w granicach Polski, stał się jedną z Ziemi Rzeczypospolitej, znalazł się w zasięgu Zachodu i klimacie zachodnio-demokratycznym o właściwych dla Polski akcentach.

Nie będziemy dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że Wołyń powrócił do tego, co wypełniało przez wieki treść jego istnienia. Tak czuli Polacy. Tak — pozwolę sobie zaryzykować twierdzenie — czuła ukraińska ludność Wołynia.

Ziemie wołyńską przeorywał pług bolszewickiej Rosji, musnął ją oddech ukraińskich wyzwolenczych ruchów, aż wreszcie przysłała Polska i zamieszkała na Wołyniu na stałe.

Okolicznością niemałej wagi było bezpośrednie sąsiedztwo z Wołyniem Małopolski Wschodniej, świata innego niż Wołyń, pomimo że także polsko-ukraińskiego. Panował tu inny układ rzeczy, tradycje austriackie i wojujące nacjonalizmy polski i ukraiński.

Czynniki polskie, a w głównej mierze małopolskie czynniki ukraińskie, patrzyły na Wołyń jak na teren swego działania. Ukraińską ludność Wołynia z reguły reprezentowali w sejmie Ukraińcy galicyjscy. Gęstą siecią pokryły Wołyń ukraińskie organizacje małopolskie, spółdzielcze i oświatowe.

W takich to właśnie warunkach zacząłem uprawiać „wołyńską politykę”. Chodziło o wydobyć z ukraińskiego Wołynia samoistnej postawy zgodnie z przyrodzoną tradycją rozwojową życia wołyńskiego, tradycją polsko-ukraińskiej wspólnoty i wzajemnego przenikania się kultur. Było to bliższe i bardziej pokrewne temu, co miał w sobie ukraiński świat naddnieprzański niż tradycja „rusińsko-galicyjska” Małopolski Wschodniej. Tradycja ta była dla Wołynia czymś obcym, jak była nią nad Dnieprem, o czym niejednokrotnie miałem możność się przekonać.

Chodziło więc o izolowanie ukraińskiego Wołynia od ówczesnej ukraińskiej rzeczywistości Małopolski Wschodniej. Tak powstała idea „kordonu Sokalskiego” i plan realizacji tego pomysłu.

Odcinając Wołyń od Małopolski Wschodniej, odwracałem się od Lwowa — centrum kultury polskiej i polskiego życia umysłowego, ośrodka ukraińskiej galicyjskiej myśli, miasta nieprawdopodobnego uroku, Lwowa *semper fidelis*. Wyrzekałem się Lwo-

wa jako stolicy Wołynia. W ówczesnej sytuacji Lwów nie miał Wołyniowi nic do powiedzenia, a mentalność polska i ukraińska Małopolski mogła życie wołyńskie jedynie zatruwać.

Życie wołyńskie było inne, miało inne walory i możliwości, było bardziej zbliżone do Polesia, Nowogródzyny, Wileńszczyzny. Wszystko to stanowiło jakby jeden kraj zabarwiony miejscowymi regionalizmami. Była w nich jedna i ta sama „kresowość”, inna niż „kresowość” galicyjska. Siłą rzeczy oczy zwracały się ku Wilnu jako stolicy tych obszarów.

Zainspirowałem zebrania kresowych wojewodów. Pierwszy zjazd odbył się w Łucku, drugi po pewnym czasie w Wilnie. Zarysowała się kresowa wspólnota tych ziem. Złośliwcy twierdzili, że Józewski wskrzesza Wielkie Xięstwo Litewskie...

Zainspirowane przeze mnie zjazdy wojewodów zostały przez życie zaaprobowane. Nie była to instytucja nielegalna. Na naszych posiedzeniach bywał stale przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przysyłany każdorazowo z Warszawy.

Chodziło u usunięcie z ukraińskiego Wołynia mocno już rozkrzewionego stanu posiadania Ukraińców Małopolski Wschodniej.

W stosunkowo krótkim czasie zwinął swą sieć placówek RSUK. To samo stało się z setkami „Proswit”. Znikli posłowie Ukraińcy z Małopolski, reprezentujący Wołyn. Powstało Ukraińskie Wołyńskie Objednanie ze swoim sześciuosobowym przedstawicielstwem parlamentarnym. Wreszcie nie małe znaczenie zaczynało mieć polskie prawosławie. Wołyn był prawosławny — w Małopolsce panowała unia.

78

Jest rzeczą ciekawą i znamionną, że zmiany, jakie zaszły na ukraińskim Wołyniu, odbyły się bezboleśnie, bez incydentów i wstrząsów. To, co się stało, nie stało się na mocy dyspozycji wołyńskiego wojewody. Jeżeli wojewoda zabierał głos i podejmował inicjatywę, robił to w ścisłym porozumieniu z wołyńskim życiem ukraińskim i polsko-ukraińską legendą Petlury, w porozumieniu z ludźmi Atamana, którzy znaleźli się na Wołyniu.

„Manewr” wołyński jest bardzo pouczający, daje dużo do myślenia i, co najważniejsze, odbywał się zgodnie z naturalnym układem rzeczy.

W ciągu dziesięciu lat powstała i okrzepła postawa ukraiń-

skiego społeczeństwa z Ukraińskim Wołyńskim Objednaniem na czele, zespołem ukraińskich instytucji i organizacji społecznych i wyznaniowych.

Rzecz jasna, że Ukraińcy z Małopolski ustosunkowali się do tego, co się na Wołyniu działo, wrogo i niechętnie. Bitwę o Wołyń przegrali. Nie mogło to być przyjemne. „Kordon Sokalski” robił złą krew. Z biegiem jednak lat sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Kiedy bywałem w Sejmie, zaczął do mnie podchodzić poseł Mudryj — prezes UNDO. Zaczęły się coraz bardziej przyjacielskie rozmowy. Nawiązywały się stosunki pomiędzy UNDO i WUO. Coraz częściej słyszało się o rozmowach i wymianie zdań. Słowem zarysowywało się porozumienie albo coś na kształt porozumienia.

Pewnego dnia zjawił się w moim gabinecie w Urzędzie Wojewódzkim poseł Ostap Łuckij, prezes RSUK i wielka figura w ukraińskim galicyjskim świecie. O ile sobie przypominam, Ostap Łuckij był przez pewien czas adiutantem Petlury.

Ostap Łuckij oświadczył na wstępie, że przyjechał z Warszawy, by odbyć ze mną gruntowną i zasadniczą rozmowę. Powiedział, że orientuje się co do pozycji mojej osoby. Ukraińcy w Polsce zdają sobie sprawę, że jestem Polakiem przyjacielem Ukrainy. Nie wyobraża sobie, by polityka polsko-ukraińska mogła się odbywać bez mego udziału. Jest to zrozumiałe samo przez się. Po złożeniu tak cennej dla mnie deklaracji o stosunku do mnie ukraińskiego świata Małopolski Wschodniej Ostap Łuckij przystąpił do omówienia układu rzeczy między ukraińskim Wołyniem a Ukraińcami Małopolski Wschodniej. „Kordon Sokalski” Małopolan obraża. Jest to niesprawiedliwe. Ten stan rzeczy należy zmienić i „kordon Sokalski” przed oczu ukraińskiej ludności usunąć. Z tym właśnie Ostap Łuckij przyjechał.

W odpowiedzi wyszedłem z założenia, że w istocie chodzi o stosunki polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie, o współpracę i współżycie. Wołyń ma dane, by dojść do pożądanego stanu rzeczy. Jesteśmy w trakcie formowania się tej postawy i jej okrzepnięcia. Wtedy damy nasze zdobycze Małopolsce Wschodniej, której się przydadzą. Wtedy Wołyń i Małopolska podadzą sobie ręce. Dzisiejszy stan rzeczy w Małopolsce budzi myśli krytyczne. Tradycja austriacka zrobiła swoje. Trzeba nielada trudu, żeby rozwikłać panujące za „kordonem Sokalskim” nieporozumienia, podrażnienia, objawy ukraińsko-polskiej nieufności a na-

wet nienawiści. W dzisiejszym stanie rzeczy zdobycze Wołynia są za małe, by mogły Małopolsce pomóc. Trzeba czasu, a do tej chwili „kordon Sokalski” jest konieczny, musi być utrzymany dla dobra Wołynia i Małopolski Wschodniej.

Konferencja rozstrzygających rezultatów nie dała. Wymiana myśli była jednak potrzebna. Rozstaliśmy się z Ostapem po przyjacielsku. Dla mnie był to dzień wzruszający. Dotychczasowy wróg polityczny okazał się przyjacielem.

Nie zmienia tego stanu rzeczy zamach na moje życie zorganizowany przez UWO. Proces Kuca w okręgowym sądzie w Łucku. Ukraińcy Małopolski Wschodniej nie składali się z samych Ostapów Łuckich, Mudrych i innych. Byli także tacy, co chcieli mnie zabić.

Akcja ukraińskich galicyjskich terrorystów znaczyła swą drogę zabójstwami — Hołówki, Pierackiego — szeregiem zamachów na polskich dygnitarzy. Była kierowana i bardzo wydajnie wspomagana przez Niemcy. Z nieustającą energią i nakładem środków Niemcy wspomagały galicyjski ukraiński nacjonalizm i rzucały go przeciwko Polsce. To właśnie i przede wszystkim to charakteryzowało niemiecką politykę. Z nie mniejszą zajądłością sekundowały im Czechy. Jakże wymowne jest „archiwum Senyka”. Gdy myślimy o sprawie ukraińskiej i o stosunkach polsko-ukraińskich, nie sposób nie brać tego pod uwagę.

Pamiętamy wszyscy SS-Galizien, powstałe po wkroczeniu Niemców do Małopolski Wschodniej. Pamiętamy postać Bandery, a potem rzeź Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, zorganizowaną przez oddziały ukraińskiej policji sformowanej przez Niemców. Jest to rachunek upiorny i krwawy, zohydżający słowo — Ukraina.

W pewnej mierze, *toute proportion gardée*, jest to odpowiednikiem Niemiec i niemieckiej hitlerowskiej zbrodni, jest odpowiednikiem Rosji i straszliwych zbrodni bolszewicko-sowieckich.

Z biegiem czasu ukraiński Wołyń organizuje się i rozrasta, powstają różne ukraińskie instytucje. Wszystko to skupia się wokół WUO — *Wołyńskoho Ukraińskoho Objednannia* — naczelnej pozycji politycznej ukraińskiego Wołynia. Wołyń ma grono swych ukraińskich posłów i senatorów, wydaje własne pismo *Ukraińska Nywa*, redagowane przez Pietra Pewnego, tradycyjnego redaktora Petlury. Społeczeństwo ukraińskie posiada

swój własny ukraiński teatr cieszący się wielkim powodzeniem, zwłaszcza na wsi. Powstają „Ridne chaty” w Łucku i w Równem, o charakterze klubowo-towarzyskim. Skupia się wokół nich ukraińska inteligencja. Odbywają się towarzyskie zebrania, wieczory dyskusyjne, uroczystości, obchody, różnego rodzaju kulturalne imprezy i oczywiście ukraińskie wspaniałe chóry.

Ważną pozycję stanowiły organizacje cerkiewne, „Łuckie Bractwo Podniesienia św. Krzyża”, „Towarzystwo imienia Piotra Mohyły”. Wielkie znaczenie miał ukraiński biskup Polikarp Sikorski i ks. Paweł Paszczewski. Jest to zapowiadający się udział Ukraińców w Kościele prawosławnym.

Niemalą rolę odgrywał zespół petlurowców, b. ministrów URL, dygnitarzy, działaczy. Zjawili się oni na Wołyniu i zamieszkali tu na stałe. Niepodległość Ukrainy i niepodległy ruch ukraiński nie były tematami „zabronionymi”. Tą drogą to, co ukraińskie, mieszało się z tym co polskie, mieszało się w ramach polsko-ukraińskiej i ukraińsko-polskiej współpracy i współżycia obywateli Rzeczypospolitej.

Widziałem, jakie to wrażenie robiło na ukraińskich galicyjskich politykach. Kiedyś politycy ci gremialnie odwiedzili Wołyn w związku z jakąś uroczystością rocznicową organizowaną przez WUO. Uroczystość odbywała się w sali rówieńskiego kina. Wszystkie miejsca w krzesłach i łóżach były wypełnione. Zaproszono mnie, więc przyjechałem. Kiedy pojawiłem się w wyznaczonej dla wojewody wołyńskiego łoży — wszyscy wstali i rozległo się „Jeszcze Polska nie zginęła”, a bezpośrednio potem „Szczę ne wmerła Ukrajina”.

Z takim protokołem goście galicyjscy u siebie w domu się nie spotykali. Zrobiło to na nich wielkie wrażenie.

Spółeczeństwo polskie

Główną pozycją wołyńskiej polszczyzny była polska ludność miejscowa — świat polski zasiedziały, w Wołyn wrosnięty, obyczajowo z nim zespolony.

Kiedy Wołyn ponownie znalazł się w granicach Polski, społeczeństwo polskie na Wołyniu miało swą tradycyjną strukturę.

Nie sposób nie zacząć od ziemiaństwa. Wnosiło ono znany powszechnie akcent „kresowej obyczajowości”, swoistą kulturę towarzyską, domową.

Polskie dwory ziemiańskie na kresach „robiły dobre wraże-

nie". Do tego w większości wypadków wszystko się sprowadzało. Gospodarowano lepiej lub gorzej, raczej gorzej niż lepiej. Z miejscową ludnością stosunki były na ogół dobre, jak dobre być mogą między dworem i wsią. Czasem zabłysnął akcent prawdziwego patriotyzmu w szarzyźnie patriotyzmu konwencjonalnego, czasem wyrzała inteligencja albo pojawiła się działalność polityczna, społeczna i jakaś inna jeszcze. Na ogół nie angażowano się. Panowała zdawkowa dobroć, zdawkowa uprzejmość i w wielu razach tzw. „wykwintne wychowanie”. Tak toczyły się dni. Były także wybuchy temperamentu, wybuchy szczerości, różne pasje, jak np. pasja do koni, polowania i inne jeszcze. Nad wszystkim jaśniał firmament „bogoojczyźniany”, nastroje i natchnienia wyraźnie endeckie.

Z bardzo małymi wyjątkami ziemiaństwo było poza nurtem tworzącej się nowej wołyńskiej rzeczywistości, nie brało udziału w pracach społecznych i politycznych, samorządowych.

Jedna zaśluga ziemiaństwa była wyraźna, oczywista, nie podlegająca wątpliwości. Mam na myśli hodowlę koni, która w miarę czasu stawała się znana w Polsce.

Moja ocena ziemiaństwa nie była tajemnicą. Mówiłem o tym z niejednym ziemianinem, zabierałem głos na zebraniach wołyńskiego związku ziemian. Pamiętam, jak na jednym z takich zebrań, kiedy przemawiałem, ustęp o koniach wywołał frenetyczne oklaski i ogólne rozradowanie.

Ziemiaństwo już wtedy było światem schyłkowym, usuwało się z drogi temu co nadchodziło, a co było przyszłością Polski.

Opisywanie ziemian i świata ziemiańskiego utraciło swą aktualność. Ani Rodziewiczówna, ani Orzeszkowa nie miałyby wiele do powiedzenia, zwłaszcza po „Nocach i dniach” Dąbrowskiej, które dźwięczą jak ostatni akord ziemiańskiego świata przed ostatecznym jego zniknięciem.

O ziemiaństwie mogą być wspomnienia anegdotyczne. Pewnego razu rozmawialiśmy z gen. Rydzem Śmigłym, inspektorem armii na Wołyni. Śmigły był wówczas moim bliskim przyjacielem i mogliśmy rozmawiać po prostu i szczerze. Śmigły zjawił się u mnie po zakończeniu gry wojennej, chciał się ze mną zobaczyć przed wyjazdem do Warszawy. Powiedział, że ma do mnie pewną sprawę. Zaczął mówić o tym, jak zamieszkał w czasie gry wojennej w znanym na Wołyniu ziemiańskim domu, jak domem tym był oczarowany, a zwłaszcza królującą w nim dostojną matroną — siwą staruszką. Opowiadała ona Śmigłemu o powstaniu 63 roku, pokazywała pamiątki, zwierzała się... W tym miejscu Śmigłemu przerwałem. Powiedziałem: „Generale, jak dostojny

osiwiał rabin zaczyna mówić o powstaniu 63 roku, wiem, że chodzi o koncesję tytoniową. Jak polski ziemianin o 63 roku mówi, chodzi o prawo wyrębu lasu... A teraz słucham”. Śmigły pośpieszył zakomunikować, że nie ma już nic do powiedzenia.

82

Poza ziemiaństwem należy wspomnieć o polskich wołyńskich wsiach, o wsiach polskich — mazurskich, od dawna tu osiadłych, schłopiałych na modłę wołyńską. Nie zatraciły one jednak polskości. Z polskich wsi była jednak pociecha. Brały one udział w stawianiu się nowej rzeczywistości. Szereg nazwisk mówił o pracach w różnych kierunkach, do stanowisk poselskich włącznie. Spotkałem także na wsi polskość jakby bez reszty zukrainizowaną, chodzącą do Kościoła. Rozmawiałem ze starą babą, która oświadczyła, że wraca z kościoła w Wiśniowcu i że *siohodnia były taki harni suplikacji...*

Mówiąc o polskości, należy wspomnieć o oficjalistach, o ludności polskiej po miastach i miasteczkach, o garstce polskiej inteligencji, o doktorach, aptekarzach, adwokatach, inżynierach i technikach, wreszcie o polskim katolickim duchowieństwie, katolickim Kościele, tej eksponowanej pozycji w wołyńskim pejzażu.

Dla ilustracji panującego na Wołyniu zwyczaju powtórzę swą rozmowę z ks. biskupem Gawliną na święcie rówieńskiej 13-ej Dywizji. Uroczystość ta między innymi zawitała do kasyna oficerskiego, gdzie odbył się bankiet z przemówieniami. Z biskupem Gawliną siedzieliśmy obok siebie. Słuchałem entuzjastycznych wypowiedzi ks. biskupa o panujących na Wołyniu stosunkach. Biskup poinformował mnie, że jest poznaniakiem, nawet podoficerem niemieckim. Po raz pierwszy jest na Wołyniu i nie może ochłonąć z wrażenia. W ciągu dwóch tygodni biskup odbywał wizytacje. I oto w czasie objazdu Wołynia miejscowa ludność prawosławna w paru wypadkach stawiała powitalne bramy i biskupowi katolickiemu wręczała chleb i sól. Biskup był zaskoczony, wzruszony, rozradowany, że takie rzeczy na świecie się dzieją i to w Polsce na Wołyniu. Składał mi gratulacje. Wywiązała się bardzo serdeczna rozmowa.

83

W życiu Wołynia Kościół odgrywał osobliwą rolę. Był to jakby odwieczny i przyjęty przez życie symbol życia to wyrażający,

akcent polskości nie wbrew życiu a za jego zgodą. Gdyby Kościoła zabrakło, Wołyń przestałby być Wołyniem, Polska Polską, a Ukraina Ukrainą.

W Łucku przebywał biskup ordynariusz diecezji Łucko-Żytomierskiej. Była katedra, pałac biskupi, konsystorz. W Wiśniowcu, Czartoryjsku, Ostrogu widzimy szereg wspaniałych kościołów. Były i inne jeszcze.

To oblicze Kościoła biło splendorem, wyrazem, majestatem. Hierarchia, kościelne uroczystości, które nie tylko w oczy polskie świeciły i w polskich oczach się odbijały. Było to uroczyste, urzędowe oblicze Kościoła.

Miały jednak jeszcze miejsce momenty pozbawione patosu i ogromu, a jednak zawierały w sobie szczerzoty skarb ludzkiego istnienia i ludzkiej duszy.

Kołki... odcięte od ludzi i świata. Żydowskie domki po obu stronach drogi. Przed każdym domkiem stał niewysoki słupek a na nim latarnia, czasem z lampką naftową, czasem ze świeczką. W dniach odświętnych, gdy zapadał mrok, latarnie się zapalały. Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Nastrój „przykucniętego” życia, mającego własne zwyczaje.

W sąsiedztwie Kołek płynął Styr większy i szerszy niż pod Łuckiem. Okolicę zamieszkiwała „dziwna publiczność”. Byli to Rosjanie, dawni dygnitarze carscy, którzy jakimś dziwnym zrządzeniem losu zadowolili się w okolicy Kołek, w zaciszu niemej prowincji, z dala od ludzkich oczu. Bytowanie ich było nad wyraz skromne. Nic nie pozostało z dawnych splendorów. Pozostał tylko protokół towarzyski, pozostały tytuły. Słyszało się *wasze prewoschoditielstwo*, *wasze sijatielstwo*, byli *tajnyje sowietniki* i *diejstwitielnyje sowietniki*... Towarzystwo było w starszym wieku, ubrane po staroświecku w znoszone ubrania. A panie — prawie „babuszki” — istny czar i wdzięk. Zrudziałe stroje, jakie kapelusze, jaka dystynkcja i „wykwitne wychowanie”! Przyznam się, że ta osobliwość Kołek zrobiła na mnie niezapomniane wrażenie. Patrzyłem jak na pierwszorzędnny film. Do tego doszła jeszcze jedna niespodzianka. Przejeżdżając przez Kołki przeczytałem na tabliczce: ulica Michała Anioła. Zgłupiałem. Wyjaśniło się, że za carskiej Rosji ulica nazywała się „ulica Archangieła Michała” i stąd w Kołkach znalazł się Michał Anioł.

Przez Kołki przejeżdżałem stosunkowo często. Prowadził tu mój szlak myśliwski. Parę razy zauważyłem szczupłą, siwiejącą już postać w sutannie, siedzącą na brzegu Styru z wędką w rękę. Z czasem doszedłem do przekonania, że musi to być bardzo sympatyczny ksiądz.

Nadszedł dzień, kiedy księdza poznałem. Przeczucia mnie nie zawiodły. Był to ksiądz osobliwego uroku. A więc urzędowo znalazłem się w Kołkach na uroczystości poświęcenia nowo wybudowanego kościoła.

Mój ksiądz był proboszczem, który dzieło to doprowadził do pomyślnego wyniku. Po uroczystościach kościelnych znaleźliśmy się na uczcie pod gołym niebem. Rozstawiono stoły, do których zasiadło całe towarzystwo, a więc komitet budowy i miejscowa ludność. Kolonia rosyjska stawiała się licznie i wyglądała odświętnie. Byli także Żydzi.

Siedziałem przy głównym stole. Miałem koło siebie księdza, z lewej strony rozradowane i wypasione oblicze popa, a za nim rabin, słowem wszystkie wyznania w komplecie brały udział w uroczystości wzniesienia katolickiej świątyni. Ksiądz opowiadał o budowie kościoła, o tym, jak wszystko szczęśliwie się udało. W pewnej chwili pop nie wytrzymał i zwrócił się do mnie — „panie wojewodo, a belki, które pan w kościele widział, to ja...”. Z kolei eksplodował rabin — „szkło — to ja...”.

Słońce patrzyło na Kołki wzrokiem słonecznym i słońce było w ludziach. Było im dobrze. Warto było na to patrzeć. Tak pozostały Kołki w mojej pamięci. Dodały coś bardzo istotnego do moich rozmyślań o kościele na Wołyniu.

84

Kiedy Wołyn znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, poza miejscową polską ludnością zjawiała się fala polska spoza Wołynia. Zjawily się zastępy urzędników i nauczycieli. Ich wpływ na bieg rzeczy był wielki i twórczy. Ostatni wyraz w zestawieniu z nauczycielstwem jest na miejscu. Trudniej jest z administracją. Jest to praca bardziej „urzędowa”. Na progu stoi widmo biurokracji. W wielu jednak razach tak źle nie jest i na Wołyniu tak źle nie było. Świat administracji był jeszcze w Polsce młody. W pewnym stopniu bieg życia od niej zależy. Administracja może zrobić dużo dobrego i... złego. Na ogół Wołyn nie miał specjalnego tytułu do narzekania. Sprawy szły „normalnie”. Moje osobiste spostrzeżenia mówią, że z biegiem czasu administracja zbliżała się coraz bardziej do wołyńskiego życia.

85

Było jeszcze wojsko. Na Wołyniu stały dwie dywizje piechoty

i Wołyńska Brygada Jazdy. Jak widzimy, było tego wojska dosyć dużo. Poza tym był jeszcze KOP.

Zjawiało się więc na Wołyniu tysiące umundurowanych Polaków. Mundur zwiększał akcent polskości. W wołyńskim pejzażu, w środowiskach polskim i ukraińskim wojsko wносиło predyspozycję życzliwości, dziarskość, uśmiech, akcent żołnierski zadomowiony w duszy polskiej i ukraińskiej.

Polskie wojsko czuło się dobrze na Wołyniu, a Wołyń czuł się dobrze z wojskiem. Nie zauważyłem jakichś godnych uwagi podrażnień pomiędzy wojskiem a miejscową ludnością, nieporozumień, ekscesów.

Pozytywny stosunek do wojska nie obejmował „Strzelca”, którym wojsko urzędowe się opiekowało. Sprawa „Strzelca” zaczęła się z biegiem czasu komplikować. Była to organizacja bez przyszłości. Wiem, że Piłsudski nosił się z zamiarem jej rozwiązania.

Na Wołyniu „Strzelec” był nieporozumieniem. Propagował patriotyczny zapal polskiej młodzieży typu „bogoojczyźnianego”, „obronę polskości” w nie polskim, ukraińskim środowisku itd. Nie układało się to z „wołyńską polityką”. W terenie powstawały tarcia i nieporozumienia, nawet wrogi stosunek „Strzelca” do „Młodzieży Wiejskiej”. Na Wołyniu „Strzelec” przeszkadzał. Doszło nawet do procesu politycznego w Okręgowym Sądzie Łuckim, który „Strzelec” wytoczył „wołyńskiej polityce”. Komplikowało to tylko stosunki z dowództwem wojskowym DOK - Łublin.

O s a d n i c y w o j s k o w i. Trudno mi w tej chwili ustalić ich liczbę. Było ich na Wołyniu dobrych parę tysięcy. Wspominałem już o nich. Była to pokaźna dawka polskości wprowadzona w wołyński świat, tysiące byłych polskich żołnierzy z różnych stron Polski, postaci najprzeróżniejszych, o różnych kwalifikacjach, zaletach i wadach. Znaleźli się oni w bezpośredniej bliskości z wołyńską wsią, przeważnie ukraińską, w wysiłku dnia codziennego, w pracy na roli. Na ogół żywioł osadniczy wniósł w wołyńskie życie inicjatywę, temperament, spore umiejętności organizacyjne, odwagę podejmowania zadań, których dotąd nie podejmowano.

Osadnikom towarzyszyła pewna „ideologia” i „fason” wojskowych. Spotykano się z kompleksem „zbawców ojczyzny”, „obrony polskości”, pełnienia specjalnej misji na kresach Rzeczypospolitej itd. Było nawet coś z Mohorta...

Z biegiem czasu rozgwar tej ideologii ucichł. Świat osadniczy z korzyścią dla Polski i Wołynia wrastał w miejscowe życie,

stawiał się coraz bardziej „swoj”. Widzimy osadników w organizacjach społecznych, gospodarczych, ich inicjatywę oświatową, widzimy ich na polu politycznym, w sejmie... Osadnictwo było dla Wołynia dobrym nabytkiem. Wołyń przyzwyczaiał się do nich, a oni do Wołynia. „Wołyńska polityka” miała z nich coraz większą korzyść.

86

Poza wymienionymi już środowiskami polskimi, przybyłymi na Wołyń z Polski, należy wymienić pojawienie się wolnych zawodów, handlu, różnych fachowców i specjalistów, działaczy kulturalnych, naukowców, artystów... Wzbogacało to życie Wołynia, powstawał, jak się niejednokrotnie przekonałem, swoisty wołyński patriotyzm i sentyment do Wołynia.

87

Omówiłem różne elementy wywierające wpływ na polską postawę. Były to pozycje różnego rodzaju i wymiaru. Jeżeli chodzi o ogólną postawę Polaków na Ziemiach Wschodnich, nie sposób pominąć akcentu „kresowości” jako zjawiska przyrodzonego kresom, powstałego w klimacie miejscowego życia. Zjawisko to afirmowało kresową rzeczywistość, było wyrazem stabilizacji stosunków pomiędzy ludźmi.

Nie sposób także w ogólnym obrachunku kresowej rzeczywistości pominąć „tutejszość”. Narodowa świadomość ukraińska stawiała pierwsze kroki. Ogromna większość mieszkańców Wołynia wyznania prawosławnego byli to „ludzie tutejsi”. To także miało niemałe znaczenie dla biegu życia i stawiania się życia, występowało w różnej skali i w różnych zabarwieniach.

Nie dla wszystkich było jasne, że zadaniem Polski jest iść ręką w rękę z naradzającą się ukraińską świadomością, iść razem z nią, a nie przeciw niej.

88

Nie sposób także w ogólnym obrachunku kresowej rzeczywistości przejść do porządku dziennego nad akcją stronnictw politycznych, która w sposób sobie właściwy ciążyła na układzie rzeczy. Jeżeli chodzi o Wołyń, może być mowa jedynie o stron-

nictwie narodowym i endeckiej mentalności. Stronnictw lewicowych na Wołyniu nie zauważono.

Mentalność endecka, popierana powszechnie przez kler, była w kształtowaniu się polskiej postawy na Ziemiach Wschodnich wrogiem numer jeden. Walka z nią nie była łatwa. Endeckość zdołała usadowić się wszędzie, w różnych szczelinach życia, i przy każdej sposobności szczyrzyła zęby.

Mentalność ta, jak w swoim czasie wspominałem, jest polską postawą niszczącą to, co w Polsce jest ogólnoludzkie. Jeżeli wyobrazimy sobie taką właśnie polską postawę w środowisku mieszanym, w danym razie polsko-ukraińskim, ogarnia nas przeżalenie. Obserwowałem ją także w postaci antysemityzmu.

Endecka myśl miała na Wołyniu swe dawno zasiedziałe pozycje. Było z nią niemało kłopotu. W miarę jednak czasu mogłem zaobserwować, że echo myśli endeckiej słabło. Świat endecki tracił wyraźnie monopol na Polskę.

Do głosu dochodziły inne wartości. Wołyń był tego wymownym przykładem. Coraz wyraźniej dawała o sobie znać „polityka wołyńska”. W pewnej chwili wkroczył na arenę BBWR — oficjalna i urzędowa reprezentacja polskiego życia „pomajowego”. Nie wychodziła ona za ramy „wołyńskiej polityki”, stała się jej propagatorem.

89

O jednej jeszcze wołyńskiej osobliwości nie było mowy. Mam na myśli nieustającą ani na chwilę dywersyjną akcję Sowietkiej Rosji. Mówiłem o tym szczegółowo w rozważaniach o Rosji. Wspomnę o KPZU — Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Bo tak się to nazywało.

Przyznaję się, że walka i unieszkodliwianie działalności KPZU nie były tematem, którym się specjalnie interesowałem. Oddawałem to bezpieczeństwu i policji, no i prokuratura namiętnie tym żyła. Ograniczałem się do przyjmowania sprawozdań. Miałem przekonanie i pewność, że wszystko odbywa się jak należy i ja nie mam w sprawie tej nic do powiedzenia. Działo się to automatycznie. Zresztą sowiecka akcja mogła przyczyniać doraźne szkody, nie była jednak w stanie wpłynąć na kształtowanie się wołyńskiego życia, była jakby poza nim.

Nie znaczy, by walka z komunistyczną tzn. rosyjską dywersją nie była dla Polski tematem ważnym i aktualnym, ale metody postępowania ustaliły się wyraźnie. I tak trwało. Czasem zdarzały się sensacje, rozdmuchiwane przez opinię społeczną i prasę.

Czasem zwracały uwagę komunistyczne procesy w tych lub innych sądach.

Za moich czasów pamiętam na Wołyniu dwa takie procesy *monstre*. Pierwszy kończył się, gdy obejmowałem urządowanie, drugi odbył się za mnie. Postarano się o rozgłos i sensację na całą Polskę. Zagotowało się... Urzędujący wówczas minister spraw wewnętrznych Pieracki grzmiał w sejmie i wygrażał z sejmowej mównicy, że „zrobi porządek z Wołyniem i wołyńską policją”. Zostały poruszone sfery polityczne, społeczne, intelektualne, nawet Antoni Słonimski ruszył do ataku. Wszystko ucichło i nie pozostawiło po sobie śladu. Został jeden ślad, nad którym trudno przejść i nie spojrzeć mu w oczy — wiersz Broniewskiego, jak komisarz policji wołyńskiej, Zaremba, znęcał się w śledztwie nad komunistami. Wiersz ten czytałem. Wiersz ten przez cały czas stał mi przed oczami. Stał mi także przed oczami w roku 1953, kiedy słyszałem na Mokotowie głosy torturowanych więźniów — krzyk zamęczanych na śmierć ludzi. Ale Broniewski na takie tematy wierszy już nie pisał. W wypowiedziach pośmiertnych tragedię Broniewskiego zbagatelizowano. Ani Miłosz, ani Wierzyński ani inni tematu tego nie tknęli.

90

Wspominałem o różnych wydarzeniach i zjawiskach z życia Wołynia. Dla ilustracji tego, co się na Wołyniu działo, wspomnę jeszcze o przyjeździe na Wołyń w roku 1928 prezydenta Mościckiego.

Prezydent zabawił na Wołyniu 10 dni. Było to pasmo nieprzerwanych uroczystości różnego rodzaju i znaczenia. Prezydent miał możliwość bezpośrednich spotkań z ludnością, z różnymi jej warstwami, Polakami, Ukraińcami, „tutejszymi”. Pobyt wypadł wyjątkowo pomyślnie. Wołyń szczerze się cieszył i był podniesiony na duchu i prezydent się cieszył. Podziwiałem wytrwałość prezydenta w ponoszonych trudach, talent „urzędowania”.

Nawet po paru latach prezydent mówił, że nigdzie w Polsce nie przyjmowano go tak wzruszająco jak na Wołyniu. Pobyt pana prezydenta nie był formalnością i zdawkowym urzędowym manewrem, był czymś więcej.

Marszałek Piłsudski miał swoje wołyńskie tradycje jeszcze z czasów walk legionowych. Potem stał się w odrodzonym Państwie Polskim człowiekiem — symbolem. Wołyń w tym był i to rozumiał swoim wołyńskim sercem. Na śmierć Marszałka

Piłsudskiego pokrył się żałobą, która zajaśniała wszędzie, i zdobył się na krok, który jedynie na Wołyniu miał miejsce. Mam na myśli „ślubowanie wołyńskie” na wierność Marszałkowi. Został zredagowany i wydrukowany tekst „ślubowania”. Tekst ten podpisywały uroczyście tysięczne rzesze wołyniaków bez różnicy wyznań i narodowości. Podpisywano w województwie, starostwach i innych gmachach. Podpisy miały być zebrane i w odpowiedniej rzeźbiarsko-artystycznej oprawie wmurowane na Zamku Lubarta w Łucku. Niestety do tego nie doszło.

91

Życie na Wołyniu rozwijało się i krzepło. Byłem spokojny, że ze strony prowadzonej z tak wielką zajądlnością sowieckiej akcji „nic się Wołyniowi nie stanie”. W ostatnim roku mego urzędowania przyszła za to dywersja endecko-oenerowska, tzn. głów zatumanionych endecko-oenerowskim natchnieniem, „reżimowców”, piłsudczyków, oficerów. Były to czasy po śmierci Józefa Piłsudskiego i „ery Śmigłego”.

Już od dłuższego czasu obserwowałem ferment wśród znanych osobistości legionowych. Np. mój szczerzy przyjaciel, Adam Koc... Byli także inni. Powstał „klub jedenastego listopada” zorganizowany przez ministra sprawiedliwości Grabowskiego, organizacja o ciągotach faszystowsko-hitlerowskich. Pojawiały się znaki na ziemi i niebie o zmianach wyobraźni polityczno-ideowej w środowisku legionowo-reżimowym i wyraźnym zbliżaniu się jego do świata endecko-oenerowskiego.

Nie brałem w tym udziału. Rzuciła się w oczy rosnąca agresywność wyższych sfer wojskowych. Spotykać się zacząłem z nieprzebiegającymi w środkach demonstracjami przeciwko mojej osobie i „wołyńskiej polityce”, z podejmowaniem inicjatywy politycznej na własną rękę.

Byłem co prawda przyzwyczajony do wymyślenia w prasie, prawie całej ówczesnej polskiej prasie. Nie tylko *ABC* i *Gazeta Warszawska* szkalowały moją osobę i moją politykę. Robiono ze mnie zdrajcę, sprzedawczyka sprzedającego Polskę Ukraińcom, a nawet, jak się „okazało”, sowieckiej Rosji. Prawosławie także robiło swoje.

Jeżeli mówię o obozie bogoojczyźnianym i jego na mnie ataku, muszę stwierdzić, że nie wszystkie „legionowe ekscelencje” tak postępowały. Miałem przyjaciół, którzy nie drgnęli i w najcięższych chwilach byli ze mną. Na przykład Sławek, np.

Bogusław Miedziński-Świtek, Janusz Jędrzejewicz i inni jeszcze. Byłem wzruszony, że „Szefer” — Sosnkowski — broni mnie zawsze i nie pozwala w swojej obecności złego słowa o mnie powiedzieć. Nie były to jednak postacie biorące udział w nowej politycznej rzeczywistości, jaka po śmierci Komendanta powstawała pod auspicjami Śmigłego.

Do roku 1935, do dnia śmierci Komendanta, Śmigły był moim wielkim i serdecznym przyjacielem. Dawał tego niejednokrotnie dowody. Cenił moją pracę państwową i polityczną. Nie raz rozmawialiśmy na te tematy.

W parę dni po śmierci Komendanta byłem u Śmigłego w jego prywatnym mieszkaniu. Rozmawialiśmy o sytuacji. Śmigły prosił o najbliższą z nim współpracę.

Po tygodniu czy dwóch wszystko się zmieniło. Z nieznanym mi powodów Śmigły zerwał ze mną stosunki i przestał się widywać, co więcej, wyrażał się krytycznie o mojej osobie i działalności... Jest to zagadka, której nie dane mi było rozwiązać. Na ten temat miałem w Spale długą, parogodzinną rozmowę z prezydentem Mościckim. Rozmowa ta nie zmieniła powstałej między Śmigłym a mną sytuacji.

Zachowanie się Śmigłego miało oczywiście wpływ na postawę wojska, „dolewało oliwy do ognia”. Panowie oficerowie z większym jeszcze zapałem podjęli ze mną walkę. Spychało mnie to na pozycję walki ze Śmigłym, której nie podjąłem.

Wracam do spraw wołyńskich. Zaczęło się stosunkowo niewinnie, od „szlachty zagrodowej”, a doszło niebawem do odbierania prawosławnych cerkwi i akcji *obraszczenia w katolicyzmo* wołyńskiej prawosławnej ludności. Nie będę podawał szczegółów. Są zbyt drastyczne. Akcja ta wywoływała największe oburzenie wśród ukraińskiej prawosławnej ludności. Rozpalała niechęć i nienawiść do Polski, na terenie międzynarodowym stawiała Polskę pod pręgierzem opinii świata.

Nie ratowała sytuacji okoliczność, że wspomniane cerkwie były niegdyś kościołami unickimi i nawet katolickimi, zabranymi Polakom przez rządy carskie i oddane prawosławnym. Nad tym, rzecz jasna, nie można przejść do porządku. Ale zadośćuczynienie dokonany mi krzywdom w żadnym wypadku nie mogło się odbywać tak jak to miało miejsce na Wołyniu.

I ja kiedyś odebrałem cerkiew, która swego czasu była kościołem. Wszyscy pamiętamy Wyszogródek. Rzecz cała odbyła się jednak inaczej. W uroczystości brali udział duchowni katolicy i prawosławni w obecności władz i przedstawicieli Metropolity.

To, co się na Wołyniu działo w roku 1938, stawiało się nie do zniesienia. Był to zamach nie tylko na prawosławnych, ale zamach na Polskę. Próbowałem się przeciwstawiać. Przeprowadzałem rozmowy z najwyższymi dostojnikami Państwa. Z chwilą kiedy przyszedłem do przekonania, że nic się nie da zrobić, pojechałem do Warszawy, zameldowałem się u premiera i ministra spraw wewnętrznych gen. Sławoja-Składkowskiego i złożyłem na jego ręce dymisję ze stanowiska wojewody wołyńskiego.

93

Nie miałem poczucia przegranej, kiedy żegnałem się z Wołyniem. Otaczała mnie fala serdeczności, pewności że jestem i będę z Wołyniem, a Wołyń jest i będzie ze mną. Dogadaliśmy się z tą ziemią.

W dniu mego wyjazdu przeżyłem niezapomniane chwile. Pamiętam pożegnanie z moimi najbliższymi przyjaciółmi i „towarzyszami broni” w bitwie o Wołyń. Słowa, które padły pomiędzy nami w uroczystości pożegnania, żyją po dzień dzisiejszy.

Pamiętam także, jak wpadł do mnie przed południem do mego prywatnego mieszkania na parterze wojewódzkiego gmachu poruszony i zbulwersowany wicewojewoda Konopacki. Wzywał, bym natychmiast szedł na górę, tzn. do Urzędu Wojewódzkiego, bo jak pójdzie tak dalej, gmach się zawali... Zjawiły się tysiące ludzi, w ogromnej większości wołyńskie *diad'ki*. Ukraińska wieś przyszła mnie żegnać. Tłum ten zalał wszystkie korytarze i tłoczył się w reprezentacyjnej sali Województwa.

Ledwie się precisnąłem do tej sali, pomimo że starano się zrobić drogę. Tłok był nie do zniesienia. Takiej sali jeszcze nie widziałem. Rozległo się parę przemówień. O ile pamiętam, mówili osadnicy, „Młodzież Wiejska” i inni. Nie było to jednak miejsce do przemówień. Było za ciasno. W pewnej chwili przecisnęła się do mnie jakaś postać i spytała po ukraińsku, co chcę by mi zaśpiewano. Odpowiedziałem: *zaspiwajcie Żurawli*. Po chwili zespół ukraiński na górującym nad salą chórze, uprzednio tam już zgromadzony, zaśpiewał *Żurawli*, a potem „Jeszcze Polska nie zginęła” — po ukraińsku.

Byłem wciśnięty w tłum i tłum patrzył na mnie. Patrzyły oczy polskie i oczy ukraińskich *diad'ków*, oczy ukraińskiej wsi. Widziałem, jak oczy te płakały, jak łzy toczyły się po policzkach.

Pociąg z Łucka do Warszawy wyjeżdżał o jedenastej wieczorem. Na dworcu żegnał mnie tłum, przyjaciele i towarzysze pracy. Zjawił się biskup prawosławny, Polikarp, i błogosławił Krzyżem św. Pożegnanie na dworcu było do przewidzenia. Nie było do przewidzenia to, co miało nastąpić. Pociąg szedł nocą. Na każdej stacji wołyńskiej, na której stawał, były tłumy z pochodniami. Przyjmowałem delegacje. Żegnano mnie. Śpiewano. Tak było do ostatniej wołyńskiej stacji. Położyć się i odpocząć mogłem na Lubelszczyźnie.

Pożegnanie z Wołyniem nie było rozstaniem z Wołyniem, a jeszcze większym z nim zespoleniem. To, co działo się na Wołyniu za czasów mego urzędowania, jest we mnie i stanowi o tym, czym jestem dzisiaj. Rzecz cała polega na tym, jak się objawia w dzisiejszej wołyńskiej rzeczywistości, w świecie wołyńskich wysiedleńców w Kazachstanie, w bezkresach Syberii... Nie wiem, jak jest z gromadką Wołyniaków wygnanych przez „dziejową lawinę” na Zachód...

Nie mogę nie powiedzieć o tym, co obserwuję w Polsce. Nie mówię o garstce przyjaciół, z którymi łączą mnie czasy wołyńskie. Mam na myśli postacie mi nieznane, wyłaniające się na ulicach Warszawy, w innych miastach i miejscowościach Polski. Postać taka, nie zauważona przeze mnie w tłumie przechodniów, podchodzi i mówi: „Pan mnie nie poznaje...”. Po zamienieniu paru słów wychodzi na jaw, że łączy nas Wołyń. Padają słowa: „Były to najlepsze lata w moim życiu”. Uścisk ręki i... wiem, kto ze mną rozmawiał. I dla mnie były to najlepsze lata.

C z ę ś ć d r u g a

SPRAWA UKRAIŃSKA

Temat ten pojawia się w aureoli tradycji, tego co było kiedyś. Mówi o nim historia. W życiu Polski było to coś bardzo istotnego.

Tak było przez wieki, a kiedy Polska po długoletniej niewoli wróciła do niepodległego bytu, żołnierz polski stanął nad Dniep-

rem ramię w ramię z walczącą o wolność Ukrainą. Tego nikt nie wykreślił, nie zmienił — to się stało. Tak dała o sobie znać sprawa ukraińska na progu wskrzeszonego państwa Polskiego. Kto z żyjących podówczas Polaków tego nie widział, o tym nie wiedział, był poza Polską.

Nie jeden nad sprawą ukraińską się „mądrzył”. Słyszeliśmy głosy polityków, intelektualistów, zawodowych inteligentów. Niemalą rolę odgrywała polska trójzaborowość. Wszyscy mieli „rację” i każdy miał „rację”. Ale miał także coś do powiedzenia bieg wydarzeń i ten był najbardziej wymowny. Opinie społeczeństwa i poszczególnych jego przedstawicieli świadczyły o stanie polskich umysłów. Można by dojść do niejednego wniosku. Nie o to jednak chodzi. Chodzi o stwierdzenie, że sprawa ukraińska była istnieniem i stawianiem się Polski.

Mówimy o czasie przeszłym, o tym, co było wczoraj. A dzień dzisiejszy... Czyżby sprawa ta przestała istnieć, stała się nieobecna, nie miała nic do powiedzenia, była po prostu niepotrzebna? Pytania te pojawiają się automatycznie, mają swoją wymowę — wymowę dni w których żyjemy, warunków, w których Polska się znalazła. A może Polska się zmieniła, zmieniły się czasy? Głos ma „współczesność” i to „co nadchodzi”.

Jeżeli istnieją słowa, które niosą w sobie dosadne nieporozumienia, są to właśnie słowa „współczesność” i „to, co nadchodzi”. Opinie intelektualistów różnego autoramentu płyną szeroką falą. Tłum najbardziej dekoracyjnych postaci propaguje swoje poglądy. Mówi się o wszystkim ale o Ukrainie się nie mówi. Usta milczą, wargi się nie poruszają. Coś w tym jest.

Zdajemy sobie sprawę z sytuacji. W Polsce, gdy piszę te słowa, nie o wszystkim wolno mówić. Trzeba żyć, to znaczy ustępować z drogi temu co zakazane. W wielu razach robi się to w sposób pomysłowy, niepozbawiony wdzięku i nawet aureoli moralnej.

Nie wszystko się jednak do tego sprowadza. Nawet i tam, gdzie zakazy nie obowiązują — w rozmowach w cztery oczy o Ukrainie się milczy. Sprawa ta jakby „wyparowała” z polskiego życia. I tu dochodzimy do sedna rzeczy — do pożałowania godnego stanu polskich umysłów.

Nie mówię o sposobie myślenia uwzględniającym dyspozycje Moskwy. Robi się to brutalnie albo subtelnie. To ostatnie jest bardziej odrażające. Nie mówię o tradycyjnym sposobie myślenia endeków. Mentalność endecka ma swoich prekursorów, swoją historię, była zawsze wrogiem tego, co w Polsce miało walory ogólnoludzkie.

Za mojego życia poznałem oblicze polskiego szowinizmu, brutalność postępowania wobec obywateli Rzeczypospolitej narodowości niepolskich. Dość wymienić antysemityzm. Dzisiaj, czytając prasę, mimo woli kojarzę francuskie OAS z polskim ONR. Pamiętam odbicie sprawy ukraińskiej w zwierciadle endeckiej świadomości.

Tak zwane „młode pokolenie” polskie o niczym nie wie, nie pamięta, Ukraina jest poza jego wyobraźnią. Trudno jednak przypuścić, że sprawa ukraińska została raz na zawsze z głów młodego pokolenia wyobcowana. Pokolenie to nie zdaje sobie sprawy z tego, co w nim drzemie.

Jest jeszcze emigracja. Jak by się wydawało, emigracja ma możliwość manewru. Jednak wieści, jakie dochodzą, nie są budujące. Emigracja polska i ukraińska nie wydają się mieć sobie wiele do powiedzenia. Jedyną pozycją dodatnią jest paryska *Kultura*.

W dzisiejszym układzie rzeczy mówienie o układzie polsko-ukraińskim nie jest, jak widać, nikomu potrzebne. A jednak mówić trzeba. Sprawa ta nie jest mniej realna, niż była na przestrzeni wieków, jak była za czasów dwudziestolecia niepodległej Polski. Jest realną bez względu na zmianę panujących na Ukrainie i w Polsce stosunków, jest jednym z podstawowych akcentów istnienia Polski zawsze tej samej, a zarazem coraz to innej. Zmienia się układ rzeczy, zmieniają się dekoracje, zmieniają się Polacy i Ukraińcy, pozostaje „jestem” Polski i „jestem” Ukrainy. Bieg wydarzeń przybiera postacie najbardziej nieoczekiwane, wstrząsające, tragiczne, pochłania myśl i wyobraźnię. Nie sposób jednak przyjąć, że Polska i Ukraina przestaną być same sobą.

Nie są to rozważania metafizyczne, zawisające w pustce. Mówiąc tak o Ukrainie i Polsce, czuję pod nogami najbardziej realny i jedynie realny grunt. Nie chodzi o dowód, definicję — chodzi o stwierdzenie faktu. To, że Polska jest dziś satelitą Moskwy, a Ukraina jedną z republik sowieckich, nie zmienia istoty rzeczy. Nie zmienia postaci rzeczy brutalne, konsekwentne, nie przebiegające w środkach izolowanie Ukrainy i Polski. Jest to dla Rosji rzeczą największej wagi. Chruszczow, dzisiejszy dyktator sowiecki i kat Ukrainy, spełnia tę czynność ze znajomością rzeczy.

Odnosi się wrażenie, że w chwili obecnej przeżywamy coś w rodzaju *antraktu*. Na scenie polsko-ukraińskiej nie pojawia się żaden aktor. Scena świeci pustką. Czy będzie tak zawsze?

Nie jeden intelektualista akceptuje antrakt jako rzecz zrozumiałą, normalną, idzie nawet dalej, uważa, że jest to definitywne pogrzebanie polsko-ukraińskiego układu.

Nie jest to budujące, jest żałosne i żałosne są figury „apostolów” współczesności głoszących tę prawdę.

Są także ludzie, którzy „odetchnęli”, że balast ukraiński został wyrzucony za burtę polskiego życia. W tym widzą pomysłość. Jak na zawołanie pojawia się Polska piastowska, monolog o „prawdziwej” Polsce w etnograficznych granicach, obojętnej na to, co się poza granicami dzieje, monolog o wstąpieniu Polski na jedynie słuszną drogę. Jednak to, co ma miejsce pomiędzy Ukrainą a Polską nie znika z powierzchni życia zależnie od takiej lub innej konfiguracji granic państwowych i politycznego układu.

Kiedy „scena” znowu się zaludni, ujrzymy nowe dekoracje, nową reżyserię „przedstawienia” kierowanego ręką wolnych narodów, a nie, jak dzisiaj, ręką Moskwy — reżyserię regulaminu więziennego. Więzienia Rosji Sowieckiej mają swą wymowę, znana całemu światu.

Przed ukazaniem się tej „sceny” chcę zwrócić uwagę na pewne istotne w przekonaniu moim momenty, które nadają charakter „przedstawieniu”, które zawsze były na scenie obecne i będą obecne zawsze.

Nie mam zamiaru powoływać się na historię, nie będę przeprowadzał analizy historycznej ani historiozoficznych rozważań. Chcę powiedzieć o tym, jak sprawę ukraińską widziałem w moim życiu, jak ją przeżywałem i brałem w niej udział, jak stała się częścią mojego istnienia. Będzie to swego rodzaju przyczynkiem do historii, materiałem źródłowym jakim jest życie poszczególnego człowieka — w danym razie moje życie.

I. Kijów — 1982-1914

1

Urodziłem się w Kijowie w roku 1892. Lata mego dzieciństwa widzę jak przez mgłę. W moim rodzinnym domu była Polska. Za progiem patrzył na mnie świat inny, nie polski. Świat ten zarysowywał się coraz wyraźniej. Wyrastał Kijów, ulice, domy, ogrody, perspektywy naddnieprzańskich dali. Był to świat pełen uroku, bliski, mój. Tłum płynął ulicami, stawał się coraz bardziej znajomy, żywałem się z nim, rozumiałem go. Panował

język rosyjski. Był to tłum swoiście rosyjski, nie taki jak w miastach rdzennej Rosji. Język rosyjski słyszało się na ulicach, w sklepach, tramwajach, urzędach, instytucjach. Mówili nim starsi, młodzież, dzieci. Język ten nie raził.

Rosyjskość Kijowa nie była drapieżna, nietolerancyjna, była jakaś oswojona. Przechodziło się nad nią do porządku. Mijały dnie, miesiące, lata. Przed oknami naszego domu przepływała rzeczywistość raczej życzliwa, zaglądała do okien, a my patrzyliśmy na nią. Polakom nie powodziło się w Kijowie źle. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że stosunki układały się pomyślnie.

Niebawem jednak, już po pierwszych latach dzieciństwa, doszły o Rosji wieści inne. Rosja stała się uosobieniem dokonanej nad Polską zbrodni, zakuła Polskę w kajdany. Widziałem rosyjską rzeczywistość „przepływającą życzliwie przed oknami naszego kijowskiego mieszkania” i ujrzałem tę drugą...

W naszym domu stosunki towarzyskie były wyłącznie polskie, z bardzo małymi wyjątkami. Byli to przyjaciele mojego ojca ze świata artystycznego — malarskiego i intelektualnego. Kiedy zacząłem uczęszczać do Pierwszego Kijowskiego Gimnazjum, poznałem kolegów Rosjan. Uniwersytet poszerzył krąg moich rosyjskich przyjaciół. Wkraczałem coraz bardziej w rosyjskie życie. Niemałe wrażenie sprawiała wielka rosyjska literatura, świat naukowy, artystyczny. Wreszcie w polu mego widzenia pojawia się fala rosyjskiego ruchu postępowo-rewolucyjnego. Wpływało to na mój stosunek do rosyjskiej rzeczywistości.

2

W latach, o których mowa, tzn. do roku 1914, nie zauważyłem w świecie kijowskim jakiegoś wyraźnego ukraińskiego akcentu — jakiejś wyraźnej pozycji społecznej czy politycznej. Był ukraiński teatr na peryferiach miasta, który od czasu do czasu dawał przedstawienia o charakterze ludowym. Od czasu do czasu pojawiały się sporadyczne ukraińskiej wydawnictwa z zakresu historii sztuki, etnografii, wspomnień. Przed pierwszą wojną światową ambicje ukraińskie nie sięgały dalej poza teatr i tzw. *tołstye żurnaly*. Akcent ukraiński gubił się bez echa w rozgwarze miasta.

Za to poza Kijowem, na wsi, Ukraina zalegała świat po horyzont. Wieś była ukraińska, nieskażona rosyjskością, po ukraińsku rozśpiewana. Była sama sobą i tak trwała. Spotyka-

łem się z nią co roku na wakacjach. Patrzyliśmy sobie w oczy i było nam dobrze.

3

Nie będę opisywał czaru przyrody, nieba, ziemi, Dniepru, Rosji, stepu, wschodów i zachodów słońca, ukraińskiej nocy... Zrobili to już poeci. Na piękno Ukrainy chcę zwrócić uwagę ze względu na to, że jest tak bardzo bliskie i swoje temu, co polskie.

W Ukrainie Polak może się zakochać. Ukraina może stać się jego drugą ojczyzną, a Polska zakwitnąć osobliwym czarem. Nie znaczy to, że mamy pisać wiersze. Iluż znałem takich, co wierszy nie pisali, nie pisali rozważań i esejów — „pisali” o niej swoim życiem, a raczej życie „pisało” stronie przesuwających się dni, miesięcy, lat. Wszyscy oni kochali się w Ukrainie. Mogły to być postacie najmniej efektowne, nieimponujące, dziwaczne, nie z prawdziwego zdarzenia, postacie najbardziej polskie, prostytutkowie i ludzie wykształceni, prości chłopci i wielcy panowie — bo tak się o takich typach swego czasu mówiło. Mogły to być dzieci patrzące przed siebie niewidzącymi oczami i starcy widzący świat jak przez mgłę. A może takie oczy najlepiej „widzą”... oczy dzieci, a mgła wzroku starych ludzi wie bardzo wiele.

4

Działo się to poza takim lub innym układem społecznym, gospodarczym, politycznym, które stanowiły po swojemu o takim lub innym biegu rzeczy. Czasem taki „bieg” był mało imponujący a nawet tragiczny.

Rzecz polsko-ukraińska wymagała i wymaga osobliwego wtajemniczenia. Ani *homo economicus*, ani *homo sapiens*, ani nawet politycy różnego autoramentu nie mieli czasem wiele do powiedzenia, pomimo że mówili. O rzeczy polsko-ukraińskiej, o tym, co jest pomiędzy Ukrainą a Polską, wiedzą i stanowią we właściwy sobie sposób imponderabilia Polski i imponderabilia Ukrainy.

Widzieliśmy je w najbardziej dziwacznych i nielogicznych sytuacjach, słyszeliśmy w arpeggiach śmiechu, w szemraniu dni codziennych, w akordach męki, w zgrzycie bezsensu, w inscenisacji wielkości i małości człowieka, w miłości i nienawiści...

Obraz stosunków polsko-ukraińskich dla postronnego widza nie jest łatwy do odczytania. Ci, co chcą zrozumieć o co chodzi, posiłkują się „zdrowym rozsądkiem” i aparaturą logiki, nie raz z miejsca gubią wątek, roz mijają się z ukraińsko-polskim „my”, o które w istocie rzeczy chodzi i które o wszystkim stanowi.

5

Wydawałoby się, że jestem niepoprawnym romantykiem, a chodzi przecież o trzeźwe i realne ujmowanie sprawy, obiektywną ocenę i rozsądne działanie. Oświadczam, że ocena nie biorąca pod uwagę mego punktu wyjścia i metody myślenia, jest z natury rzeczy nierealna. Największa „trzeźwość umysłów” i realność oceny nie są do pomyślenia bez uwzględnienia imponderabiliów.

Nie znaczy, abym odmawiał znaczenia walorom rozumu teoretycznego, pomniejszał znaczenie nauki, ścisłego rachunku i logicznej aparatury w głowach ludzkich, niezbędnej w „mieszkaniu” człowieka XX wieku, podobnie jak centralne ogrzewanie albo wodociąg... Kiedy jednak chodzi o najbardziej istotną treść w stawianiu się ludzkiego świata — o twórczość społeczną, o ludzkie „my”, pozycja imponderabiliów jest pozycją dominującą, nie mniej realną od innych, nie można jej niczym zastąpić. Mówiąc tak, nie chcę nikogo obrażać. Nie mam zamiaru „wymawiać posady” szanownemu *homo economicus*, albo najbardziej utytułowanemu *homo sapiens*. Należą im się słowa uznania, nagrody i odznaczenia.

Po tych uwagach moje wspomnienia o latach młodości nabierają barw życia. Staje się zrozumiałe powiedzenie, że kiedy spotykałem się z ukraińską wsią, „patrzyliśmy sobie w oczy i było nam dobrze”.

6

Imponderabilia mają miejsce nie tylko w świecie polsko-ukraińskim. Jest to w układzie ludzkich stosunków pozycja uniwersalna. Jakże wymowny jest świat polsko-węgierski. Powiedzenie „Polak Węgier dwa bratanki” nie da się sprowadzić do dowcipu dla dowcipu, do anegdoty. Powiedzenie to ma sens głębszy, niż się niejednemu wydaje. Albo układ polsko-czeski... tu o „bratankach” nie ma mowy.

Jeżeli chodzi o Rosję i Niemcy i stosunek ich do Polski, nie

można ominąć wzajemnej wrogości. Istnieją co prawda i inne pozycje nie mniej realne, ale akcent wrogości ma zawsze coś do powiedzenia.

Obserwujemy także zespalandie się Polski ze światem zachodnioeuropejskim. Nadaje to charakter naszemu istnieniu.

Ale i świat ukraiński ciąży ku Zachodowi. Zachód Europy przegląda się nie tylko w fali wiślanej. Podobnie jest z Dnieprem. Ileż razy za czasów mego ukraińskiego ministrowania, a nawet wcześniej, słyszałem powiedzenie *na zachidnio-jewropejskij zrazok*. Było to zawołanie programowe, głos mówiący o czymś bardzo istotnym. Tak było i tak jest pomimo faktów i inscenizacji mających świadczyć o czymś wręcz przeciwnym, jak np. słowa wyryte na cokole pomnika Bohdana Chmielnickiego w Kijowie: *wolim pod caria moskowskawo prawostawnawo*, albo jak to, że Ukraina jest obecnie jedną ze związkowych republik wchodzących w skład rosyjskiego imperium.

7

Swego rodzaju „muzykalność” pozwalała mi rozróżnić dialog polski-ukraiński od ukraińsko-rosyjskiego. Były to dwie różne prawdy.

Polacy porozumiewali się z ukraińską wsią chętnie i łatwo. Odbывało się to jakby samo przez się, bez przeszkód i zahamowań, było dla obu stron miłe i bliskie, w pewnym stopniu „swoje”. W polskich dworach akcent ukraiński był jak u siebie w domu. Słowa ukraińskie były Polakom potrzebne dla wyrażenia myśli i uczuć. Z pogodnym uśmiechem mijały się słowa polskie zabarwione wymową ukraińską i słowa ukraińskie przybrane polskością.

Dialog ukraińsko-rosyjski wyglądał inaczej — był czymś innym. Najbardziej zatabaczony i zendeczały polski ziemianin i jego ekonom, z tych spod ciemnej gwiazdy, dla których słowo *had* było synonimem ukraińskiego chłopca, mówili po ukraińsku z lubością. Nawet w rozmowach z sobą pojawiały się ukraińskie słowa potrzebne dla lepszego wyrażenia myśli i uczuć. Znałem różne rosyjskie środowiska. Nie mówię o reakcji i „czarnej sotni”, mam na myśli rosyjskich postępowców, liberałów, demokratów, ideowych rewolucjonistów, ludzi budzących szacunek i sympatię. Nie pamiętam wśród nich takich, którzy by chętnie i dobrze mówili po ukraińsku. Odnosiło się wrażenie, że te dwie spokrew-

nione z sobą mowy przy spotkaniu patrzą na siebie zezem, wzajemnie się kaleczą — odwracają się do siebie plecami.

Akcent rosyjski kaleczył dotkliwie ukraińskie słowa, a mowa ukraińska odwzajemniała się stokrotnie, wypaczała wspaniały rosyjski język. Było to nagminne, niemal powszechne. Rosyjskie *udarenie* miało w *Jugo-Zapadnom Kraje* życie ciężkie, nie do pozazdroszczenia.

8

Moje lingwistyczne rozważania wskazują na swój sposób na układ rzeczy pomiędzy tym co ukraińskie, polskie i rosyjskie. Jest to temat dla Rosji wyjątkowo drażliwy. Pamiętam, jak przemawiając w Równem (rok 1927-1928) wyraziłem myśl, że elementy ukraiński i polski pomimo różnicy wiary i pewnych swoich właściwości są sobie pokrewne, bliskie sobie, a momenty ukraiński i rosyjski pomimo wspólnego prawosławia i, zdawałoby się, jednoczących je akcentów, są sobie obce. Rosja Sowiecka zareagowała na moje przemówienie oficjalną notą protestującą do Rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że Stronnictwo Narodowe uważało za stosowne zwrócić uwagę Moskwy na niedopuszczalne zachowanie się urzędującego wojewody, a potem stanęło po stronie Moskwy w konflikcie z wojewodą wołyńskim. Patrz artykuły *Gazety Warszawskiej*.

Moje rówieńskie przemówienie miało oparcie w doświadczeniu mego życia, obserwacjach i spostrzeżeniach poczynionych jeszcze w zaraniu mojej młodości. Nieraz stwierdzałem, że nawet jakaś polska kreatura z pełną gębą przekleństw jest dla wsi ukraińskiej bardziej „swoja” niż niejeden wzniosły inteligent rosyjski. Nie raziła polska katolickość, nie odrzucała Polaków za próg swojszczyzny, była po mojemu życiu ukraińskiemu bliska. Prawosławie nie spełniało roli jednoczenia ukraińskiej rzeczywistości z Rosją, pomimo wyraźnych usiłowań *obrusienija*.

9

Jugo-Zapadnyj Kraj Rosją nie był. Był czymś innym. Nie można było o nim powiedzieć: *tut ruskij duch, tut Rusju pachniet*. Gdyby kraj ten mógł mówić, usłyszeliśmyy zgoła coś innego. Niejedno do powiedzenia miałaby historia. Gdyby dał głos historii, moje osobiste spostrzeżenia i uwagi nad otaczającą mnie

rzeczywistością uzyskałyby nie byle jakie poparcie. Zgodnie jednak z zapowiedzią, do historii odwoływać się nie będę. Rzec całą zamknę w polu widzenia tego, na co patrzyły moje oczy, moje życie, w czym brałem udział osobisty, a co można by nazwać przygodą mojego istnienia.

10

Jak już wspominałem, za czasów mojej młodości „sprawa ukraińska” nie istniała. Nie było znaków na ziemi i niebie, które świadczyłyby o jej obecności albo ją zapowiadały.

Bezapelacyjnie i wszechwładnie panowała wersja rosyjska, konwencja ujmowania rzeczywistości będącej wyrazem rosyjskiego sposobu myślenia i kanonów rosyjskiej państwowości. Mówiąc o „rosyjskim sposobie myślenia” mam na myśli wszystkie odcienie rosyjskiego politycznego świata, od reakcyjnych do najbardziej postępowych.

Chodziło o rosyjską asymilację miejscowej rzeczywistości, o nadanie rosyjskiego akcentu miejscowemu światu. Wydawało się, że dzieje się to samo przez się. Rosyjskość i Rosja, jak by się zdawało, posuwały się bez przeszkód w zwycięskim i niczym niezamącanym pochodzie.

I tu obserwujemy rzecz niezwykle ciekawą i charakterystyczną. Wieś ukraińska, pomimo russyfikacyjnych zabiegów, pozostawała wierna sobie. Russyfikacja spływała po niej bez śladu... a jeżeli „ślady” takie były, były powierzchowne. Inaczej rzecz się miała w środowisku inteligencji. Ukraińska inteligencja wrażała w rzeczywistość rosyjską i rozpływała się w niej bez reszty, zatracając swą ukraińskość. Odnosiło się wrażenie, że miało się do czynienia z samoczynnie działającym automatyzmem wynaradawiania, tzn. z russyfikacją ukraińskiej inteligencji.

W gimnazjum i na uniwersytecie spotykałem się z grupą kolegów Ukraińców wyraźnie zrusyfikowanych. Swoją ukraińskość demonstrowali skromnie i oszczędnie. Była to ich sprawa prywatna.

W życiu naukowym, społecznym, politycznym byli to Rosjanie z pewną wadą rosyjskiego *udarenija*. Żyli i oddychali rosyjską rzeczywistością, tu stawali się, walczyli, tworzyli. Rozumiało się to samo przez się. Inaczej być nie mogło.

Nie mogło być mowy o tragizmie, i w tym objawiał się tragizm pozbawiony wyrazu i słów, przebłysku świadomości.

Jeżeli chodziło o *obrusienie Jugo-Zapadnowo Kraja*, należy to rozumieć we właściwy sposób. Rosja stała na stanowisku, że ma do czynienia z masą ludzką w istocie rzeczy rosyjską, posiłkującą się osobliwym rosyjskim dialektem, poza tym były swoiste akcenty obyczajowe. Ukraińcy należeli w pojmowaniu Rosji do rodziny rosyjskiej, byli to Rosjanie, w najgorszym razie była to jakaś *raznowidnost* rosyjskiego świata. Nie byli to w żadnym razie *inorodcy* podlegający metodom rusyfikacji i dlatego słowo rusyfikacja, gdy o Ukraińcach mowa, należy rozumieć w sposób specjalny. To właśnie decydowało o odmiennym traktowaniu przez Rosję świata ukraińskiego, który zresztą w czasach, o których piszę, tak się nie nazywał, i świata polskiego. Polacy byli czymś więcej niż *inorodcami*, czymś trudniejszym do strawienia dla Rosji.

Była poza granicami Rosji sprawa nieobojętna dla *Jugo-Zapadnowo Kraja*, która Rosję denerwowała. Chodziło o Rusinów galicyjskich — bo tak ich nazywano — monarchii habsburskiej. Rosja nie pozostawała obojętna na emancypowanie się unicko-rusińskiego świata, usiłowała propagować rosyjskie prawosławie, podjęła apostołstwo nawracania unitów galicyjskich na prawosławie, budzenia wśród unitów miłości do Rosji, swej prawdziwej ojczyzny, a Galicję miała za ziemię *istinno ruską*.

Wypadową pozycją prowadzonej przez Rosję akcji stał się Poczajów. Są to rzeczy znane. Znane są postacie biskupa Jewłogia i monacha Heliodora. Wodziła rej *Czornaja sotnia*. Wszyscy pamiętają *Poczajowskij Listok*. Wszystko to było zgodne z rosyjską naturą i duchem rosyjskiego świata.

Za moich młodych kijowskich lat sprawa ta od czasu do czasu dawała o sobie znać, pojawiała się w różny sposób w polu mojego widzenia. Nie były to rzeczy godne uwagi, nie były nikomu potrzebne. Pojawiały się od czasu do czasu jakieś tajemnicze postacie, pogłoski, podszepty.

Pamiętam, jak za mojej bytności w Pierwszym Kijowskim Gimnazjum pewnego dnia zjawił się nauczyciel, Jaworski. Wykładał niemiecki. Była to postać dziwna i nikomu nieznana. Mówiono, że jest to galicyjski Rusin na służbie rosyjskiego rządu.

Temat rosyjsko-galicyjski nie zaprzętał naszych głów, po prostu nas nie obchodził. Temat ten dał o sobie znać podczas

pierwszej wojny światowej. Po zajęciu przez wojska rosyjskie Lwowa przyjechał do Rosji metropolita Szeptycki. Słyszałem, że złożył na ręce cara memoriał. Nietrudno przewidzieć, że poruszone w nim zostały sprawy nie tylko rosyjsko-galicyjskie, ale o większej wiele skali, dotyczące Rzymu i Moskwy. Mówiono, że na owym memoriale car raczył własnoręcznie skreślić słowo *aspid*, co znaczy bazyliszek. Ówczesny pobyt metropolity w Rosji wyników nie dał. Szeptycki, jak się przekonałem w roku 1930, kiedy jako minister spraw wewnętrznych składałem mu wizytę u św. Jura w czasie mojej inspekcji Lwowa, miał ideę fixe odegrania wielkiej roli w trójkącie Rzym - Lwów - Moskwa.

Temat rosyjsko-galicyjski wyjrzał znowu w dniu, kiedy Seweryn Czetwertyński wręczał generałowi Ruzskiemu złotą szablę w upamiętnieniu zajęcia Lwowa przez Rosję — gen. Ruzskiemu, *oswoboditeli istinno-ruskowo goroda Lwowa*, o czym grzmiała prasa. Nie koniec jednak na tym. Z tą samą postawą Rosji spotykamy się, kiedy Małopolskę i Lwów zajęły wojska sowieckie. Stalin z całą konsekwencją przeprowadzał dawną politykę Rosji carskiej, kazał zaaresztować i wywieźć na Wschód unickich biskupów, a duchowieństwo unickie rozpedził i wraz z niepożądaną ludnością zajmowanych przez sowieckie wojska terenów wpakował w idące na Wschód eszelony.

Stalin jako komunista, jako wróg wszelkiej religii mógł z czystym sumieniem to zrobić — było to jego prawo. Nie było jednak ani prawem, ani obowiązkiem komunisty Stalina *nasazdat'* na ziemiach zdobytych przez komunistyczne wojska prawosławia. Było to wyraźnym sprzeniewierzeniem się marksistowsko-leninowskiej doktrynie. Wyraźnym sprzeniewierzeniem się było masowe importowanie na teren galicyjski rosyjskiego prawosławnego duchowieństwa.

W dziedzinie o której przed chwilą mówiliśmy komunistyczna sowiecka Rosja niczym się nie różni od Rosji carskiej. Jest to bardzo wymowny przykład stosowania marksistowskiej dialektyki na rzecz russyfikacyjnej polityki Rosji carskiej.

13

O Polakach zamieszkujących *Jugo-Zapadnyj Kraj* Rosja wiedziała, że nie są to Rosjanie, ani nawet pół Rosjanie. Świat polski był światem odrębnym, innym — bezkompromisowo innym, był w pewnej mierze Zachodnią Europą, miał swą tysiącletnią historię, tradycje powstań, był katolicki. Wśród *inorod-*

ców rosyjskiego imperium Polak był *inorodcem* wyjątkowo uciążliwym, trudnym do rządzenia. Co prawda byli „ugodowcy”, ale to o stanie rzeczy nie decydowało.

Może najbardziej irytował rosyjską mentalność polski katolicyzm. Takie wrażenie odniosłem, kiedy dostałem się do gimnazjum. Bardzo charakterystycznym i wiele mówiącym jest „Scherzo” Żemczużnikowa, wiersz satyryczny o rosyjskiej rzeczywistości w drugiej połowie XIX wieku. Poruszone są różne tematy rosyjskiego państwowego i społecznego życia, akcenty rosyjskiej psychiki. Między innymi czytamy: *Polakow i Polek nas biesit priwyczka, on wieczno katolik, ona katoliczka...* Ale i psychika polska nie dawała spokoju. Przychodzili na myśl Puszkina *kiczliwyj lach i wiernyj ross.*

14

Polskie środowisko miało swą polską, różniącą się od innych postawę, swój świat polityczny. Za czasów mojej młodości, czasów powojennych, panowała tendencja godzenia się z tym, co jest. Na plan pierwszy wysuwała się doktryna narodowa w ujęciu endeckim. Panowała „ugoda” w najprzeróżniejszych odmianach. Prym trzymał świat możnych — a więc właścicieli ziemskich, przemysłowców, interesów handlowych. Ale i wolne zawody miały tu coś do powiedzenia. Wszystko to było *blagonadieżne*, rozsądne, praktyczne. Polska postępową inteligencją bratała się z postępowym ruchem rosyjskim, a nawet rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Była to pozycja przyszłości. Ówczesna teraźniejszość była na ogół endecka. Polska inteligencja zespalała się ze światem inteligencji rosyjskiej i rosyjską rzeczywistością nie zatracając swej polskości, jak miało to miejsce u Ukraińców.

Polski *inorodiec* na Ukrainie był dla Rosji pozycją kłopotliwą nie tylko z tytułu poziomu swej narodowej świadomości, przynależności do świata zachodnioeuropejskiego, ale także z tytułu swej zasiedloności na ziemiach naddnieprzańskich, z tytułu łączących polskość z miejscowym życiem tradycji, a co najważniejsze, owej już wspominatej przeze mnie „bliskości” polsko-ukraińskiej i ukraińsko-polskiej.

Polacy byli tu nie na wygnaniu, ani na emigracji, nie przebywali czasowo, ale byli w całym tego słowa znaczeniu „u siebie w domu” i to za zgodą miejscowej, ukraińskiej ludności. W porównaniu z Polakami Rosjanie byli elementem napływowym,

w większości swej urzędniczym; że są oni „u siebie w domu” gwarantowało rosyjskie imperium, a nie miejscowe życie.

Rosja nie mogła patrzeć przychylnie na polsko-ukraińską bliskość. Od tej strony mogło grozić niebezpieczeństwo, gdyby się Polacy „domyślili”. Nikt się jednak „nie domyślił”, ani Polacy ani Ukraińcy. Rosja także „domyślić” się nie mogła. Ukraińskie „niebezpieczeństwo” wyczuwała podświadomie i nie zdawała sobie sprawy z jego rozmiarów.

Nie można tracić z oczu, że polsko-ukraińskiemu układowi towarzyszył serwitut: pan i chłop. W miarę czasu serwitut ten zaczął coraz bardziej ciążyć nad sytuacją, musiał budzić „złą krew”, nie był do utrzymania, musiał się skończyć... „Serwitutowi”, jak wiemy, towarzyszyły rzeczy pożalowania godne. Nie należy jednak zamykać oczu, że w tym kompromitującym obiekcie strony układowie przebłyskiwał także uśmiech życia, patrzono sobie unfie i rodzinnie w oczy. Stosunki pomiędzy dworem polskim a ukraińską wsią nie były idyllą, a zarazem były...

15

Warto by jeszcze zwrócić uwagę na budownictwo, architekturę. Odnosiłem zawsze wrażenie, że domy, pałace, dwory, kościoły, cerkwie budowane w różnych czasach przez Polaków były dla życia ukraińskiego „swoje”, mówiły o sztuce rozumianej i bliskiej dla otaczającego ją pejzażu. Domy i gmachy wznoszone przez Rosję stały „nie swoje”, cudze, nie miały nic do powiedzenia otaczającemu życiu, a jeżeli mówiły — opowiadały o swej obcości. Często były po prostu brzydkie. Z reguły brzydkie były *prisutswiennyje miasta*, dworce kolejowe, szkoły, nie mówiąc już o koszarach. A cerkwie zbudowane na Ukrainie przez Rosjan...

Cerkwie „polskie” i „ukraińskie” wyglądały inaczej niż rosyjskie nawet wtedy, gdy miały w sobie coś z autentycznego Bizancjum, cerkwie w stylu jarosławskim robiły wrażenie „cudzoziemców”, były obce... Mowa architektury miała swój wyraz.

16

Życie na ziemiach naddnieprzańskich nie było do pomyślenia bez uwzględnienia akcentu polskiego. Akcent ten tkwił niejako potencjalnie, dawał o sobie znać w różnej postaci w różnych cza-

sach i okolicznościach. A tymczasem genialny Gogol, będąc pochodzenia nie rosyjskiego, dał obraz ukraińskiej wsi złożony wyłącznie ze świata ukraińskiego i rosyjskiego. Do tego wszystko się sprowadzało. Nie mógł co prawda uniknąć słowa „pan” i „pannoczka”, ale nie zmienia to postaci rzeczy. W „Wieczerach na chutorie bliz Dikanki” mamy dwugłos rosyjsko-ukraiński, który wypełnia wszystko i na nic innego miejsca nie ma.

Gogol nie mógł nie wiedzieć, jak się naprawdę działo, a jednak wiedząc, dał obraz tendencyjny, prawdziwy na miarę swojego geniuszu, a zarazem rozminął się z tym, co miało miejsce naprawdę.

17

Parę tych spostrzeżeń i uwag pozwala lepiej rozumieć stan rzeczy na ziemiach kijowskich w przededniu pierwszej wojny światowej i panujące wówczas stosunki.

1. — Dla Rosji był to kraj bezsprzecznie rosyjski, jak już wspominałem, pewna *raznowidnost'* rosyjskości.

2. — Nie tylko dla Rosji ale i dla miejscowej ukraińskiej ludności sprawa ukraińska jako samoistna postawa świadoma swej odrębności narodowej, politycznych i dziejowo-twórczych walorów nie dawała o sobie znać nawet w krainie marzeń. Legenda dawnej przeszłości snuła się bezsilna na marginesie dnia dzisiejszego.

3. — To samo należy powiedzieć o polskim społeczeństwie. Przyszłość sprawy polskiej nie kojarzyła się w umysłach Polaków z istnieniem czynnika ukraińskiego, który miał się pojawić na scenie dziejów i o nich stanowić.

Majaki przeszłości były „niewinną grą” wyobraźni, nie mąciły realizmu teraźniejszości, nie brano ich pod uwagę w realnym działaniu. Były także poza wyobraźnią ukraińską. Istniejący wówczas stan rzeczy nie dawał do tego podstaw.

Rozumiało się jakby samo przez się, że ziemie zamieszkałe przez ludność ukraińską mogą być tylko terenem polskiego zagospodarowania, czymś w rodzaju polskiego *Jugo-Zapadnowo Kraja* objętego przez Polaków ku chwale ojczyzny i dobru Polaków i ukraińskiej ludności...

Przyszłość Polski wydawała się możliwa jedynie pod opiekun-
czym skrzydłem Rosji. Jak się potem okazało, tak samo rozumowali Ukraińcy.

Przed samą jednak wojną i w pierwszych jej dniach pojawiła się nad brzegami Dniepru wieść o Józefie Piłsudskim i prowadzonej przez Niego akcji. Postać jego nie była szerszemu ogółowi społeczeństwa znana. Pewne koła młodzieży akademickiej poszły pod rozkazy Komendanta. W dniu rozpoczęcia wojny istniała już w Kijowie ekspozytura Legionów.

Tak się stało, że w rok przed wybuchem wojny nawiązałem żywą łączność z grupą młodzieży ukraińskiej, która gromadziła się wokół domu Szulginów. Aleksander Szulgin został z czasem ministrem spraw zagranicznych rządu ukraińskiego, był to mój starszy kolega z kijowskiego gimnazjum. Jego brat Włodzimierz, postać wybitna i urzekająca, zginął pod Krutami w walce z nawalą bolszewicką. Był Włodzimierz Djakonienko, mój serdeczny przyjaciel z czasów gimnazjalnych, a zwłaszcza uniwersyteckich. Byli jeszcze inni.

Po raz pierwszy za moich czasów kijowskich spotkałem się ze sprawą ukraińską w innym wymiarze. W pierwszych dniach wojny została, jak już wspomniałem, wydana w Kijowie odezwa polsko-ukraińska. W równoległe w odezwie umieszczonych tekstach polskim i ukraińskim deklarowaliśmy wzajemną pomoc w walce o wolność i niepodległość Polski i Ukrainy.

Tak kończył się mój pierwszy okres kijowski. Rzeczywistość ukraińska stanęła na progu wydarzeń niezwykłych, przez nikogo nieprzewidywanych. Stało się to, co się stać miało. Imponderabilia polskie i ukraińskie przemówiły tysiącem głosów, towarzyszyły wielkości i małości, nędzy, upokorzeniu, nienawiści i miłości, i temu, co budzi wstręt i temu, co zachwyca.

II. Kijów — 1917-1919

19

W roku 1915 — w listopadzie — zostałem wysłany z Kijowa na osiedlenie do Saratowa. Do Kijowa powróciłem w czerwcu 1917.

Jeżeli dane jest przeżywać rzeczy najbardziej nieprawdopodobne, graniczące z cudem, takim „cudem” było to, co ujrzałem w Kijowie. Miałem jeszcze w oczach *Jugo-Zapadnyj Kraj*, w którym się urodziłem i wyrosłem, rzeczywistość rosyjską, bierną masę ukraińskiej wsi i rusyfikującą się bez reszty ukraińską inteligencję. Po powrocie do Kijowa znalazłem się w Kijowie

ukraińskim, stolicy ukraińskiego państwa z własnym ukraińskim rządem, parlamentem, ukraińskim aparatem administracyjnym. Znikło *trechcwietnoje znamia*, na jego miejscu królował *białitno-żowtyj prapor*.

Rzeczywistość rosyjska jakby za pojawieniem się różdżki czarodziejskiej zmieniła się w rzeczywistość ukraińską. Stało się to w biegu znanych wydarzeń — załamania się Rosji w wojnie z Niemcami, w ogniu wybuchłej w Rosji rewolucji, dekompozycji rosyjskiego imperium. Wszystko co się stało, było rozumiane samo przez się.

O tym „samo przez się” dałoby się niejedno powiedzieć. Można dać wyczerpującą kronikę następujących po sobie i komponujących się z sobą wydarzeń, tzn. obraz historyczny tego, co się wówczas na ziemiach naddnieprzańskich działo. Zostało to na pewno zrobione. Mam jednak wątpliwości, czy temat główny potraktowano należycie. Chodzi mi o samostawianie się ukraińskiego świata, dźwigającego się o własnych siłach, a nie tylko dzięki sprzyjającym warunkom zewnętrznym. Wtedy tylko owo „zrozumienie samo przez się” nabiera ostatecznego sensu. I wtedy staje się jasne, że w pewnych okolicznościach rzeczywistość narodowa, wydawałoby się doszczętnie przytłumiona, bierna i „bezbronna”, może wybuchnąć wolnością i niepodległością.

To właśnie i przede wszystkim to należy brać pod uwagę, gdy mowa o Ukrainie Naddnieprzańskiej za tamtych czasów.

Ukraina powstawała do niepodległego bytu jak feniks z popiołu szarzyzny dni codziennych *Jugo-Zapadnowo Kraja*. Mimo woli cisną się słowa „sława Ukrainie”.

Od tej chwili Ukraina staje się pozycją państwową. Nikt i nic nie może tego zmienić, pomimo dalszej kolei losów, nawet najbardziej tragicznych i życie ukraińskie łamiących.

Jeżeli wspominałem o „różdżce czarodziejskiej”, obraz, który w oczach moich powstał, nie był często budujący, czasem wydawał się nawet żałosny. Towarzyszyły mu różne zjawiska. Nie zawsze człowiek i sprawy ludzkie wyglądają odświeżenie.

Wszystko to nie zmieniało jednak istoty rzeczy, nie pomniejszało realności i prawdziwości obrazu, nie pomniejszało „ukraińskiego świata”.

Chcę parę moich wrażeń i spostrzeżeń przytoczyć.

W związku z „wybuchem Ukrainy” zrusyfikowana ukraińska inteligencja zaczęła się usilnie ukrainizować. Niejeden dygnitarz

państwowy, nie mówiąc już o drobniejszych urzędnikach, Ukraińcach z pochodzenia, musiał uczyć się poprawnie po ukraińsku mówić i pisać. Chodziło o *derżawnuju mowu*. Zwrócono mi kiedyś uwagę, że niejeden ukraiński minister uczył się po ukraińsku u Joachima Wołoszynowskiego, znanego ukrainofila i publicysty. On to w swoim czasie jeden z pierwszych wydał ukraiński elementarz. O ile się nie mylę, było to wydawnictwo „Switowa Zirnycia”.

W ówczesnych ukraińskich urzędach różnie po ukraińsku mówiono. Różne były postacie ukraińskich urzędników. Np. znany w kijowskim uniwersytecie na wydziale prawa prof. Eichelman — typowy dobroduszny stary Niemiec, lubiany przez studentów. Spotkałem go urzędującego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w charakterze wiceministra. Pamiętam osobliwą ukraińską wymowę profesora. Odniosłem wrażenie i byłem przekonany, że Eichelman urząd swój sprawował z przejęciem i oddaniem, był ukraińskim patriotą. Ktokolwiek upatrywałby w Eichelmanie obcą agenturę, niemieckiego agenta, trafiłby kulą w płot.

Ludzi pochodzenia nie ukraińskiego nie było wielu, *gros* stanowili w stopniu większym lub mniejszym zrusyfikowani Ukraińcy. Stopień zrusyfikowania nie wpływał na wierność Ukrainie.

Ukraińska państwowość nie opierała się wyłącznie na ukraińskiej inteligencji. Niemałą rolę odgrywała wieś. Kto wie czy nie dominującą.

Nie mogę nie wspomnieć jeszcze raz o wrażeniu żywym po dzień dzisiejszy. W wirze przesuwających się przed oczami wydarzeń widzę z całą ostrością, najwyraźniej, kijowski dzień zimowy. Ulica... śnieg. W tym właśnie dniu innym od innych pojawiło się w śródmieściu mnóstwo chłopskich sanek. Żaludniło się od koni *diad'ków*, żołnierzy w szynelach tak ogólnie znanych, albo w chłopskich świtkach, baranie czapy, karabiny... Fala ta przesuwawała się przez Kijów. To ataman Petlura.

Przychodzi na myśl także inna scena tłumna, pełna wyrazu. W gmachu kijowskiej opery otoczonym rozległym placem odbywała się jakaś ważna państwowa uroczystość, jakiś ważny dla Ukrainy fakt. Plac zalegał wielotysięczny tłum. I oto w pewnym momencie zaczęto śpiewać „Zapowit” Szewczenki. Wielotysięczny tłum śpiewał bez dyrygenta, śpiewał na parę głosów. Dyrygentem była przyrodzona Ukraińcom muzykalność. Był to swego rodzaju muzyczny fenomen, a zarazem spontaniczna demonstracja ukraińskości.

Nie poruszam udziału w świecie naddnieprzańskim Ukraińców galicyjskich spod zaboru austriackiego. W kształtowaniu się

ukraińskiej państwowej rzeczywistości nad brzegami Dniepru odegrali oni pewną rolę, ale była to rola niewielka. Nie mówię o wybitnych pisarzach, historykach. Do tematu tego jeszcze powrócę.

21

Kijowski świat rosyjski nie mógł pogodzić się z tym, co się stało. Dawano temu wyraz bardziej lub mniej ostantacyjnie. Ukraina nie mogła w tym środowisku liczyć na sprzymierzeńców — miała przeciwko sobie siłę wroga. Wrogość ta objawiała się różnie, poczynawszy od lekceważącego uśmiechu, kończąc na furii niszczenia wszystkiego co ukraińskie. Liczono na odmianę sytuacji, na Denikina, Kołczaka, Wrangla, na moskiewskich bolszewików. W rosyjskiej świadomości panował w dalszym ciągu *Jugo-Zapadnyj Kraj*.

Gdy jednak mowa o Rosji, nie można ograniczyć się do tego, o czym mówiłem przed chwilą. Nie można przejść do porządku nad stanowiskiem Rządu Tymczasowego i „wielkiej bezkrwawej” rewolucji. Proklamowano państwową emancypację Ukrainy i sfederowanie jej z Rosją. Znalazło to w świecie ukraińskim odzew. Pojawiło się ukraińskie stronnictwo socjalistów-federalistów, które w swoim czasie odgrywało niemałą rolę. Jednym z przywódców stronnictwa był wspomniany Aleksander Szulgin.

Rząd Tymczasowy przełamał tradycyjną postawę rządów carskich wobec Ukrainy, był czymś nowym, ujmował sprawę ukraińską inaczej. Świadczyło to o tkwiących w rzeczywistości rosyjskiej możliwościach, o kołach postępowych, demokratycznych, środowiskach rewolucyjnych, miało to swoje odbicie w kijowskim rosyjskim społeczeństwie, nie na tyle jednak silne, by mogło wpłynąć na ogólną tego społeczeństwa postawę.

22

W odróżnieniu od rosyjskiego społeczeństwo polskie nie było wrogiem ukraińskiej państwowej emancypacji i ukraińskiego państwa. Można by zaryzykować twierdzenie, że przyglądało się temu co się dzieje z pewną sympatią. Koneksje inteligenckie rosyjsko-polskie i brak politycznej wyobraźni w ocenie bieżących wydarzeń, wreszcie tradycyjny, zakorzeniony od lat sposób myślenia i zachowania się sprawiały, że społeczeństwo polskie nie angażowało się „osobiście”, nie czuło obowiązku wspólnego

z Ukraińcami wysiłku budowania wolnej i niepodległej Ukrainy. Ze światem ukraińskim łączyła je bliskość bytowa, wspomnienia przeszłości, jakieś niedopowiedziane braterstwo polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie; straszyły upiory przeszłości — rodzinne.

Spółczesność polskie trwało w kręgu spraw polskich „u siebie w domu”, przy tym „domu” zasiadiałym, niechętnym nowym pomysłem, zmianom, modom. „Polski Komitet Narodowy na Rusi” urzędował w najlepsze jak zawsze i nie uznał za stosowne słowa Ruś zamienić na słowo Ukraina. I tak było. Nie widzimy w ukraińskim świecie polityczno-państwowym znacniejszej polskiej pozycji. Wszystko odbywało się „poza nami”. Oczywiście, Polacy byli wszędzie tam, dokąd wzywał ukraiński ustrój państwowy. Była grupa polskich posłów w Centralnej Radzie. Pamiętam moje rozmowy z Władysławem Korsakiem i Kazimierzem Domosławskim, którzy w skład tej grupy wchodzili. Mieliliśmy ministerstwo do spraw polskich i urzędującego ministra Polaka, mecenasa kijowskiego Mickiewicza. Urzędnikami w ministerstwie byli Polacy.

Ukraina dała polskiemu życiu szerszy oddech, dawała warunki pracy oświatowej, społecznej, kulturalnej, zapewniła autonomię kulturalną zgodnie z przyjętą przez nią doktryną autonomii kulturalnej austriackiego kanclerza Rennera.

Polski Kijów przechodził renesans. Niemało przyczynili się do tego liczni Polacy, ewakuowani swego czasu z Polski centralnej w związku z wojną rosyjsko-niemiecką. Widzimy w Kijowie znane postacie literatury, nauki, sztuki. Brały one udział w miejscowym polskim życiu.

23

Tak się zaczęło. Potem rozpętał się huragan. Ale i „początek” był życiem na wulkanie. Już wtedy „grunt” nie był pewny. Coraz wyraźniej dawały o sobie znać siły drżące pod powierzchnią dni pomyślności.

Kraj zalewała fala żołnierzy powracających do domu po załamaniu się frontu. Szli na przełaj samopas. Niekiedy przyjmowało to postać wielotysięcznych spontanicznych demonstracji. Pamiętam tysiączne żołnierskie tłumy płynące z hałasem przez ulicę Wielką Włodzimierską. Szły one w stronę uniwersytetu. Na czele tłumy niesiono na rękach znanego wówczas Gintowta-Dziewałtowskiego, głównego komisarza „rozłożenia frontu” i tego, co kryło się za hasłem „wojna — wojnie”.

Powracająca do domu masa żołnierska nieciła demoralizację

i rozprężenie wszędzie tam, gdzie żywioł żołnierski docierał. Obecność wracających z frontu żołnierzy powodowała niepoczytalne odruchy, święciła triumfy skrajna demagogia. Powstawała wymarzona sytuacja dla bolszewickiej propagandy i potęgowania bolszewickiego autorytetu. Bolszewickich haseł rewolucji socjalnej nikt nie był w stanie przelicytować. Moskiewski bolszewizm wkraczał triumfalnie w rozszalały ludzki żywioł. W ówczesnej sytuacji była to pozycja czołowa. Jakikolwiek wysiłek konstruktywny był nie do pomyślenia i z góry skazany był na przegraną.

Za szyldem rewolucji socjalnej, który jaśniał w pełnym blasku, kryła się moskiewska agresja przemycana chyłkiem, propagandowo niewidoczna. O tym się nie mówiło. Temu się uroczyście zaprzeczało. Wysuwano demonstracyjnie hasła wolności ludów wchodzących w skład imperium rosyjskiego. Właśnie bolszewizm głosił, że jest jej promotorem.

Konfrontacja haseł z rzeczywistością mówiła o czymś innym. Ludzi można oszukiwać, ale życia oszukać nie sposób.

Dlatego też w Ukrainie Naddnieprzańskiej panował stan podgorączkowy, a często widzieliśmy wiele kresiek.

Zaborczość rosyjska, zawsze ta sama, znalazła w marksizmie wyjątkowe możliwości swej realizacji. Jest rzeczą godną podziwu mistrzowskie posługiwanie się marksizmem dla osiągnięcia celów nie mających z marksizmem nic wspólnego.

24

Poza okresem Centralnej Rady należy wspomnieć o panowaniu niemieckim, denikinowskim i bolszewickim.

Rządy niemieckie robiły wrażenie rządów wojskowo-okupacyjnych nie penetrujących głębiej miejscowego życia. Były to rządy przejściowe.

Impreza hetmańska miała w sobie coś z operetki. „Sierdukska” dywizja, złożona z rośłych chłopów ubranych w ciemnoniebieskie żupany, pełniła rolę wyłącznie dekoracyjną. *Sinieżupanniki* na ulicach Kijowa sygnalizowali przybycie do Kijowa cyrku... Osoba hetmana Skoropadzkiego nie była pozbawiona komizmu. Osobistości o psychice carsko-rosyjskiej niemiecki impresario kazał odgrywać rolę ukraińskiego patrioty.

Ze wspomnień z tych czasów staje przed oczami przemarsz niemieckich pułków przez główne ulice Kijowa, niemieckie tupanie, niemiecki dryl. Zalegająca trotuary publiczność patrzyła na to z przejęciem. Po raz pierwszy usłyszałem piszczałki zamiast orkiestry.

Niemieckie kijowskie „wczasy” niczym się nie odznaczały, co by miało wagę polityczną czy społeczną. Dużo mówiono o wywożeniu ukraińskiego czarnoziemu w powracających do Niemiec towarowych wagonach. Tu i ówdzie notowano walki z ukraińskimi powstańcami.

Panowanie denikinowców było z natury rzeczy inne. Przyniosło z sobą sprawy znane, to, co przez długie lata wżerało się w ukraińskie życie. *Jedinaja Niedielimaja Rossija, Jugo-Zapadnyj Kraj*, restytucja tego co było.

Widziałem rewję armii Bredowa na placu Sofijskim. Uzbrojenie i ekwipunek angielski. Żołnierz wyglądał dobrze. Dobre wrażenie robiły maszerujące oddziały — był to marsz zwycięski. Defiladę przyjmował gen. Maj-Majewski w otoczeniu rosyjskich dostojników z Kijowa i spoza Kijowa. Pojawiła się siła, która miała decydować o przyszłości.

Tymczasem wystarczyło paru tygodni by skonstatować zjawiska rozkładu tej przeświecanej armii, a zwłaszcza jej korpusu oficerskiego. Świat ten nie był mi obcy. Spotkałem kolegów z gimnazjum i uniwersytetu paradujących w denikinowskich angielskich mundurach. Panowie oficerowie z kół kijowskiej inteligencji rosyjskiej zaczęli handlować, rosły afery, dostawy. Rozkład wspaniałej na oko denikinowskiej armii następował ze wzmagającą się szybkością. Odbywało się to przy akompaniamencie kwitnącego życia towarzyskiego. Oficerskie żony pootwierzały kawiarnie, restauracje, spotykano się, bawiono, wygłaszano toasty i załatwiano interesy. *Ruskij duch* panował powszechnie i bezapelacyjnie. Rosja carska wypełniała bez reszty myśli i uczucia. Tradycje pułkowe, polityczne, społeczne... O operacjach wojennych słyszało się coraz mniej. Kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Kijowa był jakiś odcinek ukraińskiego frontu. Mówiono, że są to oddziały petlurowskie. Do dobrego tonu należało wyjechać na parę godzin z Kijowa i postrzelać do Ukraińców. Panowanie denikinowskie nie miało perspektyw.

Inaczej miała się rzecz, gdy chodzi o bolszewików. Były to sprawy niewspółmierne. Okresy bolszewickiego panowania stawały się nieustającą masakrą, systematycznym wtłaczaniem miejscowej rzeczywistości w ramy ustalonego w Moskwie schematu — schematu wynarodowiania i doszczętnej rusyfikacji Ukrainy, walki ze wszystkim, co nie rosyjskie, ze wszystkim, co o Ukrainie mówiło i Ukrainę przypominało. Sytuację gospodarczą doprowadzono do stanu rozpaczliwego.

Działo się to zresztą samo przez się. Głód był jednym ze środków obezwładnienia Ukrainy. Spopielałe w nędzy dnie co-

dziennie sprzyjały demoralizacji, krzewieniu się strachu, zanikowi ludzkiej godności, utrwalaniu niewoli. Nad wszystkim tym unosiło się celebrowanie marksistowskiej ideologii, ogólnoludzkich haseł, aureola wolności i sprawiedliwości. Chciałoby się powiedzieć, że dialektyka marksistowska używała tu sobie „jak pies w studni”.

Właśnie bolszewizm moskiewski i przede wszystkim bolszewizm był ową siłą miażdżącą, ścierającą na miazgę jednostki, środowiska, narody. Miazga ta miała się stać materiałem dla wyprodukowania moskiewskiego modelu Ukrainy.

25

O ukraińskim świecie galicyjskim mało co wiedziałem. W pewnej chwili w polu mego widzenia znalazły się pertraktacje galicyjsko-bolszewickie. Ukrainę galicyjską reprezentował Petruszewicz, bolszewicką Rosję — Joffe. Było to bardzo pouczające, świadczyło o „łatwości” nawiązywania stosunków Ukraińców galicyjskich z Moskwą. Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem *siczowych stryłciw*. Było to w przededniu pierwszego września 1919 roku, już mocno pod wieczór. Bolszewicy, parci od południowego wschodu przez wojska denikinowskie, wycofywali się pośpiesznie z Kijowa. Właśnie tego wieczora zapanowała cisza. Mieszkiałem wtedy w pobliżu toru kolejowego w kierunku zachodnim. W pewnej chwili zobaczyłem patrol, a za nim pancerkę. Nie wiem dlaczego przyszli mi na myśl legionści. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, kogo mam przed sobą. Byli to *siczowyki*. Udało mi się wrócić do domu.

Drugi raz widziałem *siczowyków* w czasie mojej podróży z Kijowa do Warszawy w początkach stycznia 1920 roku. Spotkałem ich na odcinku Wapniarka-Płoskirów. Były to oddziały większe. Uderzyła mnie obecność oficerów niemieckich. Nie wiem czy byli to Niemcy, ale wyglądali jak Niemcy.

26

Są to główne zarysy tego, co się w owym czasie na Ukrainie Naddnieprzańskiej działo. Był to obraz niezwykle. Masy ludzkie kotłowały się w marszu ku nieznannej przyszłości, albo ginęły na miejscu w opętańczym tańcu samozatrącenia. Był to swego rodzaju huragan — huragan w świecie ludzkim. Zamiast kropel

deszczu padały tysiące trupów, ludzi zamęczonych i zabijanych w różny sposób. Zamiast podmuchów wiatru widzimy żywioł szczerzącej zęby nienawiści, wycie rozpacz, kiedy człowiek wątpi o wszystkim. Była jeszcze rosa łez.

W Kijowie mówiono, że władza nad Kijowem zmieniała się czternaście razy. Zmieniała, tzn. Kijów był zdobywany. Epizody były większe lub mniejsze. Większe pozostają w pamięci, mniejsze giną. Pamiętam, jak wkroczył do Kijowa na czele oddziałów bolszewickich docent politechniki kijowskiej, Zatoński. Trwało to dzień albo dwa. Inaczej rzecz się miała, kiedy zdobywał Kijów Murawiov. Bombardowanie trwało tygodniami. Z Murawiewem był Owsiejenko-Antonow. Poznałem go osobiście w roku 1930, kiedy Owsiejenko-Antonow zjawił się u mnie urzędowo jako ambasador sowiecki. Byłem wtedy ministrem spraw wewnętrznych.

W Kijowie nie przychodziło mi na myśl, że zobaczę kiedyś Antonowa-Owsiejenkę. W głowie mojej kłębiły się inne myśli. Wraz z innymi przeżywałem „huragan”, słuchałem jedyne w swoim rodzaju koncertu.

W tym strasznym i niesamowitym koncercie głos ukraiński wzywający do walki o wolność Ukrainy gubił się i ginął bez echa. Głos ten był nieustannie tropiony, tępiony, wypalany krwią i żelazem, albo łapany w potrzaski zakłamania i obłudy, kneblowała go ludzka małość i ludzki strach.

Głos ten jednak nie ginął. Jak to się działo? Dużo by o tym mówić. Z czasem znajdą się pióra, które o tym napiszą. Mimo woli staje przed oczami ukraińska wieś, wybuchające tu i ówdzie powstania, karne ekspedycje niemieckie, denikinowskie, orgie bolszewickiego terroru. W strasznym „koncercie” na ziemiach naddnieprzańskich motyw ten wołał wyraźnie, przejmująco, był nieodłącznym akcentem kompozycji. Na niebie ukraińskim ukazywały się postacie sławnych atamanów, wsiowych dowódców, „nieznanych ukraińskich żołnierzy”. Był także Symon Petlura...

27

12 grudnia 1919 roku opuszczałem Kijów. Udawałem się do Warszawy. W parę dni po moim wyjeździe Kijów zajęli bolszewicy.

Denikinowcy cofali się na Zachód i na południe w kierunku Odessy. Podróż moja z Kijowa do Warszawy trwała 6 tygodni.

Z Kijowa do Fastowa jechałem tydzień przez teren zagrożony, przebijając się przez stado denikinowskich eszelonów.

Po raz ostatni w tym okresie spojrzałem w oczy Ukrainie, gdy przeprawialiśmy się przez Boh. Pociąg mój przejechał most cudem — most wiszący w powietrzu, „wysadzony z siodła”. Był to pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Pociąg stanął na parę godzin. Poszedłem do najbliższej wsi. W chatach było świątecznie. Pojechałem z ukraińską wsią w oczach — wsią, którą niebawem mieli zająć bolszewicy.

III. *Petlura*

28

Do Warszawy przyjechałem 26 stycznia 1920 roku. O celu mojego przyjazdu i okolicznościach towarzyszących wspominam w innym rozdziale. O ile się nie mylę, mniej więcej w kwietniu zostałem wezwany do Belwederu. Dowiedziałem się, że mam jechać do Kamieńca Podolskiego. W myśl porozumienia pomiędzy rządem polskim a ukraińskim — tzn. Rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej — Polska przydzieli URL dwóch ministrów Polaków, Stanisława Stempowskiego jako ministra rolnictwa i Henryka Józewskiego jako wiceministra spraw wewnętrznych. Spadło to na mnie nieoczekiwanie. Parę tygodni przedtem dostałem od Komendanta urlop. Ostatnio znalazłem się w Krakowie. Podjąłem się scenografii „Miłosierdzia” Jana Huberta Rostworowskiego, który mnie o to prosił, a moje szkice trafiły mu do przekonania. Na drugi czy trzeci dzień mego pobytu w Krakowie odezwał się telefon z Belwederu.

Wyjechałem do Kamieńca już nie w charakterze scenografa, a kogoś komu powierzono odpowiedzialne i trudne zadanie polityczne.

Okolicznością pomyślną było to, że za towarzysza miałem Stanisława Stempowskiego. Od pierwszego wejrzenia stał mi się kimś bardzo bliskim, rodzonym, uświatniającym moje dni, miesiące, lata.

Pamiętam przyjazd do Kamieńca. Był ranek. Spotkał nas Antoni Minkiewicz, komisarz frontu południowego. Było to stanowisko ministerialne, a nawet więcej niż ministerialne. Ledwie zdołałem się po podróży ogarnąć, już stał przede mną adiutant Petlury. Przyjechał by mnie odwiedzić na odbywające się posiedzenie rady ministrów rządu URL. I tak się zaczęło...

Sprawa ukraińska nie była dla mnie pierwszą lepszą sprawą polityczną, nawet bardzo ciekawą i doniosłą. To, z czym miałem do czynienia, było więcej niż „ciekawe”. Chodziło o coś bardziej istotnego, rodzzonego. O bycie Polski. Chodziło o sojusz polsko-ukraiński, o wyzwolenie Ukrainy z bolszewickiego jarzma, tzn. z moskiewskiej niewoli. To właśnie stanowiło o Polsce, o tym, że Polska jest Polską.

Wielu nie zdawało sobie sprawy i po dzień dzisiejszy nie zdaje sobie sprawy z wagi tego, co się wówczas działo. Nie popełnię większego błędu jeżeli powiem, że wielu ludzi mających wówczas coś do powiedzenia nie stanęło na wysokości zadania i z podziwu godną łatwością rozmijało się z patrzącą im w oczy prawdą. Nie mówię już o tych, co z zapałem godnym lepszej sprawy głosili nieprawdopodobne bzdury, przechodzili do porządku nad zagadnieniem ukraińskim, z triumfem obnosili swą ignorancję. Nawet dzisiaj spotykam się z wybitnymi osobami polskich intelektualistów, którzy głoszą, że „pochód na Kijów” był błędem, źle obliczonym i nieudanym marzeniem...

Jeżeli wygłaszam mało pochlebne dla polskiego świata opinie, robię to na podstawie zdobytych doświadczeń i wrażeń. Spotykałem się jednak także z czymś innym. Nie mówię tu o wybitnych postaciach historycznych jak Józef Piłsudski i Symon Petlura, ich najbliższych współpracownikach, o pewnych kołach społecznych i środowiskach; mam na myśli bezimienne rzesze polskie, a może w stopniu większym ukraińskie, tzn. „prostych ludzi”. I tu właśnie prawda ukraińsko-polska i polsko-ukraińska ukazują to samo wierne sobie oblicze i patrzą sobie w oczy.

Są dni codzienne i dni odświętne, a raczej istnieje to, co codzienne i to, co odświętne. Oddychamy codziennością, tkwimy w niej bez reszty. Tak się jednak tylko wydaje. Odświętność czy niezwykłość zawsze towarzyszy naszemu istnieniu, jest jego podstawowym akcentem, nie zawsze jednak daje o sobie znać,

często ginie z oczu. Czasem oślepia nasz wzrok, czasem jest koło nas jak nieuchwytna melodia.

Nasze życie jest tym bujniejsze i tym wspanialsze, im bardziej „odświętność” dochodzi do głosu.

Piszę o tym w tym miejscu, ponieważ w mojej epopei petlurowskiej akcent „odświętności” świecił jak gwiazda. Nie znać to, by codzienność opuściła scenę i poszła za kulisy. Codzienność kojarzymy zazwyczaj z „prozą życia”.

Moje dnie w Kamieńcu były „odświętne”, niecodzienne, niezwykłe, a zarazem były „prozą”. Trzeba było urzędować, być na posiedzeniach, załatwiać sprawy takie jak zawsze w podobnych okolicznościach. Tak stawała się „proza”. Jednak niezwykłość tego co się działo nie ginęła z moich oczu w krzątliwości przemijających dni codziennych.

32

Moja epopeja petlurowska zaczęła się od chwili gdy zostałem wprowadzony na posiedzenie rady ministrów URL. Posiedzenie już się zaczęło. Wszedłem na salę, ukloniłem się i zająłem wskazane mi miejsce. Przewodniczył Petlura. Zobaczyłem go po raz pierwszy. Przyglądałem mu się z ciekawością. Słuchałem jak mówi. Na posiedzeniu omawiano bieżące sprawy i wnioski poszczególnych ministrów.

Po ukończeniu posiedzenia Petlura zaprosił mnie do swego gabinetu. Mieliśmy wstępną rozmowę. Widywałem się potem z Atamanem dosyć często.

W ministerstwie brałem udział w opracowywaniu organizacji ministerstwa, wniosków ustawodawczych, zarządzeń, okólników, cyrkularzy. Korzystano z materiałów polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Administrowanie praktyczne było w związku z sytuacją ograniczone. Tereny Ukrainy obejmowała wojna. Mogła może być mowa o nieznacznych skrawkach, gdzie stan rzeczy dawał możliwość normalnego urzędowania.

33

Poza pracą w ministerstwie byłem zaabsorbowany tym wszystkim, co się działo pomiędzy Ukrainą i Polską. Występowałem jako strona ukraińska. Byłem jednak Polakiem, wiedzieli o tym Polacy, wiedzieli Ukraińcy i to nadawało charakter sytuacji. Wy-

wiązanie się w takich warunkach ze spadających na mnie obowiązków nie mieściło się w schemacie normalnego i ogólnie przyjętego urzędowania.

Byłem Polakiem — mężem zaufania Polski i byłem Polakiem — wiceministrem ukraińskim, mężem zaufania Ukrainy.

Nie byłem „narzędziem” Polski w ukraińskim rządzie, nie byłem „agentem” albo „wtyczką”. Polska mogła mieć do mnie zaufanie. W mierze nie mniejszej mogła mieć do mnie zaufanie Ukraina. I tu i tam byłem sobą, a zarazem byłem spotkaniem się dwóch światów patrzących sobie w oczy ufnie i wiernie. Jak mówiłem wtedy, byłem „mężem zaufania obu narodów”. To określało stan rzeczy. Czułem się w tym dobrze, „odświeżnie”. Patriotyzm polski i patriotyzm Ukrainy stanowiły jedno. Jest to jakiś zaklęty w Polsce skarb, o czym wielu Polaków może nie wiedzieć, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Tak się szczęśliwie i pomyślnie stało, że mój przyjaciel Stanisław Stempowski — minister rolnictwa URL, towarzysz petlurowskiej epopei, o tym „wiedział” w stopniu większym niż ktokolwiek z Polaków. Znany na Ukrainie, ogólnie poważany, „zbratany” z Ukrainą swym życiem, Stempowski miał wielkie możliwości w ukraińskim świecie, a co dla mnie ważne, kontrasygnował moją dość tajemniczą osobę — Komendanta Naczelnego KN III i POW w Kijowie a jednocześnie przedstawiciela polskiego Naczelnego Dowództwa na Wschodzie.

Jak wiadomo, KN III było wojskiem, któremu dano wyjątkowo odpowiedzialne zadanie. KN III kojarzyło się ze Sztabem Generalnym. To właśnie stwarzało niepotrzebną koło mojej osoby atmosferę. Byłem związany ze sztabem, w perspektywie majaczył Oddział II.

Na ogół stosunki układały się dobrze. Panowała życzliwa i przyjazna atmosfera. Stempowski odnajdywał swoich znajomych z dawnych czasów, spotykał ludzi, którzy o nim słyszeli i garnęli się do niego. Znamy poza tym jego niesamowity urok... Poza naddnieprzańcami było paru Ukraińców małopolskich, między innymi znany powszechnie Makuch, kiedyś poseł do parlamentu wiedeńskiego, obecnie mój kolega z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — drugi wiceminister. Dane mi było ujrzeć jeszcze Makucha w roku 1930 jako senatora Rzeczypospolitej z klubu ukraińskiego Małopolski Wschodniej.

Wszyscy przebywający w Kamieńcu żyli frontem, tzn. polską ofensywą na Kijów. Oddziały ukraińskie jeszcze się formowały. Polska w granicach istniejących wówczas możliwości miała dostarczać broń, ekwipunek, konieczny sprzęt. Z ukraińskich wojsko-

wych z jakimi się spotykałem zapamiętałem gen. Bezruczkę — dowódcę szóstej dywizji, gen. Udowyczenko — dowódcę trzeciej dywizji i gen. Zagrodzkiego, który miał swoją grupę.

Oczy wszystkich wpatrzone były w Polskę, serca biły Ukrainą i Polską. Królowała postać Józefa Piłsudskiego, o którym Petlura w rozmowach ze mną mówił „Pan Komendant”. Ataman Petlura był symbolem i wodzem walczącej o wolność Ukrainy. To i przede wszystkim to charakteryzowało stan rzeczy.

Pomiędzy Ukrainą a Polską coś się zasnuwało, stawało się treścią ukraińskiego i polskiego życia. Do historii dziejów polsko-ukraińskich dochodziła jeszcze jedna pozycja wielkiej i najbardziej realnej wagi — ukraińsko-polskie braterstwo w walce o wolność Ukrainy.

Siedzieliśmy i urzędowaliśmy w Kamieńcu czekając na posuwanie się frontu, by za nim podążać. Zbliżyliśmy się i zaprzyjaźniliśmy ze wspomnianym już Antonim Minkiewiczem — komisarzem południowego frontu. Od czasu do czasu robiliśmy wycieczki na „Okopy św. Trójcy” — miejsce zaczarowane jakimś niezwykłym urokiem. Zresztą sam Kamieniec robił wrażenie zaczarowanego miasta wśród rozkołysanej pagórkami wspaniałej, uśmiechniętej przyrody. Sienkiewicz miał rację, gdy Kamieniec i ziemie nadniestrzańskie wziął za tło do wzruszających dziejów bohaterów powieści.

Moja epopeja petlurowska na samym swoim początku znalazła się w najbardziej urokliwym pejzażu, jedynym na świecie.

Dolina o układzie kolistym otoczona falującą pagórkowatą okolicą. Pośrodku doliny wyrasta pionowo z małymi odchyleniami masyw skalny. Właśnie na owym bloku znalazło sobie miejsce miasto otoczone murami, klasztory, kościoły, domy mieszkalne — miasto polskie jak Kraków. U stóp miasta widzimy srebrny pierścień Smotrycza, szczelnie otaczający Kamieniec. Miasto łączy ze światem wielki, masywny most turecki zakończony zamkiem na drugim brzegu Smotrycza. Zamek ten znamy — tam zginął Wołodyjowski i Ketling.

Kamieniec trąci bajką, ale jest czymś więcej niż bajką, jest najbardziej realny, a więc... bardziej bajkowy.

Jak już wspomniałem, moje urzędowanie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych było czynnością wtórną. Absorbowała

mnie rola „męża zaufania obu narodów”, bieg aktualnych spraw pomiędzy Ukrainą i Polską, a także kształtowanie się politycznego ukraińskiego świata, a w rzędzie pierwszym osoba Atamana Petlury.

Petlura był uznanym przez wszystkich autorytetem. Oczy ukraińskie były w niego wpatrzone. On rządził, wydawał rozkazy, decydował, prowadził, był wodzem Ukrainy w całym tego słowa znaczeniu. On i przede wszystkim on mógł przemawiać w imieniu walczącej o wolność Ukrainy.

Żywego usposobienia, zawsze czynny, pełen inicjatywy, czasem surowy i bezwzględny, był zarazem uczuciowy, miał w sobie „liryzm ukraiński”, który przez ukraińskie życie przebłyskuje i w piosenkach ukraińskich się przewija.

Osoba Józefa Piłsudskiego robiła na nim wielkie wrażenie, zbliżała go do Polski, ułatwiała porozumienie z Polską. Można zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie Piłsudski, nie doszłoby do polsko-ukraińskiej jedności. Nie doszłoby do niej także, gdyby nie Petlura.

W czasie i splocie ówczesnych okoliczności oni właśnie potrafili wydobyć na jaw odwieczne polsko-ukraińskie „my”.

Widzimy szereg towarzyszących im postaci. Niemalą rolę odegrał po stronie ukraińskiej Andrzej Lewicki — poseł URL w Warszawie, który stał się w czasie premierem. Byli ministrowie i personel poszczególnych ministerstw, była sieć placówek zagranicznych URL. W Paryżu był Tyszkiewicz — zukrainizowany Polak, który miał w świecie ukraińskim wielkie poważanie. W Wiedniu urzędował baron Wasylko, Ukrainiec galicyjski. Byli inni, o których nie wspominam. Dla ciekawości dodam, że sławny w pewnym czasie Woldemaras był kiedyś ukraińskim urzędnikiem dyplomatycznym.

Poza machiną urzędową istniał „parlament” złożony z posłów — przedstawicieli poszczególnych partii, uformowany w wyjątkowych i niezwykłych warunkach.

Tak wyglądał ukraiński Kamieniec wpatrzony w Polskę i Ukrainę.

Po pewnym czasie, w związku z przesuwaniem się frontu, rząd ukraiński z Atamanem Petlurą na czele zmienił miejsce pobytu i pewnego dnia znaleźliśmy się w Winnicy.

Niesamowite piękno Kamieńca pozostało poza nami. Winnica spotkała nas blaskiem słońca, radosną zielenią, atmosferą optymizmu. Sprawy szły dobrze... Układ polsko-ukraiński coraz bardziej się stabilizował, nie było zaognień, nieporozumień, konfliktów. Państwowa rzeczywistość ukraińska robiła postępy. Front posuwał się na Wschód. Następnym etapem dla rządu miał się stać Kijów.

Mieszkaliśmy z panem Stanisławem w bliskim sąsiedztwie z Petlurą. Mieszkał on w gmachu, jeżeli się nie mylę, muzeum, czy pałacu Grocholskich z Piatniczan. Z otoczeniem Atamana byliśmy jak najlepiej, spotykaliśmy życzliwość i przyjazne uśmiechy. Nie mieliśmy trudności w urzędowaniu. Tak było we wszystkich instytucjach rządowych. Nasza polskość nie raziła — była jakąś „polskością ukraińską” miłą ukraińskiemu sercu i bliską.

Jednego dnia polecił mi Ataman sprowadzenie do Winnicy grupy osób z ukraińskiego *zapilja*. Ludzie ci przedostali się do Mohylowa Podolskiego. Brali oni udział w akcji partyzanckowo-wojskowej generała Omeljanowicza-Pawłenki. Miałem tę delegację w imieniu Atamana i rządu powitać i przywieźć do Winnicy.

Wyjechałem do Mohylowa specjalnym pociągami. Jak się zorientowałem, chodziło o ludzi znacznych. Największą rolę odgrywał Mazepa. Zrobił na mnie wrażenie nie bardzo sympatyczne. Była to osobistość mrukliwa, typowy esdek. Mentalność esdecka robiła na mnie zawsze nużące wrażenie. Tak było właśnie z Mazepą. Poza nim poznałem Siergieja Timoszenkę, późniejszego ministra komunikacji. Byli poza tym jeszcze inni.

W podróży towarzyszył mi major Maks Lewin, legionista, wielki mój przyjaciel, postać ogólnie znana. W tym właśnie czasie był on przy Atamanie oficerem łącznikowym. Lewin nie był człowiekiem kresowym, ale w polsko-ukraińskiej rzeczywistości, w której dane mu było żyć, czuł się rozanielony. Na dworcu w Mohylowie spotkał nas ukraiński komisarz sprawujący władzę nad miastem; po spotkaniu z grupą *zapilja* i załatwieniu protokołu spotkania oraz rozmowy dokonałem w Mohylowie ministerialnej inspekcji, zwiedziłem miasto i wyruszyliśmy do Winnicy.

Mohylów zrobił na mnie swoiste wrażenie. I tu także panowała aura naddniestrzańska, nic jednak nie było ze strzelistości Kamieńca. Odczułem natomiast powiew Wschodu. Nie tylko pejzaż, ale przede wszystkim ludzie dawali temu wyraz. Może specjalnie wschodnia uroda kobiet.

Podczas powrotnej podróży do Winnicy rozmawiano mało. Towarzystwo było mało rozmowne, jakieś obce. Po spotkaniu z Mazepą Petlura zamknął się z nim i parę dni konferował. W wyniku tej konferencji zaszła zmiana na stanowisku premiera. Andrzej Lewicki został odwołany, a na jego miejsce przyszedł Mazepa. To co się stało, nie było szczęśliwe ani pomyślne. Zresztą moje osobiste wrażenie potwierdził bieg rzeczy. Mazepa na stanowisku premiera urzędował niedługo.

36

Największym wydarzeniem okresu winnickiego był przyjazd do Winnicy Józefa Piłsudskiego i jego spotkanie z Petlurą. Było to wydarzenie wyjątkowo doniosłe i wzruszające.

Temat ten jest zbyt obszerny, by mówić tu o tej osobliwej chwili historycznej. Zwrócę jedynie uwagę, że na oficjalnym przyjęciu-uroczystości byłem przedstawiony Komendantowi przez Petlurę jako minister ukraiński w towarzystwie innych ukraińskich ministrów.

Pamiętam całą uroczystość. Rząd URL *in corpore*. Wyżsi dowódcy wojskowi. Uroczysty bankiet. Miejsce reprezentacyjne przy stole ustawionym w podkowę zajęli Petlura i Piłsudski. W pewnym momencie Petlura wstał i wygłosił na cześć Piłsudskiego dłuższe przemówienie. Petlura — wódz Ukrainy — przemawiał z niezwykłym talentem, mówił wzruszająco, z właściwą Ukraińcom uczuciowością, z polotem. Mówił o Piłsudskim, wodzu Polski, o ukraińsko-polskim braterstwie, o pomocy polskiej w walce o wolność Ukrainy. Słów Petlury słuchano z otwartym sercem. Nie było to urzędowe, formalne, zdawkowe. Było w tym coś z tchnienia prawdy.

Po pewnym czasie głos zabrał Piłsudski. Słuchano go w największym napięciu — słuchano jak objawienia, jak wyroku. Piłsudski mówił o polsko-ukraińskim sojuszu, o braterstwie broni, o walce Ukrainy o wolność i pomoc w walce tej Polski, wreszcie o czekającym Ukrainę wysiłku utrzymania swej wolności, o gro madzeniu własnych sił w obronie przed atakami wroga.

W różnych czasach i warunkach dane mi było przeżywać wielkość Polski. Cykl historycznych wydarzeń na przestrzeni mego życia nie był mały. Jednym z przeżyć szczytowych był dzień pobytu Piłsudskiego w Winnicy.

Po pewnym czasie udałem się z polecenia Atamana do Kijowa. Na ten raz misja moja była bardzo odpowiedzialna i bardziej jeszcze „ukraińska”.

Miałem w imieniu rządu URL przejąć władzę nad Kijowem z rąk gen. Rydza Śmigłego i mianować ukraińskiego komisarza Kijowa. Poza tym miałem się skomunikować z grupą ukraińskiej kijowskiej inteligencji skupiającej się wokół osoby powszechnie poważanego Siergieja Jefremowa i w imieniu Atamana i rządu URL wezwać ją do wzięcia udziału w pracy państwowej. W paru rozmowach z Atamanem temat ten został poruszony i szczegółowo omówiony.

Mój przyjazd do Kijowa był dość oryginalny, a nawet w pewnym sensie niesamowity. Znany polskiemu społeczeństwu Henryk Józewski, kijowianin z urodzenia, uczeń Pierwszego Kijowskiego Gimnazjum a potem student uniwersytetu św. Włodzimierza, działacz społeczny, prezes „Filarecji”, poza tym muzyk i razem ze Stanisławą Wysocką twórca i scenograf teatru polskiego „Studio” zjawia się w Kijowie jako minister ukraiński, przejmuje w imieniu rządu URL Kijów, ustala ukraińską administrację... Niezwykłość sytuacji odczytywałem w zdumionych oczach moich znajomych i przyjaciół...

Nie mniej godna opisu była urzędowa scena przekazywania administracji kijowskiej ministrowi ukraińskiemu Henrykowi Józewskiemu przez gen. Rydza Śmigłego. Odbyło się to uroczystie i formalnie. Aktorami tej sceny byli Komendant Główny POW i podległy mu Komendant Naczelny KN III.

Na komisarza Kijowa z ramienia rządu URL powołałem prof. Łoskiego.

Siergiej Jefremow był bardzo wzruszony i rozradowany, gdy stanął przed nim wysłannik Atamana Petlury i reprezentant ukraińskiego rządu. I to z misją nielada. Był to akt uznania Atamana i rządu dla Jefremowa i jego grupy oraz zaproszenie do współdziałania w rządach. Zostałem przyjęty z otwartymi ramionami. Po przeprowadzonych rozmowach zostało ustalone, że do Winnicy udadzą się Wiaczesław Prokopowicz, Nikowski, Salikowski, Zajcew i paru jeszcze innych.

Po przyjeździe ich do Winnicy w niedługim czasie Prokopowicz został premierem, Salikowski ministrem spraw wewnętrznych, Nikowski ministrem spraw zagranicznych.

Poza sprawami urzędowymi Kijów sam w sobie absorbował

moje myśli i uwagę. Miasto rodzinne patrzyło na mnie tak jak zawsze, pomimo straszliwych wydarzeń, jakie przeszło.

Największe wrażenie robiły na mnie ukazujące się tu i ówdzie w ulicznym tłumie mundury polskie. Powszechny nastrój był ożywiony i wesoły. Wesołość ta szła od polskich żołnierzy, od tych postaci dziarskich i niefrasobliwych. Tańczono na skwerach i placach z kijowiankami. Tego Kijów jeszcze nie widział, pomimo że niejedna armia przez Kijów maszerowała. Nawet żołnierze ukraińscy nie mieli takiego powodzenia, a raczej takich objawów powodzenia. Kiedyś tłumaczył mi Komendant, że cechą polskiego żołnierza jest humor i wesołość i to odróżnia polskie wojsko od innych i daje mu poważny atut na wojnie.

Spółeczeństwo polskie, które miało za sobą tyle straszliwych przeżyć, uśmiechało się także. Panowało ożywienie i radość. Nie trwało to długo. Znowu na progu zarysował się ponury cień nadchodzącego losu, znany, ten sam. Śpieszono się. Polska... wyjazd.

W życiu moim własnym i moich najbliższych jątrzyła się otwarta rana wywiezionych z Kijowa na śmierć i męczeństwo peowiaków. O rodzinach peowiackich piszę w innym miejscu.

Do wspomnień o moim pobycie w Kijowie dochodzi postać Karola Jaroszyńskiego — mego znajomego z dawnych lat a nawet przyjaciela. Był to najbogatszy człowiek na Ukrainie i jeden z najbogatszych w Rosji. W swoim czasie został finansowym doradcą carskiej rodziny. Otóż pan Karol zjawiał się u mnie co rano dla załatwienia bieżących spraw finansowych w ramach kolaboracji z rządem ukraińskim. Pan Karol miał wielkie plany. Mieszkałem wtedy u moich teściów na Tarasowskiej 5. Systematyczne wizyty p. Karola zwróciły uwagę sąsiada z wyższego piętra, Żyda — bankiera. Zwrócił się więc do matki Bolewskiej z prośbą o widzenie się ze mną. Na moje pytanie, dlaczego się tak p. Jaroszyńskim interesuje, otrzymałem odpowiedź (mówiliśmy po rosyjsku): — „Idzie pan po ulicy i nic... idę ja i nic... idzie Lew Brocki (największa kijowska bankierska rodzina) i nic... idzie Karol Josifowicz Jaroszyński, *podymaet miljon i kładiot w karman... wot kto Karł Josifowicz Jaroszynskij*.”

„Uśmiech kijowski” się kończył. Nasuwała się groza. Wracalem do Winnicy w atmosferze ogólnego zdenerwowania. Nie pamiętam, jak się to stało, ale wracałem pociągiem towarowym. W Białej Cerkwi zjawiał się w wagonie Karol Jaroszyński, zmieniony i zziębnięty, i tak jak stał położył się na wątpliwej czystości słomie. Po pewnym czasie nadszedł nieznany mi rotmistrz, zna-

jomy Jaroszyńskiego, i zakomunikował o przerwaniu frontu przez Budiennego. A więc raz jeszcze dane mi było spojrzeć na Kijów w warunkach niezwykłych.

Rozpoczęły się dni winnickie przy cofającym się froncie, inne od tych, kiedy front posuwał się naprzód. W pewnym momencie dostałem dyspozycję ewakuowania miasta. Bolszewicy, jak informowano, byli tuż, tuż... Po wysłaniu wszystkich miałem wyjechać ostatni. Tak też się stało. Pamiętam mój ranny wyjazd samochodem. Za parę godzin na ulicach Winnicy i w domach pojawiają się bolszewicy. Był śliczny letni poranek.

Dojechałem do Żmerynki. Na dworcu w wagonach urzędował rząd URL. Żmerynka to największy na Ukrainie węzeł kolejowy. Niezliczona ilość wagonów towarowych zalegała tory. Jednego razu, gdy obudziłem się i spojrzałem przez okno wagonu, zobaczyłem scenę, która mnie zafrapowała. Kolejarze polscy żwawo uwijali się pomiędzy wagonami i utrwalali na wagonach polskie PKP, jakby rzecz nie cierpiała zwłoki i była tak bardzo konieczna w przededniu zajęcia Żmerynki przez bolszewików.

Ze Żmerynki pojechaliśmy dalej na Zachód. Ostatecznie po różnych przygodach stanęliśmy w Stanisławowie. Był to następny etap urzędowania i nie tylko urzędowania. Rozpoczął się nowy okres, staliśmy się emigracją w całym tego słowa znaczeniu. Rozpoczęło się normalne emigracyjne życie, z emigracyjnym rządem, parlamentem, wojskiem. Po pewnym czasie przeniesliśmy się jeszcze dalej na zachód Rzeszowa, a potem Tarnowa. Tu zatrzymano się na dłużej a raczej „na stałe”, do zawarcia przez Polskę pokoju Ryskiego. W owym czasie wyjeżdżałem parę razy służbowo do Warszawy. Załatwiałem sprawy polecane mi przez ukraiński rząd i Atamana Petlurę. Wreszcie zostaliśmy z p. Stanisławem przeniesieni do Warszawy. Nasze mieszkanie w pałacu Raczyńskich stało się jeszcze jedną placówką URL. Mieliśmy stały kontakt z ukraińskim poselstwem w Alei Róż, z posłem Andrzejem Lewickim. Odbywaliśmy konferencje z polskimi politycznymi czynnikami i instytucjami rządowymi. Było to swoiste ukraińskie urzędowanie. Pamiętam konferencję w Belwederze z Marszałkiem Piłsudskim. Omawialiśmy bieżące potrzeby ukraińskiej emigracji. Od Atamana Petlury miałem szereg listów z poleceniem załatwienia różnych spraw. Aż nadeszły chwile, które wstrząsnęły polskim życiem. Posuwanie się bolszewickiej nawały. Brak pomocy z Zachodu. Polska pozostawiona samej sobie w

obliczu przeciwnika, który szedł zapanować nad Europą. Gdy zdawało się, że nie ma nadziei, nastąpił kontratak wojsk polskich nad Wieprzem, potem bitwa pod Warszawą i pogrom armii bolszewickiej.

W tym okresie zostałem powołany przez Komendanta do objęcia dowództwa nad dywersją na wypadek zajęcia przez bolszewików Warszawy. Do dywersji nie doszło. Bolszewicy Warszawy nie zajęli. Chwilami zapominałem o obowiązkach ciążących na mnie z tytułu mojej „ukraińskości”, kiedy z opuszczonego mieszkania ukraińskiego poselstwa przy Alei Róż śledziłem w godzinach nocnych i wieczornych błyski artyleryjskie pod Radzyminem.

39

Po odniesionym zwycięstwie Polska odetchnęła. Odetchnął ukraiński świat i ukraińska emigracja. Zamajaczyły perspektywy. Oddziały ukraińskiego wojska brały udział w obronie Polski przed bolszewikami.

Zaczęły się pertraktacje w Rydze i nadszedł dzień podpisania pokoju Ryskiego. Po pewnym czasie zostałem z p. Stempowskim wezwany przez ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych Skirmunta do odbycia nie cierpiącej zwłoki konferencji. Odbyła się ona w sejmie, w gabinecie przylegającym do sali obrad. Dolatywał hałas głosów i gwar panujący na sali. Minister Skirmunt zawiadomił nas, że „jutro wyjeżdża do Tarnowa mieszana komisja polsko-bolszewicka dla skonstatowania miejsca pobytu Atamana Petlury, który mocą Ryskiego Traktatu został pozbawiony prawa azylu”.

Wiadomość ta spadła na mnie jak grom. Było mi dane poznać gorzki smak polityki i tzw. „konieczności” nie mającej nic wspólnego z ludzką moralnością. Nie pamiętam, czy pożegnałem się z ministrem Skirmuntem...

Nie miałem czasu do stracenia. Zdecydowałem działać na własną rękę, wyłącznie na własną odpowiedzialność. W bardzo krótkim czasie zorganizowałem wyjazd do Tarnowa. Znalazłem się w wagonie z dwoma towarzyszącymi mi peowiakami z KN III. Kazałem im zabrać ze sobą broń. W takiej eskorcie zjawiłem się w Tarnowie. Niezwłocznie udałem się do mieszkania Atamana. Atamana w mieszkaniu nie zastałem. Gdzieś wyszedł. Natknąłem się na ministra Nikowskiego i oświadczyłem, że chcę z Atamanem rozmawiać w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

W parę minut potem wszedł do pokoju Ataman. Rozmowa toczyła się w cztery oczy. Poinformowałem go o sytuacji. Oświadczyłem, że mówię we własnym imieniu i działam na własną rękę, bez porozumienia się z kimkolwiek. Podejmuję się Atamana ukryć. Proponuję natychmiastowy wyjazd ze mną do Warszawy. Ataman miał mi zaufać. Zrobił to bez chwili wahania. Wspomniałem o całkowitej dyskrecji. Nikt nie może wiedzieć, gdzie się Ataman udaje i z kim. Po chwili ubrany w palto z kapeluszem wyszedł ze mną na ulicę. Moja peowiacka eskorta czekała. Poszliśmy piechotą na dworzec. Peowiaczy szli za nami. Było ciemno. Poczekałszy w tłumie na pociąg idący do Krakowa i Warszawy. Był to pociąg zwyczajny. Wsiadliśmy do pociągu. Pociąg ruszył. Mojej eskorcie udało się zdobyć przedział dla naszej czwórki i tak dojechaliśmy do Warszawy. O szarej już godzinie wsiadłem z Atamanem do taksówki i za chwilę byliśmy w pałacu Raczyńskich, w naszym mieszkaniu. Spotkał nas z czarującym jak zwykle uśmiechem p. Stanisław Stempowski, który uprzednio aprobował plan. Pokój przygotowany dla Atamana czekał. Petlura znalazł się u siebie... Tak zginął z oczu ludzkich.

40

Nikt nie wiedział, co się z Atamanem stało i gdzie jest. Nie wiedzieli Polacy ani Ukraińcy. Po paru dniach zaczęto się u mnie zjawiać, by się o czymś dowiedzieć. Oczywiście, nie dowiedzieli się nic. Usiłowała dowiedzieć się „dwójka”, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Pamiętam wizytę Szumlakowskiego z wydziału wschodniego ministerstwa, osobistości sprytniej i wścibskiej. Przyparł mnie do muru, mówiąc że ja nie mogę nie wiedzieć o miejscu pobytu Atamana. Odpowiedziałem, że Ataman znajduje się za ścianą w drugim pokoju. Szumlakowski obraził się i wyszedł. Ataman był naprawdę za ścianą. Potem jakoś się uspokoiło.

Po miesiącu czy dwóch zdecydowaliśmy z p. Stanisławem wysłać Atamana na wieś. Pan Stanisław umieścił go u swego przyjaciela, Stanisława Czekanowskiego, w Kośminie pod Grójcem. Atamana ulokowano z dala od dworu w nieczynnej gorzelnii, w której z wezwany przez siebie adiutantem spędzał czas w warunkach bardziej zdrowotnych. Czekanowski opiekował się swoim „gościem” bardzo serdecznie.

Po paru miesiącach Ataman powrócił do Warszawy. Zamieszkał z żoną i córką Łesią u mego serdecznego przyjaciela, Włodzi-

mierza Redlicha — Mokotowska 5 m. 6. Redlich był adwokatem kijowskim i mecenasował w Warszawie. Był peowiakiem KN III, wiernym przyjacielem Ukrainy. Po ukraińsku mówił dobrze i w pewnych chwilach przyciszonym głosem podśpiewywał ukraińskie piosenki. Stosunki z Redlichem i jego rodziną układały się jak najlepiej. Do tego dochodził jeszcze adiutant Hajewyj, ukraiński oficer z otoczenia Atamana, wierny i oddany, człowiek niezwykle miły. Na Mokotowskiej bywałem często. Moja żona dawała Łesi lekcje francuskiego. Czasami wieczorem wychodziliśmy z Atamanem we dwójkę na spacer. Przechodziliśmy koło sejmu, czasem koło Belwederu.

Pewnego dnia wpadł do mnie Redlich z wiadomością o sowieckiej nocie, w której się uskarżali, że Ataman Petlura mieszka w Warszawie na Mokotowskiej pod nazwiskiem Włodzimierza Redlicha. Władze polskie dały sobie z tym jakoś radę.

Na Mokotowskiej mieszkał Ataman przez czas dłuższy, po czym nastąpił wyjazd do Paryża, miejsca pobytu emigracyjnego rządu ukraińskiego. W Paryżu Ataman zginął z ręki Szwarzbarta — trafiony pięcioma kulami na ulicy Paryża. Szwarzbart był Żydem i bolszewickim agentem. Jak niesie wieść, zdołał wyjechać do Ameryki Południowej, najlepszego, jak się z czasem okazało, azylu dla politycznych morderców. Tak zarysowują się dzieje Atamana Petlury od podpisania Traktatu Ryskiego do dnia jego śmierci.

41

Okres, o którym mowa, zwłaszcza pobyt Atamana w naszym mieszkaniu, stwarzał wyjątkową okazję do poznania tej historycznej postaci, do najbardziej bezpośredniego zbliżenia, długich, niekończących się rozmów przeciągających się nieraz do późnej nocy.

W naszym mieszkaniu panował nastrój rodzinny. Przychodziły w odwiedziny różne wydarzenia i przesuwwały się przez nasze mieszkanie różne wiadomości.

Niektóre sceny zapadły mi głęboko w pamięć. Pamiętam poranną herbatę w obszernym jadalnym pokoju. Byli domownicy i dość niezwykli goście, typowo ukraińskie *diad'ki*, ukraińscy powstańcy z Hołodnoho Jaru pod Czerkasami. Przywędrowali do Warszawy żeby się przekonać, czy Ataman Petlura jest na świecie, zobaczyć go i wrócić z wiadomością do Hołodnoho Jaru. Było ich paru. Siedzieli z Atamanem i pili herbatę. Rozmowy powtarzał nie będę, nie o słowa chodzi, a o to, co się za nimi kryje. Byłem świadkiem tego, co się działo pomiędzy Atamanem

a Ukrainą. W rozmowie z *diad'kami* było to niezwykle wymowne. Od *diad'ków* dowiedziałem się niejednego, dowiedziałem się, jak toczy się życie po chatach i w Hołodnym Jarze, jak zagłada w oczy śmierć.

Pan Stanisław zaprowadził *diad'ków* na posiedzenie Sejmu. Sejm właśnie się odbywał. Była to scena niezwykła. Sejm nie wiedział, że z galerii patrzyły na ławy poselskie oczy Hołodnoho Jaru, były serca *diad'ków*, którzy poszaleli na widok polskich chłopów zasiadających poselskie ławy. Było to dla *diad'ków* przeżycie wstrząsające. O tym wciąż mówili i nie mogli się uspokoić. Sejm nie wiedział, że będzie sprawozdanie z posiedzenia sejmu gdzieś, o setki kilometrów od Wiejskiej, w Hołodnym Jarze, w ogniu walki.

Albo odprawa Jurka Tiutiunnyka. Było to jedno ze znanych nazwisk na Ukrainie. Chodziło o działania powstańcze pod komendą Jurka. Miał w tym brać także udział mój serdeczny przyjaciel, peowiak z KN III, kapitan Jerzy Kowalewski. Po omówieniu planu działania Tiutiunyk odszedł. Zjawił się także na chwilę Kowalewski. Pamiętam, jak szybko zbiegał po schodach i ostatnie jego wesołe spojrzenie. Wyprawa się nie udała. W bitwie pod Bazarem Kowalewski zginął śmiercią żołnierską. Tiutiunyka wzięto do niewoli. Informował mnie o tym Siergiej Tymoszenko, który także brał udział w akcji. Z biegiem czasu rozeszła się wieść, że Tiutiunyk przeszedł na służbę do bolszewików. Dowodzi jakąś jednostką wojskową na Syberii.

42

Po pierwszej wojnie światowej na scenie wydarzeń widzimy Ukrainę jako państwo niepodległe, wolne, samoistne, walczące o swe istnienie w zamęcie rewolucji i rozkładzie życia powojennego. Od roku 1917 do podpisania pokoju Ryskiego przesunął się w szybkim tempie kalejdoskop wydarzeń — różne sytuacje, różne rządy i władze ukraińskie i nieukraińskie.

Historia oceni kiedyś etapy stawania się Ukrainy. Wśród tych pozycji wysuwa się na czoło to, co się łączy z osobą Atamana Symona Petlury. Jest on symbolem walki o wolność Ukrainy, jest najbardziej ukraińską ze wszystkich ówczesnych postaci, którym sądzono było odegrać taką lub inną rolę w dźwiganiu się Ukrainy do niepodległego bytu. Walka o wolność Ukrainy kojarzy się z osobą Atamana Petlury. Petlura stał się synonimem tej walki.

Dlatego też Petlura i Petlurowszczyzna są tak zajadłe tępione przez Sowiecką Rosję. Właśnie dlatego.

W zamęcie, który panował na ziemiach ukraińskich, łatwo było stracić głowę, łatwo zboczyć na manowce i zagubić się bez reszty.

„Tracenie głowy” nie ogranicza się do czysto teoretycznych rozważań — nie to w danym razie mam na myśli. Chodzi o realną rzeczywistość istnienia z całym „inwentarzem” tego stawania się. Nie znaczy, bym rozumowi teoretycznemu odmawiał właściwej mu racji, ale poza nim jest jeszcze coś, co stanowi o istnieniu człowieka i narodu.

Nie chcę być posądzany o mistycyzm. To, o czym mówię, nie ma z mistycyzmem nic wspólnego, jest realnością najbardziej dotykającą.

Rozważania tego rodzaju może nie są na czasie w epoce, w której obowiązuje diamat, obiektywność istnienia, rozum teoretyczny, dyktatura logiki. Są jednak znaki na ziemi i niebie, że „w państwie duńskim nie dzieje się dobrze” — nauka nie jest w stanie dać sobie rady ze sprawami ludzkimi. Jeżeli chodzi o świat człowieka, spotykamy za osobliwą postać „wiedzy”, której nie należy identyfikować z wiedzą rozumu teoretycznego ani z wiedzą przezroczystą w stopniu większym lub mniejszym dla matematyki. W danym wypadku rola rozumu teoretycznego jest rolą *ex post*.

„Wiedzę” taką posiada naród i ona właśnie o jego istnieniu stanowi. Nie zawsze naród jest w stanie nazwać ją po imieniu. Nie przesądza to jednak o jej obecności. „Wiedza” ta może dawać o sobie znać i być obecna w poszczególnych jednostkach. Dotyczy to także poszczególnych środowisk, tendencji społecznych, politycznych, kulturalnych, naukowych.

„Wiedza” ta, nazwana po imieniu, budzi echo w masach ludzkich, wplata się w ich życie i w pewnym sensie życiem tym kieruje nie wbrew niemu, ale w imię jego.

Petlura właśnie „wiedział” i życie ukraińskie to czuło, mówiło o tym słowami Atamana Petlury. Polakom łatwo to zrozumieć — mieliśmy Piłsudskiego.

Taka jest „tajemnica Petlury” w stawaniu się Ukrainy, jego ukraińskość i wielkość i to, że Ukraina wpatrzyła się w Atamana i za nim szła.

W moich rozmowach z Atamanem miałem możliwość poznania owej petlurowskiej „wiedzy”. Sprawą najbardziej w warunkach ówczesnych aktualną i zresztą aktualną we wszystkich czasach i okolicznościach był układ pomiędzy Moskwą, Ukrainą i Polską.

Nie chodzi o bardziej lub mniej zręczne i inteligentne deklaracje, bardziej lub mniej zręczne praktyczne manewry. Chodzi o rzecz najbardziej istotną i podstawową.

Otóż w sprawie tego układu nie było różnicy pomiędzy Petlurą a Piłsudskim, między tym co nazwałem „Jestem” Ukrainy i „Jestem” Polski, a w co uwierzyłem bez zastrzeżeń, co w moim życiu stało się prawdą najbardziej bezsporną i najbardziej realną, czym żyłem i żyję.

Powiedzenie, że Petlura był przyjacielem Polski albo że w sojuszu z Polską upatrywał dla Ukrainy „dobry interes”, nawet to, że było to rzeczą nieuniknioną, nie wyczerpuje obrazu. Miałem do czynienia z czymś innym, niewspółmiernie większym, a zarazem tak bardzo polskim i moim.

Układ ukraińsko-polski jest kanonem istnienia Ukrainy i Polski. Miał on miejsce w różnych czasach i różnych sytuacjach. Tak już jest, że ludzka uwaga najchętniej przebywa w towarzystwie towarzyszących „sytuacji”. I to właśnie jest niekończącym się spektaklem polsko-ukraińskich stosunków czy polsko-ukraińskiego sposobu bycia — porozumień, nieporozumień, przyjaźni i nienawiści, kłótni kończącej się niekiedy przelewem krwi — rozwyrderzeniem nacjonalizmów polskiego i ukraińskiego — i bratnim uściskiem.

O stosunku Polski do Ukrainy i Ukrainy do Polski decydują nie tylko względy praktyczne, taka lub inna polityczna koniunktura, nawet tzw. „dobry interes” dla jednej i drugiej strony. Jest to przyrodzona potrzeba istnienia Ukrainy i Polski. Moje zbliżenie do Atamana zapewniło mnie, że tak właśnie jest. Jest to pozycja sama w sobie, samoistna i niezależna od jakichkolwiek innych względów. Jest to bogactwo polsko-ukraińskie w ogólnym rachunku stającej się ludzkości. Można by zastosować tu słowa: rodzina, rodzinne, swoje, wspólne, i to, co nazywamy „my”.

Taka jest istota polsko-ukraińskiego i ukraińsko-polskiego fenomenu, główny i dominujący moment kompozycji czasem bardzo zawiłej i trudnej do odczytania. Życie ludzkie przebija się przez różne zawiłości, różne treści, nakazy. Można się w tym wszystkim nieraz zgubić.

My, Polacy, wiemy, czym jest „trójzaborowość” — Ukraińcy wiedzą, czym są „naddnieprzańcy” i „Ukraińcy galicyjscy”. Przecistawienie Poznaniaka Polakowi z Kongresówki może mieć miejsce w pewnych tylko granicach. Nie można pozbawiać polskości jednej i drugiej strony.

Coś podobnego daje się zaobserwować pomiędzy „naddnieprzańcem” a „Ukraińcem galicyjskim”. Może w tym wypadku przeciwieństwo idzie dalej. Oba te światy mają swoje specyficzne osobliwości. W świecie naddnieprzańskim panował duch antyrosyjski, który w miarę czasu wzrastał się coraz bardziej. Ukraina galicyjska czuła niechęć, a nawet w pewnych razach wrogość do Polski. Za to stosunek do Rosji był inny. Za rządów carskich Ukraińcy galicyjscy byli obiektem rosyjskiej propagandy. Rosja występowała jako odwieczny przyjaciel. Za czasów bolszewickich widzimy pertraktacje Petruszewicza z Joffem — pełnomocnikiem bolszewickiej Rosji.

Stosunki pomiędzy „naddnieprzańcami” a Ukraińcami galicyjskimi były ozięble i zdawkowe. Pomimo wartości kulturalnych i świadomości narodowej Ukraińców galicyjskich nie odegrali oni większej roli w powstawaniu państwa ukraińskiego nad Dnieprem.

Ukraina naddnieprzańska zdążyła ku niepodległości w walce z Rosją i w oparciu o Polskę. Ukraińcy galicyjscy występowali przeciwko Polsce, nie wyrzekali się pomocy Rosji.

Temat, który poruszam, nie da się zbyć paru słowami. Chodzi mi o zarysowanie istniejących w życiu ukraińskim tendencji.

W układzie życia i stosunków pomiędzy Ukraińcami a Polakami poza akcentami niechęci, wrogości i nawet walki, miały także miejsce czynniki innego typu. Świat polski przenikał w życie ukraińskie, zabarwiał sobą polską rzeczywistość lwowską.

Już sama gwara lwowska mówiła o niejednym. Akcent ukraiński w polskim życiu robi Lwów bardziej polskim, bliskim, rodzonym. To samo można powiedzieć o Ukraińcach, dla których akcent polski sprawia, że Lwów jest bardziej rodzony, ukraiński.

Nie znałem Małopolski, nie stykałem się z życiem tego kraju osobiście. Przypominam sobie pewne przeżycia. Zostałem zaproszony przez jednego z adiutantów Atamana, Ukraińca lwowskiego na obiad rodzinny.

Adiutant bardzo mi się podobał, a więc poszedłem. Pamiętam, jak siedzieliśmy przy jednym stole z rodziną i zaproszo-

nymi gośćmi. Mówiono po ukraińsku z akcentem oczywiście lwowskim, mówiono płynnie i dobrze, ale słyszało się także najprawdźwiwszą lwowską polszczyznę. Okazało się, że mówili tak członkowie najbliższej rodziny, zwracając się do siebie. Sytuacja pod pewnym względem była dość niezwykła. Byłem ukraińskim ministrem w rządzie URL, a zarazem Polakiem, o czym wiedzieli wszyscy. Wśród gospodarzy zauważyłem typowych undowców i nie mniej wyraźnych Polaków. Wszystko stanowiło rodzinny chór, czuli się dobrze, bawili się wesoło. Panowało swoiste „kochajmy się”.

W rozmowach ze mną Ataman powiedział, że popełnił błąd, wysyłając swoje oddziały pod Lwów — Lwów broniący się przed Ukraińcami. Naddnieprzańcy niepotrzebnie tam poszli. Komplikowało to zarysowujący się układ ukraińsko-polski.

Myślę, że z czasem rachunki pomiędzy naddnieprzańcami a „Galicjanami” zostaną wyrównane i obie strony podadzą sobie ręce. W sprawie tej ma niemało do powiedzenia dzisiejsza ukraińska emigracja. Jednak, jak myślę, najbardziej się przyczynią do tego rządy sowieckie panujące dziś w Kijowie i Lwowie. „Łatwość” nawiązywania stosunków z Rosją, o czym wspominałem mając na myśli Ukraińców galicyjskich, na pewno należy dziś do przeszłości.

46

Na kształtowanie się przyszłych losów Ukrainy będzie miała wpływ Rosja, i to niemały, będzie miała coś do powiedzenia świat Zachodniej Europy i USA, będzie miała coś do powiedzenia Polska. Każdy z tych czynników ma inny tytuł, by o istnieniu Ukrainy stanowić i brać w nim udział.

Trzy elementy są niewspółmierne, są doskonale inne. Wszystkie są realne, ale realność ich jest w każdym wypadku inna.

Otóż realność czynnika polskiego w kształtowaniu ukraińskiej rzeczywistości nie ogranicza się do takich lub innych bieżących spraw, bardziej lub mniej marginesowych; dotyczy ona istoty rzeczy, polsko-ukraińskiego współbywania.

Bieg wydarzeń może być różny i sytuacje mogą być różne i coraz to inne. Nie wpływa to jednak na to, o czym mówię. Jest to właśnie sama esencja istnienia Ukrainy i Polski, taka jaka jest.

Mój nieco metafizyczny wywód dotyczy sprawy, która jest między nami, a która nie zawsze do głosu dochodzi. Sprawa ta mówi o wyjątkowym i niewspółmiernym z innymi czynnikami

udziale i znaczeniu Polski w kształtowaniu ukraińskiej rzeczywistości.

Nad tym tematem unoszą się roje słów. Każde z nich o sprawę tę zatrąca. Mówi się o polsko-ukraińskiej rodzinie, o pokrewieństwie, braterstwie, symbiozie kulturalnej. Istnieje cała gama słów o Ukrainie. Scena wygląda inaczej, kiedy pojawiają się słowa gwary politycznej. Zazwyczaj zatraca się wtedy sens tego, z czym mamy do czynienia, panuje pusta gadanina aktorów na scenie historii.

Są jednak ludzie, którzy prawdy z oczu nie tracą. Nie decyduje o tym stopień wykształcenia, nie decydują nawet naukowe tytuły. Jakże często tytuł naukowy przesłania elementarną ludzką głupotę i zaślepienie. Jakies inne czynniki dają możliwość obcować z prawdą, o której wspominam, i nie tracić jej z oczu. Można by je nazwać działaniem rozumu intuicyjnego, możliwościami twórczymi człowieka. Tak się w świecie ludzkim dzieje.

Są ludzie o wyjątkowej intuicji, niedościgłej dla przeciętności. Wtedy życie garnie się do nich. Oni przewodzą, decydują, w imieniu życia przemawiają słowami zrozumiałymi dla wszystkich. Są to mężowie stanu, bohaterowie narodu, postacie historyczne.

Taką postacią historyczną na Ukrainie był Symon Petlura. Jego nazwisko zaćmiło nazwiska współczesnych i stało się symbolem Ukrainy najbardziej ukraińskiej, walczącej o wolność.

Zdobyć się na „słowo o Petlurze” nie jest łatwo. To, co powiedziałem dotychczas, tematu nie wyczerpuje. Oczywiście głos będzie miała historia i ona, jak zwykle, sprawę tę załatwi. Nastąpi „kanonizacja” Symona Petlury.

Ale i dzisiaj imię jego jest „święte”.

47

Nie jest łatwo pisać o tym, do czego usiłuję się zbliżyć. Kompozycja ludzkiego istnienia zawiera w sobie najprzeróżniejsze momenty trudne do „pogodzenia” i często sobie przeciwstawne. Nie należy o tym zapominać, gdy mamy przed sobą życie narodu czy narodów, ich nurty bijące o brzegi jakże często brudną pianą i namuł codzienności, w którym można się utopić.

Czasy, które opisuję, są w tym sensie wyjątkowo wymowne. Przyporównałem je do burzy czy huraganu, który oczy ludzkie zasypuje piaskiem, a, co gorsza, trudniejszym jeszcze do zniesienia pyłem szarżyzny dni codziennych i duchowej ludzkiej nędzy.

Gdy myślę o Petlurze, a może nie tylko o nim, czuję tego obecność.

W moich wspomnieniach o Atamanie nie mogę pominąć tego, co sam przeżywałem. Miałem możność przekonać się, jaki jest stosunek Atamana do Polski, jakie zawiera w sobie bogactwo, jak bardzo bogactwo to jest ukraińskie. To samo, a może w stopniu jeszcze większym, występowało w stosunku do Józefa Piłsudskiego, który w oczach Atamana uosabiał Polskę. Jak już wspomniałem, w rozmowach ze mną, mówiąc o Piłsudskim, Petlura używał zwrotu — „Pan Komendant”. Było to swego rodzaju zbliżenie się do świata legionowego, żołnierskiego pokrewieństwa z polskim czynem zbrojnym.

Na mocy traktatu polsko-rosyjskiego zawartego w Rydze Petlura tracił zagwarantowane mu przez Polskę prawa azylu. Było to nie do zniesienia, obrażało poczucie ludzkiej godności i poczucie honoru, było amoralne, paliło jak ogniem od chwili, gdy minister Skirmunt poinformował mnie o stanie rzeczy.

Jak zawsze w podobnych sytuacjach, mówiło się: „inaczej być nie mogło”. Było to ustępstwem, nie dającym się uniknąć kompromisem, tzw. „bezwzględnością” polityki. Owa „bezwzględność” stawała się udziałem Komendanta.

Moje przeżycia zdawały się podpowiadać, co musiał odczuwać Ataman. Tymczasem stanąłem wobec sytuacji nieoczekiwanej: Ataman nie miał wobec Piłsudskiego i Polski zastrzeżeń, żalu, pretensji. Daję świadectwo tej prawdzie wobec Polski i wobec wszystkich. Pamiętam niejedną wieczorną spacer we dwójkę z Atamanem po ulicach Warszawy. Czasem przechodziliśmy koło świecących okien Belwederu. Ataman mówił o Piłsudskim tak jak zawsze, z takim samym uczuciem i przejęciem.

Na razie kończę moje „słowo o Petlurze”. Brak w nim opisu jego postaci, jak wyglądał, jakie sprawiał wrażenie, jak się zachowywał, mówił, jak patrzyły jego oczy. Jeszcze dziś widzę Atamana jak żywego. Umknęły mi jednak słowa, by go opisać. Mogę jedynie stwierdzić, że od chwili pierwszego spotkania robił na mnie wrażenie człowieka niezwyklego, na miarę swojej wielkości.

Nie chciałbym żeby moje „słowo o Petlurze” kończyło się wrażeniem, jakie jego osoba sprawiała na najbliższym otoczeniu.

Chodzi tu o „wrażenie” inne, innego wymiaru, o sprawę, którą uosabiał, o fakt historyczny wielkiej skali i nieprzemijającego znaczenia w życiu Ukrainy i Polski, fakt kojarzący się z osobą Atamana, symbolem tego, co miało miejsce.

Nie można nad tym przejść do porządku, nie można zapomnieć, jak się zapomina o pierwszym lepszym epizodzie na marginesie historii. Gdy mowa o Petlurze, nie mamy do czynienia z „epizodem”, a czymś, co będzie żyło w dalszym stawianiu się Ukrainy i Polski, w kształtowaniu się życia na obszarach między-morza Bałtycko-Czarnomorskiego.

WOŁYŃ

49

Latem 1928 roku znalazłem się na Wołyniu. Zmieniłem stanowisko Szefa Gabinetu Prezesa Rady Ministrów na urząd Wojewody Wołyńskiego. Moje dziesięcioletnie urzędowanie na Wołyniu stanowi zamkniętą w sobie całość, jest w moim życiu wyraźnie zarysowaną pozycją pełną osobliwej treści i wielkiego dla mnie, a może nie tylko dla mnie znaczenia.

W Wołyniu jak w soczewce zbiegły się sprawy, którymi od dawna żyłem — legendy przeszłości i legendy przyszłości. Tu właśnie Polska stawiała się poprzez sprawę ukraińską a Ukraina przez polską. Tu mogły „zakwitać sobą”. Realizowały się wielkie możliwości polskiego istnienia. Stąd uśmiech polsko-ukraiński i ukraińsko-polski mógł zawędrować nad Dniepr i w fali dniewprowej się przegłądać.

50

Jakże tępo i bezmyślnie patrzyły na to, co się działo, oczy ówczesnych Polaków, uznanych osobistości, polityków, tych, co mieli prawo myśleć polską reprezentować. Wołyniem się nie interesowano. Było to jedno z szesnastu polskich województw i to takie, gdzie „psy dobranoc mówią”. W oczach niejednego z moich

przyjaciół przeniesienie na Wołyń ze stanowiska Szefa Gabinetu Prezesa Rady Ministrów było degradacją. Nikt się nie domyślał, że właśnie w Łucku przyjdzie do mnie i będzie ze mną wielka przygoda mego życia.

Parę tylko osób potrafiło ukrytą przed wzrokiem przeciętnego Polaka złotą „wołyńską strunę”. Pamiętam moje spotkanie z Sieroszewskim-Sirką w Wiśniowcu. Byłem wtedy osadnikiem wojskowym. Spacerowaliśmy między drzewami wiśniowieckiego parku. Czasem mignęła skromna wstęga Horynia przebiegająca między wiśniowieckimi stawami. Sirko na Wołyń „spadł z księżycy”, a raczej ze świata Sybiru, Chin, Japonii. Sirko toczył się między drzewami parku i mówił. Jego egzotyzm znalazł wołyńską „złotą strunę”. O Wołyniu „wiedział” Stanisław Stempowski. O Wołyniu „dowiedziała się” Maria Dąbrowska. Łuck odegrał niemałą rolę w narodzeniu się „Geniusza Sierocego”. Ze wzruszeniem przypominam sobie, jak w Łucku pracowałem z Łobodowskim. Byli jeszcze inni. Ale, co dziwniejsze, o „złotej strunie wołyńskiej” „wiedział” Frank Savery, konsul generalny brytyjski. Zadomowił się on w naszym domu na dobre i czasem do późnej nocy mówiliśmy o Wołyniu i sprawach z Wołyniem związanych. Dla mnie niezwykle atrakcyjna była reakcja Anglika na to, jak Polska staje się sobą przez świat ukraiński. Był to temat z natury rzeczy angielski. Postawiłem pytanie, jak Anglia staje się sobą i buduje swoją potęgę przez światy innych narodów. Odczuwałem pewnego rodzaju dumę, że Savery dojrzał własną polską metodę postępowania i polskie możliwości w rozwiązywaniu tych spraw.

Wspominałem o paru postaciach ze świata intelektualnego i politycznego, które o Wołyniu wiedziały. W skali ogólnopolskiej było ich jednak kompromitująco mało.

Jeżeli mówię o „wiedzy”, nie znaczy to, że jest ona dostępna pewnym tylko jednostkom. Nie jest to wiedza hermetyczna. Jest tak, że ludzie wiedzą — nie wiedząc. Już samo życie wołyńskie takie jakie staje przed nami, takie jakie jest, „wie” i mówi o tym swą codzienną mową, patrzy na nas swym wzrokiem, jak tylko życie umie „patrzeć”. A moje najbliższe otoczenie wołyńskie, koledzy w pracy politycznej, administracyjnej, społecznej! Iluż z nich „paliło się” Wołyniem. Ani na chwilę nie czułem się w pustce rozważań teoretycznych. Byłem razem z Wołyniem, dogadywałem się z nim. Działy się rzeczy niezwykle, pomimo to najzwyklejsze. Pamiętam parogodzinną rozmowę w moim urzędowym gabinecie z Mieczysławem Limanowskim, profesorem geologii uniwersytetu Wileńskiego, natchnieniem „Re-

duty". W potoku gwałtownych słów Limanowski szalał Wołyniem. Takie ujęcie najbardziej odpowiada scenie, jaka się rozegrała.

51

Gdy myślę o Wołyniu, pojawia się zawsze Polska. Jak się przekonałem, Polska także „wiedziała” o Wołyniu. Nie świadczyły o tym publikacje naukowe, prasa, to, co mówiły o Wołyniu wybitne osobistości „dwudziestolecia”. Polska „wiedziała” po mojemu, była z Wołyniem w różnych zakątkach swych ziem. Żeby być z Wołyniem, nie trzeba urodzić się wołyńakiem ani nawet „kresowcem”. I dlatego nie czuliśmy się z Wołyniem w pustce. Nie była to przygoda poza Polską, była to przygoda najbardziej polska.

52

Czasem pojawia się wątpliwość, czy mój sposób myślenia o sprawach państwowych, politycznych, społecznych, kulturalnych i wszelkich innych związanych z istnieniem i stawaniem się ludzkiego mrowiska, a w danym razie Polski, nie przekracza ustalonego, ogólnie obowiązującego sposobu myślenia ludzi poważnych, odpowiedzialnych, trzeźwo myślących i wiedzących o co chodzi.

Czy jednak ten ogólnie uprawiany dostojny i poważny „żargon” jest jedyną możliwą drogą zbliżenia się do istniejącego stanu rzeczy, do świata rzeczywistości, który nas otacza i który stanowimy? Śmiem wątpić.

Człowiek nawet się nie obejrzy, jak wpada w sidła „jedynie racjonalnych”, ogólnie znanych i zalecanych schematów, szacownych automatyzmów myślenia.

53

Powracam do tematu niejednokrotnie już przeze mnie poruszanego, do imponderabiliów mających niemało do powiedzenia w układzie rzeczy między narodami i społeczeństwami. Kojarzy się to z akcentem „my” — jednym z wymiarów naszego istnienia.

Tak się zazwyczaj dzieje, że w układzie rzeczy pomiędzy narodami zabierają głos polityka, sprawy gospodarcze, strategiczne,

wojskowe. Oglądamy się za „materiałem” do budowy gmachu naszej państwowej pomyślności. Ogarnia nas nastrój „handlowy”. Mający rachunek zysków i strat, robienie dobrych interesów. Gdybym pokusił się o danie obrazu tego, co się pomiędzy ludźmi i narodami dzieje i gdyby obraz ten miał być „poważny”, musiałbym wysunąć na pierwszy plan właśnie te elementy.

Może bardziej wymowne niż obraz byłoby widowisko teatralne. Moje myśli nabrałyby wyrazu. Każda znalazłaby swój odpowiednik — postać aktorską, a rzecz sama reżyserską inwencję.

I tu naraz pojawia się propozycja wprowadzenia na scenę imponderabiliów. Mam wrażenie, że nie spotkałoby się to z aprobatą. Może tylko dekoracje przedstawiające kulturę spojrzęłyby na nie chętnym okiem... Ale dekoracje są „nieme”, pomimo że czasem mówią tak wiele.

Śmiem jednak twierdzić, że imponderabilia byłyby w teatrze stawania się rzeczywistości ludzkiej i układu rzeczy między narodami postacią nieodzowną i najbardziej realnie o „przedstawieniu” stanowiącą. Co więcej, wszystko przemawia za tym, że imponderabilia są zawsze na scenie i biorą udział w „przedstawieniu” bez względu na to, czy są zauważone czy nie.

Gdy patrzę na postacie znanych polityków, nie mogę uwolnić się od myśli, że o ich karierze decydowało porozumiewanie się z imponderabiliami społeczeństw, z którymi mieli do czynienia. O tym się jednak nie mówi. Mówi się o wybitnych umysłach, zdolnościach logicznego myślenia itd.

Kiedy pisałem o Polsce i Ukrainie, miałem na myśli „jestem” Polski i „jestem” Ukrainy. Miałem na myśli polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie „my” — polsko-ukraińskie imponderabilia. Były one także dominującą melodią stawania się wołyńskiej rzeczywistości.

Taki był bieg moich myśli, gdy obejmowałem województwo wołyńskie. Uprawnienia i zakres spraw wchodzących w kompetencję wojewody były większe niż generał-gubernatorów rosyjskich za czasów carskich. Urząd wojewody dawał możliwość inicjatywy i działania w różnych kierunkach i sprawach w stopniu większym niż inne urzędy. Nawet minister był bardziej skrzepowany.

Dawało to możliwość podjęcia jednej z najciekawszych w moim życiu pracy. Może jednak słowo „ciekawa” nie wyraża tego, o co chodzi.

55

Jadąc do Łucka zdawałem sobie sprawę, z czym się na Wołyniu spotkam. Wracalem jakby do rodzinnego domu — tam, nad Dnieprem. Było tu może nieco inaczej. Zamiast Dniepru był Styr, Horyń, Słucz... I ludzie byli ci sami, ale nieco inni... Działy się tu te same, a zarazem inne rzeczy. Polska się obudziła. Było państwo, urzędy, wojsko polskie, sejm, senat, polityczne partie. Polacy zaczynali się inaczej ruszać. Obudziła się także Ukraina. Ukraińcy także zaczynali ruszać się inaczej. Był to jakby dalszy ciąg tej samej powieści, albo kolejna scena tego samego teatralnego widowiska.

Od pierwszych dni mego przybycia zarysował się stan rzeczy, z którym miałem mieć do czynienia przez dziesięć lat mego urzędowania.

Chodziło o formę i treść polsko-ukraińskiego i ukraińsko-polskiego współżycia. Chodziło o wydobycie na jaw „wołyńskiego skarbu” — polsko-ukraińskiego „my”, wypłatanie go z sieci nieporozumień, ludzkich przywar, złej woli. Chodziło o odegnanie upioru walk polsko-ukraińskich, unieszkodliwienie tępoty zamieszkującej poszczególne głowy, usunięcie schorzeń powstałych w różnych czasach.

1. — Wiedziałem, że życie wołyńskie „jak je Pan Bóg stworzył” było ze mną. Byliśmy razem.

2. — Moimi wrogami i wrogami Wołynia byli komuniści. Miałem do czynienia z sowiecką Moskwą. Nie spuszczała ona z Wołynia oka. Co należy rozumieć jako nieustającą i nie przebierającą w środkach dywersję. Moskwa miała swój „model Ukrainy” i inne „modele” nie mogły być przez nią tolerowane.

3. — Wrogiem był ukraiński nacjonalizm Małopolski Wschodniej. Penetrował on Wołyń wzdłuż i wszerz i „zawojowywał” go.

4. — Wrogiem wyjątkowo denerwującym była polska mentalność endecka, tzn. Stronnictwo Narodowe z przybudówkami i sferami wpływów.

5. — Środków działania dostarczał polski organizm państwowy i właściwości obu społeczeństw, z którymi miałem do

czynienia. Działania umożliwiały „Rządy Pomajowe” a przede wszystkim obecność w Belwederze Marszałka Piłsudskiego.

56

W takich warunkach rozpocząłem bitwę o Wołyń, Polskę, Ukrainę, bitwę o siebie samego. Bitwę tę wygrałem. A może są to słowa, za którymi nie ma nic? To, co było, przykryła „lawina wydarzeń”, a „tamto” zginęło bezpowrotnie, po prostu nie istnieje, stało się nikomu niepotrzebne...

Ale ja jestem ten sam, pomimo że inny. To samo można powiedzieć o Polsce, Ukrainie, Wołyniu. Nie mogę się pogodzić, że wszystko, co się działo, istniało i stawało się, można zetrzeć jak gąbką ścieramy na tablicy kredowe znaki matematycznego wzoru. Wzór matematyczny istnieje poza tablicą, nie zawdzięcza swego istnienia ani tablicy ani kredzie. Nie wszystko jest zmienne i nie wszystko daje się „zetrzeć”.

Nie można „zetrzeć” istnienia Polski. Nie można Polski nie widzieć, nie przeżywać jej obecności. Nie można „zetrzeć” Dwudziestolecia, nie mogę „zetrzeć” siebie samego i oczywistości mojego istnienia.

Mamy do czynienia z typowym pomieszaniem pojęć — z klasycznym nieporozumieniem. Nie odróżniamy fikcji od rzeczywistości tego, co się zmienia i przemija, od tego, co trwa samo w sobie i jest takie jakie jest.

Wołyń aktualny za czasów Dwudziestolecia jest nie mniej aktualny dziś, gdy piszę te słowa. Esencja aktualności Wołynia jest ta sama. To, co się na Wołyniu działo za moich czasów, stoi przede mną jak żywe wtedy i dziś.

Nie jest to samoomamienie albo halucynacja, chyba że halucynacją jest wszystko, co istnieje i Istnienie samo.

Dowiedzielibyśmy się o niejednym, gdyby przyjrzeć się bliżej słowom „pamiętnik”, „wspomnienia” albo „ze świata przeszłości”. Słowa te w sposób bardziej lub mniej dyskretny, a czasem dobitnie wyraźny, eliminują akcent aktualności tego, co było. Wiedziony przecuciem, nie piszę „pamiętnika” ani „wspomnień” — nazwałem to „zamiast pamiętnika”. Daje to większą możliwość poruszania się i nie obowiązują uznane „granice czasu”.

Dlatego Wołyń stoi przede mną jak żywy w dzisiejszym rozgwarze życia. Gdy myślę o Wołyniu, nie są to „wspomnienia” w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, ani tym bardziej „pamiętniki”. Wołyniem „żyję” w dalszym ciągu. Najbardziej efek-

towna „lawina wydarzeń” nie zmienia istoty rzeczy. A co najważniejsze, wiem na pewno, że nie jest to „czcze urojenie” ani inny żałosny stan ludzkiego umysłu.

57

Wiedziałem, że życie wołyńskie, jak je Pan Bóg stworzył, było ze mną. Byliśmy razem.

Jak już wspominałem, czułem się w Łucku jak ktoś kto powrócił do rodzinnego domu, albo mówiąc słowami Norwida „jak ktoś do domu wchodzący własnego”. Byłem u siebie. Nie trzeba było prezentacji, odkrywania rzeczy nowych, nieznanych, zaznajamiania się z czymś obcym. Rozumiałem „mowę” wołyńskiego życia i miałem niejednokrotnie dowody, że Wołyń mnie „rozumiał”. Obchodziliśmy się bez tłumacza i słownika wyrazów obcych. Nie potrzebowałem przewodników by trafić tam, gdzie trzeba.

Była to moja pozycja wyjściowa, mój „grunt pod nogami” — wspólnota istnienia dawała możliwość działania i sprawiała, że mogłem być potrzebny.

Dominującą grupę ludności stanowili ukraińscy chłopci — obywatele Rzeczypospolitej narodowości ukraińskiej. Potem szli Polacy — 16 % ludności województwa. Żydzi zamieszkiwali miasta i miasteczka. Było trochę Rosjan — jakieś mizerne resztki. Wreszcie Czesi, koloniści i Niemcy koloniści, pozycja marginesowa, w pewnym stopniu poza życiem wołyńskim.

Wołyńska wieś w ogromnej większości była wsią ukraińską, wsią moich lat dziecinnych, z którą, jak swego czasu pisałem, „było mi dobrze”, a jej było „dobrze” ze mną. Rozmawiałem z nią często po ukraińsku, co w pewnych „bogoojczyźnianych” i „państwowo-twórczych” kołach polskich wywoływało zastrzeżenia, a nawet głosy oburzenia. Miano mi to za złe.

58

Wołyń poznałem jeszcze za moich czasów osadniczych, w latach 1924-1925, kiedy jako osadnik wojskowy gospodarowałem na osadzie w Narutowiczach koło Wiśniowca. Dało to możliwość zbratania się z wołyńskim życiem codziennym, poznałem ludzi, zwyczaje, obyczaje, jak się wszystko odbywało i o co szło. Co prawda wojskowy świat osadniczy nie miał oblicza wołyńskiego.

Była to zbieranina z całej Polski. Świat ten musiał się w wołyńskiej rzeczywistości zakorzenieć, zapomnieć o „posłannictwie”, „staniu na straży” itd. Z biegiem czasu osadnicy stawali się „zwyczajnymi” ludźmi, ludźmi swoimi, zachowywali się jak wszyscy.

59

Rzeczywistość wołyńska „jak ją pan Bóg stworzył”, tzn. pokumana z Polakami ukraińska wieś miała wszelkie dane zaspakajania swoich potrzeb. Chodziło o to, by rzeczywistość ta mogła przemawiać sama za siebie. Trzeba było usuwać z drogi niejedną przeszkodę, która to uniemożliwiała. W wielu razach nie było to łatwe. Nie zmieniało jednak istoty rzeczy. Nie chodziło o narzucanie Wołyniowi akcentów importowanych z zewnątrz, o takie lub inne „modele” Wołynia, jak np. model propagowany przez Sowiecką Rosję albo model na miarę wyobraźni endeckiej, albo na miarę wyobraźni ukraińskich nacjonalistów Małopolski Wschodniej, wyobraźni „zaustriyaczonej”.

Wskazywało to drogę postępowania — drogę jedyną i jedynie realną, zgodną z polskim i ukraińskim „jestem”. Każda inna droga byłaby bezdrożem. Był to punkt wyjścia w twórczym współdziałaniu z rozwojem wołyńskiego życia. W tym właśnie znajdowała swój wyraz racja istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, jej wartość polska i ogólnoludzka.

Chodziło o postępowanie nie wbrew przyrodzonym akcentom życia, a takie, które pozwala życiu przemawiać po swojemu. Chodziło o wypełnienie twórczą treścią polsko-ukraińskiej i ukraińsko-polskiej wspólnoty. Aby to osiągnąć, trzeba zdradzać pewną „muzykalność” i „słyszeć”, jak życie samo w sobie się staje.

W ciągu dziesięciu lat mego urzędowania miałem możliwość i obowiązek przeczytania niejednego memoriału o Wołyniu oceniającego sytuację wraz z zaleceniami co należy robić, aby było dobrze. Autorami elaboratów były niekiedy najwyższe czynniki państwowe, znane osobistości polityczne. Miałem do czynienia ze skądinąd imponującą pracą mózgów i chwytami logiki nie znoszącymi sprzeciwu. W tym ostatnim wypadku bywało jednak różnie. Cały ten materiał nadawał się do krytycznej rozprawy z zakresu teoriopoznawczego. Może skorzystałyby na tym dociekania natury socjologicznej. Może literatura i teatr znalazłyby tematy pasjonujące... Trudno ferować wyrok. Nie chcę być w roli orzekającej nieomylnie instancji. Jedno jest pewne i o tym nie mogę nie wspomnieć: myśłom zawartym na setkach stron

tych elaboratów brakowało „muzykalności”, nie zdawano sobie sprawy z dysonansów wtłoczonych w teksty opracowywane przez ogólnie uznane instytucje.

60

Wołyń był częścią składową stającej się na naszych oczach i z naszym udziałem polskiej współczesnej rzeczywistości — państwowej, politycznej, społecznej. Podobnie jak inne ziemie Rzeczypospolitej wnosił w tę rzeczywistość coś swojego. Było w nim w pierwszym rzędzie wspomniane współżycie polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie. Był to wkład Wołynia nie byle jaki. Tak stawał się Wołyń i tak stawała się Polska — Wołyń dzięki Polsce, a Polska dzięki Wołyniowi.

Niektóre elementy wołyńskiej rzeczywistości

61

Mł o d z i e ż w i e j s k a. Na Wołyniu zastałem dwie organizacje młodzieży wiejskiej — „Siew” i „Wici”. Przyszedłem do przekonania, że na miejsce dwóch współzawodniczących między sobą organizacji polskich należy powołać jedną organizację młodzieżową obejmującą młodzież polską i ukraińską.

Powziąłem więc myśl powołania Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej, samoistnej organizacji wołyńskiej, obejmującej równouprawnioną narodowo młodzież polską i ukraińską.

Nie będę opisywał trudności realizacyjnych tego projektu; rzecz całą udało się załatwić pomyślnie. „Siew” i „Wici” wycofały się z Wołynia. Teren Wołynia objął Wołyński Związek Młodzieży Wiejskiej. Stał się typową dla stosunków wołyńskich społeczną organizacją narodowościową mieszaną, pozycją sztandarową. Znaczenie jej w miarę czasu wzrastało. Rozbudowa organizacyjna postępowała szybko, oddziaływała na „klimat” polsko-ukraińskich stosunków, nadawała ton wołyńskiej rzeczywistości.

Wielką rolę w życiu i rozwoju Związku odgrywało nauczycielstwo szkół ludowych. W środowisku nauczycielskim znaleźli się entuzjaści „Młodej wsi” — „Mołodocho sęła”. Odnosiło się wrażenie, że „prawda” wołyńska spotkała się z sobą w obu tych organizacjach i padła sobie w objęcia...

Poza Związkiem Nauczycielstwa należy wymienić Liceum Krzemienieckie. Z chwilą objęcia stanowiska kuratora liceum przez Juliusza Poniatowskiego liceum stało się protektorem związku, instancją kierowniczą, służyło najbardziej wydajną pomocą w różnych dziedzinach związkowej pracy.

Liceum samo w sobie było realną i twórczą pozycją w polsko-ukraińskim układzie, reprezentantem „polityki wołyńskiej”. W życiu Wołynia odgrywało wielką i niezastąpioną rolę.

Wołyński ZMW nie był, jak widzimy, sam — miał dwóch nie byle jakich protektorów. Miał także innych, o czym powiemy w przyszłości, ale ci dwaj zasługują by ich specjalnie wymienić. Była to najbliższa rodzina Związku.

W tych warunkach Związek rozrastał się z dnia na dzień, rosły szeregi ideowych wyznawców polsko-ukraińskiego „współżycia”. Nie chcę wymieniać nazwisk. Wiele ujmujących i wybitnych postaci przesunęło się przed moimi oczami, a przede wszystkim młodzież — Polacy i Ukraińcy. „Palili się” Wołyniem, rozradowani, ofiarni. Rosła solidarność polsko-ukraińska i ukraińsko-polska, wspólnota i bliskość.

Niejedno można by o życiu „Młodej Wsi” powiedzieć, opisać jak się wszystko działo, wspomnieć o wołyńskich uniwersytetach ludowych, wydawnictwach „Młodej Wsi”, konkursach dobrego czytania, przysposobieniu rolniczym, o życiu poszczególnych kół młodzieżowych itd. Stale wychodzące pismo młodzieży wiejskiej *Młoda Wieś* — *Mołode Seło* jest nie byle jakim dokumentem (pisanym po polsku i ukraińsku) dającym świadectwo prawdzie, co się działo na Wołyniu i jak się działo... Liczę, że ktoś z żyjących wołyniaków temat ten poruszy; szkoda, by zniknął w niepamięci.

Ze swej strony chcę wspomnieć o jednym wydarzeniu. Było to w czasie kiedy bawił u mnie w Łucku brytyjski konsul generalny Frank Savery. Konsul wiedział o wszystkim, co się w Polsce dzieje. Podziwiałem jego encyklopedyczną wiedzę. W pewnej rozmowie został poruszony temat młodzieży wiejskiej. Mój rozmówca wyraził chęć zobaczenia koła młodzieżowego. Wyjąłem mapę Wołynia i prosiłem o wskazanie miejsca, gdzie chciałby się udać. Ze swej strony nie chciałem nic proponować. A więc Savery na chybił trafił wskazał palcem na nieznany jemu ani mnie punkt. Było to w powiecie Krzemienieckim. Zatelefonowałem do Poniatowskiego, poinformowałem o stanie rzeczy, zapytałem, czy we wskazanej wsi jest Koło Młodzieży Wiejskiej i prosiłem, żeby nam towarzyszył, na co wyraził zgodę.

Zajechaliśmy więc z Saverym do Krzemieńca do liceum. Poniatowski dołączył się do nas i pojechaliśmy do owej wsi. Była to wieś mieszana polsko-ukraińska na tzw. „Polesiu Krzemienieckim”.

Zajechaliśmy do chaty prezesa koła młodzieżowego. Chata jak chata. Po pewnym czasie zjawił się młody chłopak, prezes. Poniatowski powiedział mu o co chodzi i prosił o odbycie w naszej obecności normalnego posiedzenia zarządu Koła. Rozpoczęło się posiedzenie. Odczytano protokół ostatniego zebrania, zapytania, dyskusja... Przyznam się, że dusza we mnie rosła, kiedy słuchałem i patrzyłem na tych chłopców i dziewczęta jak „urzędowali” i wykazywali społeczne wyrobienie w tym zapadłym kacie. Właśnie wieś taka była.

Savery siedział koło mnie. Wszystko rozumiał, znał polski dobrze. W pewnej chwili zwrócił się do mnie, żebym zapytał, jaki jest skład koła, tzn. ilu jest Polaków i Ukraińców. Zwróciłem się do prezesa. I tu nastąpiła rzecz nieoczekiwana. Prezes speszył się i odpowiedział, że nie wie... Głowy zarządu poruszyły się, spojrzeli po sobie i skonstatowali, że także nie wiedzą. Zaczęto liczyć. Okazuje się, że statystyka nikomu nie była potrzebna, była poza wyobraźnią tych chłopców i dziewcząt. Urzędowali i pracowali poza statystyką.

Savery był zdumiony. Posiedzenie zrobiło na nim dobre wrażenie, ale incydent ze „statystyką” był wyjątkowo wymowny. Tak wyglądała wizytacja Wołyńskiego Koła Młodzieży Wiejskiej przez konsula brytyjskiego. Wyszliśmy pod wrażeniem. Niebawem konsul nadesłał dla Koła wspianały komplet sportowego sprzętu.

Przytoczę jeszcze jedno. Po paru latach od dnia powstania Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej zjechała do Łucka delegacja głównego zarządu „Siewu” z prezesem na czele. Chodziło o przyłączenie się wołyńskiej „Młodej Wsi” do ogólnopolskiej organizacji młodzieży wiejskiej, miano na myśli „Siew”. Delegacja była pewna siebie i przekonana, że uzyska odpowiednią uchwałę. Miała zapewne powody tak sądzić. Odbyło się przewidywane zebranie — władze wołyńskiego ZMW z kilkudziesięciu uczestnikami. Debata trwała parę godzin. Powzięto jednomyślnie uchwałę o przystąpieniu Wołyńskiego Związku do ogólnopolskiej organizacji pod warunkiem połączenia „Siewu” i „Wici”. Do owej chwili Wołyński Związek zachował swą samoistość i niezależność.

Wiele uwag można by o Wołyńskim Związku Młodzieży Wiejskiej uczynić i niejedno jego osiągnięcie ukazać. Ograniczam się

do oświadczenia, że młode serca polskie i ukraińskie były jednym rodzinnym rytmem.

Związek Nauczycielstwa Polskiego. Nie mogę bez wzruszenia myśleć o wołyńskich nauczycielach szkół powszechnych. Zasługują oni na wyjątkowe uznanie. Skromne warunki bytowania, małe uposażenia, trudna i wyczerpująca praca nauczycielska i w bardzo wielu razach angażowanie się do różnego rodzaju pracy społecznej, uprawianej ideowo, wypełniało dnie bez reszty. Świat nauczycielski rekrutował się z całej Polski, z różnych jej stron i ziem. Wołyń był swego rodzaju egzotyką — inni ludzie, nawet nie Polacy, inny kraj, zwyczaje, obyczaje, tradycje, inny pejzaż. Miejscowy element polski był w wyraźnej mniejszości. W takich właśnie warunkach i w takim układzie rzeczy świat nauczycielski na Wołyniu trafił w takt stawania się wołyńskiego życia. Często spotykałem się z sytuacjami, które potwierdzały to, co mówię. Wołyń stał się dla nauczycieli „swoj” i nauczyciele dla Wołynia stali się „swoi”.

Nie wszędzie występowało to z równą siłą, bywało różnie, ale główny nurt był taki, o jakim mówię i taka była postawa i „polityka” władz związkowych na Wołyniu.

Świat nauczycielski dawał wyraz polskiemu zainteresowaniu i uczuciom do Ziemi Wschodnich, Kresów i tam, gdzie wzrok sięga po Dniepr...

Środowisko nauczycielskie reprezentowało całą Polskę, byli to różni ludzie, usposobienia, postawy, zabarwienia lokalnych polskich regionalizmów. I to właśnie jest ciekawe, że owe miejscowe regionalizmy nie stawały na przeszkodzie brataniu się z Wołyniem.

Kiedy bywałem w terenie, a bywałem często nie tylko służbowo ale także prywatnie, nie omijałem szkolnych progów. Poznawałem świat nauczycielski. Rozmowy z nauczycielstwem dały mi bardzo dużo.

Kiedyś będąc w powiecie Sarneńskim zawędrowałem na linię graniczną polsko-sowiecką. Snowidowicze... Budki Snowidowicze... Właśnie te Budki... Była to niewielka wieś, która wchodziła klinem w teren sowiecki. Siedząc w chacie widziałem z obu jej stron zaglądający do okien sowiecki teren. Był on o kilkadziesiąt metrów od zabudowań. Widziałem jak kury przechodziły granicę bez przepustek.

Tam właśnie w zgubionej poza światem wiosce spotkałem dwie młode nauczycielki. Weszliśmy za próg szkoły. Nauki w tym czasie nie było, było lato — wakacje. Rozsiadliśmy się na ławkach i rozpoczęła się rozmowa. Obie młode nauczycielki, jak się okazało krakowianki, po skończeniu seminarium skierowano na Wołyń, a Wołyń umieścił je właśnie w Budkach Snowidowickich — tam, gdzie żółwie gwizdzą, cietrzewie tokują, wilki wyją, na pustkowiu urozmaiconym widokiem sowieckiej granicy, wśród nieznanej im ludności poleszuckiej. Słowem, ładna sytuacja. W rozmowie ze mną krakowianki powiedziały, że wygrały los na loterii. Żyją pełnią życia. Praca nauczycielska wśród poleszucków absorbuje je bez reszty. Jest im dobrze. Znalazły cel w życiu. Z ludnością chodzącą w łapciach mają jak najlepsze stosunki. Panuje wzajemne zaufanie i sympatia. Z Budek nie chcą się ruszać. Do Sarn — stolicy powiatu — jeżdżą bardzo rzadko.

Przyznam, że zaskoczyła mnie ta rozmowa z krakowiankami. Dowiedziałem się, że Sarny do krakowiaków mają szczęście i krakowiaczy do Sarn. Moje nauczycielki poinformowały, że jest tu cała gromada krakowian i na ogół nikt nie narzeka.

Budki Snowidowickie dały mi wiele do myślenia. Do Łucka wracałem wzmożony na duchu.

Podobnych wrażeń, może nie tak wymownych, miałem nie mało. Nie mogę się powstrzymać, żeby o jeszcze jednym nie opowiedzieć. Ślązak — człowiek nie pierwszej młodości, nauczyciel ludowy. Zawędrował ze Śląska na Wołyń. Sytuacja podobna jak w Budkach. Nie było tu sowieckiej granicy, ale taka sama wieś za światami i ludność w łapciach. Po pewnym czasie ze Ślązaka zrobił się apostoł. Ludność nie spuszczała z niego wiernych, zakochanych oczu, a on nie wyobrażał sobie życia poza tą ludnością.

Układ rzeczy i stosunki między nauczycielstwem a miejscową ludnością — chodzi o ludność ukraińską — wprowadzają nas w zagadnienie bardziej ogólne, ogromnej wagi. Chodzi o stosunek Polaka i skutki tego zachowania.

Zarysowuje się wymowny, bijący w oczy obraz. Współzycie polsko-ukraińskie ma na Wołyniu wiekowe tradycje, wrosło w obyczajowość, przybrało swoistą postać. Spotykamy się z tym na każdym kroku. Nazwałbym to „faktem pierwotnym” istnienia polskiego i ukraińskiego świata. „Fakt” ten daje o sobie znać w różnych sytuacjach, w biegu dni codziennych i w chwilach odświętnych. Przybiera różne wyrazy, stroi różne miny, grymasi, uśmiecha się, szczerzy zęby...

Kto „faktu pierwotnego” nie dostrzega, ten nie jest i nigdy nie będzie w stanie spojrzeć na to, co się dzieje między Ukrainą a Polską wzrokiem wiedzającym. Przyczynia się to do powstawania nieporozumień, żałosnych stanów, zadrażnień, poczucia obcości i wrogości, zwłaszcza wtedy, gdy na scenie pojawia się polski wojujący nacjonalizm, jakże często identyfikowany z „miłością ojczyzny”, „prawdziwym patriotyzmem”, spełnieniem wobec Polski obowiązku, obroną Polski. Delikwent taki gotów jest oddać za Polskę życie. Nie zdaje sobie sprawy, że oddanie za Polskę życia w takich właśnie warunkach i inscenizacji jest targnięciem się na życie Polski...

Ileż razy widziałem „działanie” tego rodzaju „Polaka — patrioty”. Tam, gdzie Polak taki się zjawia, „trawa nie prosta”, szerzy się płomień wzajemnych polsko-ukraińskich i ukraińsko-polskich antagonizmów, sący się jad nienawiści w salonach, dworach, mieszkaniach, chałupach, urzędach państwowych, organizacjach społecznych, w mundurach, różnych strojach i przyodziewkach, sutannach... Przybiera to różne nasilenia i skale, wybucha burzą, sący się jak szemrzący strumień w mijaniu się dni codziennych.

Jest to świat poza „faktem pierwotnym”, świat, który nie ma siły stanowienia, a ma możność przeszkadzania. Gdyby zwyciężył i „ku chwale Ojczyzny” postawił na swoim, doprowadziłby Wołyn do stanu beznadziei jak wypalona ziemia, a Polska poniosłaby dotkliwą klęskę.

Na mentalność endecką nie ma lekarstwa, może być tylko mowa o jej unieszkodliwieniu.

Takie myśli nawiedzały mnie na Wołyniu. Jednak to, co się działo, pozwalało patrzeć z otuchą w przyszłość. „Fakt pierwotny” nabierał z biegiem czasu coraz bardziej ciała i krwi i do głosu dochodził.

Wydobyłem na jaw pewne podstawowe motywy stawania się wołyńskiej rzeczywistości. Obraz jej był dość skomplikowany. Ludzkie predyspozycje psychiczne są bardzo rozmaite. Rozmaici są ludzie i toczące się życie przybiera różne wyrazy. Czasem sytuacja jest „nijaka”, powszednia, nie zabierająca głosu. Czasem różne sytuacje głos zabierają. Zwróciłem uwagę na głos wołyńskiego nauczyciela. Nauczycielstwo wołyńskie dobrze zasłużyło się Wołyniowi i Polsce.

Jedna jeszcze pozycja poza pracą zawodową i społeczną nauczycielstwa godna jest szacunku i uznania. Mam na myśli „Rocznik Wołyński” — szereg tomów opracowań naukowych o Wołyniu w różnych dziedzinach życia. Brał w tym udział polski

świat naukowy. Spotykamy znane nazwiska. Było to wydawnictwo niewspółmierne z tym, co się o Wołyniu w latach tych pisało. Wydawcą był wołyński okręg ZNP — składki ze szczupłych i bardzo skromnych pensji nauczycieli ludowych.

63

Spółdzielczość. Gdy przybyłem na Wołyń, cały teren Wołynia pokrywała sieć spółdzielni RSUK — *Rewizyjnyj Sojuz Ukrainських Kooperatyw* z centralą we Lwowie. Placówki polskiej spółdzielczości spożywczej i wytwórczej były nieliczne. W ciągu niespełna dwóch lat udało się ten stan rzeczy zmienić, a raczej stan ten uległ zmianie sam przez się. Na miejscu spółdzielni ukraińskich — galicyjskich pojawiły się spółdzielnie wołyńskie mieszane polsko-ukraińskie.

Twórcą i organizatorem tej spółdzielczości był znany na całej Ukrainie naddnieprzańskiej Joachim Wołoszynowski. Mówił on po ukraińsku lepiej niż Ukrainiec i, jak fama głosiła, o czym już wspominałem, uczył *literaturnoji mowy* niejednego ukraińskiego ministra.

Była to postać „swoja”, ogólnie szanowany, wierny i tradycyjny przyjaciel Ukrainy. Wiele swego życia Ukrainie poświęcił. Wołoszynowski był ideologiem spółdzielczości, miał swój pogląd na jej organizowanie i metodę działania.

Oczywiście, wbrew życiu i wbrew postawie ukraińskiego wołyńskiego społeczeństwa nie potrafiłby nic zrobić — nie byłby w stanie walczyć z wszechpotężnym RSUK-iem. Okazało się jednak, że życie wołyńskie poszło za Wołoszynowskim. Na oczach wszystkich został dokonany bezboleśnie manewr zdawałoby się nie do osiągnięcia.

Podmurowało to bardzo poważnie „wołyńską politykę”. Poza Wołyńskim Związkiem Młodzieży Wiejskiej i nauczycielstwem była to z kolei trzecia pozycja sięgająca w głąb wołyńskiego życia i dająca wyraz przyrodzonym mu tendencjom. Tak powstawał i krzepł „wołyński klimat”. Życie oddychało nim coraz mocniej. Tak naradzało się i rozkrzewiało polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie współżycie ku chwale Polski i chwale Ukrainy.

Mimo woli przychodzi na myśl czy organizacje społeczne mieszane dałyby się pomyśleć w wypadku zamiany pozycji ukraińskiej inną narodowością, np. rosyjską albo niemiecką.

Nie wyobrażam sobie organizacji społecznej mieszanej polsko-rosyjskiej albo polsko-niemieckiej. Jest do pomyślenia organiza-

cja rosyjska dla Polaków albo organizacja polska dla Rosjan. Nie będą to jednak organizacje społeczne mieszane w znaczeniu, o jakim mówimy.

Nie wyobrażam sobie także takiej sytuacji z Niemcami. Wskazuje to na osobliwy układ pomiędzy tym co polskie a tym co ukraińskie, na polskie i ukraińskie „jestem”, na polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie „my”. A może mamy tu do czynienia z tym, co nazwałem „faktem pierwotnym” układu pomiędzy Ukrainą a Polską.

64

Organizacje rolnicze. To, co stanowiło o tworzeniu się „klimatu” wołyńskiego w świecie spółdzielczości, w nie mniejszej mierze brało udział w społecznych rolniczych organizacjach. Wołyń przeżywał passę gospodarczej pomyślności i rozwoju rolnictwa.

Polityka zmiany ustroju rolnego obowiązującego w całym Państwie na Wołyniu nabierała rumieńców. Wołyń krzepł w swej rolniczej postawie z dnia na dzień.

Za czasów Dwudziestolecia zmeliorowano i skomasowano na Wołyniu milion hektarów.

Produkcja zbóż w wyniku ulepszającej się uprawy wzrosła czterokrotnie.

Wołyńska hodowla rasy czerwonopolskiej stała się znana w całej Polsce. A hodowla koni...

W tych warunkach wielkie poczynania rolniczych organizacji społecznych skazane były na powodzenie. W atmosferze pomyślności rolniczej i rozwoju rolnictwa współzycie polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie rozkwitało. Organizacje Kółek Rolniczych i Kół Gospodyń Wiejskich były „mieszane”. Inaczej być nie mogło. Było to zrozumiałe samo przez się.

Izba Rolnicza była także mieszana polsko-ukraińska. Wśród elementów wołyńskiej rzeczywistości pozycja organizacji rolniczych była czymś bardzo realnym i wartościowym.

65

Elementem stawania się wołyńskiego życia był także s a m o r z ą d. Samorząd powinien mieć rytm życia, któremu służy, nie może istnieć wbrew życiu albo poza życiem. Stopień odchylenia od tego stanowi o wartości samorządu. Nie zawsze wszystko

jest idealne. Znamy nieporozumienia, potknięcia, wkraczanie nie liczące się z niczym władzy. Różnie bywa w ludzkim mrowisku za „żelazną kurtyną”. A może nie tylko tam.

Zgodnie z „wołyńską polityką” robiłem w granicach istniejących możliwości wszystko, żeby samorząd był samorządem, był w zgodzie z wołyńskim życiem i życie to wyrażał. Poza sprawami gospodarczymi, które na Wołyniu odgrywały wielką rolę, chodziło o polsko-ukraińską współpracę i współżycie. Chodziło o to, by Polacy i Ukraińcy w sołectwach, gminach i sejmikach powiatowych czuli się u siebie, czuli się gospodarzami, wpływali na bieg rzeczy i stanowili o biegu rzeczy. Chodziło o to, żeby nie było narodowości uprzywilejowanej i nieuprzywilejowanej. Tak rodził się samorządowy patriotyzm. Wołyńska obyczajowość sprawę tę po swojemu rozwiązywała i dawała jej wyraz. Współdziałała z tym administracja i „polityka wołyńska”.

Proces ten stawał się samo przez się. Nie natknąłem się na jakieś drastyczne przypadki. Nie było zasługujących na wzmiankę zadrażnień narodowościowych. Życie samorządowe pulsowało po swojemu, na miarę wołyńskiej obyczajowości i możliwości twórczych na Wołyniu. Odnosiłem wrażenie, że samorządowy patriotyzm w środowisku ukraińskim nie był mniejszy niż w polskim. Niejedno wskazywało, że był większy.

Oczywiście, jak wszędzie, tak i tu można było zaobserwować pewne sytuacje mające swą wymowę, skądinąd interesującą z uwagi na obyczaje i malowniczość typów ludzkich. Nie wpływały one jednak na ogólny stan rzeczy.

Przychodzi mi na myśl Aleksander Sumowski z Zamlicz. Była to postać niezwykle sympatyczna i bardzo wartościowa. Zamiłowany gospodarz, fanatycznie gospodarstwu oddany. Tylko Zamlicze miały na Wołyniu parową mleczarnię. Największe majątki nie mogły się tym pochwalić. Nie było mowy o zadrażnieniach z miejscową ludnością. Mój pobyt w Zamliczach pozostał mi pełne uroku wspomnienie. Wiedziałem, że p. Aleksander brał udział w radzie gminnej i systematycznie wypełniał obowiązki radnego. I oto... chodziła fama, że p. Sumowski systematycznie opuszcza posiedzenie tuż przed zakończeniem, żeby nie potrzebować witać się z kolegami — radnymi. Nie sprawdzałem, jak było naprawdę... może tak, może nie. Wyobrażam sobie, że sytuacje podobne mogły mieć miejsce. Wzrok życia może być zezowaty...

Osobny rozdział należy poświęcić osadnikom wojskowym. Zachowanie panów osadników w świecie samorządowym mogło sprawić pewne niespodzianki... Było to towarzystwo bardzo

różne. Można by powiedzieć, że towarzystwo to spadło z księżyca. Ci „księżycowi” ludzie z biegiem czasu przyzwyczajali się do wołyńskiej rzeczywistości i Wołyń miał z nich pociechę. Wielu z nich zdradzało niemałą inicjatywę i energię w zakresie społecznym i gospodarczym.

W istnieniu i stawianiu się Wołynia samorząd spełniał najbardziej podstawową rolę. Dla miejscowej ludności było to *novum*. Inaczej rzecz się miała za panowania Rosji carskiej i inaczej za czasów zmagañ rewolucyjnych i dziejowych przemian naszych czasów. W granicach Rzeczypospolitej Wołyń odżywał.

66

Mówiąc o samorządzie miałem na myśli wieś. Były jeszcze miasta. A więc zagadnienie żydowskie. Stan rzeczy, który zastałem, nie budził entuzjazmu. Zażydzenie rad miejskich nie było wskazane z różnych względów. Udało się to zmienić. Chodziło o Równe. W radzie miejskiej Rówieńskiej, o ile sobie przypominam, na 32 radnych było 24 Żydów. Po przeprowadzonych wyborach ilość chrześcijan wynosiła 24. Żydzi wpadli w szal. Miała miejsce rozdzierająca scena w gabinecie wojewody wołyńskiego i interwencja do Rządu Polskiego Sokołowa przewodniczącego światowej egzekutywy żydowskiej. Siedziba jej była w Ameryce.

Po wyborach zjawiła się w Województwie delegacja żydowska z Równego. W skład jej wchodził żydowski rówieński notable. Na czele jej stał znany rówieński adwokat, człowiek obyty, wymowny, nie bez aktorskich zdolności. Zresztą swoistego aktorstwa i ekspresji wyrazu nie można było odmówić całej delegacji. Po serii „wstrząsających” przemówień urozmaiconych gwałtowną gestykulacją zabrałem głos i odniosłem wrażenie, że udało mi się nieco żal, gniew i rozpacz utulić, a co ważniejsze, wytłumaczyć Żydom, że demonstracyjna supremacja żydowska w radzie miejskiej rówieńskiej to nie jest dla Żydów „dobry interes”. Po rozmowie tej zapanowała cisza.

Rówieński incydent nie wpłynął na stosunek społeczeństwa żydowskiego do mnie. Pamiętam scenę, jaka miała miejsce w poczekalni dyrektora departamentu MWRiOP. Miałem sprawę do dyrektora Potockiego. Wchodził on w skład delegacji rządowej w sprawach kościoła prawosławnego w Polsce. Byłem przewodniczącym delegacji.

Gdy wszedłem do poczekalni, ujrzałem grupę rabinów. Jeden

z nich, nieznany mi zresztą, podszedł do mnie i z wyraźną serdecznością, uśmiechając się, powiedział: „Panie Ministrze, jak skończy się sprawa prawosławia, prosimy, żeby zajął się pan nami”, uściśnął serdecznie rękę i odszedł.

Na Wołyniu Żydzi lubomelscy puścili pogłoskę, że jestem nieprawym synem Józefa Piłsudskiego, co nadawało mojej postaci pewną aureolę. Urzędując w Łucku miałem ze społeczeństwem żydowskim jak najlepsze stosunki. A Żabotyński... postaci jego nie mogę zapomnieć.

67

„Polityka wołyńska” nie mogła być realizowana bez udziału aparatu administracyjnego. Administracja miała swoją ważną i bardzo odpowiedzialną rolę. Chodziło o ich do Wołynia stosunek, o umiejętność realizowania nakazów „polityki wołyńskiej” w różnorodności spraw, z którymi miano do czynienia.

W pierwszym rządzie chodziło o starostów. Pełniąc służbę administracyjną byli na terenie powiatu przedstawicielami rządu, a jednocześnie przewodniczącymi sejmików powiatowych.

Niemalą odpowiedzialność ponosili naczelnicy wydziałów wojewódzkich. Wszyscy zresztą urzędnicy musieli sprostać powierzonym im zadaniom.

Jak już wspomniałem, czasy „pomajowe” uwolniły aparat administracyjny od wpływów, a w licznych przypadkach zależności urzędników od poszczególnych stronnictw, od wykonywania nakazów, poleceń, zadań politycznych czynników „z zewnątrz”. Przyszły czasy, że panowie posłowie nie mieli w tych sprawach nic do powiedzenia. O wszystkim decydowała hierarchia służbowa.

W takich jedynie warunkach administracja wołyńska mogła spełniać zadania, jakie stawiała przed nią „polityka wołyńska”.

Na administrację wołyńską, taką jaką zastałem, narzekać nie mogłem. Po pewnych zmianach personalnych powstał z biegiem czasu zgrany ze sobą zespół, który wiedział o co idzie i potrafił się wywiązać z poleconych mu zadań, a co najważniejsze, szczerze wiązał się z życiem wołyńskim, czuł się w życiu tym dobrze, żył „wołyńską polityką”. Zapanowało swoiste wołyńskie koleżeństwo i przeświadczenie o doniosłości pracy, o jej znaczeniu dla Wołynia i Polski. Nie chcę wymieniać nazwisk. Byli oczywiście ludzie bardziej wybitni i mniej wybitni, bardziej lub mniej twór-

czy. Nikt jednak nie wyłamywał się z ogólnie przyjętej linii postępowania.

68

Szkołnictwo. O nauczycielstwie już mówiłem. Jeżeli chodzi o organizację i program szkolnictwa, zastałem stan rzeczy narzucony swego czasu przez Stanisława Grabskiego, tzn. utrakwizm. Nie było to rozwiązanie szczęśliwe. Nie chcę zagłębiać się w szczegółową analizę sytuacji. Przekonałem się, że życie wołyńskie nie reagowało na to dobrze... ani strona polska, ani ukraińska. Sytuacja była mętna, drażniąca, bezsensowna...

Po pewnym czasie udało się przeforsować typ szkoły z językiem wykładowym polskim i językiem ukraińskim jako przedmiotem. Były także szkoły czysto ukraińskie. Jednocześnie w szkołach polskich wprowadzono język ukraiński jako przedmiot. Życie asymilowało to lepiej. Obowiązkowy język ukraiński wywoływał tu i ówdzie sprzeciw ze strony „patriotycznie” usposobionych Polaków. Nie chciano się pogodzić, żeby dzieci polskie i młodzież polska na Wołyniu mówiły poprawnie po ukraińsku.

Były to blaski i cienie wołyńskiego szkolnictwa. Największym jednak „blaskiem” było to, że za czasów polskich, tzn. kiedy Wołyń wszedł w granice Polski i stał się częścią Rzeczypospolitej, z 15.000 uczniów w *prichodskich ucziliszczach* polskie szkolnictwo doprowadziło do 250.000 dzieci i młodzieży uczącej się w szkołach.

69

Wojsko. Uważam za stosowne słów parę powiedzieć o zasługach wojska i jego sukcesach wychowawczych w zakresie jednoczenia ludności Ziem Wschodnich, narodowości ukraińskiej z Polską i ówczesną polską rzeczywistością. Rekrut Ukrainiec, gdy wracał w wołyńskie strony rodzinne, nosił w sobie patriotyzm pułkowy, przywiązanie do pułku, dobre wspomnienie dni spędzonych w wojsku. Poznawał Polskę, zwyczaje i obyczaje, z którymi się spotykał na Ziemiach Zachodnich albo w Polsce Centralnej.

Był to wielki pozytywny wkład wojska w zbliżenie Ukraińców z Wołynia do polskiej rzeczywistości i polskiego państwa. Ze zjawiskiem tym w czasie swego dwudziestoletniego urzędowania spotykałem się nagminnie. Niestety, widziałem, jak w pewnych razach postępowanie Polaków zabarwione duchem „bogo-

ojczyźnianym” niweczyło już na miejscu, na Wołyniu, to, co rekrut Ukrainiec przyniósł ze sobą po powrocie z wojska. Byli ludzie, co bez nienawiści nie mogli się obejść. Nienawiść do tego co nie polskie była miarą ich polskości...

Na Wołyniu stały dwie dywizje piechoty i brygada jazdy. Na owe czasy były to siły niemałe. Oficerowie byli Polakami i masa żołnierska także polska. A więc jeszcze jeden polski akcent, na ten raz umundurowany, zjawił się na Wołyniu spoza granic Wołynia, z ziem rdzennych i zachodnich Polski.

Nie pamiętam wypadku zadrażnień pomiędzy wojskiem a miejscową ukraińską ludnością. Życie płynęło w zgodzie. Rola wojska w życiu Wołynia była pozytywna. Pod koniec mojego urzędowania zaczęły powstawać pożałowania godne sytuacje. Chodziło o rozpolitykowanych panów oficerów. Powiem o tym w swoim czasie.

70

Sprawy gospodarcze. Wymagałoby to wyczerpującej monografii. Ograniczam się do pewnych stwierdzeń, które pozwalają zorientować się w sytuacji gospodarczej Wołynia.

O pewnych pozycjach była już mowa, o komasacji i melioracji za czasów Dwudziestolecia, tzn. o milionie skomasowanych i zmeliorowanych hektarów, o czterokrotnym zwiększeniu pól zbóż, o hodowli...

Głównym elementem w gospodarczej sytuacji Wołynia było rolnictwo. Z czasem coraz bardziej dawały o sobie znać kopalnie granitu — Klesowo, Janowa Dolina — bazalt. Z wołyńskim bazaltem spotkałem się na warszawskich jezdniach. Wołyński granit szedł na Śląsk. Ostatnio zjawił się kaolin. Naukowe autorytety geologiczne zapowiadały inne skarby kopalniane i napomykały o „zagłębiu wołyńskim”.

Wołyń posiadał wyraźnie zarysowujące się dwa oblicza. Północ typu poleskiego — Polesie Wołyńskie, a więc błota, bagna, lasy, charakterystyczna dla Polesia gleba. Południe przypominało żyzne ziemie ukraińskie, jakie pamiętam nad Dnieprem. Tu właśnie rozkrzewiało się rolnictwo.

Wołyń rozwijał się gospodarczo. Była to przybierająca fala gospodarczych osiągnięć i to w znacznej mierze wpływało na samopoczucie wołyńskiej ludności, na optymizm i wiarę w przyszłość. Życie jest jednak życiem. Nie znaczy to, by nie było braków, przeszkód, przeciwności, w których człowiek nie jest

w stanie nic zmienić. Są to sprawy zwyczajne. Jednak nad wszystkim wznosiło się optymistyczne gospodarczo wołyńskie niebo.

71

T e a t r. Czytelnika może zadziwić dość niezwykle zaszeregowanie tematów — „Wojsko”, „Sprawy gospodarcze”, „Teatr”... Nie mniej zastanawiające jest, że zaczynam od „Młodzieży Wiejskiej”.

Przyznaję się do grzechu. Zgodziłem się, żeby pozycje zjawiały się tak, jak chcą. Jestem przekonany, że postępując w ten sposób nie krzywdzę Wołynia i czytających te słowa. Opowieść o Wołyniu staje się tak, jak chce i sama się komponuje.

To powiedziawszy przystępuję do rozmowy o teatrze wołyńskim, a raczej do rozmowy o dwóch teatrach — polskim i ukraińskim. Są to najrodzeńsze dzieci Wołynia. Moje usiłowania uzyskania środków od rządu na te imprezy spełzły na niczym, a raczej dały rezultat, o którym lepiej nie wspominać... Oto ministerstwo WRiOP przyznało teatrowi polskiemu na Wołyniu roczną zapomogę w wysokości tysiąca złotych, z zastrzeżeniem, że fundusz ten może być wydany tylko na utwór klasycznego repertuaru, a tymczasem budżet polskiego wołyńskiego teatru wynosił 260.000 złotych rocznie. Nie był to „cud nad Styrem”, a wołyński samorząd wojewódzki... To samo należy powiedzieć o wołyńskim teatrze ukraińskim. Wołyń postanowił, żeby mieć własny teatr, teatr ten stworzył i zapewnił mu warunki pracy.

T e a t r p o l s k i. Dyrektorem teatru został Aleksander Rodziewicz i był nim do końca. Sprawy teatru nie były mi obojętne. Za czasów mojej młodości brałem w świecie teatru udział. Kijów. Studio. Stanisława Wysocka. Według mojej oceny teatr wołyński stał na nieoczekiwanie wysokim poziomie artystycznym, jeżeli przyjąć pod uwagę warunki, w jakich dane mu było pracować. Zresztą, jak wiemy, zdobył on na konkursie ogólnopolskim im. Wyspiańskiego trzecią nagrodę. Z niemałym wzruszeniem czytałem parę lat temu wspomnienia Jerzego Szaniawskiego o jego wystawionych w różnych teatrach sztukach; między innymi wymieniony był parę razy Teatr Wołyński.

Teatrowi dane było odegrać w wołyńskim życiu rolę niemałą. W rytm dni wołyńskiej nawet najbardziej głuchej prowincji wkroczył akcent teatru. Życie oniemiało, a potem rozradowane

nie widziało siebie bez teatru. Było to coś bardzo swojego i bliskiego.

Teatr wołyński był teatrem objazdowym. Za słowami tymi kryje się sytuacja, o której czytelnik nie ma pojęcia, wyobraźnia jego jest ślepa. Nawet w stolicy Wołynia Łucku gmachu teatru nie było. Były tylko po miastach i miasteczkach żydowskie kina i „sale” różnych społecznych instytucji.

Przez cały czas teatr był w ruchu, jeździł od miasta do miasta, od miasteczka do miasteczka. Nocowano i mieszkało w wagonach, zajazdach, przygodnych „hotelach”. Większość jednak czasu spędzano w przydzielonych teatrowi dwóch wagonach kolejowych. Teatr krążył z niesłychanym zapamiętaniem po Wołyniu, bez wypoczynku, bez wytchnienia. To, co teatr nazywał „wypoczynkiem” i „wytchnieniem” dla ludzi spokojnych ani jednym, ani drugim nie było. Teatr jeździł i grał, robił próby, premiery, przedstawienia — grał nawet systematycznie w Lublinie i Brześciu.

Mówimy „teatr”, a nie mówimy o ludziach, którzy są teatrem — o zespole aktorskim. Przebywali oni bezustannie na wołyńskim teatralnym froncie. Tak było wiosną, latem, jesienią, zimą. Tylko nie liczący się z niczym aktorski „patriotyzm teatru” mógł sprawić, że tak było. Obok, a raczej równolegle z „patriotyzmem aktorskim” rodził się patriotyzm teatru społeczeństwa.

Kiedy się spotykałem z zespołem aktorskim, opanowywało mnie zażenowanie. Jak świat aktorski wszystko to wytrzyma, zwłaszcza panie? Tymczasem oblicza wskazywały, że mam przed sobą osoby nie przygnębione, nie złamane trudem i ciężką pracą, towarzystwo wesołe, rozradowane, pewne siebie. Tak dane mi było poznać „tajemnicę teatru” — tajemnicę twórczego ludzkiego wysiłku bez patosu i propagandy.

Osobne słowa należą się dyrektorowi Aleksandrowi Rodziewiczowi.

Był to także fenomen — młody człowiek, delikatny, uprzejmy, aktor. I właśnie ten młody człowiek potrafił przez cały czas kierować teatrem, stworzyć wysoki poziom artystyczny, opanowywać sytuację na drogach i bezdrożach Wołynia, dawać sobie radę z organizacją i administracją w tak trudnych warunkach.

Teatr Wołyński i Dyrektor Aleksander Rodziewicz dobrze zasłużyli się Wołyniowi.

T e a t r U k r a i ń s k i . Organizatorem i Dyrektorem Teatru Ukraińskiego był Mikołaj Pewny, brat Piotra Pewnego, znanego polityka i publicysty. I temu teatrowi także na Wołyniu

powodziło się dobrze. Był to teatr objazdowy, objeżdżał miasta i miasteczka. Przedstawienia polskie i ukraińskie wzajemnie się mijały. Ale teatr ukraiński miał swoją specjalność — grał po wsiach. I to miało specjalne powodzenie i sens. Repertuar ukraiński zawsze i wszędzie posiadał, z małymi wyjątkami, akcent ludowości. Nie można było wyobrazić sobie przedstawienia bez śpiewu, tańców i strojów ludowych. Zbliżało to oczywiście do wsi i jednało ją, a zarazem potwierdzało znaczenie teatru wśród ludności ukraińskiej.

Poziom teatru był dobry. Miałem możliwość porównać go z teatrem Sadowskiego, sławnym teatrem na Ukrainie Naddnieprzańskiej, który widywałem w czasie mojej młodości w Kijowie.

Słowa polskie i słowa ukraińskie, padając ze sceny, robiły swoje. Polakom było radośniej na duszy i Ukraińcom także. Było to życie równouprawnione słów ukraińskich i polskich, które krążyło po Wołyniu. Stosunki między teatrami były dobre i życzliwe. I to także stawało się postacią polsko-ukraińskiego i ukraińsko-polskiego współżycia. Były co prawda wypadki, kiedy oblicza „dostojnych bogoojczyźnianych Polaków” stawały się posępne... Ukrainizacja Wołynia. Nie zmieniało to jednak klimatu, który zapanował po pojawieniu się obu teatrów, klimatu przyjaźni między tym co polskie i tym co ukraińskie. Teatry sprawiły po swojemu to, że Polacy, a zwłaszcza Ukraińcy poczuli się lepiej, bardziej u siebie w domu polskiej rzeczywistości Dwudziestolecia.

Henryk JÓZEWSKI

RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

POLSKI DZIENNIK SVENA GRAFSTRÖMA

Berlin, połowa sierpnia 1939 roku, mieszkanie wysokiego niemieckiego urzędnika, do niedawna radcy ambasady w Moskwie, obecnie przydzielonego do centrali *Auswärtiges Amt* w Berlinie, Fritza (Friedricha) von Twardowski. W związku z wizytą córki gospodarze wydali przyjęcie, na które zaprosili znajomych z kręgu niemieckiej wyższej biurokracji. Przeważają urzędnicy służby dyplomatycznej, jeden z gości zajmuje ważne stanowisko w sztabie generalnym.

Do wybuchu Drugiej Wojny Światowej pozostają dwa tygodnie. Goście nie mają złudzeń: wojna łada dzień wybuchnie. Wszyscy są wpłątani w jej przygotowanie.

Dwaj synowie gospodarzy, oficerowie rezerwy wojsk pancernych, są już zmobilizowani i znajdują się w gotowości bojowej nad polską granicą.

Panuje nastrój przygnębienia. Wśród zebranych nie ma entuzjastów Hitlera i jego polityki, zwłaszcza międzynarodowej. Wybitni fachowcy, zdają sobie sprawę z podejmowanego ryzyka.

Takie spotkania towarzyskie prawdopodobnie były w ówczesnym Berlinie częste. Trwoga wojenna sprzyjała kontaktom. W tym spotkaniu, o którym piszę, jeden element był szczególny: gość, na cześć którego wydano przyjęcie, nie należał do biuro-

kratycznego kręgu wtajemniczenia — córka gospodarzy, Gerda, od kilku lat była żoną młodego wybijającego się szwedzkiego dyplomaty, Svena Grafströma. Co więcej, dla państwa v. Twardowski ani dla gości nie stanowiło tajemnicy, że jej poglądy są zdecydowanie antyhitlerowskie, że poglądy jej męża są identyczne¹, i co szczególnie istotne, mąż jej jest sekretarzem poselstwa w Warszawie, w kraju który tuż-tuż ma się stać obiektem najazdu.

Po upływie dziesięcioleci Gerda Grafström wspomina, że rozmowy o przygotowaniach wojennych słuchała z wypiekami na twarzy, jednak wstrząsu doznała, gdy mjr Hans Krebs (późniejszy generał i szef sztabu generalnego) wychodząc pożegnał się z nią słowami *Auf Wiedersehen in Warschau, Gnädige Frau!* Z trudem powstrzymała się od wymierzenia mu policzka. Zamierzała wsiąść do najbliższego pociągu i wrócić do Warszawy, rodzice jednak przekonali ją, że winna pozostać jeszcze dwa dni — „nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu się zobaczymy!”². Należy też przypuszczać, iż von Twardowski obawiał się, że nagły wyjazd córki mógłby wywołać zagęszczenie podejrzeń wokół uczestników przyjęcia.

A oto jej relacja złożona po powrocie do Warszawy, ujęta przez Svena Grafströma w szyfrówce, wysłanej do Sztokholmu 19 sierpnia:

„Żona wróciła z pięciodniowego pobytu w Berlinie, gdzie spotkała wyższych urzędników Wilhelmstrasse. W tych kołach panuje najgłębszy pesymizm, jako że Hitler jest zdecydowany rozwiązać (problem) Gdańska i korytarza w najbliższych dniach. Wszystko wskazuje, że Ribbentrop dąży do szybkiej wojny, ale niektórzy twierdzą, że trzeba czekać, aż Hitler wpadnie w trans. Nie należy oczekiwać powrotu Moltke³. Poradziłem żonie, by wraz z córeczką wyjechała stąd najpóźniej w środę⁴. Przy ewentualnym informowaniu Berlina użyć maszynowego szyfru. Raport o rozmowie z Beckiem wysłany pocztą lotniczą dziś rano⁵”.

Zwróćmy uwagę na ostatnie zdanie depeszy. Wynika zeń,

1. Zdaniem wielkiego przyjaciela Polski, niż. Svena Norrmanna, Gerda Grafström miała wybitny wpływ na ukształtowanie się poglądów męża i jego działań w czasie wojny.

2. Wywiad udzielony autorowi 28 stycznia 1982 r.

3. Poseł niemiecki w Warszawie.

4. Gerda Grafström wyjechała z córeczką do Szwecji we wtorek 22 sierpnia.

5. *Statsarkivet Stockholm, Utrikesdepartementet, beskickingen Warszawa*, (tamże i raport z rozmowy z Beckiem).

że Grafström po rozmowie z żoną uznał za konieczne poinformować polskie władze o tym, co żona widziała i słyszała w Berlinie. Mógł to tym łatwiej uczynić, że poseł, Joen Lagerberg, również antyfaszysta i Polsce życzliwy ale o wiele mniej przedsiębiorczy i mało czujący dramat chwili, był w tym czasie na urlopie w Szwecji i Grafström był chwilowym kierownikiem placówki. Z zachowanych materiałów i relacji żony wynika, że rozmowa z Beckiem odbyła się w godzinach nocnych. Nie wiemy, w jakiej formie i jak kamuflując źródła szwedzki dyplomata przekazał Beckowi ostrzeżenie. Pisemny raport sporządzony natychmiast po powrocie do domu pomija całkowitym milczeniem zarówno inicjatywę Grafströma jak i to, co miał on do przekazania polskiemu ministrowi. Pierwsze zdanie raportu brzmi:

„Minister Spraw Zagranicznych Beck w swej życzliwości udzielił mi dziś posłuchania, w czasie którego wyłożył mi swój pogląd na sytuację”. Z powyższego sformułowania można by wyciągnąć wniosek, że inicjatywa wyszła od Becka, któremu szczególnie w tych gorących dniach zależało na tym, by Szwecja akurat była poinformowana, jak dyplomacja polska ocenia niemieckie niebezpieczeństwo. Cały bowiem raport poświęcony jest wykładowi poglądów Becka! Można tylko wyciągnąć stąd wniosek, że Grafström, nieufny wobec wielu rodaków, w tej liczbie i wobec niektórych dyplomatów, nie chciał przekazywać poufnych informacji w raporcie, dostępnym dla wielu, zawarł je natomiast w lepiej chronionej depeszy szyfrowej⁶.

Przypuszczam, że nawet historycy, specjaliści od stosunków międzynarodowych Polski owego okresu, niezbyt kojarzą sobie nazwisko szwedzkiego dyplomaty i jego żony. Stosunki polsko-szwedzkie w okresie międzywojennym były raczej letnie, wyjąwszy spięcia spowodowane wkroczeniem na nasz teren Ivara Kreugera, konfliktów politycznych nie było ale i nie było głębszej wspólnoty interesów. Owszem, Polska eksportowała węgiel, współpracowała z przemysłem zbrojeniowym, ale do świadomości

6. A oto wykład Becka w skróconej postaci: „Może nie mam racji — powiedział minister — lecz nie wydaje mi się, by Hitler był jakimś Napoleonem lub Bismarckiem, gotowym do wszczęcia wojny w imię zdobyczy terytorialnych bez gwarancji powodzenia”. Hitler dotychczas osiągał swe cele bez użycia broni i nie jest przygotowany do zmiany taktyki. Hitler ciągle się waha, poczynając od chwili, gdy Polska ustami p. Becka zadeklarowała swe stanowisko w sprawie Gdańska, *stanowisko, z którego nie ustąpi ani na krok.* (Podkr. w oryginale — J.L.). Może zdecydował się na wojnę, ale bardziej prawdopodobne, że nadal się waha, co powoduje, że Polska wygrywa na czasie. Jest to szczytem tego, co można sobie wymarzyć”.

ogółu te sprawy nie docierały. Dlatego chyba szwedzcy dyplomaci jakoś nie weszli na karty historii Polski⁷...

O Svenie i Gerdzie Grafström dowiedziałem się, pracując nad udziałem Szwedów w polskim ruchu oporu w Drugiej Wojnie Światowej. Publikując wyniki badań⁸, starałem się oddać co należne ich zasługom dla Polski, dla mnie i wówczas ewidentnych.

W 1981 roku, dzięki życzliwości i pomocy pani Gerdy Grafström i dyrektora Archiwum Państwowego w Sztokholmie (*Riksarkivet i Stockholm*) prof. Svena Lundquista, uzyskałem dostęp do dzienników Svena Grafströma oraz zgodę na opublikowanie niektórych fragmentów, wiążących się z historią Polski.



Sven Grafström (ur. 2. XI. 1902, zm. 3. I. 1955) przybył do Warszawy jako sekretarz poselstwa w 1935 roku, prawdopodobnie ściągnięty tu przez posła Erica Bohemana, pod opieką którego nabierał doświadczenia dyplomatycznego. Nie znamy jego — ani żony — wrażeń z pierwszego zetknięcia się z Polską, należy przypuszczać, że podobnie jak większość szwedzkich dyptomatów — mamy tego świadectwo w pamiętnikach zarówno Bohemana jak i jego następcy Lagerberga — nie był oczarowany ani miastem ani krajem. W dzienniku, rozpoczętym w Polsce 5 lipca 1938 roku i prowadzonym niemal do śmierci, znajdujemy na pierwszych stronach wiele co prawda incydentalnych ale dosadnych notatek, świadczących, że ich autor nie czuł się najlepiej na placówce. Krytyczny w stosunku do własnego kraju i jego dyplomacji, nie oszczędzający w swych ocenach i przyjaciół, nie znajdował taryfy ulgowej i wobec Polski. Zresztą, zaczynał pisanie dziennika w chwili szczególnie niekorzystnej. Polityka polska, międzynarodowa i wewnętrzna przedstawiała się w nienajlepszym świetle.

Irytowała go arystokracja, monopolizująca kontakty towarzyskie z dyplomatami, zwłaszcza świeżo przybyłymi: „Tu roi się od książąt — notuje 6 lipca — Radziwiłłów, Czartoryskich, Sapiechów, Czetwertyńskich, a hrabiowie są niemal tak liczni jak

7. A jednak istnieli. Przypomnijmy, że umierający w Rumunii Beck uczynił depozytariuszem swego *Dernier Rapport* byłego posła Szwecji, Erica Bohemana, który zresztą w swych wspomnieniach dał zwięzłą a doskonałą analizę polskiej polityki zagranicznej w latach poprzedzających wybuch Drugiej Wojny Światowej.

8. *Swedish Contribution to the Polish Resistance Movement during World War Two*. Uppsala 1979.

zające na ich polach. (...) Jasne, że nie jest to właściwe towarzys-
two dla ludzi, którzy, jak dyplomaci, stawiają sobie cel wsłucha-
nia się w puls życia współczesnej Polski”. A jest to jeszcze w
miarę wyważona ocena, w dzienniku znajdujemy i ostrzejsze.

Zdumiewało go zacofanie wsi polskiej. Z polowania w okoli-
cach Łap przywiózł szokujące wrażenie czasu zatrzymanego:
„Umieszczono nas, każdego z osobna, w łodziach z wydrążonego
pnia bukowego, takich jakie wywołują wzmożone wydzielanie
śliny u archeologów, jeśli uda się coś takiego znaleźć w wykopa-
liskach w pokładach torfu”. Podobne wrażenie wywarł pogrzeb
kardynała Kakowskiego 4 stycznia 1939 roku: „Rzymsko-kato-
liccy biskupi w ornatach i mitrach, grecko-katoliccy — w koro-
nach i mantiach, z długimi brodami — prawdziwi królowie
z baśni (...). W moim przeświadczeniu nie było tam niczego,
co nie mogło mieć miejsca nie w 1939 a w 1539 roku. (...) Również i ja nie mogłem oprzeć się przedziwnej atmosferze, o ile
nie byłem zajęty rozgrzewaniem ciała”.

Polityka zagraniczna Polski pierwszych lat pobytu autora
nie znajdowała jego uznania, choć starał się zachować proporcje
i obiektywne spojrzenie. W dniu 25 września 1938 roku, w
związku z kryzysem czechosłowackim, notuje: „Należy zrobić
choćby krótkie omówienie bohaterskiego wkładu Węgier i mojej
drogiej Polski w ten wielki dramat. (...) Czesi wyrwali Cieszyn
spod nosa Polaków, walczących podówczas o wolność. (...) O ile
w sprawie nieznacznego obiektu spornego przyznajmy rację Po-
lakom, o tyle ich — jak i Węgrów — postępowanie w tych
dniach nie może budzić szczególnej sympatii. Ale to jest *Real-
politik*”. Parę dni później, 1 października, notuje: „Wydaje się,
że Beck wiele się nauczył, sąsiadując z dwiema dyktaturami.
Należy uderzyć i to uderzyć natychmiast, jeśli się chce osiągnąć
jakiś rezultat w konkurencji z politykami, którzy w stosunkach
międzynarodowych stosują metody świata kryminalnego”.

Urzednicy polskiego MSZ-u pojawiają się na łamach dziennika
w niezbyt przyjemnym świetle. Szembek jest „raczej niesmacz-
nym zjawiskiem”, a dyrektor departamentu politycznego Koby-
lański to „przystojniak, Hitlerjugend emeszetu oraz wróg Ży-
dów Nr 1” (zapis z 3 stycznia 1939 roku). Nie trzeba wielkiej
wiedzy by stwierdzić, iż Kobyłański został porządnie zdemoni-
zowany — pomijając to, że w Warszawie można było znaleźć
osoby bardziej zasługujące na to niechlubne wyróżnienie, można
przypuścić, że opinia Grafströma w tym wypadku była wynikiem
jakiejs przypadkowej rozmowy.

W sumie, jeśli dziennik Grafströma przynosi jakieś pikantne szczegóły, nawet w większości dobrze podpatrzone, to notatki z życia ówczesnej Polski ani nie są zbyt oryginalne, ani nie obejmują całości zjawisk. O wiele większą wartość mają zapisy poczynione w ostatnich miesiącach przed najazdem hitlerowskim. Przypomnijmy: w nocy z 14 na 15 marca 1939 roku wojska niemieckie zajęły pomonachijską resztę Czechosłowacji. Już wiele miesięcy wcześniej wysunęły żądania wobec Polski, na które ta odpowiedziała zdecydowaną odmową. Obie strony trzymały jednak do czasu w tajemnicy owe rozmowy. Jednak zajęcie Czechosłowacji rzucało nowe światło na kolejne zamierzenia Hitlera. Nie wiedząc, jak zresztą i inni dyplomaci, o wysuniętych roszczeniach, Grafström natychmiast zdał sobie sprawę, że Polska będzie kolejnym obiektem dyplomatycznego szantażu. Stosunek do hitleryzmu określił tu i stosunek do Polski. Grafström staje się jej gorącym rzecznikiem. 17 marca notuje nieco patetycznie, choć słusznie, że „napadnięta przez Niemcy, Polska będzie walczyć o swą wolność, a nie, jak pp. Schuschnigg i Hacha, *only sign on the dotted line*. Co do tego nikt znający Polskę nie może żywić wątpliwości”. Zmienia się też stosunek do Becka, który „jest zbyt zręcznym politykiem, by dać się zaskoczyć”. Ma natomiast wątpliwości „czy polska forma 'dyktatury rządowej' bez szerokiego oparcia będzie mogła się przeciwstawić przeciżeniu z zewnątrz”.

Podobną ocenę powtarza dziesięć dni później, na marginesie patriotycznej demonstracji w Bydgoszczy. „Polska nie jest Czechosłowacją, a Gdańsk nie jest Kłajpedą. (...) To określenie odpowiada temu, co niewątpliwie większość Polaków pragnie w tych dniach powiedzieć. Fala patriotyzmu i niemal agresywnej gotowości obronnej jednoczy kraj”.

Z goryczą notuje, że Europa nadal nie docenia wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. W kwietniu Hitler wystosował notę do szeregu państw europejskich z retorycznym pytaniem, czy czują się zagrożone przez Niemcy. Była to demagogiczna odpowiedź na wystąpienie Roosevelta, przestrzegającego przed hitleryzmem, a jednocześnie efektowny środek zastraszenia małych państw. Refleksje Grafströma zanotowane 24 kwietnia 1939 roku nie straciły, niestety, drastycznej aktualności i w 1982 roku: „Rząd szwedzki, jak doświadczyliśmy dzisiaj, odpowiedział negatywnie. Nie czujemy się zagrożeni. I Dania, w której przecież panuje duża nerwowość, czuje się spokojna. Szwajcaria zaminowała drogi, ale po nocach nie śnią się jej niemieckie plany najazdu. Litwa, która dopiero co traciła Kłajpedę, spogląda w przyszłość

z największym spokojem itd. W mej naiwności sędzę, że jest to najprostsza droga do piekła”. Komentując postawę własnego kraju, dodaje: „No cóż, nie można chyba zbyt wiele wymagać od rządu socjaldemokratów” — sympatie autora były po stronie bardziej zdecydowanej partii liberalnej.

Notując, teraz niemal codziennie, kronikę wydarzeń międzynarodowych, w dniu 5 maja zauważył: „... Nie będzie dla mnie zaskoczeniem, jeśli polska postawa dziś i w nadciągających dniach będzie kiedyś przez dziejopisarzy traktowana jako fakt największego znaczenia dla naszej cywilizacji, coś jak odpór udzielony Turkom pod Wiedniem w 1683 roku, gdzie zresztą Polacy też mieli swój wkład”.

W czerwcu Grafström był w Sztokholmie. W drodze powrotnej do Warszawy, jadąc przez Berlin odwiedził teściów, u których spotkał niemieckiego ambasadora w Moskwie, hr. von der Schulenburga, z którym miał drugą i, jak zaznacza, szczerą rozmowę. Na pytanie o przewidywany rozwój wydarzeń niemiecki dyplomata odparł, że: „... nikt, wyjąwszy być może Hitlera, nie jest w stanie udzielić odpowiedzi (...) i to właśnie jest przerażające. Wszystko zależy od jednego jedyne go człowieka, co gorsze, bardzo nerwowego (*en överspänd person*), który w przeszłości już dowiodł, że pada ofiarą kaprysu i nastroju chwili” (zapis z 1 lipca).

Była to niewątpliwie drastyczna ocena, zwłaszcza jeśli przetłumaczyć ją z konwencji dyplomatycznej na prosty, ludzki język. A przecież świadomość, ku czemu dążą Niemcy nie przeszkodziła von der Schulenburgowi w odegraniu czołowej, wcale nie pozbawionej inicjatywy roli w montowaniu paktu Ribbentrop - Mołotow, otwierającego Drugą Wojnę Światową. Zauważmy, że szczerść niemieckiego dyplomaty miała określone granice: prowadzone podówczas rozmowy w Moskwie nie były nią objęte. Warto przy okazji przypomnieć i dalsze losy von der Schulenburga: jeden z filarów generalskiego spisku przeciw Hitlerowi w 1944 roku, mający objąć kierownictwo polityki zagranicznej, stracony wraz z innymi uczestnikami zamachu.

Zbliżając się do granicy — a Grafström wybrał tym razem dość okreśną drogę — dostrzegł dużo jednostek wojskowych w marszu oraz nowozbudowane lekkie umocnienia przeciwpancerne i przeciwlotnicze.

Zawadzając o Gdańsk w hotelu Metropol przeczytał tam oprawioną sentencję Frederika Bööka, głoszącą, że: „Niemcy są jedynym krajem, w którym nieznany żołnierz nie jest martwy lecz żyje”. Böök, krytyk i profesor, na przestrzeni wielu dziesię-

cioloci wpływowa postać szwedzkiego parnasu (m.in. przeszkodził w przyznaniu nagrody Nobla Żeromskiemu), był wielbicielem Niemiec i hitleryzmu. Komentarz Grafströma do przeczytanej sentencji: „Przyjaciół B. jest dobrze znanym lizaczem butów każdej przemocy, gdzie by się nie objawiła. Sentencja jest, nawiasem mówiąc, kiczowa w formie i sugestywna w treści”. Ta ostatnia uwaga jest parafrazą formuły realizmu socjalistycznego, narodowego w formie, socjalistycznego w treści — przed Warszawą Grafström spędził kilka lat na placówce w Moskwie i do wschodniego sąsiada Polski żywił równie mało sentymentu jak i do zachodniego.

Jak już wspomniałem na początku, 18 sierpnia Grafström został przyjęty przez Becka. Postępowanie Grafströma otrzymało *ex post* aprobatę wiceministra spraw zagranicznych, Bohemana, co znalazło wyraz w szczególnym podziękowaniu.

Zbliżała się wojna. Przyjaciół Grafströma na Wierzbowej ocenił w dniu 26 sierpnia, że 95 % przemawia za wojną, tylko 5 % za pokojem. Więcej optymizmu mieli pracownicy ambasady brytyjskiej, zakładający *fifty-fifty*. Grafström cieszył się, że rząd polski zwrócił się do Szwecji o reprezentowanie polskich interesów w Niemczech na wypadek wojny, i że Szwecja podjęła się tej misji, a głównie — że Polacy byli pierwsi. Reprezentowanie interesów Rzeszy nie uśmiechało mu się.

Mniej przyjemności sprawiła mu konieczność udzielania odmowy na prośby o wizy tranzytowe, składane przez dużą ilość niemieckich i polskich Żydów, mających ważne wizy pobytowe do Anglii, Holandii i innych krajów. Była to wyraźna decyzja szefa biura paszportowego szwedzkiego MSZ, Nylandera. Zdołał jednak pomóc w wyjeździe do Szwecji Immanuelowi Birnbaumowi, Żydowi, wieloletniemu korespondentowi prasy niemieckiej w Polsce. (Birnbaum, postać w Warszawie legendarna, wrócił tu po wojnie, by zakończyć karierę dziennikarską jako naczelny w *Süddeutsche Zeitung* w Monachium).

Wieczorem 30 sierpnia zastanawia się, czy trzeba przeszkodzić wojnie? Odpowiada sobie, że: „... w żadnym wypadku kosztem nowego Monachium lub spokrewnionego rozwiązania. Państwa zachodnie mają atuty w swym ręku. Ta gigantyczna gra nie powinna zostać przerwana, nim Hitler nie zostanie powalony na kolana”. Wybuch wojny spędza na ulicach Warszawy. Notuje: „Odczuwam ulgę, połączoną z goryczą. Znowu miliony młodych ludzi będzie krwawiło, w imię czego? Chcę wierzyć w wzbogacone człowieczeństwo, w rozwój jednostki, w większą wartość człowieka (...). Ale czy nadzieja jest uzasadniona, czy

starczy sił, by ją zachować? (...) Na ulicy wiwatują ludzie, ten przerażający, nieświadomy, okrutny i łatwo zapalny tłum, równie gotów do całowania jak i gryzienia, taki sam w Warszawie jak i w Londynie i Paryżu. Wszystko wygląda tak beznadziejnie, nierozumnie" (zapis z 3 września).

Wojna przybrała gorszy obrót, niż można było przypuszczać i niż Grafström przewidywał w najbardziej pesymistycznych oczekiwaniach. 5 września notuje: „Sytuacja jest bardzo trudna. Rząd dziś ewakuuje się do Lublina”. Jak wiadomo, wraz z rządem ewakuował się korpus dyplomatyczny, również i szwedzki. Grafström pozostał z częścią obsady na miejscu, na Bagateli, w budynku poselstwa, dokąd również ściągnął zamieszkałych w Warszawie Szwedów, częściowo ze względu na dobre piwnice, zamienione na schrony, częściowo, by zapewnić im ochronę eks-terytorialności. Na prośbę polskiego MSZ Grafström objął również opiekę nad Belwederem. Opieka była dość iluzoryczna — klucze przejęło poselstwo szwedzkie, dokąd obsługa miała odsyłać chcących zająć budynek Niemców. Był to w istocie rzeczy gest, o tyle ładny, że Grafström miał świadomość przekroczenia swych uprawnień dyplomaty.

Następują notatki z obłączenia. Spędzając większość dni w poselstwie, urzędując w piwnicy, odcięty od źródeł gruntowniejszej informacji, autor notuje raczej przypadkowe obserwacje i własne stany uczuciowe. „Na rogu Brackiej i Jerozolimskich — notuje 7 września — tam gdzie zawsze samochody hamowały w oczekiwaniu na zielone światło — leży konający koń. Wygląda jak gdyby nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy chodzą w przeraźliwym milczeniu. Kilka kobiet ostrożnie posuwa się do przodu, inne, w grupie, modlą się. Na wszystkich twarzach maluje się rozpacz, która jednak nigdzie nie przybiera gwałtownej postaci. W chwili próby i goryczy ten twardy naród okazuje dumę i godność”.

Nadzieje na pomoc angielską i francuską zawodzą. „Trudno pojąć to wszystko — pisze 9 września. — Wstrzymuję się jednak od komentarzy do chwili, gdy zamiary aliantów będą wyraźniejsze”. Dowiaduje się, że w poselstwie niderlandzkim przebywa kilku urzędników ambasady niemieckiej, o czym władze polskie nie zostały przez Holendrów poinformowane. „Z naciskiem doradziłem natychmiastowe zameldowanie władzom”. Z rozmów z innymi dyplomatami docierają wiadomości o samowoli i niedołęstwie władz wojskowych — jeden z urzędników poselstwa Norwegii, uprowadzony przez wojsko do Radomia, trzymany kilka dni o głodzie, jadł surowe kartofle z pola, wreszcie

przepędzony, pieszo dotarł do Warszawy. „Ten opis, podobnie z innymi podobnymi, nasuwa nieuchronnie pytanie, jak to właściwie wygląda strona organizacyjna w polskiej armii lub w jej nadal istniejących resztkach”.

Dzień 12 września upływa spokojnie, mniej huku armatniego, mało nalotów. „Być może, że Niemcy rzeczywiście, jak chcą pogłoski, zostali zatrzymani na przedpolach stolicy”. Dwa dni później odmawia przyłączenia się do wezwania pozostałych w Warszawie dyplomatów, by rząd norweski załatwił im przejazd przez linię frontu. Tego samego dnia, a raczej nocy, Grafström otrzymuje możliwość skorzystania z urządzeń Polskiego Radia dla przekazania wiadomości do Szwecji. „Nie wstydzę się przyznać, że głos drżał, gdy czytałem: 'Szwedzkie poselstwo w Warszawie wzywa MSZ w Sztokholmie, poselstwo Warszawa do MSZ Sztokholm'. Następnie odczytałem mój komunikat, dodając następnie: 'Poselstwo (i szwedzka) kolonia ma się dobrze. Wszyscy Szwedzi w Warszawy, wyjąwszy Silfverskiölda, Axella, Bengtssona, pani i panny Vingquist i pani Molander w poselstwie. Nastrój dobry. Przekazać informację do radia. Próbuje połączenia radiowego ze mną. Ostatnia otrzymana depesza nr 85. Szwedzkie poselstwo Warszawa do MSZ Sztokholm”. Przez kilka dni czeka, by Sztokholm potwierdził otrzymanie radiogramu, okazuje się, że dotarł do miejsca przeznaczenia dopiero 20-go, a więc po upływie 6 dni!

Następnego dnia, to jest 15-go, odbywa się zebranie korpusu dyplomatycznego w budynku poselstwa Norwegii, gdzie postanowiono zachować postawę wyczekującą wobec wkraczających Niemców. Wyjątek stanowi Holender, jako że reprezentuje interesy niemieckie. Dzień później, w związku z niemieckimi ulotkami, wzywającymi ludność do opuszczenia miasta przed rozpoczęciem oblężenia, dziekan korpusu dyplomatycznego, Norweg Ditleff postanowił udać się do polskich władz, by przekonać je o konieczności zastosowania się do żądań. Został przyjęty, wraz z konsulem Stanów Zjednoczonych, przez dowódcę obrony Warszawy, który odrzucił propozycję kapitulacji, zgodził się natomiast pomóc w ewakuacji dyplomatów i cudzoziemców.

Na marginesie tego Grafström notuje: „Co do wczorajszej niemieckiej ulotki, to uważam ją za propagandowy bluff. Już od dawna cywilne obiekty są bombardowane z ciężkich dział. (...) Ci, co zgodnie z humanitarnymi zaleceniami Niemców udali się szosą garwolińską, popełnili samobójstwo ze strachu przed śmiercią”.

Siedemnastego o godz. 10.15 otrzymał telefoniczną wiadomość o wkroczeniu armii rosyjskiej (Grafström używa konsekwentnie tej terminologii) na teren Polski. „Tu mamy cenę, jaką Niemcy musieli zapłacić za neutralność Czerwonych! Ukraina! Nowe świństwo...”. Przy okazji jednak i refleksja: „... Przypomina się postępowanie Polski wobec Czechosłowacji, gdy ten kraj przeżywał swą tragedię. Biedna Polska!”.

Następnego dnia Grafström spalił wszystkie dokumenty poselstwa, z tabelami szyfrowymi włącznie.

Gdy 19-go na zebraniu korpusu dyplomatycznego u Ditleffa znalazł się również przedstawiciel Związku Sowieckiego, Grafström zaprotestował, jako że kraj ten rozpoczął wrogie wobec Polski działania, wobec czego obecność jego reprezentanta jest policzkiem dla Polski. Ditleff sowieckiego dyplomatę delikatnie wyprosił.

W dniu 21 delegacja korpusu dyplomatycznego udała się na rokowania z niemieckim dowództwem. Przewodniczył Ditleff, towarzyszyli mu d'Apremont (Belg), Gevers (Holender) i Grafström. Towarzyszył im inż. Widen, Szwed pracujący w Monopolu Zapalczanym. Największym zaskoczeniem było, że Niemcy byli tylko kilometr od miasta — nikt z dyplomatów nie zdawał sobie sprawy, jak beznadziejna była sytuacja jej obrońców.

W rozmowach z przedstawicielami niemieckiego dowództwa ustalono ewakuację dyplomatów, personelu dyplomatycznego (w tym również polskiego personelu kancelaryjnego), służby (również polskiej), obcokrajowców, z obywatelami państw wojujących włącznie. Niemcy jednak zastrzegli sobie prawo internowania przepuszczonych przez linię frontu Polaków, Francuzów i Anglików. Niemcy udostępniają pociągi i autobusy, kto chce może jednak ewakuować się własnym samochodem.

Zdaniem Grafströma, Niemcy chcą z całej sprawy zrobić propagandówkę, podkreślając na każdym kroku, że ewakuacja obcokrajowców odbędzie się „na wyraźne życzenie Führera”. Naciskali na Ditleffa, by stwierdził, że ewakuacja nie mogła się odbyć wcześniej z powodu złej woli Polaków. „Na szczęście manewr ten się nie udał” — zaznacza autor, jak zawsze dość nieufny wobec talentów i charakteru swych dyplomatycznych kolegów.

Następują gorączkowe przygotowania do ewakuacji. Wyjeżdżają wszyscy Szwedzi, wyjąwszy przedstawiciela SKF, Silverskiölda, dyrektora szwedzko-polskiej izby handlowej, Molandera, pani i panny Vingquist (kancelistka poselstwa). Dwóm pierw-

szym Grafström wystawił papiery, mianujące ich tymczasowymi wicekonsulami.

Evakuacja odbywa się w tym samym dniu sprawnie. Pierwszym etapem jest Królewiec. Tu na miejscu kierownik miejscowej rozgłośni nagabuje Grafströma o wywiad, czego ów kategorycznie odmawia. Nie odnotowuje natomiast w dzienniku incydentu na kolacji u szwedzkiego konsula honorowego, miejscowego Niemca. Gdy żona konsula zaczęła wysławiać narodowy socjalizm i Führera, Grafström odpowiedział jej w sposób zupełnie niedyplomatyczny⁹.

Do Sztokholmu wraca okrężną drogą przez Gdańsk, gdzie obserwuje niemiecką histerię wojenną, i Berlin, gdzie odwiedza teściów i spotyka niemieckich znajomych. Największe wrażenie zrobiła na nim rozmowa z niemieckim wybitnym bankowcem, wieloletnim reprezentantem niemieckich banków w Polsce, Weiss von Ulogs, z którym spotkamy się również w publikowanym fragmencie pamiętników z listopada 1939. Weiss v. Ulogs należał niewątpliwie do kategorii określanej w Polsce jako przyzwoici Niemcy i to zupełnie bez cudzysłowu. Warto przytoczyć notatkę, jaką Grafström sporządził z rozmowy 26 września: Weiss „otrzymał dobrą posadę w jakimś niemieckim banku. Mówił z dużą goryczą o losie Polski i niepokoił się o losy siostry żony, zamężnej za Polakiem. Niestety, nie miałem o nich żadnych informacji. Weiss poinformował mnie, że Niemcy mają zamiar zbudować coś w rodzaju gospodarki komunistycznej w zajętych częściach Polski, rodzaj eksperymentu. Zlikwiduje się własność prywatną, ziemię rozdzieli się między sowchozy i kołchozy, jak w czerwonej Rosji, a przemysł będzie złączony w duże trusty z niemieckimi zarządcami. Weiss, jako rzeczoznawca polskich stosunków, otrzymał ponętą propozycję kierowania przebudową polskiej gospodarki, ale odmówił objęcia stanowiska związanego z plądrowaniem trupów, jako że (od Polski) za jej życia doznał wiele życiowości i wieloletni dostatek”.

W Sztokholmie autor znalazł się 28 września. Otrzymał podziękowanie za postawę w okresie oblężenia i udał się w góry na urlop, zamącony wściekłością z powodu incydentalnych publikacji prasy szwedzkiej, nawet życzliwych dla Polski, ale bagatelizujących wojnę i okupację. Przy okazji wygłaszał prelekcje o doświadczeniach wojennych, w których głosił, że „współczesna wojna nie daje zbyt wielkiego pola dla bohaterstwa w tej formie, w jakiej bywa opisane w historycznych opowieściach.

9. Herslow C. V., *Moskwa - Berlin - Warszawa*, Sztokholm 1946.

Współczesna wojna to straszne, okrutne zniszczenia, można ją tylko nienawidzić” (w lekcji dla lapońskich dzieci 5 października 1939).

W dniu 5 października 1939 roku dzwoni doń do uzdrowiska w północnej Szwecji szef biura personalnego szwedzkiego MSZ. Stanowisko to, rzecz ciekawa i chyba dla danego opowiadania istotna, zajmował akurat Zenon Westrup, syn Stanisława Przybyszewskiego. Westrup zawiadamia Grafströma, że musi wrócić natychmiast do Sztokholmu, jako że czeka go nowa misja w Warszawie, opieka nad szwedzkimi interesami w Polsce. Miał udać się tam, jak tylko Niemcy wyrażą na to zgodę. Status dyplomatyczny — nieokreślony. Ale teraz oddajmy już głos bezpośrednio autorowi dziennika.

Sven Grafström — „Dziennik”

31 października

Gdy po długiej przerwie zaczynam na nowo uderzać w klawisze, to i maszyna jest nowa i otoczenie zupełnie różne od dotychczasowego. Wystartowałem nareszcie w kierunku Warszawy i siedzę w pociągu z Sassnitz do Berlina. W bagażu mam setki listów od tułających się po świecie Polaków do ich rodaków w ruinach kraju ojczystego, listy mężów do żon, żon do mężów, dzieci do rodziców, między narzeczonymi, listy patetyczne lub sentymentalne, pisane często do adresatów nie wiadomo czy jeszcze żywych. Z polskiego poselstwa w Sztokholmie i szwedzkiego w Berlinie otrzymałem listy osób poszukiwanych. Mam też kwestionariusze z Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, z wielu firm szwedzkich oraz od rzeczoznawców obrony przeciwlotniczej. Wszyscy liczą że zbiorę dużo ważnych informacji. Nie mam natomiast jeszcze zezwolenia na wjazd do okupowanego kraju. *Démarche*, dawno już zrobione w Berlinie, dotąd jest bez odpowiedzi. Przypuszczam, że Niemcy niechętnie widzą neutralnych obserwatorów, zwłaszcza jeśli ci nie zamierzają się ograniczyć do trójdniowego pobytu, sterowanego przez Gestapo. Mam osobiście w Berlinie przyspieszyć załatwienie.

Do Berlina przybyłem o 19-ej i na kompletnie zaciemnionym dworcu szczecińskim zostałem powitany przez teściową. Heinz czuje się o wiele lepiej i lekarze pozwalają mu już wychodzić. Klaus znajduje się wśród dzielnych chłopców na froncie zachodnim, gdzie, być może, ma nadzieję zrobienia miazgi z Francuzów i Anglików równie łatwo jak z Polaków¹. Na Brüchenallee spotkałem również Fritza² — przyjemność spotkania została spotęgowana przywiezionymi przeze mnie a w Niemczech nieosiągalnymi smakołykami. Szczególne szczęście sprawiła para homarów. Z nieznanych mi przyczyn są dla wyobraźni niemieckiej czymś najwyższym. Nastrój jednak wcale nie był najlepszy. Trudno cokolwiek zdobyć i panie domu zmuszone są aż do zmęczenia biegać ze sklepu do sklepu.

1 listopada

Przed południem złożyłem wizytę szefowi protokołu, baronowi von Dörenberg. Jest to jeden z panów, opromienionych zaufaniem Ribbentropa. Do przybytku władzy dostać się nie jest łatwo — trzeba było pięciu woźnych, by utorować drogę do właściwych drzwi.

Von Dörenberg ma aparycję, która w każdym innym kraju zamknęłaby mu drogę do zajmowanego stanowiska. Wielki chyba ponad 2 metry, i nader barczysty. Na potężnym tułowie osadzona mała, ruda czaszka. Wygląda na przeciętniaka, ale znający go twierdzą, że jest dobrym organizatorem. Ma około 55 lat.

Na jego plus zapisuję, że nie pozdrowił mnie przez *Heil Hitler*, jeno wyciągnął potężną pięść. Nie miał na sobie uniformu. Wizytę złożyłem, by dowiedzieć się o zezwolenie na wjazd na tereny okupowane. Zgodnie z radami teścia, zacząłem od masy komplementów z powodu „niesamowitych” zasług protokołu podczas ewakuacji obcokrajowców z Warszawy. Pochlebstwa — zdaje się — trafiły na żyzną glebę. Co się tyczy zezwolenia, był bardzo optymistyczny, mam więc nadzieję, że w najbliższych dniach udam się w drogę.

Natomiast moja inicjatywa, by Szwedzi (ewakuowani z Pol-

1. Heinz i Klaus von Twardowski — szwagrowie autora, oficerowie rezerwy Wehrmachtu.

2. Friedrich von Twardowski — teść autora, dyplomata niemiecki, poprzednio radca ambasady w Moskwie, aktualnie w 1939 w centrali niemieckiego MSZ.

ski — J.L.) mogli sprowadzić swe meble, napotyka na trudności. By uniknąć prejudykatu, Niemcy nie udzielają zezwoleń na wywóz ruchomości, o ile nie należą do dyplomatów.

Na korytarzu natknąłem się na Ribbentropa, którego nigdy dotąd nie oglądałem. Z obliczem lunatyka i z dłonią wysuniętą na powitanie nie wiadomo kogo, na czele ciągnącego za nim ogona minął mnie niemal biegnąc. Był w mundurze.

Przez resztę dnia porządkowałem papiery. Z tutejszego Wydziału B³ otrzymałem kolejny wykaz setek ludzi, których należy odnaleźć. Nie wiem jak z tym wszystkim nadążę, ale jakoś musi to iść. W każdym bądź razie jest to wyjątkowo piękne zadanie.

2 listopada

Moje urodziny, kończę 37 lat! Z rana telegram od Gerdy⁴ i życzenia teściów.

Sensacja polityczna — mowa Mołotowa, w której, wbrew wszelkim przewidywaniom, ujawnione zostały rosyjskie żądania wobec Finlandii. Nie wyglądają zbyt groźne, z wyjątkiem jednego: Hangö. Finowie nie mogą się na to w żadnym wypadku zgodzić, w związku z powyższym muszą zgłębić — my także! — co bolszewicki minister rozumie przez „poważne ujemne następstwa”, jeśli nie przyjmą żądań. Mój teść powiedział, że Rosjanie w żadnym wypadku nie rozpoczną wojny, w związku z czym Finowie winni okazać charakter. Taki pogląd — jak widać — dominuje wśród niezaangażowanych obserwatorów. Że Niemcy liczą na fińską nieustępliwość jest sprawą oczywistą; w obecnej sytuacji, sława Bogu, nie mogą nic zrobić, by przyjść z pomocą krajom nordyckim, z drugiej zaś strony zdecydowanie niechętnie patrzą na dalsze postępy Rosjan w państwach nadbałtyckich.

Rzecz jasna, że dla nas byłoby najlepiej, gdyby Sowietci skierowali spojrzenie na Bałkany, ale zdaje się, że istnieje tu porozumienie między Niemcami a Rosją. Z dwóch niewygód wolą Niemcy raczej wojnę na Bałtyku niż na Bałkanach, która by ich pozbawiła rynków zaopatrzenia.

Uważa się, że rosyjska armia jest kiepska. Mój teść powiedział dziś, że wysoko postawiony Łotysz stwierdził, że gdyby

3. Wydział B w strukturze szwedzkiej dyplomacji zajmował się polityką gospodarczą i sprawami konsularnymi.

4. Żona autora.

wcześniej wiadano to co teraz o sowieckim dowodzeniu i wyposażeniu, to nigdy nie zgodzono by się na przyjęcie sowieckich żądań wysuniętych po klęsce Polski.

A Niemcy nadbałtyccy, co mówią oni o przymusowym przesiedleniu *heim ins Reich*, odbywającym się częściowo pod kierownictwem teścia? Teść twierdzi, że są zachwyceni. Sceptycyzm leży w ludzkiej naturze. Jest faktem to, co dziś słyszałem od bałtyckiego barona nazwiskiem Ukskull⁵, że wśród (przesiedleńców) panuje dosłowna rozpacz z powodu opuszczenia terenu wielowiekowego osiedlenia, gdzie często byli dobrze sytuowani. Co się z nimi obecnie dzieje? Większość z nich jest osiedlana w korytarzu i na innych terenach okaleczonej Polski, gdzie ich perspektywy wcale nie są świetlane. Poza tym istnieje *contradictio in adiecto* — ucieczka przed rosyjskimi „przyjaciółmi”, gdy ci z pomocą Ribbentropa umacniają się w Estonii i na Łotwie. Jest to ponadto bankructwo niemieckiej polityki. Na przestrzeni wieków nadbałtyccy Niemcy stanowili ważną pozycję niemczyzny na Wschodzie. Wątpię też w rezultaty intymnego kontaktu tych indywidualistów z metodami Trzeciej Rzeszy. Mój rozmówca przypuszcza, że wielu po prostu trafi do Dachau.

Von Post jest szefem legacji. Richert jest w Sztokholmie dla rokowań handlowych z Niemcami. Siedzę w jego pokoju i pracuję.

3 listopada

Nastrój w kierowniczych kołach jest niewesoły. Siedząc w Warszawie (podczas oblężenia — J.L.) pisałem, że nie sposób odnaleźć sens w trybie prowadzenia wojny przez Anglię i Francję i nadal trudno mi pojąć, dlaczego alianci twierdzą, że nie byli w stanie przyjąć biednemu polskiemu wojsku z pomocą w losowym wrześniu. Natomiast obecną taktykę Anglii i Francji, ich bierność w wytworzonej sytuacji można, zdaje się, łatwiej wytłumaczyć. Być może, że Anglia nie jest w stanie zagłodzić Niemców, ale wierzę że wygra wojnę nerwów. Jak długo w niemieckich uszach dźwięczą jeszcze zwycięskie komunikaty z polskiej wyprawy, a ich upojność wzmagana jest torpedami trafiającymi w angielskie statki, tak długo humor jest dobry. Gdy jednak sukcesy nie będą się powtarzały, a kłopoty będą z dnia

5. Prawdopodobnie zniekształcona pisownia, poprawne brzmienie nazwiska: Yxkull.

na dzień dotkliwsze, sytuacja będzie się pogarszać. Naród francuski i angielski oraz ich żołnierze na froncie mają cel — wiedzą, że walczą lub będą walczyć przeciwko hitleryzmowi w imię bezpieczeństwa w Europie, ale naród niemiecki i jego żołnierze na frontach, bezczynni, będą mieli duże trudności w zrozumieniu czemu to wszystko służy. Niemcy osiągnęły swój cel wojenny a nie mają otwartych rachunków z Anglikami i Francuzami — tak ludzie rezonują. Dlaczego więc nie zawrzeć pokoju? Po prostu dlatego, że nie sposób, jak długo Hitler i to, co on reprezentuje, sprawuje władzę. Z biegiem czasu chyba to dotrze do świadomości zwyczajnych ludzi i wówczas może coś nastąpi.

W międzyczasie dzieją się różne sprawy na świecie, które nie mogą sprawić przyjemności sprawującemu tu władzę. Przedwczo-
raj ogłoszono rekonstrukcję rządu we Włoszech, co nie może oznaczać nic innego jak to, że Mussolini uznał za na czasie usunięcie czołowych rzeczników tzw. polityki osi. O tym się tu nie mówi. Dziś przez radio słyszałem, jak rządy w Atenach i Rzymie wymieniły nadzwyczaj przyjazne noty, anonsujące zacieśnienie współpracy w obliczu dokonujących się zmian w polityce europejskiej czy coś w tym rodzaju. Wiedząc, do jakiego obozu należy Grecja, należy uznać że wydarzenie jest godne uwagi.

8 listopada

Nareszcie, pokonawszy wszystkie przeszkody, zdobyłem zezwolenie na wjazd na teren Polski, dla mnie i dla panny Eriksson, po którą telefonowałem i która przybędzie tu jutro wieczorem. W piątek rano wyjeżdżamy pociągiem do Warszawy przez Wrocław.

Gdy otrzymałem, w dużej mierze dzięki pomocy Fritza, niezbędne listy rekomendacyjne z *Auswärtiges Amt*, udałem się do generalnego kwatremistrzostwa, by uzyskać przepustkę. Tu trafiłem na odźwiernego, widocznie byłego podoficera, który, z zapalem pokrzykując na tłum petentów w cywilu, zniżył się do zajęcia się mną, zabierając pismo MSZ-u dla wnikliwych studiów, mających ustalić, czy w ogóle mam prawo istnieć. Obciążony go za wtrącanie się w nieswoje sprawy i zabrawszy pismo, kazałem się zaprowadzić do pokoju Nr 33. Ten ton osiągnął natychmiastowy skutek. Uderzył kopytami, mówiąc *bitte sehr!* Tak jak mi klarował miły *attaché prasowy* z naszej legacji: dla niemieckiego podoficera istnieją dwa pojęcia — oficer i szerego-

wiec. Gdy go się utrzymuje w przeświadczeniu, iż się należy do pierwszej kategorii — jest grzeczny i nawet służalczy, natomiast stosunek do tzw. szeregowców jest ordynarny i nieprzyjazny.

W ministerstwie spraw zagranicznych napotkałem Schehlię, teraz przydzielonego do protokołu dyplomatycznego. Zaciągnął mnie do kąta i szeptem zakomunikował, że w Polsce dzieją się straszne rzeczy. Gestapo i SS wprowadziły rządy strachu. Mordowanie osób cywilnych jest na porządku dziennym, również w Warszawie. Schehlia nie rozumie, dlaczego prasa państw neutralnych milczy o tym. Przychylam się coraz bardziej do dość rozpowszechnionego ongiś w Warszawie przekonania, że facet jest prowokatorem⁶. Z panią Strufve mówiłem telefonicznie. Ubolewała nad losem Polski i prosiła bym przekazał pozdrowienia wielu jej byłym przyjaciołom z tamtejszej arystokracji. Tym ludziom, zdaje się, kompletnie brakuje taktu i zdolności myślenia.

Lunch jadłem u majora Petersena, obecnie — w randze radcy legacyjnego — kierującego wydziałem B placówki dyplomatycznej. Należy doń i opieka nad interesami polskimi i z tego tytułu urzęduje w budynku polskiej ambasady. Z mieszanymi uczuciami krojęm rybę na oficjalnej porcelanie z białym orłem na czerwonej tarczy, z której tylekroć jadłem we właściwym, że tak powiem, środowisku.

Petersen jest oryginałem, wyłaniającym się zawsze dla dziwnych zadań w szczególnych chwilach. Ma nieokrzesane manieri połączone ze zdolnościami organizacyjnymi, co powoduje, że na nim zatrzymuje się myśl, gdy trzeba obsadzić tego rodzaju stanowiska. W czasach pokojowych wegetuje na stanowiskach sekretarskich w różnych półpaństwowych instytucjach. Zdaje się, że posiada wielu wpływowych przyjaciół. Sympatyczny nie jest. Gdy np. spotkaliśmy się po raz pierwszy w poselstwie, wypowiadał się z dużą nonszalancją o poszukiwaniach ludzi zaginionych: „Albo są już na tamtym świecie, albo żyją, więc dadzą sobie radę. Ludzie muszą zrozumieć, że toczy się wojna i nie można się przejmować każdym wystraszoną Żydkiem w Sztokholmie lub gdzie indziej, poszukującym krewnych”. Arcywłaściwa wypowiedź w ustach kogoś, czym właśnie zadaniem jest łagodzenie ludzkiego niepokoju. Dość ostro powiedziałem, że

6. Von Schehlia, niemiecki dyplomata, w latach trzydziestych w Warszawie. Podejrzenia Grafströma były bezpodstawne — von Schehlia był rzeczywiście antyhitlerowcem. W dniu 31 marca 1943 roku autor zanotował w dzienniku: „Dowiedziałem się dziś, że nasz stary znajomy z Warszawy von Schehlia został rozstrzelany za 'szpiegostwo'”.

mam zupełnie odmienny pogląd, na co począł się tłumaczyć, że nie myślał zbyt serio. Rozmowa sprawiła przykre a trwałe wrażenie.

Napisałem pierwszy raport dla Związku Eksporterów i dla MSZ-u o zarządzaniu i polityce gospodarczej w Polsce, na ile je mogę z odległości ocenić. Uzupełnienia prześlę, jak zbadam stosunki na miejscu w Warszawie.

Zderzyłem się z baronową Gevers⁷, jadącą w najbliższych dniach samochodem do Warszawy, by zabrać swe ruchomości. Powiedziała, że mąż po powrocie został osobiście dekorowany przez królową Wilhelminę za zasługi położone przy ewakuacji cudzoziemców z Warszawy.

11 listopada

Nic z wyjazdu wczoraj, wyjeżdżamy dziś, 11-go, o godz. 9.12. Dla kilku dyplomatów zarezerwowano specjalny wagon. Jedzie baronowa Gevers, która jednak zdecydowała się na pociąg, grecki poseł Collas oraz japoński ambasador Sakoh z częścią współpracowników. Towarzyszy nam kilku umundurowanych panów z *Auswärtiges Amt*. Jeden w uniformie SS z trupią czaszką. Jak powiedział mi Fritz, odprowadzając mnie na dworzec, jest to Gruppenführer SS, preferujący ten mundur, by wywołać większy strach i respekt wśród Polaków.

Na odjeździe Fritz zakomunikował mi poufnie, że rządy niemieckie są nieludzkie i że zastanawia się nad wyjściem ze służby państwowej ze względu na wrogą kulturze działalność niemiecką. Opowiedział, że w Grudniadzu kilku chłopców nocą wykleiło plakat z napisem „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Jako odwet Gestapo rozstrzelało 10 osób spośród wychodzących z kościoła i przez 24 godziny zabroniło usuwania zwłok.

O autentyczności nie mogę wątpić — opowiadania przychodzą z różnych stron. Relacje te powodują, że stawiam sobie pytanie o przyszłość człowieczeństwa a zwłaszcza Niemiec. W jaki sposób mogło się rozwinąć takie okrucieństwo w krótkim przecie czasie panowania nazistów? Czy aby nie istniało ciągle czasowo uspione i tylko czekało na właściwą pożywkę duchową, by zapuścić perfidne, trujące korzenie?

W pociągu graliśmy w brydża, jedliśmy, czytaliśmy i 17 godzin minęło zupełnie znośnie. O 2-ej w nocy pociąg przybył

7. Żona posła holenderskiego w Warszawie.

do Warszawy, na dworzec, którego Polacy nie zdążyli wykończyć. Na jeszcze nieotynkowanych a już zburzonych murach wiszą płaskorzeźby, przedstawiające polskie osiągnięcia w przemyśle, handlu, nauce i kulturze. Polacy byli tak dumni ze wszystkiego, co zdołali osiągnąć mimo upośledzonego startu. Warszawa miała być tak pięknym miastem!

Molander⁸, mianowany przeze mnie konsulem, czekał na nas na stacji odwołując samochodem do poselstwa, gdzie on sam też teraz mieszka. Pochen, Hilda! Skakały, ścigając się, szczęśliwie z powrotu ich pana. Wierny Feliks, otwierając drzwi garażu, wycierał łzy z kącików oczu. Panna Eriksson i ja byliśmy bardzo zmęczeni. Ona poszła spać, ja zaś długo jeszcze siedziałem z Molanderem, słuchając jego przeraźliwie smutnej relacji o tragicznych dniach Warszawy.

12 listopada

A Warszawa miała się stać tak pięknym miastem! Słowa dźwięczą jak gruba ironia, gdy wraz z Molanderem udajemy się na pierwszy dzienny spacer po Warszawie. Nowy Świat wygląda jak gdyby potężne czołgi przetoczyły się po dachach. Jeszcze stojące domy mają ziejące dziury zamiast okien, balkony niebezpiecznie zwisają nad ulicami, wnętrza wyglądają jak przepuszczone przez maszynkę do mięsa.

Skrzydła Pałacu Brühla, dawnej siedziby MSZ-u, sterczą żałośnie, domy wokół placu defilad niemal niedostępne. Barykady usunięte, można więc bez przeszkód jechać samochodem przez główne ulice. Natomiast na bocznych gruzach wielometrowej wysokości uniemożliwiają nawet piesze poruszanie.

Ruch ożywiony, ale niemal wyłącznie pieszy. Swego rodzaju konne omnibusy — zwyczajne furmanki z ławkami — utrzymują komunikację miejską. Na jednym takim pojeździe zobaczyłem dwóch panów, z tych, którzy niedawno pędzili miastem w luksusowych samochodach. Wygląda, że przyjęli zmianę ze stoicyzmem,

Pełno wojskowych, na ile się orientuję, z landszturmu. Ponadto SS i gestapowcy w cywilu. Jest ich pełno. Ruch kołowy i pieszy po godz. 19-ej zabroniony. W odróżnieniu od Berlina, Warszawa jest nie zaciemniona, ale oświetlenie nader skąpe.

Po przyjeździe dowiedziałem się, że dwaj inżynierowie z LM

8. Hilding Molander, dyrektor szwedzko-polskiej izby handlowej, mianowany wicekonsulem we wrześniu 1939 r.

(Ericsson), Rundström i Forsberg, zaginieni na wschód od Radomia, o których taki niepokój panuje w Szwecji, niedawno zjawili się w Warszawie, cali i zdrowi. Wspaniała wiadomość na początek urzędowania, natychmiast więc udałem się do niemieckiej komendantury z prośbą o wysłanie depeszy do poselstwa w Berlinie. Jako że niedziela, spotkałem jedynie podoficera dyżurnego, który jednak obiecał spełnić prośbę. Mam nadzieję, że dotrzyma przyrzeczenia. Możliwości prywatnej korespondencji ze światem nie istnieją.

Do komendantury, mieszczącej się w starej polskiej wartowni naprzeciwko Hotelu Europejskiego, nie wolno wchodzić. Na posterunku stał żołnierz z najeżonym bagnetem, ale szedłem szybkim krokiem, starając upodobnić się do gestapowca. Udało się.

Na dziedzińcu poselstwa pochowano Józefa, służącego posła. Drewniany krzyż oznacza mogiłę. Postaram się jak najszybciej przenieść zwłoki na cmentarz.

Moje mieszkanie nietknięte. Nawet okna ocalały.

13 listopada

Dziś z rana udałem się do adiutanta komendanta wojskowego, rtm. Münchowa. Udałem się samochodem Widéna⁹, który otrzymałem do dyspozycji. Rotmistrz przyjął mnie bardzo grzecznie i z miejsca zlecił wypisać 150 l. benzyny i 15 l. smarów, jak i przepustkę pozwalającą poruszać się całą dobę — ludność nie ma prawa przebywania na ulicy po godz. 19-ej. Obiecał mi również udostępnić służbowy telefon, bym mógł zatelefonować do teścia oraz wysłanie depesz do legacji w Berlinie. Co się tyczy przedłużenia praw pobytu, to skierował mnie do gubernatora dr. Fischera. Rzeczonego znalazłem w Pałacu Brühla, w byłym gabinecie Becka, gdzie ostatnio rozmawialiśmy w sierpniu¹⁰.

Jeśli dodać, że otrzymałem prawo filmowania, że mam niemal obietnicę miejsca w wojskowym samolocie do Krakowa, jako że muszę coś załatwić w urzędzie generał-gubernatora, że zaprosiłem wspomnianego rotmistrza na obiad w środę, to mogę uznać, że nie zmarnowałem pierwszego dnia.

Złożyłem też wizytę komendantowi, gen. Neumann Neurode, typowemu pruskiemu oficerowi. Wyraził zadowolenie, że zagra-

9. Tore Widén, dyrektor techniczny Polskiego Monopolu Zapalczanego.

10. Aluzja do rozmowy, w czasie której autor przekazał Beckowi uzyskaną przez Gerde Grafström wiadomość o zamierzonym na 1 września ataku na Polskę. Szerzej w komentarzu poprzedzającym dziennik.

niczny dyplomata przybył, by własnymi oczyma zobaczyć i zrozumieć niszczące skutki współczesnej wojny. Wygłosił również długą prelekcję o uporze i braku roztropności Polaków oraz o *Grosszügigkeit* (wielkoduszności) Führera. Treść i ton prelekcji są mi znane z wielu wcześniejszych okazji, więc im więcej ich słyszę, tym mniej mnie wzruszają.

Moje przybycie stało się z miejsca powszechnie wiadome, co zaskakuje w mieście, w którym środki komunikacji cofnęły się do poziomu z XVIII wieku. Poselstwo od rana pełne ludzi. Przedstawiciele szwedzkich przedsiębiorstw z raportami. Polacy pragnący nawiązać kontakt z krewnymi za granicą. Po prostu starzy znajomi. Wśród nich ks. Sebastian Lubomirski, Juliusz i Stefan Tarnowscy oraz hrabina Olizar. Stefana Tarnowskiego ledwo poznałem, tak się postarzał. Pozostali byli niezmienieni, przynajmniej na pozór.

Te same opowieści. Krowni i znajomi, którzy poległi, zostali wzięci do niewoli, aresztowani, rozstrzelani lub dostali się w ręce Rosjan. Jako że byli pod rosyjskim panowaniem lub poznali metody bolszewików w 1920 roku, uważają to ostatnie za najgorsze.

Proszą o wizy na wyjazd do Szwecji, czego im nie mogę dać. Nawet gdybym miał odpowiednie stemple itd., nie mógłbym udzielić wizy bez zgody Sztokholmu, a nie mam komunikacji. Jedyne co mogę, to radzić by próbowali dostać się do Berlina by tam, przy moim poparciu, załatwiać w poselstwie. Mówi się, że możliwości uzyskania przepustki do Berlina nie są wykluczone. Młodzi mężczyźni niepokoją się pogłoskami, że Niemcy wezmą wszystkich Polaków do prac przymusowych.

Jak zawsze, Warszawa jest pełna pogłosek. Już w XVIII wieku von Engeström¹¹ notował w pamiętnikach, że jest to „*la ville des comtes et des contes*”^{11a}. Mówi się więc powszechnie, że niebawem, wbrew wszelkim demarkacjom, bolszewicy obejmą w posiadanie stolicę Polski. Taki rozwój wydarzeń nie jest wykluczony, jeśli na Zachodzie wojna przyjmie poważny obrót i Niemcy odczują kłopoty. Dlaczego Rosjanie mieliby wyrzec się przywrócenia granic z 1914 roku? Dotychczas są pojętnymi uczniami Hitlera, a przecież zdarza się, że uczeń oszwabi mistrza. Hitler chyba już o tym pomyślał.

11. Lars (Wawrzyniec) v. Engeström, 1751-1826, szwedzki poseł w Warszawie w okresie Sejmu Czteroletniego, zaangażowany w działalność obozu reform, później kanclerz Szwecji, pod koniec życia osiadł w Polsce i spolszczył się.

11^a. Tu: miasto hrabiów i pogłosek.

Z rana dojechałem samochodem do Nowego Świata a dalej piechotą do placu Piłsudskiego, gdzie zatrzymałem się, by sfil-mować skutki bombardowania. Tu dają się one najlepiej przeana-lizować. Zrobiłem również zdjęcia ambasady amerykańskiej — Pałacu Raczyńskich — gdzie Gerda i ja byliśmy na tyłu wspa-niałych przyjęciach. Piękny budynek jest teraz kupą gruzów. To samo z francuską ambasadą na Frascati. Zupełnie nowe i niezbyt gustowne kompleksy wyglądają jak zjawy, ziejące dziu-rami, za którymi nie ma nic.

Porządku na ulicach pilnują polscy policjanci. Poza nimi ruchu pilnuje niemiecka *Verkehrspolizei*, wypełniająca swe powo-łanie przy pomocy krzyku i bicia. Szczególną uwagę zwróciłem na jednego faceta z NSKK¹², w jednej chwili gnębiącego bied-nych polskich furmanów, jak gdyby byli byłem, by w następnej, salutując lizakiem i na baczność, prężyć się przed niemieckimi oficerami w samochodach lub na motocyklach. Poświęciłem mu kilka metrów taśmy, mam nadzieję, że zdjęcia się udały.

Ulice pełne ludzi, powoli snujących się bez widocznego celu. I jaki mógłby być cel? Panuje niemal powszechne bezrobocie. Odmienne niż w dzielnicach przyłączonych do Rzeszy, Niemcy nie próbują uruchamiać fabryk i położyć kresu bezrobociu. Prze-ciwnie, wygląda, że los ludzi wcale ich nie martwi. Handel hur-towy zanikł, handel detaliczny, czyli to troszkę, co zeń zostało, przeniósł się na ulicę. Emerytury nieczynne, banki nie dokonują żadnych wypłat. Nędza już jest krzycząca. Jak będzie, gdy zima uderzy na serio?

Na ulicach rozplakatowana — po niemiecku i polsku — pro-klamacja komendanta miasta. Kończy się oskarżeniem rządu pol-skiego o złą gospodarkę i naiwność oraz obietnicą wspaniałej przyszłości dla lojalnych Polaków. Inny szeroko kolportowany plakat przedstawia ciężko rannego polskiego żołnierza obok Chamberlaina. Napis: „Anglio, twoje dzieło!”^{12a}. Na kilku afiszach zerwane słowo *Anglio* oraz wizerunek Chamberlaina, zo-stawiony ranny Polak oraz słowa „twoje dzieło!”. Że ta forma korygowania nie jest zupełnie bezpieczna dowodzi *Bekanntma-chung*, znaleziona w *Dzienniku Urzędowym* oraz w *Amtsblatt der Stadt Warschau* z 3 listopada: „Sąd polowy skazał na karę śmierci wdowę Eugenię Włodarz oraz studentkę Elżbietę Zahor-

12. *National-Sozialistische Kraftkorps*.

12^a. W dzienniku zanotowane po polsku.

ską za zamach na niemieckich żołnierzy względnie sabotaż (zrywanie plakatów)”¹³.

W Łodzi powieszono dziś trzy osoby należące do ligi obrony i krzewienia polskości. Inni członkowie organizacji musieli cały dzień chodzić gęsiego wokół szubienicy. Norman¹⁴ jest tu i jadł ze mną lunch. Opowiedział, że na prowincji w niektórych miastach gdzie był, Żydzi na rozkaz komendanta miasta muszą nosić specjalne oznaki¹⁵.

Po południu przyjąłem rewizytę gen. Neumann Neurode. Był w asyście adiutanta. Ugościłem ich cygarami i przedstawiłem Molandera jako wicekonsula. Konwersacja nosiła ogólnikowy charakter. Mówiłem o mej niemieckiej rodzinie, co w tej atmosferze stanowi wspaniały temat, coś w rodzaju piorunochronu, nie mówiąc o możliwości pozyskania życzliwości!

Neumann jest typowym pruskim oficerem starej szkoły. W swej surowości wygląda sympatycznie i wyobrażam go sobie w domu, w Szczecinie, z długą fajką w ustach, opowiadającego wnuczkom bajeczki i przyjaźnie pokrzykującego na podwładną mu niemiecką *Gattin* (małżonkę) ze staromodnym wysokim kołnierzem i dużym brzuchem. Jedna z tych żon, które u boku umundurowanych mężów wyglądają jak należące do gorszej rasy.

Neumann ma 64 lata i jest od dawna na emeryturze, ale wygląda o wiele młodziej.

Poselstwo pełne interesantów. Na drzwiach kazałem wywieścić ogłoszenie, że przyjmuję tylko między 9-tą i 10.30. Czasem w zalewie spraw smutnych i tragicznych zdarzają się chwile, że słońce się uśmiecha. Dziś miałem okazję zawiadomić pewną damę szwedzkiego pochodzenia, że jej polski małżonek znajduje się żywy i zdrowy w Sztokholmie. Rozpłakała się ze szczęścia. Panna Vingquist¹⁶ powiedziała mi o niej, że dopóki nic nie wiedziała o losach męża, siedziała bez najmniejszego ruchu. Dałem jej prowizoryczny szwedzki paszport, by mogła pojechać do Sztokholmu.

Nic natomiast nie jestem w stanie uczynić dla wszystkich Polaków, proszących mnie o pomoc by się stąd wydostać lub by otrzymać szwedzką wizę.

Mamy dużo pracy z rejestracją osób poszukiwanych i nada-

13. Tekst przytoczony w języku niemieckim.

14. Sven Norrman, dyrektor polskiej filii ASEA, jeden z najzasłużniejszych kurierów polskiego ruchu oporu w latach 1939-1942.

15. Obserwacja poczyniona we Włocławku. Niektóre zdjęcia zrobione wówczas przez Norrmanna znajdują się w moim posiadaniu.

16. Pracownica kontraktowa szwedzkiego poselstwa.

waniem biegu sprawom. W wielu listach, które otrzymałem z polskiego poselstwa w Sztokholmie znalazłem mnóstwo innych listów. Daj Polakom palec, chcą całej ręki.

15 listopada

Wczoraj wieczorem, gdy wszyscy siedzieliśmy przy pracy, panna Vingquist wywołała mnie do kancelarii. Dwóch niemieckich żołnierzy stało przy oknie, natrętnie domagając się wpuszczenia ich do środka w celu zabrania trzeciego żołnierza, tu ponoć się znajdującego. Odparłem, że niemieckiego żołnierza tu nie ma i kazałem grzecznie się zachowywać, jako że to teren szwedzkiego poselstwa. Nie, tu jest żołnierz a oni mają rozkaz zabrania go, jako że żołnierzom nie wolno odwiedzać prywatnych domów. Prosiłem, by powiedzieli mi, gdzie ten żołnierz się znajduje. Doskonale wiedzieli. Znajduje się w jednym z ostatnich pokoi.

Hilda, niewiarygodne puszczadło, czyżby przeniosła swe łaski z polskich policjantów na przedstawicieli nowej władzy? Podejrzenia były zasadne. Gdy biegłem schodami do mojego mieszkania, zostałem niemal zbity z nóg przez żołnierza w niedopiętym mundurze. Wyskoczył na zewnątrz, niezatrzymany przez patrol, który wiedział „kto to jest”. Może to był ich przełożony, nie wiem. Byłem natomiast zirytowany intruzami, którzy nie tylko że byli nachalni, ale na dodatek jeszcze śmierzdzieli alkoholem. Dlatego udałem się z nimi do ich „porucznika” — wartownia znajduje się tuż koło poselstwa — by złożyć protest.

Dziś do poselstwa przybył porucznik w towarzystwie majora, który uderzywszy kopytami, prosił o wybaczenie z powodu *den unglücklichen Zwischenfall* (nieszczęsnego incydentu — J.L.) oraz zapowiedział, że obydwaj żołnierze zostaną *streng bestraft* (surowo ukarani — J.L.). Mam nadzieję, że nie zostaną rozstrzelani, są tak młodzi. Zakomunikowałem mu, że mam bardzo trudne zadanie, które próbuje spełnić za zgodą i przy pomocy *Ausw. Amt* w Berlinie i że lokalne władze niemieckie okazały mi największą życzliwość. W nawiasie dodałem, że złożył mi wizytę dowodzący generał, który prosił mnie, bym mu składał bezpośrednio wszelkie prośby oraz że wczorajsze wydarzenie zrobiło na mnie bardzo przykre wrażenie, jako przejaw braku dyscypliny w wojsku, które jest powszechnie znane z czegoś wręcz przeciwnego. Nowe uderzenie w kopyta, gdy powiedziałem, że dzięki wizycie uważam sprawę za zamkniętą i prosiłem o możliwość złożenia jutro rewizyty majorowi.

Żydzi są tu przeraźliwie prześladowani. Przedstawiciel szwedzkiej firmy „Addo”, produkującej maszyny liczące, Żyd o nazwisku Zimmermann opowiedział mi co następuje: szedł ulicą z kolegą, noszącym broń i został zatrzymany przez kilku Niemców w mundurach SS, żądających pieniędzy. Gdy takowych nie dostali, cisnąc Zimmermanna bagnetem, zmusili go by obciął broń swemu koledze. Później Niemiec żartownisie założyli sznury na szyje obu Żydów i pociągnęli za sobą „żeby powiesić”. Wreszcie przeprowadzili ceremonię wieszania, którą nie-szczęśni izraelici początkowo potraktowali zupełnie na serio, by zakończyć biegiem między Niemcami, którzy bili ich szpicrutami.

To jest, oczywiście, zjawisko powtarzające się w tej samej postaci w całej Polsce i codziennie. Piszę tu o tym po pierwsze dlatego, że mówiła mi to osoba którą znam od dawna jako zasługującą na zaufania, po drugie dlatego, że jest to przykład bezmyślnego rasistowskiego sadyzmu, zaszczerpionego w nazistowskiej szkole i który kwitnie na całym.

16 listopada

Złożyłem z rana rewizytę majorowi w komendanturze, mieszczącej się tuż przy poselstwie, w pałacu Rydza Śmigłego. Jak należy, zostałem powitany już przy wejściu przez jakiegoś porucznika, który doprowadził mnie do majora. Major wyraził obawę, że może nastąpić tu komunistyczna rewolta w związku z inwazją armii bolszewickiej, „jeśli nadarzy się ku temu odpowiednia okazja”. Jego zdaniem, bolszewików puszczono zbyt daleko na zachód. Wyraził również powątpiewanie, jakie wrażenie na opinii publicznej zrobi kiedyś zniszczona Warszawa, gdy świat ponownie zajmie się sprawami ludzkimi i humanitarnymi.

Opowiedziałem tej chyba opozycyjnej duszy moją wczorajszą rozmowę z torturowanym Żydem. Major nie wątpił w prawdziwość relacji. W zamyśleniu kiwał głową, a na pożegnanie uściśnął mi dłoń, jakby prosząc o wybaczenie z powodu tej nieludzkości.

Pewna pani, szwedzkiego pochodzenia, lecz zamężna za Polakiem i polska obywatelka, mieszkająca w Łodzi, napisała do mnie, prosząc o zaświadczenie, które by chroniło jej dom i ją samą od rekwizycji względnie deportacji. Oczywiście, takiego zaświadczenia nie mam prawa wystawić dla kogoś, kto już nie jest szwedzkim obywatelem. Uważałem natomiast, że nie mogą powstać zastrzeżenia przeciwko wystawieniu owej pani papieru

z następującym brzmieniem: „Niniejszym zaświadczam, że pani Aina Rosendahl-Skrutkowska urodziła się jako szwedzka obywatelka. Pozwalam sobie prosić odpowiednie niemieckie władze o okazanie jej pomocy w potrzebie”¹⁷. Podpisałem jako *Vertreter des Schwed. Ausw. Amtes* i przyłożyłem pieczęć (spreparowaną) z dawnej pieczętki poselstwa, z której wydrapałem słowa *Légation de* oraz *à Varsovie*. (W tej postaci) nadaje się do moich obecnych potrzeb.

Mam nadzieję, że pani Rosendahl będzie miała korzyść z papierka jeśli będzie potrzebowała obrony przed Niemcami.

Nawiązałem kontakt z polsko-niemiecką firmą transportową, przypuszczającą, że będzie mogła zorganizować transport ruchomości pośła i moich do kraju. Myślę, że da się to załatwić i że pakowanie będzie mogło się odbyć jeszcze podczas mojego tu pobytu.

17 listopada

„Przyjaciół poznajemy w biedzie” — tak brzmi przysłowie, ale z równym uzasadnieniem można stwierdzić, że w trudnych chwilach, zwłaszcza gdy stawką jest życie, poznaje się charakter. Cechy, do których w codziennym, mieszczańskim życiu przywiązuje się dużą wagę, czar osobisty, towarzyskość, umiejętność zjednywania ludzi i zdolność urządzania się, w takich chwilach tracą wartość, natomiast inne, zasadnicze, niedostrzegane na co dzień właśnie dlatego, że głęboko ukryte, ujawniają się w całej rozciągłości. (Brzmi to jak przepisane z czytanek dla szkoły powszechnej¹⁸).

Nie mogę nie myśleć o tym, gdy panna Vingquist opowiada mi o przeraźliwych dniach, jakie Szwedzi przeżyli w tych murach od ewakuacji 21 września do kapitulacji Warszawy.

W ciągu tych pięciu dni Warszawa była bombardowana z ziemi i z powietrza, bez przerwy i z takim nasyceniem, że dotychczas na pewno czegoś podobnego nie było.

Niedziela 24 września była chyba najgorsza. Niemieccy lotnicy bez przerwy setkami krążyli nad miastem, na wysokości zaledwie kilkuset metrów, zrzucając bomby zapalające i burzące gdzie się dało. Na krótkiej Bagateli przed naszym budynkiem

17. W tekście w języku niemieckim.

18. Zdanie w nawiasie dopisane ręcznie przez autora na maszynopisie, w latach pięćdziesiątych.

obrońcy wystawili kilka ocalałych dział przeciwlotniczych, z wielkim hukiem ale bezskutecznie usiłujących strącić któregoś z drapieżników. Odpowiedzią było niemieckie bombardowanie. Jedna z bomb pada tuż obok, wstrząsa całym budynkiem i wyrzuca okna. W piwnicy siedzą Szwedzi i polska służba. Józef, służący posła i Karol, dość ograniczony woźny kancelaryjny, mają dyżur przeciwpożarowy. Ruszają natychmiast, by gasić ogniska pożaru. Józef, w czasach pokojowych lekkoduch i leń, w tej chwili okazuje się bohaterem. Boi się, kto by się nie bał? — ale nie ma wątpliwości. Nie pozwala pannie Vingquist na udział w akcji — „jestem stary i jestem mężczyzną, pani jest kobietą i to młoda, pani tu zostanie!”.

Po kilku chwilach następny wybuch, gorszy od poprzedniego. Jedna trzecia budynku zapada się, w ruinach znajdują się obaj Polacy. Wszyscy z piwnicy, nawet tak strachliwe służące, biegą by ratować zagrzebanych. Karol żyje i jęczy pod gruzami. Tylko jedna osoba odmawia udziału w ratowaniu — elegancki, pełen czaru pan Silfverskiöld¹⁹.

Józef zginął na miejscu, Karola zastano jeszcze żywego, umarł później, gdy został zbombardowany szpital w którym go umieszczono. Nawet na punkcie opatrunkowym trafił na bombardowanie.

Inna scenka, nieco późniejsza. Naloty, artyleria, ckm-y, piekło trupów końskich i ludzkich, jęki rannych i oszalały tłum, miotający się z miejsca na miejsce, wśród eksplozji bomb i granatów, całe miasto w płomieniach. Do gmachu poselstwa wdzierają się żołnierze z rewolwerami i lekarze, domagający się umieszczenia tu lazaretu. Molander, wicekonsul, tłumaczy, że budynek jest wyłączony spod rekwizycji, wskazując na sąsiednie, jako-tako trzymające się domy. Odpowiedź: „Nie, bierzemy ten dom”. Molander proponuje, że dostarczy zaświadczenie dowódcy obrony. Dają mu kwadrans. Molander bierze samochód i wraz z doprawdy odważną panną Vingquist jedzie do sztabu obrony. Droga wiedzie przez mniej lub bardziej dosłowne piekło. „Musimy jechać z maksymalną ostrożnością — mówi po drodze Molander — bo pierścienie nie wytrzymają!”. Otrzymują zaświadczenie od gen. Rómmela i wracają w porę.

Obowiązkiem Silfverskiölda było ewakuować się z nami do Szwecji. Nie miał żadnych zadań, które by trzymały go na

19. Przedstawiciel koncernu SKF, według niektórych, dotąd niesprawdzonych przekazów, oddał w czasie wojny ważne usługi ruchowi oporu w Polsce.

miejscu. Jego polska żona z małymi dziećmi jest w Szwecji, bez znajomości języka i bez kontaktów, wyjąwszy była żonę swego męża, u której zamieszkała. S. zaś został na miejscu, by być razem z kochanką.

Kupił samochód od de Lavała²⁰. Gdy przyjechałem, używał znaków CD. Kazałem zdjąć tabliczkę, gdy samochód stał w garażu. S. posyła szofera z żądaniem zwrotu tabliczki, jako że „samochód należy do de Lavała”.

Traktuję oświadczenie serio i każę odpowiedzieć, że w takim razie i tabliczka doń należy. Od tej chwili mam spokój.



Wizyta starego znajomego, pana Pollheima, byłego radcy w polskim ministerstwie (przemysłu i) handlu. Wraz z Forsbergiem²¹ wojowałem z nim podczas powtarzających się co pół roku rozmów kontygentowych. Podobnie jak inni moi znajomi, przez ostatnie miesiące postarzał się o wiele lat. Nie tylko wyglądają starzej — w oczach czyta się przeżycia a twarze noszą ślady goryczy, żałoby i rozczarowania. Żałoby z powodu tragedii ojczyzny i tragedii osobistych, goryczy z powodu Polski i Polaków grzechów własnych.

Pollheim opowiada: „Na wojnę wyruszyłem ochotczo, ze świadomością, że bronię ojczyzny. Byłem pełen entuzjazmu, wiedziałem że walczę o słuszną sprawę, wierzyłem w zapewnienia rządu i prasy, że jesteśmy gotowi do walki. Jako oficer rezerwy artylerii akurat przed wybuchem wojny przeszedłem kurs dokształcający. Między innymi nauczono nas, że dywizjon artylerii dysponuje 20-ma radiostacjami. Oglądaliśmy te aparaty, produkcji Philipsa, i nauczyliśmy się je obsługiwać. Na wojnie nie widziałem radiostacji. Raz tylko byłem świadkiem, jak kolumna samochodów radiowych załadowanych plecakami i żonami oficerów mknęła w stronę granicy rumuńskiej. W moim pułku były tylko dwa przedpotopowe, nieczynne aparaty telefoniczne.

Nie walczyłem jako artylerzysta. Nasze działa były unieruchomione, jako że Niemcy już w pierwszych dniach, dzięki naszej złej organizacji i dowodzeniu, wybili konie. Walczyłem z karabinem w rękę. Któregoś dnia, pod koniec kampanii otrzymałem rozkaz mojego pułkownika, by z dwudziestoma żołnierzami bro-

20. Szwedzki *attaché* wojskowy.

21. Urzędnik poselstwa Szwecji.

nić mostu przed dziesięcioma tankami. Przy niemożliwości utrzymania mostu, miałem go wysadzić w powietrze. Poprosiłem o dynamit, ale dowiedziałem się, że takowego nie ma. Pułkownik mógł mi dać tylko trochę denaturatu. Nigdy nie dowiedziałem się, do czego miał służyć. Na szczęście żadne czołgi nie nadeszły, uniknęliśmy więc bezcelowej masakry”.

Tyle Pollheim. Jego opowiadanie uwidoczniło dwie wady polskiego charakteru narodowego, które przyczyniły się do tego, że się stało jak się stało: lekkomyślność i brak porządku. Do tego trzecia, może najbardziej niebezpieczna, którą on sam nieświadomie obnażył: brak *team spirit* (umiejętności działania zespołowego — J.L.) „Jeśli Polska będzie kiedyś wolna — powiedział — chciałbym widzieć, jak stary rządzący gang dynda na szubienicy”.

To może nie jest przypadek, że ten biedny naród doznał tyle nieszczęść na przestrzeni dziejów. Polak jest nader inteligentny, chyba bardziej niż inni, ale jego intelekt jest krytyczny i rozkładający, nie wiezie ku współpracy i współbudownictwu.

Nietrudno znaleźć przyczyny, powodujące, że wojna tak właśnie się potoczyła, pisałem już wyżej o nich. Nie wierzę, by jakikolwiek naród w takich warunkach materialnych i strategicznych mógł pokazać *a much better show* niż Polacy. Można tylko zarzucić administracji wojskowej i cywilnej, że nie mówiąc o tym społeczeństwu, rzuciła je do walki rozpaczliwie beznadziejnej. Można również wiele zarzucić sposobowi, w jaki kierownictwo narodu spełniało swe obowiązki w rozstrzygających chwilach. Zwykli ludzie byli ofiarni i odważni ale dowództwo dowiodło braku właściwości, potrzebnych dla utrzymania jedności armii. To samo z administracją cywilną. Wcześniej widzieliśmy, jak urzędnicy MSZ, opuszczając w panice stolicę, zostawiali dyplomatów, którzy na własną rękę, wraz z pozostałymi na miejscu oficjalnymi osobami, musieli sobie radzić jak mogli. Podobne stosunki panowały w innych dziedzinach administracji.

Tak samo i teraz. Naród ponosi ciężary okupacji a arystokracja i tzw. inteligencja opuściła kraj, choć teraz jest najpotrzebniejsza dla organizowania społeczeństwa. Ci, co są na miejscu, z małymi wyjątkami, marzą tylko jak się wydostać. Wśród odwiedzających mnie w poselstwie łatwo mogę zliczyć tych, których prośby nie sprowadzają się do tego, by im *faciliter un visa ou un passeport pour l'étranger*²².

22. Ułatwić otrzymanie wizy lub paszportu zagranicznego.

Wszyscy przekraczający moje progi są bardzo dzielni. Opowiadają mi, często z dowcipem, o swej obecnej sytuacji, o udręczeniach obłączenia, niewoli rosyjskiej, o zetknięciu z niemiecką władzą. Zachowują powagę, mówiąc o poległych lub rozstrzelanych krewnych i przyjaciółach, lub o ukochanych, o których nie wiadomo, gdzie się znajdują i czy w ogóle jeszcze są przy życiu. Gorset mięknie i pojawiają się łzy przy nieuchronnych prośbach o pomoc w wydostaniu się z Polski i przy równie nieuchronnej odmowie.

Większość korzysta z okazji i wypełnia kartkę z odpowiednią informacją dla krewnego lub znajomego za granicą. Możliwość otworzenia serca stanowi dla wielu pociechę, więc słucham — w moim mniemaniu — cierpliwie, jednej historii za drugą. Dopiero, gdy widzę, że rozmówca daleko wykracza poza ramy aktualnej rzeczywistości, słowem lub gestem daję znać, że inni czekają.

Najgorzej, gdy ludzie opowiadają zmyślane historyjki, mające na celu przekonać mnie, że muszą natychmiast jechać do Szwecji z powodu ważnych interesów lub podjęcia umówionej pracy.

Mam trudności z przekazaniem pieniędzy z Czerwonego Krzyża. „Wolę umrzeć, niż korzystać z dobroczynności!” Próbuje wtedy nadać pomocy formę pożyczki, a w jednym przypadku przyjąłem zastaw. Czasem taki podstęp przynosi wyniki, czasem jednak duma bierze górę nad pokusą.

Ta działalność „w sektorze B” jest skrajnie męcząca i nie chciałbym się nią zajmować całe życie. Ale jeśli można komuś ulżyć i dać pocieszenie, to może nie jest to daremna praca.

„Muszę zdobyć rower, damski rower, dla załatwiania spraw w tym mieście bez komunikacji”, wesoło oznajmia hrabina, doszczętnie przemoczona deszczem, w podniszczonej futrzanej kurtce i podartych gumowych butach. „Ale gdzie ja znajdę rower, myśli pan? I czy o damski rower łatwiej?”. Stwierdzam zupełną nieznajomość miejscowego rynku rowerowego. „W każdym razie najpierw muszę nauczyć się jeździć. Będę ćwiczyła na Frascati, tam można uprawiać slalom pomiędzy lejami”.

Polska lekkomyślność. Inna dama z arystokracji zdaje sprawę z wysiłków, by zarobić na chleb. Próbowała uruchomić restaurację i biuro ogłoszeń. Nic nie wychodzi, trudności są zbyt wielkie. W jaki sposób ludzie, którzy w normalnych czasach nie robili nic pożytecznego, poradzą sobie w czasach katastrofalnych, gdy załamują się najbardziej przedsiębiorczy ludzie?

Molander i ja nad ranem pojechaliśmy na polowanie w okolicy Mińska Mazowieckiego, na tereny należące do klubu, którego Molander jest starym członkiem. By teraz w Polsce polować trzeba być niemieckim oficerem, bądź — jako szczególnie uprzywilejowany cudzoziemiec — mieć specjalne zezwolenie. Molander ma, ja nie mam. Niemcy skonfiskowali wszelką broń myśliwską i amunicję, robią rewizje w dzień i w nocy a znalezienie nawet zabytkowego muszkietu pociąga za sobą wyrok śmierci. Wszystkie wspaniałe fuzje — a majątniejsi Polacy doprawdy znają się na ekwipunku — są teraz własnością niemieckich oficerów. Część lepszej broni została wywieziona do Niemiec. W sferze konfiskat — czytaj: kradzieży — panują tu średniowieczne stosunki. Z niemieckiej rycerskości, ponoć wykazanej podczas okupacji 1915 roku, nie ma ani śladu.

Samochodem Molandera jedziemy szosą lubelską, którą często z Gerdą jeździliśmy podczas niedzielnych wycieczek. Mniej więcej co sto metrów wzdłuż szosy leżą wraki samochodów, niektóre na polu, albo nawet w lesie. Samochody osobowe i ciężarowe należące do ewakuowanych, które z powodu uszkodzenia, braku benzyny lub bombardowania nie mogły dalej jechać. Ściągnięto je z jezdni, by nie tarasowały ruchu. Czasem uczynił to właściciel, czasem Polacy lub Niemcy. Wszystkie są obrabowane ze wszystkiego, co się dało wymontować i wyglądają jak długo leżące na pustyni szkielety zwierząt, objedzone przez sępy i szkale. Na odcinku 10 km odnotowaliśmy 100 takich smutnych reliktyw: za każdym kryje się czyjaś tragedia.

Odnaleźliśmy starego leśniczego, zarządzającego terenami. Zorganizował dla nas nagonkę z kilku chłopców. Jest sporo przepiórek, brak natomiast zajęcy, których ongiś było tu mnóstwo. Leśniczy wyjaśnia, że Niemcy polowali na nie z powietrza. Molander ustrzelił dwa zajęce i tyleż przepiórek, ja — zajaca i dwie przepiórki. Zostaliśmy oczywiście zatrzymani przez niemiecki patrol, dowodzony przez komendanta w randze plutonowego. Molander pokazał zezwolenie, ja zaświadczenie, że jestem szwedzkim „ministrem”. To zapobiegło naszemu uśmierceniu. Niemcy oddalili się ze zwątpieniem na twarzach. Dwaj cywile z fuzjami, z których na dodatek beczelnie robili użytek! — na pewno wysmażą sążnisty raport do wyższych władz.

Wieczorem zaprosiłem na obiad Molandera i hrabinę Olizar, którą znamy od dawna. Mimo że mąż jest w obozie koncentracyjnym „gdzieś w Rosji”, zachowuje fason i poczucie humoru.

Przypuszczam, że nie jest obca myśli o jakiejś awanturce w tym chaosie. „Właściwie te konwenanse i tym podobne nie odgrywają już więcej żadnej roli”. Odwieźliśmy ją do domu samochodem około dziesiątej. Nawet jeśli się ma zezwolenie na przebywanie poza domem po siódmej, to poruszanie się też jest połączone z ryzykiem. Twierdzi się, że niemieckie patrole często strzelają, nim się zdąży pokazać *Ausweis*. Ale twierdzi się dużo rzeczy.

Rozgłośnia radiowa w Warszawie nadaje niemiecką propagandę i obszczekuje rząd polski — nie wiem w jakim celu, skoro Polakom skonfiskowano radioaparaty, podobnie jak i fuzje. Nadawanie kończy się życzeniem dobrej nocy dla niemieckich żołnierzy i ich bliskich w *das Vaterland*. Życzenia dobrej nocy dla mieszkańców w kraju nie ma, zresztą, ci nie mają przecież aparatów.

20 listopada

Szwedka z pochodzenia, pani Fedewicz, pracująca od dawna u Axella w Banku Polsko-Amerykańskim, w sobotę wieczorem została aresztowana przez Gestapo, w swoim mieszkaniu. Mąż, były niższy urzędnik MSZ, przyszedł do mnie z rana. Był tak wstrząśnięty, że z trudem można było zeń wydobyć odpowiedzi na pytania o szczegółach i okolicznościach aresztowania. Tyle zeń wydobyłem, że do mieszkania przyszło dwóch w uniformach i wzięli ją ze sobą do samochodu. Prośba męża, by móc jej towarzyszyć, została odrzucona. Mój rozmówca nie zna ani ich nazwisk ani przydziału. Nie pokazali żadnego pisemnego nakazu aresztowania ani nie ujawnili jakiegokolwiek przyczyny. Następnego dnia, w niedzielę, znowu się pojawili w mieszkaniu, by dokonać rewizji.

Pani Fedewicz, którą znam osobiście, jest, podobnie jak i jej mąż, zwyczajnym człowiekiem, żyjącym wyłącznie sprawami domu i dzieci. Panny z poselstwa twierdzą, że nigdy nie zajmowała się polityką w żadnej postaci.

Wziąłem ze sobą papierek z powyższymi danymi i zwróciłem się do osobistości w (budynku polskiego) ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, która — jak mi zapodał wartownik przy wejściu — jest szefem Gestapo w Warszawie. Nazywa się dr Bartz — te nieśmiertelne tytuły doktorskie, często tak źle ulokowane — i przyjął mnie natychmiast, jak tylko otrzymał wizytówkę z *chargé d'affaires* Szwecji.

Doktor ma najwyżej 30 lat i jest w cywilu, SS-owiec w mundurze dyżuruje pod drzwiami. Z ogoloną głową i twarzą, pełną blizn od broni siecznej, o fizjonomii wyjątkowo złodziejskiej, wyglądał jak gdyby zszedł ze szpalt listów gończych, dział chuliganów i gwałcicieli. Przyjął mnie z uśmiechem pełnym grzeczności, obiecując decyzję jutro. Prosiłem o wyjaśnienie i decyzję już dziś, co po chwili namysłu mi obiecał. Mamy więc się spotkać raz jeszcze po obiedzie.

Przed sztabem Gestapo, gdy wychodziłem, znajdowała się pewna ilość Żydów, poczynawszy od 60-letnich o długich brodach, do 14-15-letnich chłopców. Pod nadzorem gestapowca wyładowywali jakieś ciężkie maszyny. Przeprowadzano z nimi bezmyślne ćwiczenia. Oprawca wydawał rozkazy „wziąć, puścić, wziąć, puścić”, podkreślając je biciem szpicrutą po plecach ofiar. Stałem dłuższą chwilę w pobliżu, obserwując tę scenę. Swędziło mnie, by się wtrącić, ale byłem rozsądny — moja misja nie jest jeszcze zakończona. Niewolnictwo w Europie w 1939 roku!

O 17-tej ponownie odwiedziłem gestapowca o wyglądzie bandyty. Znowu przyjął mnie z wyszukaną uprzejmością i wyraził nadzieję, że dama „którą jestem zainteresowany” zostanie zwolniona jutro. Stwierdził, że nie jest w stanie wyjaśnić mi przyczyny aresztowania, prosząc o wizytę jutro o 15-tej, jeśli do tego czasu nie zostanie zwolniona.

21 listopada

Złożyłem dziś trzecią i ostatnią wizytę dr. Bartzowi, który mi zakomunikował, że jeszcze nie mógł przestudiować „akt w sprawie”. Zapytałem go, czy nie mógłby tego uczynić teraz, zaznaczając grzecznie lecz stanowczo, że sprawa leży mi na sercu, że doktor wczoraj niemal zobowiązał się, że dama będzie dziś zwolniona. „Nie, i co gorsza, akta są niedostępne”, ale doktor zapewnił, że dama nie cierpi i że chętnie przyjmie dla niej odzież i jedzenie. Odrzekłem, że nie interweniuję, by ulżyć losowi pani Fedewicz, ale by ją wydostać z więzienia. Zaczęliśmy mówić o innych sprawach, co ja tu robię, jak odbyła się ewakuacja cudzoziemców itp. Moja mina nie sprawiała wrażenia, bym chciał zrezygnować i mój rozmówca wyglądał coraz mniej *à son aise* (w swoim sosie). „Czy nie mógłby pan, panie doktorze, wydać rozkazu, by dostarczono tu akta?”. Po chwili namysłu doktor podjął decyzję. Zadzwoił i wydał rozkaz. Po chwili przyszedł jakiś młodzik z papierami pod pachą. Doktor prosił mnie o zache-

kanie chwilę na korytarzu — akta będą przestudiowane. Rzeczywiście trwało to tylko chwilę. Doktor otworzył drzwi z uśmiechem, komunikując, że pani Fedewicz natychmiast zostanie zwolniona. „Dziękuję panu. Czy mógłbym dowiedzieć się o przyczynie aresztowania?” — „To nie miało nic wspólnego bezpośrednio z damą, która zresztą robi doskonałe wrażenie”. „Dziękuję i żegnam”.

Gdy szedłem do szefa, dostrzegłem dwóch Żydów stojących na baczność z twarzami do ściany. Jeden wyglądał na 60 lat, drugi był dużo młodszy. W tej samej pozycji stali, gdy po pół godziny opuszczałem budynek. Zapytałem SS-owca siedzącego obok przy stole i pełniącego chyba funkcję dozorca, co to ma znaczyć? Odbywają karę — brzmiała odpowiedź. Stali więc jak gdyby pod pręgierzem. Jeszcze jeden przykład gestapowskiego sadyzmu. Najgorsze, że wszyscy służący w tej instytucji, od najwyższego do najniższego, mają w sobie okrucieństwo. Widziałem mnóstwo gestapowców przechodzących obok, ale żaden z nich nie uważał tej sceny za oburżającą, nawet jej nie zauważali. Tylko jeden umundurowany młodzian podszedł do starszego mężczyzny, poklepał go po ramieniu i powiedział: „Uważaj, bo wzrokiem wybijesz dziurę w murze”.

Gdy wróciłem na Bagatelę, otrzymałem radosną wiadomość, że panna Fedewicz przed chwilą była tu rowerem, by zawiadomić, że matka wróciła do domu. Tak, to poszło szybko, gdy tylko sprawa ruszyła. Będzie ciekawe dowiedzieć się o jej przeżyciach w więzieniu²³.

22 listopada

Zwłoki Józefa zostały dziś przewiezione na cmentarz. Zawarłem umowę z przedsiębiorstwem pogrzebowym. Pp. Vingquist, Eriksson i ja odprowadziliśmy zwłoki na cmentarz. Jest ostry mróz i ludzie, ciągnąc pod wiatr przez podobne do widma miasto, dmuchają w palce, by je zagrzać. Warszawa zawsze robiła nieco świąteczne wrażenie, ale dziś wygląda jak martwe miasto, zamieszkałe przez martwych ludzi.

Na cmentarzu karawan stoi przed jakimś grobowcem, zdemolowanym przez bomby. Trumna stoi na karawanie, zaczepiona

23. Gerda Fedewicz została ponownie aresztowana przez Gestapo w 1942 roku, w związku z grupą Szwedów, pełniących funkcje kurierskie w polskim ruchu oporu. Dalsze jej losy nie są znane.

o coś w rodzaju gwoździ i przywiązana grubymi rzemieniami. Wygląda tak, jak jest w rzeczywistości, transport bagażu na tamten świat. Koło karawanu stoją woźnice i grabarze, w czarnych pelerynach ze srebrnymi galonami. Są brudni, nieogoleni, srebro szare od brudu i zaniedbania. Być może, że pompa pogrzebowa w Polsce nie różniła się zbyt przed wojną — w co zresztą nie wierzę — ale istniejące dziś okoliczności robią wrażenie szczególnie bolesne.

Trochę z boku stoi narzeczona Józefa, o zapłakanej twarzy. Obok niej kilku mężczyzn, może jej bracia, może przyjaciele poległego.

Zwracamy powszechną uwagę. Być może, że powoduje to mój cylinder, może — staranne odzienie obu panien, ale chyba przede wszystkim karawan i wieńce. To jest dostojny pogrzeb. Na ogół ludzie tu sami noszą trumny. Kilka starych kobiet i dzieci mija nas w nieszczęsnych paltach, z wielkimi wiązkami chrustu na plecach. Wyglądają jak gdyby zeszyły z jakiegoś XVI-wiecznego obrazu.

Przychodzi wreszcie ksiądz w białym ornacie i nasza mała procesja rusza. Jesteśmy szybko przy otwartym grobie. Jak wszędzie w okolicach Warszawy, zamiast ziemi — piasek. Ksiądz szybko czyta requiem, asystuje mu zakrystian w zniszczonym kożuchu. Woda święcona, garść piasku, trumna się zanurza, grabarze wyciągają pasy. Przedsiębiorca pogrzebowy obserwuje wszystko z dyskretnej odległości i jest zadowolony — wszystko przebiega jak trzeba.

Gdy ksiądz odszedł, przysunąłem się do grobu i powiedziałem następujące słowa, przetłumaczone przez pannę Vingquist: „Jako przedstawiciel rządu Szwecji składam na grobie ten oto wieniec w szwedzkich barwach narodowych, jako dowód zaszczytnego uznania i wdzięczności dla dobrego i odważnego człowieka, który padł na posterunku podczas wypełniania swych obowiązków”.

Gdy oddalaliśmy się, rozhuśtały się dzwony podziurawionej przez granaty dzwonnicy.



Dziś zaczyna się pakowanie naszych rzeczy. Ze smutkiem spoglądam na szarogęsienie się tragarzy. Jest to zamknięcie rozdziału w Gerdy i moim życiu dyplomatycznym. Rozdział ciekawy i wzbogacający, ale ze smutnym zakończeniem.

23 listopada

Zaprosiłem na lunch państwa Riesenkampff. Pani jest siostrą żony perskiego posła w Sztokholmie. Ludzie przyjemni i kulturalni. Mąż miał jakieś stanowisko kierownicze w polskim hutnictwie. Wyjeżdżając ze Szwecji obiecałem pani Bahador, że postaram się zebrać informacje o siostrze. Teraz właśnie je zebrałem. Ona i mąż stracili wszystko, poza życiem i poczuciem humoru. Pani R. była w Szwecji wielokrotnie i uważa ją za raj na ziemi. Mimo to nie chce zostawić męża i syna, by na zaproszenie siostry udać się do Sztokholmu. To można zrozumieć.

Pan Riesenkampff opowiedział, że Niemcy zrabowali wszystkie wartościowe instrumenty z przyrodniczych placówek badawczych i ogołocili biblioteki z ich skarbów. Co się tyczy instrumentów, to Niemcy w wielu wypadkach korzystali z faktur, wystawionych przez niemieckich dostawców. Polskich profesorów, między innymi z uniwersytetów w Warszawie i Krakowie, aresztowano bez podania powodu.

Dalej opowiada mój rozmówca, ale tu obawiam się, że w grę wchodzi plotki, że Niemcy ranni na froncie zachodnim w dużej ilości są lokowani w szpitalach i sanatoriach w Polsce. Wielu wśród nich jest ślepych i rannych w płuca — rezultat nowego środka bojowego, jakiegoś „gazu wyziębającego”, wynalezionej i użytego przez Anglików. Przyczyną dla której alianci, gwałcąc prawo międzynarodowe, zastosowali gazy, ma być to, że Niemcy bombardując Helgoland (! — wykrzyknik autora) będący w ręku Anglików, użyli samolotów z angielskimi znakami rozpoznawczymi. Tak krążą ploty w kraju bez poczty, telegrafu, lub telefonu, gdzie radioaparaty zostały skonfiskowane a gazety przestały się ukazywać.

24 listopada

Gdy dziś udałem się o dziewiątej do kancelarii, zastałem korytarze pełne petentów i nawet na ulicy Feliks wraz z dwoma pozostałymi dozorcami mocowali się w beznadziejnej walce z gromadzącym się gęstym tłumem. Natychmiast wydałem polecenie zamknięcia bramy i niewpuszczania nikogo. Podjąłem również decyzję przerwania przyjęć na tydzień — dotąd przyjmowaliśmy co drugi dzień. Bez takich środków personel nie zdoła zorganizować nawet już nagromadzonego materiału. Trzeba również zachować trochę ostrożności przed Niemcami. Zbyt duże a stałe

zgromadzenie ludzi przed szwedzkim poselstwem nie jest dobrą rzeczą, nawet jeśli jesteśmy opiekunami interesów Polski w Niemczech.

„Mam sprawę, którą chcę omówić z konsulem, jeśli nie tu, to gdzieś na mieście” mówi mi przeraźliwie drobna Żydówka. „Niestety, jeśli sprawa ta nie może być omówiona w moim gabinecie, to nie może być omówiona w ogóle”. „W takim razie powiem: Czy konsul nie zawarłby ze mną małżeństwa *pro forma*, małżeństwa konsularnego — jest to, jak pan rozumie, jedyna dla mnie droga wydostania się stąd”. Mówiąc to, interesantka naciera na mnie i zmusza do ucieczki w kąt pokoju, skąd wzywam następnego petenta.

Para starych zapomnianych Anglików traktuje swój los z pokorą. Dostają pieniądze z funduszu Czerwonego Krzyża, który zaczyna — niestety — się wyczerpywać. Młoda, bardzo ładna Polka budzi szczególne współczucie swą historią, relacjonowaną wśród gorzkiego płaczu. Mąż w niemieckiej niewoli, ojciec i matka w Waszyngtonie, gdzie ojciec pracuje w polskiej ambasadzie, młoda zaś kobieta tu zupełnie samotna, bez krewnych lub znajomych, z dwuletnim dzieckiem i następnym w drodze. Obiecano jej wizę w amerykańskiej ambasadzie, pod warunkiem przedłużenia polskiego paszportu, co zdaniem Amerykanów należy do moich kompetencji. Nawiasem mówiąc, jestem wściekły na Amerykanów, którzy uważają mnie za cudotwórcę i często przysyłają mi interesantów z najdziwniejszymi podaniami, które — jak informują — winienem załatwić pozytywnie. Odwiedzę ich jutro, by pomówić o tym oraz by coś zrobić dla tej biednej Polki.

Minister Markus, były poseł Estonii w Warszawie, złożył mi wizytę po drodze do Budapesztu, który jest jego nową placówką. Ucieszyłem się ze spotkania i razem zjemy lunch jutro w jednej z nielicznych czynnych restauracji, u Simona i Steckiego.

Molander opowiedział mi inną historię o niemieckim sadyzmie, usłyszaną od naocznego świadka, do niedawna żydożercy, od dziś nawróconego. Był na wsi w pobliżu Warszawy, gdzie kilku młodych SS-owców zaprzęgå Żydów do konnego kieratu. Należy zaznaczyć, że w tym samym czasie konie pały się w pobliżu. Ludzkie „konie” popędzano batem. Po jakimś czasie pracę przerwano i „konie” otrzymały rozkaz chodzenia na czterech łapach i jedzenia trawy. W tej samej pozycji popędzano je do rzeki by „napoić”. Zakończono rozkazem przeżuwania, co udręczeniu niewolnicy spełnili z jęklwym krzykiem...

W Szwecji istnieje zakład „Bona”, przeznaczony dla wyrostków o złych instynktach. Z przyjemnością zapłaciłbym podwójne

bilety z własnej kieszeni, by ich tam odtransportować. Ale ich „Bona” kiedyś przyjdzie do nich — w poczwórnym wymiarze.

25 listopada

Byłem zaproszony na lunch przez posła Markusa i jego żonę. Jedliśmy w małej restauracji winnej Simona i Steckiego na Krakowskim Przedmieściu, jednej z niewielu otwartych i którą znam z nielicznych odwiedzin przed wojną.

Było dość późno. Wyjawszy nas i Herslowa²⁴ przy innym stole, widziałem tylko kilku niemieckich oficerów. Na jedzenie nie można było narzekać. Dostałem chleb z masłem i doskonałego łososia, potem równie doskonały barszcz oraz przepiórki. Na zakończenie przyzwoitą kawę, nieosiągalną w Berlinie. Ceny oczywiście wysokie. Lunch na 5 osób kosztował ponad 60 zł.

Wieczorem wizyta zapłakanego żydowskiego reprezentanta szwedzkiej firmy. Opowiedział, że przyszło Gestapo, skonfiskowało przedsiębiorstwo i pognało żydowskich pracowników do piwnicy dla przeładowania węgla. Zastanawiam się, jak musi się czuć człowiek, zrujnowany w przeciągu jednej chwili? W poniedziałek pójdę tam, by opieczetować zasób szwedzkich maszyn. Przynajmniej to uratuję.

26 listopada

Molander polował i dziś, ale byłem zbyt zmęczony, by dotrzymać mu towarzystwa. Żałowałem, bo dzień wypadł nadspodziewanie piękny. Zrobiłem natomiast spacer wzdłuż Marszałkowskiej z kamerą filmową. Udało mi się zrobić kilka dobrych ujęć konnych omnibusów, tłumu wychodzącego z kościoła oraz kilku niemieckich plakatów propagandowych.

Wieczorem, zaproszony, złożyłem wizytę hrabinie Adamowej Tarnowskiej na Piusa 1b. Hrabina jest wiceprzewodniczącą Polskiego Czerwonego Krzyża. Robi duży wysiłek, by zachować przedwojenny styl. Co prawda byłem zmuszony wejść przez

24. Carl Wilhelm Herslow, dyrektor Polskiego Monopolu Zapalczanego, szwedzki konsul honorowy w Warszawie, w okresie drugiej wojny światowej jeden z głównych kurierów zagranicznych ruchu oporu, ujęty przez Niemców w 1942, skazany na karę śmierci, zwolniony do Szwecji u schyłku wojny, zmarł w 1946 roku. Zostawił po sobie ciekawe pamiątki: *Moskwa - Berlin - Warszawa, Sztokholm 1946.*

kuchnię ale zostałem przyjęty przez lokaja w liberii, który pomógł mi zdjąć palto i przez długie korytarze i pokoje ze zmagazynowanymi meblami zaprowadził do salonu, gdzie na mnie czekała pani domu z wyciągniętą dłonią i umęczonym uśmiechem.

Hrabina ma 60 lat, trzyma się prosto i mimo wszystkich przeciwności losu ma świadomość swej godności. Otrzymałem od niej szereg informacji o niemieckim respekcie, albo raczej braku respektu dla Czerwonego Krzyża podczas działań wojennych. Książę Carl prosił mnie, za pośrednictwem Erika Stjernstendta, o zebranie informacji w tej materii i teraz będę mógł uzupełnić moje wcześniejsze raporty.

Hrabina T. poinformowała mnie, że Niemcy zdecydowali się na wysadzenie w powietrze dużej części Zamku, uszkodzonego podczas bombardowania. Jako przyczynę podają niebezpieczeństwo zawalenia się, powodujące, że Niemcy wysadzili i nadal wysadzają w powietrze szereg uszkodzonych domów. Natomiast szereg polskich architektów i historyków sztuki dowiodło, że dużą część budynku można uratować i że niebezpieczeństwo zawalenia się jest przez Niemców przesadzone. Hrabina ma nadzieję, że państwa neutralne zrobią coś, by przeszkodzić Niemcom w zdemolowaniu tego pomnika historii, jednego z najważniejszych dla Polaków. Wierzy że będę w tej sprawie pomagał Polakom. Obiecałem podjąć sprawę w Sztokholmie. Tu nic nie jestem w stanie załatwić, co ona doskonale rozumie.

Lokaj odprowadził mnie do wyjścia. Słyszałem jak zamyka drzwi wyjściowe na podwójny zamek.

27 listopada

Przed budynkiem byłego ministerstwa Spraw Zagranicznych spotkałem Weissą von Ulog. Jest tu wraz z żoną na krótkiej wizycie. Podejrzewam, iż mimo że nie jest nazistą, stara się złapać wiatr w żagle, zwłaszcza że był bankowcem w Polsce przez dłuższy okres czasu. Przypuszcza się, choć nie wiem, czy do tego dojdzie, że obejmie jakieś kierownicze stanowisko w organizacji życia gospodarczego w Generalnej Guberni. Dotychczas gubernator Frank z Krakowa czyni ten zaszczyt w Warszawie a Weiss przybył tu na konferencję (z nim) z Berlina.

Weiss opowiada mi, że Niemcy pracują tu nad „zorganizowaną dezorganizacją” całego życia gospodarczego. Okupowane części Polski, jak długo są w niemieckim ręku, traktowane są jako kolonia. Niemcy starają się w międzyczasie wyciągnąć z niej

ile potrafią. Ludność winna zostać maksymalnie zubożona. Dążeniem jest, by wszyscy a zwłaszcza tak zwana inteligencja byli zmuszeni do pracy fizycznej na Niemców, by w ogóle mogli uchować się przy życiu.

Wychodząc z tego założenia trzeba rozpatrywać fakt, że w przeciwnieństwie do inkorporowanych części Polski, Niemcy tu nie ruszają palcem, by postawić gospodarkę na nogi. Banki np. nie mają prawa dokonywać wypłat z kont, wyjąwszy sumy bez znaczenia. Poczta, telefony, telegraf zostały uruchomione, ale tylko dla potrzeb niemieckich. To samo dotyczy w znacznym stopniu i kolejnictwa. Żydowskie przedsiębiorstwa podlegają konfiskacie lub rekwizycji, przedsiębiorstwa aryjskie pozbawione są materialnych możliwości działania.

Złożyła mi wizytę pani Władysława Konopczyńska, żona znanego historyka z Krakowa, RNO, LHA, LSK itd.²⁵ Mąż został wraz z kolegami — o czym już pisałem — aresztowany w Krakowie na początku września²⁶. Odkryło się to w ten sposób, że cały personel naukowy został zaproszony na wykład o „nazizmie i nauce”, który miał wygłosić „Obersturmbannführer” Müller. Wykład się nie odbył, gdy wszyscy się zebrali, pan Müller zawiadomił tylko, że wszyscy są w ręku tajnej policji.

Profesorowie byli więzieni kilka dni w Krakowie. Ich krewni otrzymali wyjaśnienie, że niebawem zostaną zwolnieni. Stało się inaczej. Przewieziono ich do Niemiec, przypuszczalnie do Wrocławia. Konopczyński ma 59 lat, wielu spośród jego kolegów ma ponad 70.

Pani K. jest nadzwyczaj opanowana. Jako legitymację wzięła ze sobą odznakę Orderu Gwiazdy Północnej. Właściwie to chce tylko, bym próbował w Niemczech załatwić, by krewni mogli posyłać uwiezionym jedzenie i odzież, jako że zostali aresztowani w tym w czym stali.

Pani K. opowiedziała mi następnie, że dostała dwie godziny na opuszczenie mieszkania, zajętego dla kogoś ze sztabu Franka, i że pozwolono jej jedynie na zabranie najbardziej niezbędnej odzieży. W Warszawie władze wojskowe wydały jej zezwolenie, by jeden raz odwiedzić mieszkanie dla sprawdzenia, czy materiały naukowe męża — suma długiej pracy badawczej — nie zostały zniszczone. Ale, jak mi powiedziała, nigdy się do miesz-

25. Skróty wysokich odznaczeń szwedzkich. Profesor Konopczyński był wybitnym badaczem stosunków polsko-szwedzkich i propagatorem współpracy obu państw.

26. Lapsus calami, aresztowanie odbyło się w listopadzie.

kana nie dostała, jako że nowy „lokator”, doktor czegoś tam, kazał jej przez portiera powiedzieć, że ją zastrzeli, jeśli odważy się pokazać. Obiecał jej natomiast, że pozwoli zabrać trochę węgla z piwnicy, albowiem — jak powiedział doktor — „jeśli będzie potrzebował opału, to zawsze przecież ma do dyspozycji baby meble”.

Może powinienem dodać, że pp. Konopczyńscy są tak zwanymi pełnokrwistymi aryjczykami²⁷.

Jaśniejszy punkt na poza tym beznadziejnie szarym obrazie. Z wiarygodnego źródła otrzymałem wiadomość, że istnieje nadzieja na to, by Niemcy udzielili zezwolenia amerykańskim kwakrom na podjęcie akcji pomocy dla Polski. Jeśli moje informacje są uzasadnione, to w grę wchodzi rzeczywista pomoc, jako że to ofiarne środowisko amerykańskie zebrało fundusze, umożliwiające rozdział odzieży i żywności w przeddzień zimy o wartości 1,5 miliona dolarów miesięcznie. Warunkiem pomocy, do której dołożyli się amerykańscy Żydzi, jest, że nie będzie się czyniło żadnej różnicy między różnego rodzaju ludźmi. Mam nadzieję, że wszystko to się spełni.

28 listopada

Złożyłem dziś wizytę u 80-letniej hrabiny Bisping, która okazała dużo serdeczności Gerdzie i mnie, gdy przybywszy do Warszawy, mieszkaliśmy z nią w tym samym domu na Rozbrat 20. Mieszka tam nadal, ale jest w toku przeprowadzki do nieuszkodzonego mieszkania w jednym z pobliskich domów, zakończonym tuż przed wybuchem wojny. Zastałem ją w dobrej formie. Kiedyś była przewodniczącą PCK i teraz nosi opaskę ze znakiem na ramieniu: „Moje biedne nogi uniemożliwiają pracę w organizacji, ale opaska jest dobrą ochroną na ulicy”.

Jak u większości starych ludzi, przeciwieństwa losu powodują u niej spokojną rezygnację. Ludzie w tej części Europy dużo przeżyli, widzieli zresztą też zarówno wzloty jak i upadki mocarzy.

Natomiast czuje się zawiedziona dzisiejszymi Niemcami, u

27. Aluzja do antysemityzmu Konopczyńskiego, który jako poseł na sejm z ramienia Narodowej Demokracji był autorem projektów ustaw dyskryminujących mniejszości narodowe. Działalność Konopczyńskiego spowodowała w swoim czasie ostre protesty profesury Uniwersytetu Jagiellońskiego.

których na próżno starała się znaleźć ślady rycerskości z 1915 roku. Myślę, że moja wizyta ją ucieszyła.

Weiss von Ulog wstąpił na chwilę do poselstwa po południu i opowiedział mi co następuje:

Göring jako kierownik tzw. planu czteroletniego powołał dekretem organizację dla gospodarczej odbudowy Polski pod nazwą *Haupttreuhandsstelle Ost*. Siedzibą organizacji jest Berlin, oddziały mają się mieścić w Krakowie — dla GG — oraz w Gdańsku, Katowicach, Poznaniu itd.

Szefem całości mianował Göring jakiegoś doktora Winklera, znanego w Niemczech jako zdolnego organizatora gospodarczego. Z ramienia tego Winklera otrzymał Weiss z kolei pełnomocnictwo Göringa, by zorganizować bankowość w okupowanej części, to jest w GG. Weiss ma szczególne ku temu kompetencje, jako bankowiec, który wcześniej pracował w Polsce.

Aliści pan Frank, Führera generałgubernator w Krakowie, złym okiem patrzy na próby Göringa podporządkowania sobie działalności gospodarczej na okupowanym terenie. Jak tylko dowiedział się o planach feldmarszałka, udał się pierwszym samolotem do Berlina do Hitlera, gdzie otrzymał upoważnienie, by samemu kierować gospodarką na swym terenie.

Nie dość tego: Weiss otrzymał polecenie, by z pełnomocnictwa Göringa przedstawić sprawę Frankowi, tu w Warszawie. Najpierw kilka dni wyczekiwał na przyjęcie w Krakowie. Gdy wczoraj, po wielu tygodniach przygotowań, przedstawił opracowany raport pełnomocnikowi Hitlera, otrzymał krótką odpowiedź: *Im Bankwesen hier ist nichts zu schaffen, Heil Hitler!* (W bankowości nie będzie się tu nic tworzyło, Heil Hitler!).

Epizod ten nie tylko raz jeszcze dowodzi, że władze robią co mogą, by sparaliżować życie gospodarcze na okupowanym terenie, ale rzuca promyk światła na ponure zakamarki w partii, gdzie walki rozstrzygają się przy pomocy noża przyłożonego do krtani.

Późnym wieczorem miałem wizytę miłego von Wühlischa, ongiś radcy niemieckiej ambasady, obecnie, w mundurze, dyplomatycznego doradcy generałgubernatora Franka w Krakowie.

Opowiadam mu o ogólnej tu sytuacji — *Schrecklich!*, o traktowaniu Żydów — *Schrecklich, Schrecklich!* o wszystkich niešťczęsnych, odwiedzających poselstwo — *Ja, Schrecklich!* Pytam go później, jak się czuje w mundurze — *Schrecklich, Sie müssen*

*bloss nicht angucken!*²⁸ Był na tyle uprzejmy, że wziął ze sobą kilka kartek do doręczenia w Krakowie. Przeczytał czyjeś lakoniczne powiadomienie, że żyje i jest w Szwecji oraz że prosi ojca o sprzedanie smokingu by miał trochę pieniędzy na przeżycie. *Schrecklich!* — powiedział dobry Wühlisch, włożył kartki do kieszeni i poszedł z rozpaczliwym uśmiechem na ustach. Zdążyłem zapytać, jak układa się współpraca z Frankiem — odpowiedź, że jest *sehr impulsiv*.

Wieczorem słyszymy w radiu, że Rosjanie użyli przez siebie niewątpliwie sprowokowanego incydentu granicznego dla wypowiedzenia fińsko-rosyjskiego paktu nieagresji. Sytuacja się zaostrzyła, a Stalin z Mołotowem idą krok za krokiem po drodze utorowanej przez Hitlera i Ribbentropa.

O dziesiątej siedzieliśmy w napięciu przy moim odbiorniku, tej puszcze Pandory, która w ostatnich czasach sprawiła nam tyle bezmyślnego bólu. To co usłyszeliśmy teraz, winno otrzymać nagrodę w konkursie na cynizm, bezczelność i wstrętą obłudę. Odczytano wiadomość, którą Mołotow polecił przekazać fińskiemu posłowi w Moskwie, baronowi Yrjö Koskinen. Związek Sowiecki (173 milionów mieszkańców) czuje się poważnie zagrożony przez Finlandię (3,6 miliona) i jej imperializm — oto nuta przewodnia noty, zawiadamiającej, że ZSSR nie czuje się dłużej zobligowany postanowieniami paktu nieagresji!

Ręce do góry! Pieniądze lub życie! Często pieniądze i życie — wierzę, że gdyby Europą rządili bandyci z Sing-Singu byłoby nie gorzej, lecz lepiej. Mówi się przecież, że w świecie przestępców jednak jakaś prymitywna moralność panuje.

29 listopada

Umówiłem się z Molanderem, że pojedziemy do jakiegoś majątku w okolicy Kutna, by polować na bażanty. Mieliśmy tam zostać przez noc i wrócić nad ranem do Warszawy. Bardzo się cieszyłem z możliwości polowania w dzień powszedni, szczególnie zaś na bażanty, co mi się dotąd nie zdarzyło. Ale gdy usłyszałem przez radio o wzroście napięcia między Rosją a Finlandią, pozwoliłem by Molander pojechał sam.

Z rana miałem wizytę Elny Gistedt, dobrze znanej dla starszej generacji Szwedów śpiewaczki operetkowej i wodewilowej.

28. Przeraźliwie, proszę nań nie patrzeć!

Od 17 lat mieszka tu i jest zamężna za znanym polskim kupcem w branży dywanowej, Kiltynowiczem. Wraz z nią do gabinetu wkroczyła radość. Piękne, tlenione loki pod samodziałową czapką, oczy jasnoniebieskie, paznokcie i wargi płomiennie czerwone. Myślałem, że uraczy mnie trelem z Wesołej Wdówki, ale stało się inaczej. Smutnym acz pięknym głosem opowiedziała mi o swych kłopotach. Wszystkie dywany męża zostały spalone, ale zachowała biżuterię w Szwecji. Wraz z mężem doświadczyła i Niemców i Rosjan w czasie tułaczki wojennej, ale zachowali życie i to jest najważniejsze. Pani Gistedt chce do domu, do Szwecji i obiecałem jej, że zrobię wszystko byle jej pomóc. Jestem w tej sprawie dobrej myśli, co też jej powiedziałem. Przynajmniej jedna dusza, która wyszła z mojego biura równie radosna jak wchodziła!²⁹

Häggborg³⁰ wrócił dziś z Berlina, gdzie spędził kilka dni. Był w towarzystwie żony. Nie wiem, dlaczego uważa, że jest mądrze brać tu ze sobą panie, akurat w tych warunkach. Przywiózł ze sobą pocztę kurierską. Między innymi wiadomość z Berlina, że Niemcy dłużej nie uznają szwedzkiego pełnomocnictwa dla reprezentowania polskich interesów. Znaczy to, że mam dokończyć poszukiwania osób zaginionych, ale później zaprzestać tego rodzaju prac.

Wieczorem panna Vingquist i ja byliśmy w kinie, jest czynne jedno, „Napoleon” na placu Trzech Krzyży. Gdy kupowałem bilety, niemiecki żołnierz próbował przepchnąć się przede mną do kasy. Wziętem go za ramiona i odsunąłem do tyłu: *Nicht so eilig, mein Freund* (Nie tak szybko, przyjacielu — J.L.). Poddął się bez oporu, widocznie uznał mnie za funkcjonariusza Gestapo. W okienku zapytano mnie, czy jestem folksdojczem — przypuszczam, że ci płacą mniej.

Oglądaliśmy całkiem interesujące zdjęcia ze zdobywania Warszawy oraz defilady niemieckich wojsk przed Hitlerem w alejach Ujazdowskich. Hitler wyglądał na stropionego. Główny film stanowił dość przeciętną historię przygodową, prawdopodobnie

29. Optymizm był przedwczesny. Elnie Gistedt nie udało się wyjechać do Szwecji. Spędziła okupację w Warszawie, gdzie prowadziła na Nowym Świecie restaurację „U pani Elny”, pomagając wielu kolegom i biorąc udział w ratowaniu ludzi prześladowanych. Uczestniczka Powstania, w którym zginął jej mąż (w czasie deportacji), napisała ciekawe wspomnienia *Fran operett till tragedi*, Sztokholm 1946, w Polsce nieznanie.

30. Sigge Häggborg, przedstawiciel szwedzkiej firmy L.M.Ericsson, w 1942 roku aresztowany przez Gestapo za pomaganie Polakom, skazany na karę śmierci, przed końcem wojny zwolniony do Szwecji.

od dawna już wycofaną z ekranu w Niemczech z powodu niskiej jakości. Tekst przetłumaczony na język polski, co właściwie było zbędne, jako że 80 % publiczności stanowili niemieccy żołnierze.

30 listopada

W piwnicy znalazłem szczątki ładnej kopii obrazu Ehrenstrahla „Karol XI w bitwie pod Lund”, ongiś wiszącego na krótkiej ścianie pokoju jadalnego poselstwa, a pogrzebanego pod gruzami zburzonej części budynku. Ciekawe, że jedyna część, która zachowała się w jako-takim stanie, to głowa króla. Wyciąłem ten detal, by kiedyś dać go do oprawy. Widzę siebie oczami wyobraźni jako brodatego starca, siedzącego przy kominku i otoczonego wnukami, którym opowiadam o czasach, dla nich bardziej podobnych do okrutnej baśni niż do realności. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Miałem wizytę inżyniera Hjalmara Uggli, ze szwedzko-fińskiej rodziny. Miał wiele paskudnych doświadczeń z Niemcami, głównie z powodu nazwiska, które nie kojarząc się z polskim ani niemieckim, jest brane za żydowskie, co powoduje przykre konsekwencje. Z dużą przyjemnością wystawiłem mu zaświadczenie, że jest *rein Volksschwede*. Jeśli Niemcy, którzy stracili w tych czasach poczucie humoru, nie uśmiechną się, to przynajmniej panny w kancelarii miały wesoło. Pan Ugglą był zadowolony i mimo swej przykrej sytuacji nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Dałem mu ponadto 200 złotych z funduszu Czerwonego Krzyża, ma w domu żonę i dwoje małych dzieci³¹.

1 grudnia

Molander słuchał dziś rano angielskiego radia i dowiedział się o dymisji rządu fińskiego. Rosjanie, po swej „nocie bombowej” — takie jest postępowanie z małymi państwami w obecnej dżungli europejskiej — grozili, że zetrą z powierzchni ziemi wszystkie fińskie miasta, o ile ich żądania nie będą spełnione.

Cały dzień byłem zajęty przygotowaniem do odjazdu, który nastąpi jutro. Przedstawiciel *Auswärtiges Amt*, siedzący w Pałacu Brühla, był bardzo grzeczny. Chyba odczuł ulgę, gdy mu

31. Relację Grafströma potwierdza oświadczenie dr. Andrzeja Uggli z Uniwersytetu w Uppsali, syna inż. Hjalmara Uggli. Zaświadczenie odegrało dużą rolę w wojennych losach rodziny i jest nadal przechowywane.

zakomunikowałem życzenie jak najszybszego opuszczenia Warszawy. Obiecał zarezerwować przedział dla mnie i panny Eriksson w pociągu idącym przez Poznań jutro o 7.52. Następnie złożyłem wizytę adiutantowi komendanta garnizonu, rtm. von Münchow, dziękując za pomoc. Mówiliśmy o tym, co się wydarzyło między Finlandią i ZSSR i zrozumiałem, że głęboko żałuje, iż w zaistniałej sytuacji Niemcy nie mogą przyjść Finlandii z pomocą. Zastanawiam się, co czują Finowie, którzy dotychczas zawsze stawiali na Niemcy. Nieuchronnie nasuwa się wniosek, że to co się dzieje byłoby niemożliwe bez przyjaźni rosyjsko-niemieckiej.

Komendantura umożliwiła mi wysłanie telegramu o moim wyjeździe do poselstwa w Berlinie. Później byłem w firmie spedycyjnej Hartwig, gdzie uzgodniłem wysłanie mebli moich i posta. Przypuszczam, że zostaną wyekspediowane w połowie przyszłego tygodnia.

2 grudnia

Wyjechaliśmy z Warszawy nad ranem. Pożegnanie równie serdeczne co i smutne z panną Vingquist i jej matką, z wiernym Feliksem, z niewiarogodnie lekkomyślną i niechlujną ale dzielną i grzeczną Hildą, z Molanderem, jak zawsze spokojnym i opanowanym. Pies Jochen jedzie z nami do Berlina, gdzie zostanie u teściów.

Pociąg został podstawiony z półgodzinnym opóźnieniem. Gęsty tłum pasażerów, przeważnie wojskowych, z miejsca przypuścił szturm. Tylu pasażerów a tak mało miejsca dotychczas widziałem tylko w Rosji. Dzięki Bogu, że mieliśmy zarezerwowany przedział. Poza mną jadą również przedstawiciele z poselstwa belgijskiego i rumuńskiego. Na drzwiach przedziału wywieszono nazwy poselstw. Mamy 17 tobołów oraz Jochena na smyczy.

3 grudnia

Przyjechaliśmy na dworzec Śląski późnym wieczorem. Nikt na nas nie czekał w tych ciemnościach egipskich, panujących teraz we wszystkich „ośrodkach kulturalnych”. Umieściłem pannę Eriksson w małym hoteliku.

5 grudnia

Złożyłem wizytę von Dörenbergowi w ministerstwie Spraw Zagranicznych, by podziękować za pomoc okazaną przez protokół dyplomatyczny. Podobną wizytę złożyłem następnie radcy legacyjnemu Schliep.

Finowie walczą dzielnie, jak długo wytrzymają?

6 grudnia

Dziś ponownie w *Ausw. Amt*, tym razem by podziękować radcy legacyjnemu Strak, który rzeczywiście włożył dużo pracy by umożliwić mi podróż i pobyt w Warszawie. Od niego właśnie otrzymałem dobrą radę, by starać się na miejscu, u władz wojskowych, o przedłużenie wizy, co i z dobrym rezultatem uczyniłem.

Co załatwiłem, będąc w Warszawie? Chyba czas, by powiedzieć kilka słów na ten temat.

1. Dystrybucja ok. 500 poszukiwań z wydziału B poselstwa w Berlinie i odpowiedź na nie.

2. Przyjęcie mniej więcej tyluż komunikatów z Warszawy do Polaków za granicą. Dla wykonania tej pracy zatrudniłem 5-ciu Polaków, opłaconych ze środków wydziału B poselstwa w Berlinie. Wyrazy uznania od Petersena za wykonanie tej pracy załączam do tych notatek³².

3. Uratowałem osobę szwedzkiego pochodzenia z rąk Gestapo.

4. Złożyłem dokładny raport o sytuacji gospodarczej oraz projekt ochrony szwedzkich interesów na okupowanym terenie.

5. Zastosowałem na miejscu środki dla ochrony szwedzkich interesów. Chroniłem przedstawicieli szwedzkich przedsiębiorstw, zabezpieczałem szwedzką własność itd.

6. Prowadziłem obfitą korespondencję z szwedzkimi przedsiębiorstwami i ministerstwem Spraw Zagranicznych.

7. Podjąłem środki dla wywiezienia mebli Legerberga i moich.

32. Załącznika brak.

8. Prowadziłem prace o charakterze humanitarnym, między innymi rozdział środków z Czerwonego Krzyża oraz wręczenie we właściwe ręce dużej sumy pieniężnej z polskiego poselstwa w Sztokholmie³³. Tu zaliczam też liczne rozmowy z osobami poszukującymi pomocy.

Tłumaczył Józef LEWANDOWSKI

© Copyright by Gerda Grafström

33. Urywając w tym miejscu publikację dziennika, wydawca czuje się w obowiązku podania czytelnikom kilku wyjaśnień. A także jednego domniemania. Grafström prowadząc notatki starannie oddzielał sprawy poufne i nie przekraczał pewnej bariery dyskrecji. Nigdzie więc w dzienniku nie znajdujemy wzmianki o tym, że jadąc do Polski, Grafström wziął ową „dość dużą sumę pieniężną z polskiego poselstwa w Sztokholmie” ani — tym bardziej — w jakie ręce („właściwe”, jak zaznacza) je przekazał. Wiadomo jednak, że w związku z powrotem Szwedów do Warszawy jesienią 1939 roku, polskie poselstwo w Sztokholmie, głównie radca Pilch, starał się wykorzystać powstające możliwości dla nawiązania łączności z krajem. M.in. cytowany wyżej kilkakrotnie dyrektor Polskiego Monopolu Zapałczanego Herslow przewiózł list od gen. Sikorskiego do pozostającej jeszcze na terenie niemieckiej okupacji żony. Dyrektor ASEA, Norrman nawiązał z miejsca, za pośrednictwem b. prezydenta Warszawy, Piotra Drzewieckiego, kontakt z powstającym ruchem oporu. W ten sposób zawiązały się nici późniejszej „szwedzkiej linii” łączącej ruch oporu z władzami RP. Również i Grafström wykorzystał jednorazową okazję by pomóc ruchowi oporu, wioząc dlań pieniądze.

Po powrocie do Szwecji, złożyłwszy raport swym władzom o tym co widział i słyszał przebywając w Warszawie, Grafström starał się, by jego doświadczenia stały się znane. Informował polityków oraz osoby mające wpływ na opinię publiczną i występował jako rzecznik — według świadectwa Norrmana — ruchu oporu i Polski na terenie resortu, w którym pracował. Jeśli więc szwedzkie władze, rozszyfrowawszy kody polskich placówek łączności i wywiadu, nie stawiały im — do czerwca 1942 roku — żadnych ograniczeń, to jest to w pierwszym rzędzie zasługą ogólnego nastawienia społeczeństwa (o czym obrazowo i z wielką sympatią dla Szwedów pisał „Kurier z Warszawy” — Jan Nowak), ale i jakąś cegiełką wniesioną przez Grafströma.

Po zakończeniu misji w Warszawie Grafström szybko awansował, został szefem prasowym resortu, łącznikiem z parlamentem oraz członkiem ścisłego kierownictwa szwedzkiej polityki zagranicznej. Jego działania spotykały się na ogół z uznaniem, ale i często z krytyką, jako zbyt ofensywne i angażujące Szwecję.

I jeszcze jedno wyjaśnienie: W czasie wojny poczta zagraniczna Armii Krajowej niekiedy przekraczała granice Niemiec w workach szwedzkiej korespondencji dyplomatycznej. Była to jedna z przyczyn, dla których szwedzcy kurierzy — jak wynika z meldunków KG AK — mogli przewozić duże przesyłki i mogli to robić szybko. Otóż, jak dowodził Himmler, możliwości

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

Potrzeba dobrej książki dającej przegląd i syntezę dziejów Drugiej Rzeczypospolitej jest ewidentna. Dzieło Poboga-Malinowskiego, przy wszystkich jego zaletach, jak i szereg monografii wycinkowych wydanych w Kraju i za granicami, nie zadowolili w pełni przeciętnego czytelnika polskiego, pragnącego opracowania rzetelnego i możliwie jak najbezbstronniej przedstawiającego lata międzywojennego Dwudziestolecia. Dlatego też można jedynie przyklasnąć inicjatywie Instytutu Literackiego, który w ubiegłym roku wydał dwutomową książkę Pawła Zaremby pt. *Historia Dwudziestolecia*. Książka, jak czytamy w przedmowie, jest zbiorem wybranych pogadań radiowych wygłaszanych przed rozgłośnią Radia Wolna Europa w latach 1967-1979. Rzeczą wydana jest pośmiertnie i do druku przygotował ją Marek Łażyński.

Zaremba, historyk-amator, nie kusił się rzeczą jasną o zaprezentowanie dogłębnego studium naukowego. Praca jest przeznaczona dla szerszego ogółu ludzi zainteresowanych dziejami ojczystymi, zwłaszcza w Kraju, gdzie książka ma stanowić pewną odtrutkę na propagowane zakłamania i przeinaczenia, zwłaszcza na szczeblu podręczników i opracowań popularnych. Aby swą rolę spełnić, *Historia Dwudziestolecia* winna być napisana przystępnie, zawierać możliwie ściśle fakty oraz przedstawiać pewną syntezę, która uwzględniła pokaźny bądź co bądź dorobek naukowy historyków zajmujących się historią Polski XX wieku.

W uwagach poniższych ograniczę się do jednego aspektu tej książki, a mianowicie do rozdziałów dotyczących polityki zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej. Autor poświęca zresztą tej

te stworzył Polakom Grafström (por. moją pracę *Swedish Contribution*, op. cit., str. 93). Sąd ten, oparty o materiały śledztwa, wydaje się co prawda przesadny (według moich relacji, udostępnienie worków dyplomatycznych było zgodną, choć nigdzie nie zaprotokołowaną decyzją na szczeblu rządu), ale należy przypuszczać, że Grafström był bądź inicjatorem imprezy, bądź przynajmniej jej rzecznikiem na terenie MSZ.

Z poselstwem RP utrzymywał do końca demonstracyjnie dobre stosunki.

Po wojnie zajmował stanowiska ambasadorskie. Zginął w wypadku kolejowym na terenie Francji w 1955 roku, po dzień dzisiejszy nasuwającym wiele pytań. Gerda Grafström mieszka w Sztokholmie.

sprawie sporo miejsca. W części pierwszej, pt. „Pierwsze lata”, traktuje o sprawach związanych z odrodzeniem państwa polskiego, a więc konferencji paryskiej i walce o granice, szczególnie granice na wschodzie. W drugim tomie znajdujemy wyodrębnioną część pt. „Polityka zagraniczna” (str. 277-423) omawiającą okres od Traktatu Ryskiego do wybuchu drugiej wojny światowej. W sumie mamy więc na przeszło 630 stron około 200 stron poświęconych tej tematyce.

W liście do redakcji *Zeszytów Historycznych* (nr 57) profesor Sukiennicki zwrócił uwagę na jedno potknięcie się autora dotyczące spraw polsko-litewskich. Oceniając wysoko książkę Zaremby, prof. Sukiennicki pisał słusznie, że „łyżka dziegciu może zepsuć beczkę miodu”, i że „usterki pracy dobrej są szczególnie rażące”. Niestety przy nawet dość pobieżnej lekturze tej książki tych „łyżek dziegciu” znalazłem dość dużo, a szkoda, bo zwłaszcza w wypadku przygotowywania do druku pracy nieżyjącego już autora było rzeczą nader prostą skontaktowanie się z kilku zawodowymi historykami, którzy przynajmniej część tych błędów byliby zauważyli i usunęli.

Usterki pracy Zaremby można by podzielić na trzy typy: błędy faktograficzne, najłatwiejsze do usunięcia a irytujące przez to, że mogą podważyć zaufanie czytelnika do skądinąd dobrej książki; bałamutne lub niejasne przedstawianie pewnych spraw oraz bardziej już kontrowersyjne zagadnienia interpretacyjne. Zaczynając od pierwszej kategorii, wypadłoby sprostować następujące pomyłki: Karel Kramarz nigdy nie był ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji (I, 86). Erazm Piltz nie zastępował oficjalnie Paderewskiego na konferencji pokojowej (I, 122) do chwili przybycia tego ostatniego; „oficjalnie” rolę zastępcy pełnił Dłuski. Niemiecko-sowiecki traktat, tzw. traktat berliński, został podpisany nie 16 maja (II, 291) lecz 24 kwietnia 1926 roku. Słynny Treviranus był członkiem gabinetu, ale nigdy nie piastował funkcji ministra spraw zagranicznych (II, 303). Dużo poważniejszym błędem niż powyżej wzmiankowane jest uwaga o wizycie min. Becka w Pradze w 1933 roku. „Wizyta w Pradze — pisze autor — była ostatnią z kilku prób stworzenia wspólnego frontu polsko-czechosłowackiego” (II, 318). Jak wiadomo, Beck odroczył a następnie odwołał zapowiadzaną wizytę w Pradze i istnieje poważna literatura historyczna zajmująca się tym ważnym epizodem. W tym wypadku czytelnik jest wprowadzony w błąd. Ale poprzestańmy na tych paru przykładach, i zajmijmy się bardziej istotną sprawą sformułowań, które są bądź to niejasne, bądź to wynikają z niedostatecznej znajomości omawianego zagadnienia.

Dysponując źródłowym udokumentowaniem całej sprawy, jak na przykład w książkach Komarnickiego a ostatnio Lundgreen-Nielsen, nie można już naprawdę pisać, że Komitet Narodowy Polski „zmusił” rządy zachodnie do objęcia planami odtworze-

nia Polski „ziem zaboru pruskiego” (I, 113). Rzecz była o wiele bardziej skomplikowana i KNP nie miał żadnych możliwości „zmuszania” sojuszników. Podobnie autor zniekształca historię pisząc, iż Jules Cambon proponował „w pierwszym impulsie” przekazanie Polsce ziem w granicach sprzed pierwszego rozbioru (I, 117). Nie może tu być mowy o żadnym impulsie, do którego wytrawni dyplomaci francuscy nie byli zbyt skłonni, ale o wysunięciu postulatu, głównie przez ministra spraw zagranicznych Pichona, który zresztą zaraz został obalony przez Brytyjczyków. Wydaje mi się, że twierdzenie, iż zaproszenie na konferencję w Genewie w 1922 roku Rosja zawdzięczała Polsce, jest niesłusznym podbijaniem bębna narodowego. Poza tym informacja ta jest nieścisła. Również nieco bałamutne jest zdanie sugerujące, iż Polska była gwarantem traktatu reńskiego (Locarno) II, 295. Natomiast szkoda, że Zaremba prześliznął się tylko po protokole genewskim z 1924 roku do którego dyplomacja polska w znacznej mierze się przyczyniła.

Gdy autor pisze o rozmowie Marszałka Piłsudskiego z generałem Debeneyem w 1927 roku na temat interpretacji polsko-francuskiej konwencji wojskowej, myli ze sobą dwie sprawy. A mianowicie rozmowy na powyższy temat w 1927 roku, które przeprowadził z Piłsudskim wysłany specjalnie w tym celu marszałek Franchet d'Esperey, oraz rozmowy z gen. Debeneyem w Warszawie, które miały miejsce w 1934 roku. Teza, iż pakt Kellogga był w pewnym sensie wynikiem polskiej inicjatywy podjętej na forum Ligi Narodów w 1927 roku podtrzymywana była przez MSZ ze względów propagandowych, aby osłodzić polską porażkę i stonować mankamenty jakie ów pakt miał dla Polski. Ale doprawdy trudno ją brać na serio dzisiaj, jak to robi autor na str. 303 (tom II). Niezbyt precyzyjnie i bardzo krótko przedstawia autor cel Paktu Czterech (II, 313 i 223). Czy wizyta floty brytyjskiej w Gdańsku, podczas której wydarzył się incydent „Wichra”, miała na celu wywarcie presji na Polskę, należy raczej wątpić (II, 319). Wydaje się też wielkim uproszczeniem zdanie, iż Francja potępiła polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 1932 roku (II, 326). Ponieważ dysponujemy ogłoszonym zapisem wypowiedzi Piłsudskiego na konferencji byłych premierów 20 kwietnia 1934, nie jest dla mnie jasne, skąd Zaremba wzięł rzekome zdanie Piłsudskiego na temat dyktatur w krajach sąsiednich (II, 327), choć zapewne wypowiedzi takie nie były sprzeczne z tokiem myśli Marszałka.

W ogólniejszych rozważaniach autor formułuje opinie, iż Francji nie zależało na tym, by Czechosłowacja włączała się do spraw związanych ze sporem polsko-niemieckim (II, 344). Wydaje mi się, że tezę taką byłoby bardzo ciężko obronić, zwłaszcza że materiały archiwalne pokazują coś wręcz odwrotnego. W dobrym skądinąd opisie postawy Polski wobec okupacji Nadrenii w 1936 roku brak mi osobiście wzmianki o słynnym komunika-

cie „Iskry”, podyktowanym przez Becka, a mającym stanowić reasekurację na wypadek, który zresztą przewidywał, że Francja nie sprzeciwi się zbrojnie remilitaryzacji Nadrenii.

Nie chciałbym być oskarżony o profesorską pedanterię w wyłapywaniu innych jeszcze nieścisłości i pośliznięć Zaremby. Nie chodzi mi przecież o to, aby obniżyć wartość książki i jej użyteczność; celem mojej krytyki jest wskazanie ustępów, które można by poprawić lub nieco zmienić dla nadania książce większej wiarygodności. Szkoda, że pominięto te okazje, z chwilą gdy pogadanki Zaremby przygotowywano do druku, ale miejmy nadzieję, że przyjdzie kiedyś drugie poprawione wydanie. Jest rzeczą zrozumiałą, że inny charakter noszą pogadanki radiowe niż słowo pisane — *scripta manent* — i że nie należy tej książki traktować (przynajmniej jeśli chodzi o rozdziały o polityce zagranicznej) jako odzwierciedlenie stanu naszych wiadomości naukowych o Polsce międzywojennej. Jest stara prawda — z małymi wyjątkami — że zawodowi historycy piszą na ogół prace nie zaspokajające potrzeb przeciętnego czytelnika, a amatorzy historycy piszą dobrze i barwnie, ale nie zawsze z pełną znajomością tematu. Książkę Zaremby czyta się dobrze i interesująco, choć osiąga on tę „czytelność” kosztem pewnych uproszczeń i dostrzegalnej chęci „pokrzepienia serc”. Z ogólnymi tezami i nastawieniem autora można się zgodzić; książkę należy przyjąć przychylnie. Nie tracimy jednak nadziei, iż pojawią się wreszcie na emigracji opracowania dotyczące Polski międzywojennej popularne w formie, a oparte na dogłębnej znajomości źródeł i literatury fachowej. Od zbiorowego *mea culpa* ze strony polskich historyków na emigracji niżej podpisany nie ma zamiaru się uchylać.

Piotr WANDYCZ

Emanuel HALICZ

NORMAN DAVIES

Autor tej oryginalnej historii Polski*, dyrektor Instytutu Sławistyki Uniwersytetu Londyńskiego, jest absolwentem Uni-

* Norman Davies, *God's Playground, A History of Poland. Volume I, The Origins to 1975*, str. 605. *Volume II, 1975 to Present*, str. 725. Clarendon Press, Oxford 1981.

wersytetu w Oxford, stopień zaś doktorski uzyskał na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest specjalistą z zakresu historii Polski doby najnowszej i szereg jego prac poświęconych jest dziejom okresu międzywojennego. Fakt, że przez wiele lat przebywał w Polsce miał doniosłe znaczenie, ponieważ poznał Polskę od różnych stron, czego najlepsza wiedza podręcznikowa dać nie może.

W recenzowanej pracy Davies przedstawił dzieje Polski od zarania do chwili obecnej, od Piasta Kołodzieja do Lecha Wałęsy.

Jak pisze we wstępie do pierwszego tomu, postawił sobie jako cel obiektywne, wolne od wszelkiej tendencyjności przedstawienie historii Polski w szerokim tego słowa znaczeniu.

Z punktu widzenia ustalonych form praca nie jest ani klasycznym zarysem ani też syntezą. Łączy w sobie jedno i drugie, dominują zaś rozważania na tematy polskie, zwłaszcza centralne zagadnienia przewijające się przez wieki i nadal aktualne, zarówno z punktu widzenia naukowego jak i politycznego. Nie ma bowiem historii najnowszej bez związku z bieżącą polityką.

Praca N. Daviesa jest *nolens volens* polemiką z polską historiografią, zwłaszcza z „oficjalną” historiografią Polski Ludowej.

Praca jest tak obszerna, że w omówieniu swym będę musiał ograniczyć się do niektórych tylko problemów, które są albo centralne w pracy, albo po nowemu postawione przez jej autora, albo też mają charakter polemiczny.

Centralne miejsce zajmują w książce następujące problemy: sprawa ciągłości państwowej Polski od X wieku do chwili obecnej, sprawa nacjonalizmu, wreszcie rola geopolityki w dziejach Polski ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich 200 lat. Rozważania na temat nacjonalizmu łączą się ściśle z problemem genezy i rozwoju narodu polskiego.

Bardzo cenne jest w tych rozważaniach traktowanie spraw polskich w kontekście dziejów Europy wschodniej i centralnej oraz szukanie paralel z rozwojem innych krajów europejskich i dość liczne przytaczanie opinii zachodnioeuropejskich na temat rozwoju wydarzeń w Polsce.

Jeśli chodzi o problem polskiej ciągłości państwowej od zarania dziejów do chwili obecnej, to autor zajmuje stanowisko zasadniczo odmienne od poglądów rozpowszechnionych w Polsce, zwłaszcza obecnie, gdy oficjalnie dowodzi się, że Polska Ludowa jest w prostej linii kontynuatorką Polski Piastowskiej i po wielu wiekach ziemię zachodnie wróciły do Macierzy. Zdaniem autora nie sposób z uwagi na skomplikowany i zmienny charakter dziejów Polski określić trwałej bazy terytorialnej, która by była wyłącznie i niezmiennie polska. O tym, że byłe ziemie niemieckie przypadły po drugiej wojnie światowej Polsce zadecydowały nie względy natury prawnej lub narodowej, ale wyłącznie wola wielkich mocarstw. Jeśli chodzi o problem nacjonalizmu, autor

dowodzi, że polska historiografia miała i ma tendencje do nacjonalistycznego rozpatrywania dziejów Polski. Te przejawy dostrzega on m.in. w teorii o „autochtonnym” pochodzeniu Polaków, głoszonej przez archeologów i lingwistów w rodzaju Kosztrzewskiego, Lehr-Spławińskiego czy Jażdżewskiego. W chwili obecnej nacjonalizm jest zdaniem Daviesa niezmierny groźny i z politycznego i z naukowego punktu widzenia, bowiem wykorzystany został przez ustrój totalitarny i przez Kreml do ujarzmięcia Polski. Z kultem prymitywnego nacjonalizmu i schlebianiem nienajlepszym cechom narodowym wiąże się wyolbrzymianie resentymentów do Niemców, wypaczanie rzeczywistej historii i kulturalnej przeszłości Ziem Zachodnich (wyraża się to nawet w nietolerancyjnym stosunku do nazewnictwa miast należących przez wieki do Prus i jednocześnie wybielanie ZSSR a nawet Rosji i jej stosunku do Polski, przemilczanie wielu spraw leżących na pograniczu historii Polski i jej wschodniego sąsiada, jak i bezkrytyczne wychwalanie osiągnięć Polski Ludowej. Do tej kategorii zalicza też Davies antynaukowe kryteria w traktowaniu problemu narodowości takich postaci jak Kopernik czy Chopin. W obu przypadkach błąd polega na tym, że traktuje się ich polskość w taki sposób, jak widzi ten problem współczesne pokolenie.

Reinterpretacja historii Polski, wolnej od indoktrynacji i fałszów, tak rozpowszechnionych na skutek stałej i brutalnej ingerencji cenzury, jest — jak czytamy w pracy — najważniejszym zadaniem stojącym przed nauką polską. Autor uważa, że tak jak i w przypadku dziejów innych krajów, nie da się wytłumaczyć dziejów Polski przy pomocy czynnika geograficznego, chociaż położenie geograficzne Polski niekorzystnie odbiło się na losach narodu polskiego. Natomiast geopolityka odegrała istotną rolę w dziejach Polski, zwłaszcza w ostatnich trzech wiekach. Zastanawiając się nad stosunkiem do Polski sąsiada z zachodu i wschodu, dochodzi do wniosku, że na przestrzeni ostatnich wieków wrogiem numer jeden niepodległości Polski był sąsiad wschodni. Wyjątek stanowi okres okupacji hitlerowskiej, ale w latach 1939-1941 nie było jego zdaniem różnicy w postawie wobec narodu polskiego hitlerowskich Niemiec i Rosji Sowieckiej a na ziemiach wschodnich NKWD rozprawiało się ze społecznością polską w sposób jeszcze bardziej brutalny niż naziści.

Od Piotra Wielkiego zastanawiano się w St. Petersburgu tylko nad tym, czy Polska jako całość ma stać się wasalem Rosji, czy też należy ją podzielić wespół z Prusami i Austrią.

Do upadku Polski i rozbiorów przyczyniła się głównie Rosja. Ona też w sposób najbardziej zasadniczy rozprawiała się z polskością przez cały okres rozbiorów. Ona po 1918 roku stanowiła śmiertelne niebezpieczeństwo dla odradzającej się Polski. Natomiast jeśli chodzi o Prusy, to podnosząc ich haniebną rolę w pierwszym rozborze Davies uważa, że do zjednoczenia Niemiec

tendencje antypolskie w dużym stopniu równoważyła tendencja do współpracy z Polakami.

Część pierwsza tomu I, obejmującego dzieje do 1795 roku, sięga do 1572 roku i ma charakter wprowadzający. W części drugiej na szczególne uwzględnienie zasługują trzy rozdziały: „Handel”, „Anarchia” i „Agonia”. Rozdział o polskim handlu zbożem jest głównie rozprawą o Gdańsku i jego powiązaniach z Polską. W rozdziale „Anarchia” Davies polemizuje z jednostronną oceną problemu demokracji szlacheckiej i uważa, że zarówno poglądy głoszone przez racjonalistów jak i przyjęte przez historiografię na Zachodzie i w Polsce opinie państw zaborczych, jakoby było to zjawisko wyłącznie negatywne, wymagają rewizji. Ideały szlachty polskiej, zmierzające do ukrócenia władzy centralnej, wносиły do życia elementy tolerancji m.in. religijnej i można się doszukać wspólnych cech między szlachecką wolnością i demokracją amerykańską w XVIII wieku. Niektóre polskie koncepcje podobne są do nowoczesnych teorii liberalnych demokratów.

W rozdziale „Agonia” doskonale jest przedstawiony mechanizm działania Rosji i jej rola w upadku Polski szlacheckiej. Ale wydaje się, że zarówno polskie Oświecenie jak i powstanie kościuszkowskie wymagają głębszej interpretacji i wnikliwszej oceny. Jest to tym bardziej potrzebne że, jak zrozumiałem, autor skłonny jest przyjąć lelewelowską tezę o roli zaborców jako głównych sprawców rozbiórów Polski.

Tom drugi otwiera bardzo obszerny rozdział poświęcony rozwojowi nowoczesnego narodu polskiego. Centralny wniosek z rozważań autora brzmi: współczesny naród polski jest końcowym produktem polskiego nacjonalizmu. W warunkach polskich, narodu pozbawionego narodowej państwowości, świadomość narodowa opierała się na takich źródłach jak: Kościół, język, historia i rasa. Co do końcowej daty tego procesu autor się nie wypowiada, przytaczając opinie, że w pracach historyków padają lata 1864, 1918 a nawet 1945. Bardzo obrazowo kreśli rozwój świadomości narodowej i ujęcie tego problemu przez wybitne osobistości życia kulturalnego i politycznego w Polsce XIX i XX wieku, ale zabrakło odpowiedzi na pytanie centralne, jak przebiegał proces ten u chłopów. Używając skrótu, którądy wiodła droga od Głowackiego poprzez Deczyńskiego do Słomki i Witosa. Problem trudny, ale istotny. Mam wątpliwości, czy problem ekonomiczny został w tym aspekcie dostatecznie mocno zaakcentowany, wreszcie osobiście nie przypisywałbym znaczenia poglądom Duchńskiego i nie wydaje mi się trafną uwaga o znaczeniu czynnika rasowego w formowaniu się polskiej świadomości narodowej.

Bardzo szczegółowo omawia się różne aspekty życia politycznego, społecznego i kulturalnego w czasie rozbiórów. Historię poszczególnych rozbiórów traktuje się w ścisłej łączności z poli-

tyką zaborców i *differentia specifica* każdego zaboru występuje wyraźnie. Na podkreślenie zasługuje umieszczenie specjalnego rozdziału o Kościele. Chociaż, jak pisze Davies, Kościół czasem zawodził i nie spełniał nadziei pokładanych weń przez naród, chociaż często zamykał oczy na niesprawiedliwość społeczną i polityczną, to jednak zawsze towarzyszył narodowi polskiemu i wcielał w życie najstarsze tradycje i ideały życia polskiego.

Z pracy Daviesa można się dowiedzieć bardzo wiele o historii Żydów w Polsce od zarania do ich eksterminacji w okresie drugiej wojny światowej. Za los Żydów odpowiadają wyłącznie zbrodniarze niemieccy. Davies polemizuje z teoriami o „winie” społeczeństwa polskiego, chociaż nie pomija spotykanej niekiedy w Polsce z różnym nasileniem niechęci do Żydów. Uwzględnienie roli Żydów w dziejach Polski jest zasługą autora, zwłaszcza, że tak mało pisze się o tym w podręcznikach historii Polski powojennej. Mówiąc o polityce Rosji wobec Polski pragnąłbym zasygnalizować fakt, że w pracy znalazły się m.in. trafne rozważania na temat „Rosja a finlandyzacja Polski w XIX wieku”. Może sam termin w odniesieniu do XIX wieku nie jest szczęśliwy, ale odpowiedź na pytanie, dlaczego Rosja na takie rozwiązanie zgodzić się nie chciała, jest interesująca.

Pewne wątpliwości nasunęły mi się w związku z dwiema sprawami. W moim przekonaniu nie pokazano, że okres napoleoński odegrał w każdej dziedzinie życia polskiego rolę pozytywną, niezależnie od rzeczywistych intencji Napoleona wobec problemu utworzenia państwa polskiego. Mam też poważne wątpliwości, czy sformułowanie, że Polska powstała w 1918 roku jako rezultat szczęśliwego zbiegu okoliczności jest trafne w zestawieniu choćby z faktami, które Davies przytacza prawie że na następnej stronie, a mianowicie z trwającymi trzy lata wojnami o utrzymanie tej niepodległości.

Z dużym umiarem oceniony jest dorobek dwudziestolecia międzywojennego. Autor pokazuje trudności odrodzonej Polski na tle sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej. Wysoko ocenia działalność Kwiatkowskiego, rozwój oświaty i kultury. Błąd Becka polegał — jak pisze — nie na tym, że nie dowierzał Hitlerowi i Stalinowi, ale że naiwnie ufał gwarancjom państw zachodnich. Upadek Polski w 1939 roku to dzieło Hitlera i Stalina. Zarówno Stalin jak i Hitler dążyli w pierwszych latach okupacji do zniszczenia narodu polskiego, a Stalin jak czytamy zachował się we wrześniu 1939 jak „hiena”. Jeśli chodzi o metody działania, autor nie widzi zasadniczych różnic między Gestapo i NKWD. Zmiana w polityce ZSSR wobec problemu polskiego nastąpiła w 1941 roku, ale cel podporządkowania sobie Polski był już wtedy wytyczony. Upadek powstania warszawskiego i postawa ZSSR wobec niego są znane. Upadek powstania to upadek starego porządku w Polsce. Autor precyzyjnie opisuje Gol-

gotę narodu polskiego i ludności żydowskiej w latach okupacji hitlerowskiej. Pokazuje cały mechanizm działania maszyny hitlerowskiej oraz formy oporu narodu polskiego.

Po bardzo szkicowym naświetleniu historii ruchu komunistycznego w Polsce przechodzi do omówienia dziejów Polski Ludowej, tworzącej — jak pisze — sowieckiego i pozostającego od zarania w pełnej politycznej, ekonomicznej, kulturalnej i wojennej zależności od ZSSR.

Autor nie neguje, że pod wieloma względami życie Polaków uległo zmianie na lepsze w porównaniu z okresem rozbiorowym, ale ustrój komunistyczny nie został przez społeczeństwo polskie zaakceptowany i całą historię od 1944 cechuje walka narodu przywiązanego do idei wolności i związanego z Kościołem oraz zapatrzonego w Zachód z przemożnym totalitarnym systemem przemocy, niezdolnym do rozwiązania zarówno spraw ekonomicznych jak i patriotycznych aspiracji Polaków. W tej sytuacji rodzą się przewlekłe, powtarzające się co kilka lat kryzysy (1956, 1968, 1970, 1976, 1980), stające się dla władzy coraz bardziej niebezpieczne. Coraz to nowe siły społeczne włączają się do ruchu opozycyjnego. Najpełniejszym tego przejawem był potężny ruch społeczny „Solidarność”. Szkic o Polsce Ludowej świadczy o doskonałej znajomości zarówno faktów jak i mechanizmów działających w Polsce od 1944 roku. Można się zgodzić z zaproponowaną periodyzacją okresu i „trójfazowością”. Lata 1944-1948 stanowiły okres formowania Polski Ludowej, do 1956 roku dominował stalinizm, a od 1956 władzę otrzymał „komunistyczny reżym narodowy”. Wydaje mi się jednak, że między okresem Gomułki i Gierka istniała pewna różnica jeśli chodzi o stopień ograniczonej suwerenności, ponieważ uległość Gierka wobec „wielkiego sąsiada” była większa niż Gomułki.

Z całej pracy bije wielka troska autora o przyszłość Polski. Jest on świadom tego, że głębokie zmiany w Polsce nie są możliwe bez zmian w ZSSR. Widzi głęboki dramat, któremu na imię Polska.

Praca Daviesa jest bezsprzecznie największą objętościowo i najciekawszą napisaną na Zachodzie próbą naświetlenia dziejów narodu polskiego. Jest pracą miejscami pionierską, miejscami dyskusyjną (chodzi mi m.in. o problem polskiego nacjonalizmu, zbyt formalnie porównywanego do tego samego zjawiska spotykanego w innych warunkach historycznych w Europie Zachodniej), ale na pewno zapładniającą i interesującą. Dobrze dobrane cytaty ożywiają treść, chociaż miejscami ma się wątpliwości, czy interpretacja tego co nazywamy źródłem historycznym nie idzie za daleko (np. cytowanie powieści historycznych dla pokazania klimatu epoki).

Ilość tzw. potknięć faktologicznych jest doprawdy minimalna, choć zdarzają się (np. Traugutt spotkał się z ks. Napoleonem, a nie z Napoleonem III. Schaff nie został usunięty z PZPR, itp.).

Na podkreślenie zasługuje erudycja autora, łatwość w formułowaniu wniosków i przejrzystość stylu. Wreszcie bogaty i ciekawy zestaw materiałów poglądowych zamieszczonych w pracy.

Emanuel HALICZ

Z. S. SIEMASZKO

NA MARGINESACH HISTORII

Mam przed sobą cztery niewielkie książki:

- Zygmunt Jerzy Czarnecki, *Kataklizm 1939-1942*, Veritas, Londyn 1980, (str. 208 i szereg zdjęć);
- Jerzy R. Krzyżanowski, *Generał*, Odnova, Londyn 1980 (str. 243 i kilka zdjęć);
- Aleksander Kamiński i Antoni Wasilewski, *Józef Grzesiak — „Czarny”*, Biblioteka „Spotkań”, Paryż 1981 (str. 70);
- Aleksander Stambrowski, *Czas przeszły niedokonany*, OPiM, Londyn 1980 (str. 151).

Chociaż wartość historyczna tych książek jest raczej niewielka, to jednak są one typowe o ile chodzi o obecne tendencje polskich wydawnictw na Zachodzie. Ze względu na malejącą ilość czytelników, którzy przygotowani są płacić dość wysokie ceny za to, że czytają po polsku, możliwości wydawania książek bez zewnętrznych zapomóg, czy też finansowego wkładu autorów zmalały poważnie. Toteż ukazuje się coraz więcej prac wydawanych nie dlatego, że są tego warte, a dlatego że stać na to autorów (czy też jakieś wspierające instytucje).

Jednocześnie, w celu zmniejszenia kosztów, idące do druku teksty nie przechodzą przez adiustację. Doprowadza to do tego, że ukazują się w druku takie oto „potworki”:

„Nawet człowiek średnio rozgarnięty umysłowo i świadom nieco życia politycznego nie może mieć wątpliwości, że stosując w praktyce ten przepis nigdy nie będzie mogła być dokonana 'zmiana zasad niniejszego porozumienia', czyli jeżeli nawet bomby atomowe spalą 4/5 świata, bezprawne 'porozumienie' pozostanie nienaruszone aż do przepowiedzianego przez proroków całkowitego końca świata, a tu życie postępuje naprzód i wszystko się zmienia nieustannie z wyjątkiem 'zasad porozumienia' lub 'zjednoczenia', obojętnie jak to się zwie”. (Stamborski, str. 51).

Brzmi to nieco podobnie do krajowej „drętwej mowy”, która niekiedy może przyjąć takie oto oblicze:

„Bardziej kompleksowe podejście do tematu powstania warszawskiego i podjęcie próby jego nowego opracowania stało się możliwe dzięki bogatej literaturze wspomnieniowej. ... Prezentacja i ocena ważniejszych pozycji literatury o powstaniu, wykorzystanej przez autora, zostanie dokonana w konfrontacji z głównymi problemami badawczymi występującymi w niniejszej pracy” (Antoni Przygoński, *Powstanie warszawskie w sierpniu 1944*, PWN, Warszawa 1980, tom I, str. 8).

Literatura „wspomnieniowa”, jak mówi autor krajowy, rzeczywiście rozrasta się pokaźnie, a dzieje się to dlatego, że pokolenie Polaków, którzy byli świadkami drugiej wojny światowej, przeżyło bardzo dużo i nic dziwnego, iż chce pozostawić po sobie jakiś ślad. Teraz wielu z tego pokolenia zbliża się do schyłku swego życia, kiedy to chęć upamiętnienia niepowtarzalnych doświadczeń, oraz wojennych wzlotów i upadków staje się bardziej paląca. Ale zamiast opowiadać swą historię w jak najprostszym sposobie autorzy silą się niekiedy „na literaturę” i naśladują przeczytane niegdyś powieści. Takie rozwiązanie przyjął na przykład Z. J. Czarnecki, przedwojenny oficer dyplomowany 1-ej dywizji Legionów stacjonowanej w Wilnie. Usiłuje on opisywać bezosobowo dzieje pary małżeńskiej: Jerzego wywiezionego do Sowietów i Zosi, która pozostała w kraju, a potem po latach ich spotkanie w Londynie w 1967 roku. Ale nie zdołał on w pełni utrzymać tych zasad i niekiedy mówi o sobie, czyli o Jerzym, w pierwszej osobie (na przykład str. 143-144).

Relacja o przeżyciach żony w kraju jest wyraźnie opowiadaniem „z drugiej ręki” i dlatego brak jej przekonującej bezpośredniości, a jedna ze scen wzbudza zastrzeżenia. Dotyczy to opisywanych przez autora walk 1-ej kompanii Zapasowego Batalionu 1-go pp Legionów w okolicy Mostu Zielonego w dniach 19 do 22 września 1939 przeciwko wkraczającej do Wilna Czerwonej Armii (str. 43). Wątpliwe, żeby tego rodzaju wypadki miały miejsce, gdyż obecny wówczas w Wilnie późniejszy organizator podziemia, jezuita ks. Kazimierz Kucharski pisze w swej relacji (maszynopis w Studium Polski Podziemnej w Londynie) tak:

„Wilno zostało oddane bolszewikom bez walki. Co gorsze jeszcze, Komenda Miasta, pragnąc zabezpieczyć spokojne wyjście wojska z miasta, zadrwiła boleśnie ze społeczeństwa wileńskiego, puszczając w chwili tragicznej najpomyślniejszy komunikat radiowy. Toteż społeczeństwo polskie żegnało wychodzące do walki (!) wojsko entuzjastycznie. Rozczarowanie było straszne, uczucie upokarzającego policzka, otrzymanego od swoich, oraz wstydu za Komendę Miasta — paliło nas strasznie. Całonocna strzelanina młodzieży do wkraczających bolszewików była tylko kroplą ulgi” (str. 1).

Wspomnienia Jerzego z więzień sowieckich i z łagru pod Norylskiem u ujścia Jenisieja do Oceanu Lodowatego nie wnoszą wiele nowego. Podobnie relacja z okresu służby w Armii Polskiej, do której mjr dypl. Czarnecki dotarł dopiero 5 stycznia 1942 roku jest nieco bezbarwna. Trudno w niej doszukać się jakichś żywych naświetleń sytuacji AP w ZSSR, lub bardziej bezpośrednich danych o osobistościach polskiej hierarchii wojskowej z gen. Andersem na czele, a przecie Czarnecki, jako oficer dyplomowany, obracał się stale w tym środowisku sztabowym. Zresztą gdyby nawet były jakieś bardziej interesujące dane o Okulickim, Bohuszu-Szysko, Rudnickim, czy też Karaszewiczu-Tokarzewskim, trudno byłoby je odnaleźć, bo nie ma w tej książce indeksu nazwisk. Jest to naprawdę godne podziwu, że zarówno wydawcy, jak i autorzy prac o znaczeniu historycznym nie zdają sobie sprawy z tego, że książka bez indeksu nazwisk jest nie do wykorzystania.

Na marginesie wspomnień Czarneckiego czytelnik dochodzi do wniosku, zresztą już nie po raz pierwszy, że dziwna jest „sprawiedliwość” sowiecka. Oficerowie, którzy w 1939 roku zaufali Sowietom i wyszli na ich spotkanie bez strzelania, tak jak im nakazał Rydz-Śmigły, zostali potem zlikwidowani strzałem w tył głowy, jako „nieuleczalni” polscy patrioci, całkowicie nieużyteczni dla sowieckiego systemu. Natomiast ci oficerowie, do których nie dotarła wieść o nieszczęsnym rozkazie Rydza-Śmigłego i którzy zostali wyłapani w przebraniu w czasie przekradania się w kierunku granicy, zostali skazani na powolne zamieranie w łagrach, co dawało im jakąś szansę przeżycia.

Ze wspomnieniami Czarneckiego łączy się tematycznie powieść Krzyżanowskiego o gen. Okulickim. Te same Sowiety i ta sama AP w ZSSR. Chociaż Krzyżanowski był w ZSSR w okresie późniejszym, w gronie aresztowanych AK-owców w latach 1944-1945, to jednak jestem pod wrażeniem, że udało mu się przedstawić sytuację Armii Polskiej w Sowietach całkiem nieźle. Uwytknił on zasadniczą sprawę, iż Armia ta, stojąc na stanowisku niepodległościowym, nie mogła przetrwać w ZSSR. I albo musiała przejść na stanowisko ugodowe, jak życzyłby tego sobie Berling (tak postąpił ówczesny czechosłowacki płk Swoboda), albo musiała opuścić Sowiety. A ponieważ ogromna większość żołnierzy nie poszłaby na ugodę, tzn. na rezygnację z Kresów Wschodnich oraz na polityczne i wojskowe podporządkowanie się Sowietom, pozostawał wyjazd z ZSSR, lub zagnanie z powrotem do łagrów, co nie odbyłoby się bez większego zatargu międzyaliantckiego. A tego widocznie Stalin pragnął uniknąć.

Położenie AP w ZSSR opisał Krzyżanowski przekonywująco, natomiast nie osiągnął tego o ile chodzi o osobę Okulickiego, któremu tę powieść poświęcił. O ile mi wiadomo, Okulicki był w pierwszym rzędzie aktywistą, człowiekiem czynu, a nie zapa-

trzonym w siebie, spekulującym skrupulantem, jak go przedstawił autor.

Chociaż jest to powieść, a nie praca biograficzna, jednak nie powinny były znaleźć się w niej następujące, dość zasadnicze zniekształcenia.

Autor włożył w usta Okulickiego stwierdzenie, iż Berling „dowodził w trzydziestym dziewiątym moim macierzystym 4-ym pułkiem piechoty Legionów” (str. 69). Wcale nie odpowiada to prawdzie. We Wrześniu Berling żadnej wojskowej funkcji nie spełniał. Opuścił on Warszawę 7 września wraz z grupą pracowników Państwowego Instytutu Rozrachunkowego, w którym rozpoczął pracę jako urzędnik cywilny akurat 1 września 1939. Z tą grupą udał się przez Brześć do Wilna i tam zgłosił się do władz sowieckich wkrótce po zajęciu przez nich miasta (vide „Wspomnienia” Berlinga, warszawska *Kultura*, 16 kwietnia 1967).

Gdzie indziej, pisząc o ujawnieniu się przywódców krajowych przed Sowietami w marcu 1945, Krzyżanowski stwierdza, iż Okulicki „otrzymał rozkaz i musiał go wykonać” ujawniając się wraz z innym. Wcale nie odpowiada to prawdzie. Było wręcz przeciwnie. Okulicki otrzymał od Andersa, który był wówczas jego bezpośrednim przełożonym, jako p.o. Naczelnego Wodza w Londynie, rozkaz żeby pozostał w konspiracji, ale wbrew temu rozkazowi ujawnił się (vide Z. S. Siemaszko, „Rozmowa z gen. Andersem”, *Kultura*, lipiec-sierpień 1970, str. 34).

Jest też kilka innych potknięć. Oto kiedy w Kanaquinie Okulicki siedział w namiocie i czekał na przybycie kapelmistrza 22 pułku, „nagle płachta namiotu frunęła na bok i w otwartym na pustynny blask wejściu stanął zakurzony po wierzch hełmu motocyklista. Zasalutował sprężyscie i trzasnął obcasami” (str. 108). Ładne kwiatki. Pięknie by wyglądał dowódca dywizji (Okulicki dowodził wówczas 7-mą dywizją), gdyby tyle goniec, nawet ze Sztabu Armii, mógł wejść do jego namiotu bez zapowiedzi.

Niepotrzebnie też wkłada autor w usta Okulickiego oburzenie z tego powodu, że gen. Karaszewicz-Tokarzewski na swoje imieniny miał „lampkę wina z coraz młodszyimi dziewczętami z PSK” (str. 98). Przecie ogromna większość wyższych oficerów była wyczulona na wdzięki „pestek”, nie wyłączając samego Okulickiego. W swoim czasie opowiadano znaną scenę, kiedy jego syn, pchor. Zbigniew Okulicki, ostentacyjnie odmówił przywitania się z „pestką”, która towarzyszyła jego ojcu w kasynie i była mu przez ojca przedstawiona. A zresztą niech rzuci kamieniem ten, kto nie winien, przecie w niektórych środowiskach „pestek” krążyło przekonanie, że „płeć męska zaczyna się od stopnia majora wzwyż”.

Ale przejdźmy do spraw poważniejszych. W czasie wojny istniały dwa różne podejścia o ile chodzi o układ stosunków pomiędzy krajem i Londynem. Według jednych najwyższe władze Rzeczypospolitej, które znajdowały się na Zachodzie miały nie

tylko wspomagać kraj, ale również miały spełniać w stosunku do kraju rolę nadrzędną. I tak było za czasów Sikorskiego. Według innych Polacy w Londynie, chociaż piastowali najwyższe godności państwowe, mieli wspomagać kraj i czynić zadość jego żądanom. Natomiast o losach polskich miał decydować kraj na własną rękę, ponieważ on reprezentował przemożną większość narodu. Tak się też działo po śmierci Sikorskiego i tak pozostało po dzień dzisiejszy. Dlatego z czołobitnością drukuje się na Zachodzie rzeczy napisane w kraju, które nie mogły tam ukazać się oficjalnie. Ale nie wszystkie tego rodzaju prace zasługują, żeby je na Zachodzie wydawać. Jedne z nich pisane są szczerze, bez względu na wymogi cenzury PRL i te kwalifikują się do wydania na Zachodzie, natomiast inne zostały napisane „pod cenzurę”. Zawierają więc one wiele przemilczeń i zniekształceń, nie są to prace szczerze, a sam fakt, że nie udało się uzyskać *placet* władz na ich opublikowanie, nie kwalifikuje ich automatycznie do drukowania na Zachodzie, a co najmniej wymaga pewnego komentarza wydawców.

Na przykład kilka lat temu Polska Fundacja Kulturalna w Londynie wydała książkę krajowego autora Olgerda Terleckiego „Wielka awantura” bez jakichkolwiek zastrzeżeń. W pracy tej czytamy takie oto zdania:

„Obdarzeni okrucami brytyjskiego demobilu Polacy mieli się dowiedzieć, że darów tych nie otrzymali w efekcie starań swego rządu (tzn. rządu PRL — Z.S.S.), lecz że przywiózł je wprost od Brytyjczyków pewnie dobroczyńca popierający Mikołajczyka. ... Powiedzieć wypadnie, rzecz uściślając, że Retinger zwyczajnie kierował wtedy do Polski tak zwaną kielbasę wyborczą. Mikołajczykowi zresztą niewiele pomogła. Wspomogła doraźnie, i tylko doraźnie, pewną liczbę poszkodowanych; ale jest to, niestety, fakt nie posiadający historycznego znaczenia” (str. 140).

Chyba ta wyraźna chęć przypodobania się cenzurze krajowej nie wymaga komentarzy.

Wśród omawianych czterech książeczek jedna z nich, *Józef Grzesiak* — „Czarny”, również została napisana „pod cenzurę”. Autorami są dwaj harcerze — Kamiński, którego „Kamienie na szaniec” są znane i Wasilewski, jeden z przedwojennych działaczy harcerskich w Wilnie.

Czytając tę biografię Grzesiaka odnosi się wrażenie, że opisane Wilno nie jest Wilnem a przedwojenne harcerstwo nie jest harcerstwem. Całość brzmi sztucznie i fałszywie, a chodzi nie tylko o to, co zostało powiedziane (bo powiedziano nawet sporo i dlatego cenzura nie przyjęła tej pracy) a raczej o to, co zostało przemilczane. A jak głębokie jest zniekształcenie przedwojennej rzeczywistości można dopiero ocenić, jeżeli porówna się tę książkę z pamiątkowym wydawnictwem, poświęconym zorganizowanej przez Grzesiaka Wileńskiej Czarnej Trzynastce (Chicago 1963)

lub ze wspomnieniami samego Grzesiaka z okresu pobytu po wojnie w sowieckim więzieniu (maszynopis w posiadaniu Z.S.S.).

Może niekiedy zachodzi potrzeba wydania na Zachodzie książki napisanej pod krajową cenzurę, ale przez nią odrzuconej. Jednak wówczas trzeba dodać odpowiednie wprowadzenie, wskazując przemilczane zagadnienia i zniekształcone twierdzenia.

Przeinaczenia spowodowane chęcią przypodobania się krajowej cenzurze są dokuczliwe, ale chyba równie dokuczliwy jest nudny sposób pisania, szczególnie jeżeli jest to połączone z zarozumiałością ze strony autora. Oto tak na przykład brzmi pierwsze zdanie książki Stambrowskiego.

„Zbiór ten esejów stanowi wykład (raczej komentarz), tak nam potrzebny na uchodźstwie, prawa politycznego (konstytucyjnego), ale nie w tradycyjnej formie i postaci wykładów akademickich — suchych i analitycznych — przechodzących z omówienia i analizy z jednego artykułu przepisów konstytucji na następny, na tle zasad prawa politycznego. Takie wykłady typu uniwersyteckiego niewiele dają nawet studentom przygotowanym do studiów prawa i oddającym się tym studiom w celu zdobycia wiedzy prawniczej, jako podstawy i instrumentu dla przyszłego zawodu” (str. 5).

Niezbyt zachęcające wprowadzenie. Nic więc dziwnego, że nie zdołałem zmusić siebie do przeczytania całości, a jedynie pracę tę przejrzałem. Autor porusza wiele spraw omawianych już wielokrotnie, jak np. konstytucja kwietniowa i jej interpretacja na emigracji, przesilenia prezydenckie i legalizm emigracyjny, przewrót majowy, polskie partie polityczne, awanse i nadawanie orderów na emigracji, marksizm i sowiecka „naukowość”, religijność Piłsudskiego, czy też jej brak, przedstawiony przez ks. Józefa Warszawskiego. Jedynie ten ostatni temat nieco mnie zainteresował. Właściwie o ile chodzi o perypetie religijne Piłsudskiego, to ks. Warszawski powtórzył to, co dawno już opisał Pobóg-Malinowski. Natomiast uderzająca jest w pracy ks. Warszawskiego sugestia, iż katolicycy duchowni, którzy stykali się z zagadnieniem stosunku Piłsudskiego do Kościoła, zarówno za jego życia jak i po śmierci, nie znali przepisów kościelnych i postępowali wbrew tym przepisom. Tego rodzaju sugestia jest trudna do przyjęcia, szczególnie, że umierającemu Marszałkowi oddał ostatnią posługę ks. Władysław Kornilowicz, którego beatyfikację (będącą w toku) zainicjował i popierał Ks. Prymas Wyszyński.

Z. S. SIEMASZKO

OKRUCHY HISTORII

Mirosław WIERZBICKI i

Mirosław ZAWODNY

SPRAWA BRAUWEILLER

Działalność konspiracyjna Armii Krajowej na terenie Trzeciej Rzeszy jest nadal białą kartą w historii Drugiej Wojny Światowej. Pierwsza publikacja ukazała się w *Kulturze* nr 5/55 z 1952 roku, szkicując działalność AK na terenie Niemiec, prowadzoną przez polskich jeńców wojennych a kierowaną z Warszawy. Jest to druga publikacja na temat tych wydarzeń, tragicznych w skutkach, a dotychczas nie wyjaśnionych do końca.

W roku 1944 osadzeni zostali w Brauweiller, małej miejscinie oddalonej o 13 kilometrów na północo-zachód od Kolonii, w nowoczesnym więzieniu Gestapo, jeńcy wojenni zaaresztowani w obozach jenieckich, oficerowie, podchorążowie, podoficerowie i polscy cywilni robotnicy wywiezieni na przymusowe roboty. Największą grupę stanowili podchorążowie aresztowani bądź w obozach bądź na *komenderówkach*, to znaczy miejscach ich pracy poza obozem. Oskarżono ich o działalność konspiracyjną kierowaną przez Oddział I Organizacyjny Komendy Głównej Armii Krajowej w okupowanej Warszawie.

W końcu kwietnia 1944 roku zaczęły się pierwsze aresztowania w Kolonii. Zabrano kilku Polaków cywilnych i kilku jeńców podchorążych z *komenderówki* znajdującej się w dzielnicy Klettenberg. Aresztowania zaczęły nabierać rozmachu i obejmować coraz szerszy teren. Z miasteczka Hemer zabrano 30 Polaków pracujących przymusowo w zakładach przemysłowych. Ze Stalagu VI A w Hemer wywieziono 9 podchorążych. Z Dortmundu

9 polskich robotników przymusowych. Z *komenderówki* jenieckiej w Hoffnungsthalu 9 podchorążych. Ze Stalagu XII D w Trier i podległych mu *komenderówek* 24 podchorążych i podoficerów, ze Stalagu XII A w Limbourgu an der Lahn jednego podchorążego.

Gestapo docierało do każdego Stalagu i podległych mu *komenderówek* pracy, zlokalizowanych w małych miasteczkach, wioskach i jak się okazało później, trafiało bezbłędnie. Zabierano dowódców i całe grupy, trzy lub pięcioosobowe, tak zwane „komórki centralne” konspiracji AK. Cała z trudem montowana i działająca sprawnie siatka konspiracyjna została zerwana, a ci, których Gestapo nie wyłapało nie zdążyli już jej ponownie odtworzyć z braku łączności z Warszawą.

Nie należy zapominać, że 1 sierpnia wybuchło powstanie i żadnego kontaktu z Warszawą nie było.

Aresztowano ogółem 277 osób, w tym około 160 podchorążych, kilkunastu oficerów (w tym kilku lekarzy), kilkunastu podoficerów i trzech duchownych. Resztę stanowili Polacy cywilni, zesłani na roboty przymusowe.

Centrala Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie zgrupowała wszystkich Polaków aresztowanych w tej sprawie w ówczesnym Krajowym Zakładzie Pracy w Brauweiller. Na terenie klasztoru pobenedyktyńskiego istniał oprócz karnego zakładu dla kobiet nowoczesny gmach więzienia śledczego Gestapo z oszklonym dachem. Na parterze przetrzymywano młodzież niemiecką, a wszystkie cele I oraz II piętra zajęto nami.

Gestapo aresztowało na dworcu w Kolonii, między 10 a 15 kwietnia 1944 roku, wysłannika specjalnego do bezpośredniego nawiązania kontaktu i przeprowadzenia rozmów z kierownikami znanych Warszawie komórek konspiracyjnych w Stalagach i skupiskach Polaków cywilnych.

Gestapo przechwyciło listę z nazwiskami i adresami uczestników konspiracji, którą miał przy sobie wysłannik. Gestapowiec Johan Schaffer, z obsady Brauweiller, osadzony przez władze angielskie w więzieniu w Braunschweig przyznał: „Sprawa była prosta. Znaleźliśmy listę nazwisk, którą miał przy sobie wysłannik AK z Warszawy”. Tu warto zauważyć, że każdy jeniec-konspirator miał pseudonim i w korespondencji nigdy nie używano nazwiska. Korespondencja była szyfrowana, liczono się jednak z możliwością odszyfrowania jej przez Gestapo. Wysłannik jednak miał imienną listę przy sobie i Gestapo odszukało prawie wszystkich według listy.

Wysłannik został zwolniony ze Stalagu X B w Sandbestel w wyniku machinacji jeńców podchorążych i lekarzy, jeńców serbskich. Przekupiono Niemca, szefa izby chorych, pijaczynę, papierosami amerykańskimi i kawą Nestle. W małym transporcie

chorych jeńców przyszedł wysłannik dociera późną jesienią 1943 roku do okupowanej Warszawy. Oficjalne czynniki konspiracyjnej Armii Krajowej przeprowadzają rozeznanie czy nie jest to *Volksdeutsch* lub jakiś konfident. Zostaje włączony do konspiracji, przyjmując pseudonim „Andrzej”. Zostaje przeszkolony i w końcu marca względnie z początkiem kwietnia 1944 roku wysłany z zadaniami na teren Trzeciej Rzeszy, mając doskonałe, jakkolwiek fałszywe dokumenty na nazwisko Niemca Konrada Baumgarta. Okres pobytu „Andrzeja” w okupowanej Warszawie od jesieni 1943 do momentu wyjazdu w charakterze „wysłannika specjalnego” nie jest jeszcze całkowicie wyjaśniony.

Konrad Baumgart jedzie oficjalnie z Warszawy na urlop do Niemiec. Dociera do miasteczka Hemer bei Iserlohn i tu kontaktuje się z podchorążym Zbigniewem Wiatrolikiem, kierującym konspiracją w miejscowych zakładach przemysłowych. Przebywa u niego 3 dni. Na skraju tego miasteczka jest obóz jeńców wojennych — Stalag VIA. Tu dochodzi do spotkania „Andrzeja” z całą piątką podchorążych kierującą konspiracją w tym obozie. Następnym punktem jest Dortmund. Tu działa ks. Andrzej Bardecki. Ma dokumenty na fałszywe nazwisko Stanisława Owczarskiego. Ochotniczo wyjechał na teren Trzeciej Rzeszy jako zwykły robotnik, by sprawować w konspiracji opiekę duszpasterską wśród wywiezionych pod przymusem na roboty Polaków. Ostatnim etapem jest Kolonia. Tu jest dużo Polaków. Zatrzymuje się u robotników, braci Lenarda i Ryszarda Kędzierskich, a za ich pośrednictwem kontaktuje się z przebywającymi za drutami podchorążymi, jeńcami wojennymi, zmuszonymi wbrew Konwencji Genewskiej z 1929 roku do pracy fizycznej w dzielnicy Klettenberg.

Prawie wszyscy aresztowani jeńcy znają wysłannika specjalnego AK z okresu jego pobytu od września 1939 roku w obozach jenieckich Oflag VIIA w Murnau, Stalag VI B, Lager 6 w Oberlangen. Wartownicy tej *komenderówki* są już dawno przekupieni. Paczka amerykańskich papierosów umożliwia wejście za druty każdemu cywilnemu Polakowi. „Andrzej” jako cywil nie jest na terenie *komenderówki* czymś wyjątkowym dla wartowników niemieckich.

Na tym kończy się szlak osobistych wizytacji specjalnego wysłannika Armii Krajowej. Następnego dnia udając się w dalszą trasę został aresztowany.

Wobec ujawnienia tak szeroko rozgałęzionej sieci konspiracyjnej Centrala Gestapo w Berlinie powierzył całokształt prowadzenia śledztwa swojej placówce w Kolonii. Powołano specjalny oddział tzw. *Sonderkommando BETHKE*, gdzie śledztwo spoczęło w rękach osławionego już w Polsce okupowanej dr. praw Bethke.

Konfrontacje, przesłuchania, bicie, podwieszanie za ręce związane z tyłu to tylko przykłady metod stosowanych przez gestapowców Fritza Traegera, Johana Schaffera i innych. Najwięcej chyba ucierpiał kpt. Ernest Ronin, którego pochodzenie dolewało oliwy do ognia zbydlęciałych gestapowców.

Od kwietnia do września 1944 roku prowadzono w Brauweiller przesłuchania. Stopniowo dowożono nowych wyłapanych. W sierpniu zaczęto jeńców grupami wywozić, a ostatnia grupa opuściła więzienie Gestapo w Brauweiller 14 września 1944. Dołączano nas do dużych transportów jadących do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Byliśmy w polskich mundurach, przekraczając w szyku zwartym, z polską komendą, bramę obozu koncentracyjnego Buchenwald, o którego istnieniu nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Był to chyba jedyny oddział przyszłych więźniów tego obozu, który kiedykolwiek przekroczył bramę Buchenwaldu z nakryciem głowy, w kolumnie czwórkowej, w polskich mundurach i wzorowej postawie żołnierskiej. Jak się później dowiedzieliśmy od starszych więźniów Buchenwaldu, zaskoczeniem dla nich samych był fakt, że władze SS-mańskie za tę ostantacyjną defiladę nie skierowały całej naszej grupy wprost na teren krematorium, wyposażonego w rzeźniczkę haki do wieszania.

Zdjęto nam mundury, wydano biało-niebieskie pasiaki i dano każdemu numer; nazwisko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie praktyczne; co jednak nie przeszkadzało więźniom Buchenwaldu pomiedzy sobą ich używać.

Przeżyło z tej grupy, to znaczy wyszło z KZ Buchenwald około 80 osób. Prawie 200 zginęło. Umarli z głodu, wycieńczenia, a wielu zastrzelono w „marszach śmierci” w czasie ewakuacji z obozu w ostatnich tygodniach i dniach kończącej się wojny.

Może ktoś z czytelników *Kultury* zetknął się bezpośrednio lub pośrednio z przedstawionymi w tym artykule faktami. Cenne będą dla nas wszystkie wypowiedzi, a szczególnie te, które pozwolą nam uzupełnić mozolnie zebrane materiały dokumentacyjne dotyczące samych uczestników, ujęte tu w bardzo wielkim skrócie. Zbyt dużo kosztowało nas to ofiar, by móc przejść nad sprawą Brauweiller do porządku dziennego. Autorzy liczą na oddźwięk ze strony czytelników. Napiszcie koniecznie na adres:

Mirosław WIERZBICKI
40 Freeport Drive
Burlington, Mass. 01803
USA.

Grudzień 1980

RO S J A — P O L S K A *

Projekt włączenia Polski do ZSSR jako XVII republiki

Publikujemy dwa dokumenty świadczące o planach włączenia Polski jako siedemnastej republiki do Związku Radzieckiego. Możemy to teraz uczynić, ponieważ dwaj autorzy notatki już nie żyją. A tym, którzy podpisywali „Dokument Nr 126”, ogłoszenie ich nazwisk na pewno nie zaszkodzi u polskich władz komunistycznych, a z wolą i opinią Narodu przecież się nie liczyli podpisując ten haniebnny dokument. W „Notatce” jest ważne stwierdzenie, że Powstanie Warszawskie wpłynęło na zmianę planów Stalina. Notatkę i odpis czwartego punktu „Dokumentu Nr 126” drukujemy dzięki uprzejmości pułkownika Kazimierza Iranka-Osmeckiego.

NOTATKA

Sporządzona w Warszawie w dniu 20 maja 1974 roku o godz. 17.30 w mieszkaniu płk. dypl. Kazimierza Pluty-Czachowskiego, zamieszkałego przy ul. Filtrowej 51 m. 2 — z rozmowy przeprowadzonej przez wymienionego płk. Plutę-Czachowskiego i Ludwika Muzyczkę, zamieszkałego w Krakowie przy ulicy gen. Sowińskiego 14 m. 1, z gen. Bukojemskim na ławce przed siedzibą Zarządu Głównego ZBoWiD-u w Warszawie przy Alejach Ujazdowskich.

1. Spotkanie miało charakter przypadkowy i towarzyski.

2. W trakcie rozmowy Ludwik Muzyczka wyjął zteczki książkę: „Dokumenty i Materiały do historii stosunków polsko-radzieckich” — tom VII — wydanie „Książka i Wiedza”, z której odczytał przytoczony w tej książce „Dokument Nr 126” na str. 219:, Moskwa 22 czerwca 1941 r. Pismo grupy oficerów byłej armii polskiej do Komisarza ludowego bezpieczeństwa państwowego w ZSSR z deklaracją udziału przeciwko Niemcom hitlerowskim”, zwracając szczególną uwagę na p. 4 wymienionego dokumentu (podpisanego m.in. przez ppłk. Leona Bukojemskiego) z którego wynikało, że podpisani pod tym dokumentem mieli świadomość że podpisując go, godzili się na odbudowę Polski w ramach Związku Socjalistycznych Republik Rad.

3. W odpowiedzi na przytoczony punkt 4 dokumentu gen. Leon Bukojemski oświadczył:

a) Taki dokument został przeze mnie i innych podpisany.

* Przedruk z nru 3-4/1982 *Przeglądu Powszechnego*, Londyn.

b) Już w marcu 1941 r. w miejscowości Małachówka pod Moskwą (rejonie przebywania przedstawicieli zachodnich partii komunistycznych) jako grupa byłych oficerów wojska polskiego zgłosiliśmy prośbę do władz radzieckich o zezwolenie formowania oddziałów polskich w ramach Armii Czerwonej, aby w przypadku wojny sowiecko-niemieckiej wziąć udział w walce.

c) W dniu 22 czerwca 1941 roku przybyło do naszej grupy polskich oficerów trzech przedstawicieli władz sowieckich (których gen. Bukojemski nie wymienił z nazwiska) którzy mieli już ze sobą przygotowany dokument (o treści jak niżej) i wezwali nas do jego podpisania bez dyskusji nad jego treścią. Dowodzili, że podpisanie takiego dokumentu ze strony polskich oficerów wymaga aktualna sytuacja polityczno-wojskowa. Gen. Bukojemski powiedział w rozmowie z nami, że sam nie godził się z treścią dokumentu, z którego wynikało że Polska miała stać się XVII Republiką Radziecką, ale dokument podpisał pod moralną presją.

d) Zwolennikami Polskiej Republiki w ramach Związku Socjalistycznych Republik Rad byli m.in. gen. Zygmunt Berling z grupy wojskowej oraz Alfred Lampe, Bristigerowa i Wanda Wasilewska — z grupy komunistów polskich.

e) Ten pogląd na przyszłą formę państwową Polski utrzymywał się u wyżej wymienionych osób jeszcze po zajęciu Lublina, przy czym Lampe był zdecydowanym przeciwnikiem dalszego organizowania odrębnego wojska polskiego.

Po wybuchu Powstania Warszawskiego w mieszkaniu gen. Leona Bukojemskiego pełniącego wówczas obowiązki dowódcy okręgu wojskowego w Lublinie (w mieszkaniu tym spotykali się normalnie czołowi działacze partyjni i wojskowi) zjawiła się któregoś dnia Wanda Wasilewska oświadczając, że Powstanie Warszawskie wpłynęło na zmianę stosunku władz ZSSR ze Stalinem na czele do koncepcji stworzenia XVII Republiki Polskiej. (Tym samym Powstanie Warszawskie przekreśliło koncepcję stworzenia XVII Republiki).

(L. Muzyczka)

podpis na oryginale

(K. Pluta-Czachowski)

podpis na oryginale

Polska Akademia Nauk
Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich
Dokumenty i Materiały do Historii
Stosunków Polsko-Radzieckich
Tom VII (Wyd. Książka i Wiedza, 1973)
Str. 219, Dokument 126, pkt. 4.

„Jako członkowie jednego z narodów uciśnionych przez faszystowskiego agresora, jedyną drogę do wyzwolenia narodu

polskiego widzimy we współpracy ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad, w ramach którego ojczyzna nasza będzie się mogła w sposób pełnowartościowy rozwijać”.

Podpisy: ppłk Berling Z., ppłk Bukojemski L., płk Gorczyński E., ppłk Tyszyński L., ppłk Dudziński K., kpt. Zawadzki K., por. Szumigalski W., por. Tomala M., por. Siewierski J., pdch. Kukułiński F., pdch. Szczypiński S.

Władysław ŻELEŃSKI

SPRAWA WITOLDA HULANICKIEGO

Istnieje rewelacyjne świadectwo wyjaśniające okoliczności zgonu w Jerozolimie, w roku 1948, Witolda Hulanickiego, b. konsula generalnego R.P. w Jerozolimie a następnie urzędnika w brytyjskiej służbie mandatowej w Palestynie. Świadectwo to zawarte jest w książce Nathana Yalina, pseudo Mor, pt. „Israel, Israel... (Histoire du Groupe Stern 1940-1948)”, wyd. Presse de la Renaissance, Paris 1978. Oto w tłumaczeniu odnośny ustęp, przekazany mi przez mego przyjaciela, dr. Eliazara Szereszewskiego-Sereskiego, uważnego badacza literatury żydowskiej, związanej z powstaniem państwa izraelskiego. Dodajmy, że — jak mi objaśnia dr Szereszewski — Yalin, pseudonim Mor, był w tym czasie dowódcą organizacji bojowej Abrahama Sterna, zgładzonego w roku 1942 przez policję brytyjską. Podobnie jak Stern pochodził z Polski, urodził się w Grodnie, przed osiedleniem się w Izraelu ukończył politechnikę warszawską. Oto co pisze w związku ze śmiercią Hulanickiego:

„Obłężenie Jerozolimy zrodziło atmosferę terroru, sprzyjającą najgorszym wykroczeniom. Gdy jeden z tysięcy pocisków i granatów, sypiących się na miasto uderzał w jakiś ważny obiekt, nikomu nie przychodziło do głowy, że artylerzysta brytyjski czy arabski rozporządzał doskonałymi planami miasta bądź po prostu znał jego topografię równie dobrze jak my. Dla obłożonych byłoby to wytłumaczenie zbyt proste. Wszędzie widzieli zdrajców i szpiegów, zdolnych kierować strzałami Bóg wie jakimi tajemniczymi środkami. Ta obsesja była powodem tragedii, pośpiesznych i niczym nieuzasadnionych egzekucji. Wśród ofiar

tej zbiorowej hysterii znalazł się nawet polski wicekonsul Hulanicki, skazany przez zaimprovizowany trybunał LEHI (tj. organizacji Sterna, przyp. Szereszewskiego). Gdy mnie o tym powiadomiono było już za późno. Mogłem tylko stwierdzić, z wściekłością i bólem, że oto z rąk ludzi, powołujących się na YAIR (nazwisko Sterna po hebrajsku, przyp. Szereszewskiego) padł jeden z najżarliwszych rzeczników niepodległości Izraela i stronników YAIR'a w Polsce. Tego rodzaju tragiczne omyłki są może nieuniknione we wszystkich ruchach podziemnych. Jakby nie było, są okrutne" (str. 364-365).

Żeby ocenić wagę powyższego świadectwa trzeba przypomnieć, że zabójstwo Witolda Hulanickiego było dotąd po stronie polskiej przedmiotem całkiem odmiennych ocen i hipotez. Wyraziły się one na łamach *Kultury* w 10 lat po śmierci Hulanickiego w ostrej polemice, którą wywołały wspomnienia b. ambasadora w Ankarze Michała Sokolnickiego, ogłoszone w nr. 111/112 z roku 1957, a w szczególności jego krótka nota na str. 136/137: „Witold Hulanicki, konsul generalny w Jerozolimie, odwołany natychmiast po utworzeniu rządu Sikorskiego, nie zważając na jego doskonałe stosunki z władzami mandatowymi. Dymisja udzielona mu przez ministra Zaleskiego miała za główny motyw, iż Rydz Śmigły był ojcem chrzestnym jego córki”.

Nawiązując do tej zwięzłej ale wymownej noty, odezwał się z Buenos Aires ppłk Władysław Michniewicz, b. szef II Oddziału Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie a następnie szef tegoż Oddziału w 2-gim Korpusie gen. Andersa. W liście do *Kultury* (nr 115 z roku 1957), a potem na ogłoszone w tym piśmie słowa obrony zmarłego, w drugim, długim liście (nr 129/130 z roku 1958) obarczył Hulanickiego ciężkimi przewinieniami. Jego zdaniem zwolnienie Hulanickiego, spowodowane *de facto* przez min. Kota, załamało Hulanickiego „słabego moralnie i karierowicza”. Nie zgłosił się do wojska, jak to uczynił np. ambasador Lipski we Francji (dodajmy, że Hulanicki miał wtedy 48 lat, Lipski zaś 46 — przyp. W.Ż.), a przeszedł na służbę do angielskich władz mandatowych, gdzie został cenzorem a później *chief*-cenzorem. Po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku ułatwił Brygadzie Karpackiej przejście spod komendy francuskiej w Syrii do wojsk brytyjskich w Palestynie. Niebawem jednak zaczął uprawiać w tej Brygadzie „dobrotliwe szpiegostwo” — jak to określa ppłk Michniewicz — na rzecz Anglików. Przy czym, jak się później okazało, wystawiał Anglikom za swoje wyjazdy i wizyty w Brygadzie słone rachunki, które w ostatecznym rozliczeniu zostały przez nich przedstawione do pokrycia intendenturze polskiej. Gdy po przybyciu wojsk polskich z Rosji „zaczęło w Palestynie gwałtownie wrzeć zagadnienie żydowskie, zasłone około trzema tysiącami żołnierzy-Żydów z 2-go Korpusu, którzy pozostali samowolnie w Palestynie, zachodzi podejrzenie (pisze Michnie-

wicz), czy Hulanicki nie przerzucił się wtedy na Żydów". Wniosek: „widocznie Żydzi wiedzieli, za co go mordują”.

W drugim liście ppłk Michniewicz jeszcze zastrzył swe oskarżenie. Hulanicki zasłużył na postępowanie sądowe za „dezercję, zdradę i szpiegostwo”, ale wytoczenie mu sprawy nie było możliwe, bo zgodnie z obowiązującą konwencją mógł być sądzony jedynie przez sąd wojskowy, a do wojska się nie zgłosił, miał oficjalną przykrywkę na terenie mandatu angielskiego, zaś w roku 1942 Kot wyjednał u gen. Sikorskiego „rozkaz równie mądry jak legalny” (to z pewnością określenie ironiczne — przyp. W.Ż.), zabraniający przyjęcia Hulanickiego do wojska „gdyby ten, broń Boże, do wojska polskiego się zgłosił”.

Na poparcie swych oskarżeń ppłk Michniewicz dodał jeszcze, że poseł z Labour Party R. Crossman, do którego Hulanicki był przydzielony przez pewien czas w marcu 1946 roku, w swej książce o Palestynie cytuje Hulanickiego jako pana „H”, „żeby nie demaskować urzędującego agenta angielskiego, który go informował o sytuacji politycznej w duchu antyżydowskim” (czy jednak wskazanie pierwszej litery nie wystarczało? — przyp. W.Ż.). Po wtóre „Hulanicki, wskutek zleconych przez Anglików kon-szachców z Arabami w roku 1947 i 1948, spowodował nagonkę na Polaków w prasie żydowskiej, szczególnie na przełomie 1947/1948” — dla którego to twierdzenia ppłk Michniewicz nie wskazał jednak żadnego dowodu.

Streszczone tu zarzuty spotkały się już po pierwszym liście z gorącymi zaprzeczeniami ze strony Zbigniewa Jakubskiego (*Kultura* nr 119 z roku 1957), który napisał co prawda tylko ogólnikowo, że „był żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich od chwili jej utworzenia w Syrii do chwili jej rozwiązania w roku 1942” i że „znana mu była działalność śp. Hulanickiego”. Zdaniem Jakubskiego „śp. Hulanicki został zamordowany przez komunistyczną bojówkę żydowską” i „był to akt zemsty za jego nieprzejednaną działalność antykomunistyczną”. Powyższe przypuszczenie, zdementowane przez Michniewicza, odpada w świetle wypowiedzi Nathana Yalina.

W tymże numerze *Kultury* zabrał głos dr Zygmunt Zawadowski, nieżyjący już dziś ówczesny minister pełnomocny R.P. w Libanie. Zawadowski stanowczo stanął w obronie Hulanickiego, „swego przyjaciela i kolegi”, „człowieka wyjątkowo szlachetnego”. Zdaniem Zawadowskiego „mord ten sam w sobie był absurdem podobnym do zamordowania w kilkanaście miesięcy później księcia Bernadotte (...) gdyż rzeczywistym wrogiem żydowskich aspiracji w Palestynie byli nie Anglicy (...) a tylko i wyłącznie Arabowie”. Obaj, Jakubski i Zawadowski, wyrazili oburzenie z powodu sformułowania oskarżeń przeciw Hulanickiemu dopiero po jego śmierci, gdy już nie może się bronić. Odpowiadając na to, Michniewicz wskazał na trudne warunki, w jakich się znalazł na emigracji — dopiero z ustaniem przeszkód spo-

wodowanych pracą zarobkową zabrał się do pisania wspomnień, a daną sprawę poruszył pobudzony wzmianką ambasadora Sokołnickiego.

Na tym polemika wówczas się urwała, zwłaszcza, że w swej replice min. Zawadowski zaznaczył, że choć „siedzi o miedzę od Izraela”, nie może mieć dostępu do archiwów żydowskich (*Kultura* nr 131 z roku 1958).

Czy jednak dziś, wobec tak znacznego upływu czasu, gdy archiwa zostały zapewne udostępnione, nie można by podjąć źródłowych badań? Wypowiedź Yalina, miarodajna, bo pochodząca od samego dowódcy organizacji odpowiedzialnej za egzekucję, wyjaśnia wiele, ale nie wszystko. Pewne jest już, że wbrew przypuszczeniu ppłk. Michniewicza, jakoby Żydzi „wiedzieli za co go mordują”, mord Hulanickiego był wynikiem nieporozumienia, powstałego w atmosferze „histerii i obsesji”. Pewne jest na tej zasadzie również, że Hulanicki był przed wojną, w czasie wojny i aż do śmierci żarliwym stronnikiem niepodległości Izraela. Hulanicki został mianowany konsulem w Jerozolimie już po nawiązaniu porozumienia Żabotyńskiego z min. Beckiem (1936) i wszczęciu przez władze polskie akcji pomocy dla żydowskich niepodległościowców, gotujących się do walki o niezależny Izrael. Jest oczywiste, że politykę R.P. w tej sprawie znał i że został wysłany do Jerozolimy właśnie dla realizowania jej na miejscu, jako wydłużone ramie tej poufnej akcji. Czyli że reakcja Yalina po zamordowaniu go przez Żydów była zrozumiała — a zważmy, że Yalin wiedział oczywiście o służbie Hulanickiego u Anglików!

Czy niezgłoszenie się Hulanickiego do wojska polskiego można uznać za dezercję? Nie znam jego ówczesnego stopnia wojskowego. Michniewicz pisze, że w czasie pierwszej wojny zaczęli obaj służyć w POW w Kijowie, a to coś mówi... Czy Hulanicki widział jednak dla siebie po wrześniu 1939 możliwość służby, gdy piśsudczycy (zwłaszcza urzędnicy) byli przeważnie ścigani, tropieni i zsyłani, jak to opisał m.in. W. T. Drymmer w swych wspomnieniach w *Zeszytach Historycznych* (nry 27-31), gdzie, nawiasem dodam, w opisie okresu palestyńskiego Hulanicki wzmiankowany nie jest? W. Pobóg-Malinowski w swej „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, tom III, str. 294, pisze, że jeszcze w 1943 roku, w czasie inspekcji gen. Sikorskiego na Bliskim Wschodzie, Jan Tabaczyński, szef biura informacji w Jerozolimie z ramienia min. Kota, w czasie pewnej konferencji zaatakował Hulanickiego zarzucając Sikorskiemu, że toleruje „tego piśsudczyka”. Hulanicki był u Anglików, Sikorskiemu nie podlegał, chodziło więc po prostu o „wygryzienie” go, i to nie za co innego, jak tylko za to, że był piśsudczykiem.

Zarzut „zdrady” i „szpiegostwa”: o ile się orientuję przyjęcie służby w Palestynie w administracji państwa sprzymierzonego z Polską, w warunkach wojennych, było oceniane przez środowisko polskie jako dopuszczalne, a nawet pożyteczne. Jerzy

Giedroyc mówi mi o Hulanickim z dużym uznaniem i był z nim zaprzyjaźniony. Tak samo ocenia go pewien dziennikarz, polski korespondent wojenny, który miał z Hulanickim do czynienia jako z cenzorem. Jak go określił Zawadowski już wiemy — a był to człowiek ostrożny i umiarkowany w opiniach...

Czyżby stanowisko cenzora było równoznaczne z uprawianiem szpiegostwa? Tego nawet ppłk Michniewicz nie twierdzi. Co się zaś tyczy owego „dobrotliwego szpiegostwa” w rozmowach z dowódcą i żołnierzami Brygady Karpackiej, to chyba słuszne jest tak pobłażliwe określenie, skoro sami Anglicy przekazali potem Polakom rachunki Hulanickiego z poniesionych kosztów. Gdyby bowiem był ich agentem, czy byłoby do pomyślenia, by dla rewindykowania tych sum „spalali” swego współpracownika?

Wreszcie okres ostatni: Michniewicz zaznacza, że po wojnie Hulanicki został mianowany zastępcą kierownika Urzędu Ciężkiego Przemysłu w Jerozolimie przy Wysokim Komisarzu [Organizacji Narodów Zjednoczonych] i na tym stanowisku pozostał aż do śmierci (26. 2. 1948). A więc była to zwyczajna posada cywilna w ONZ, jaką i inni Polacy na świecie piastowali. Ale ppłk Michniewicz i tu ma zastrzeżenia, pisząc z przekąsem: „Urzędnik MSZ, fachowiec od cenzury, stał się fachowcem od ciężkiego przemysłu”. Ppłk Michniewicz zdaje się nie wiedzieć, że — jak wynika z „Rocznika służby zagranicznej” polskiej — Hulanicki był z wykształcenia inżynierem. A więc?

Władysław ŻELEŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

New Haven, 15 marca 1982.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 58-ym numerze *Zeszytów Historycznych* ukazał się artykuł Stefana Korbońskiego o mojej książce. Nie miejsce tu na prostowanie wszystkich nieporozumień wynikłych z lektury „Polish Society under German Occupation” przez mecenasa Korbońskiego. Nie będę na paru stronach streszczał napisanej przez siebie książki. W jednej sprawie wszelako chciałbym dodać krótkie wyjaśnienie. Mecenas Korboński wyczytał w mojej książce, między innymi, „oskarżenie społeczeństwa podziemnego i jego władzy w osobach Delegata Rządu Jankowskiego i Generała Roweckiego o antysemityzm” (str. 180), co jest bzdurą. Aby się o tym przekonać, nie trzeba zgłębiać terminologii socjologicznej (mec. Korboński zaznacza, że „tzw. 'język naukowy'” jest dla niego trudny do zrozumienia, patrz str. 177, 180), ale po prostu język angielski, w którym książka została opublikowana. W tekście podaję fragmenty dokumentów zachowanych w archiwach Instytutu Sikorskiego (z kolekcji im. Stanisława Kota oraz kolekcji Prezydium Rady Ministrów) których autorami są, kolejno, generał Rowecki, Delegat Rządu profesor Piekałkiewicz oraz emisariusz Celt (Andrzej Chciuk). Ten ostatni relacjonuje w cytowanym przez mnie raporcie swoją rozmowę z następcą Piekałkiewicza, Delegatem Rządu Stanisławem Jankowskim. Wszystkie te teksty mówią o antysemickich nastrojach w polskim społeczeństwie podczas okupacji hitlerowskiej. Oto one: „Melduję — pisze Rowecki w depeszy wysłanej z Warszawy 25 września 1941 roku — że wszystkie oświadczenia i posunięcia Rządu i członków Rady Narodowej dotyczące Żydów w Polsce wywołują w Kraju jak najgorsze wrażenie i znakomicie ułatwiają propagandę Rządowi nieprzychylną lub wrogą. Tak było z „Dniem Żydostwa” i przemówieniem Szwarebarda, nominacją Libermana i życzeniami na żydowski Nowy Rok. Proszę przyjąć jako fakt zupełnie realny, że przygniatająca większość kraju jest nastawiona antysemicko (podkreślenie moje). Nawet socjaliści nie są tu wyjątkiem. Różnice dotyczą tylko taktyki postępowania. Zalecających naśladowanie metod niemieckich *prawie* (podkreślenie moje) nie ma”. A oto fragment raportu spisane go przez Delegata Rządu, profesora Piekałkiewicza, jesienią 1941 roku: „Polityka niemiecka wobec mniejszości żydowskiej wywołuje dwójście uczucia. Metody nieludzkiego terroru stosowane wobec Żydów są wprawdzie powszechnie potępiane i wywołują dużo litości,

ale izolacja społeczna a zwłaszcza gospodarcza elementu żydowskiego znajduje powszechne uznanie". W trzy lata później, po rozmowie z Delegatem Jankowskim, Andrzej Chciuk napisał w raporcie złożonym po powrocie z misji do kraju, co następuje: „Delegat Rządu prosił mnie abym oświadczył, że według niego 'rząd przesadza w miłości dla Żydów'. Delegat rozumie, że to są dla naszej polityki zagranicznej posunięcia konieczne, ale uważa że trzeba w nich zachować umiar. Zarówno za gen. Sikorskiego jak i teraz Rząd idzie w swym filosemityzmie za daleko, zwłaszcza że w Kraju Żydzi są nienawidzeni". Raz jeszcze, gwoli uniknięcia nieporozumień: autorami cytowanych tu wypowiedzi o powszechności nastrojów antysemickich wśród Polaków są Komendant Główny AK oraz dwaj kolejni Delegaci Rządu na Kraj. A więc to nie o moich „wyskokach" mecenas Korboński pisze w swojej recenzji i nie nade mną biała z politowaniem, ztem „włączył się do grona tych (*nota bene* — których?) autorów amerykańskich, którzy za swój święty obowiązek uważają obciążanie narodu polskiego niepopelnionymi winami" (str. 184). Aż strach pomyśleć: czyżby Rowecki, Jankowski i Piekałkiewicz... też...?

Łączę wyrazy szacunku,

Jan T. GROSS



Waszyngton, 31 marca 1982.

Drogi Panie Redaktorze!

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem w *Zeszytach Historycznych* nr 59 Henryka Józewskiego „Zamiast pamiętnika”.

Spotkałem go w konspiracji pod okupacją parę razy, po raz pierwszy w grudniu 1939, kiedy przyszedł na spotkanie ze mną do mieszkania w Alei Róż 10 w czasie gdy zastępowałem w Radzie Głównej Służby Zwycięstwu Polski (SZP) członka jej, byłego marszałka Sejmu Macieja Rataja, aresztowanego przez Gestapo 28 listopada 1939.

W rozmowie poruszyliśmy tylko ogólne tematy okupacyjne, unikając spraw samej konspiracji. Wyczuwałem, że Józewski przyszedł po pierwsze po to, by obejrzeć nieznanego mu zastępcę Rataja i, jak mówią obrazowo Amerykanie, „wziąć z niego miarę”, po drugie by uzyskać poparcie dla swoich planów politycznych, do których odnosiłem się z góry z nieufnością, podyktowaną sanacyjną przeszłością Józewskiego.

Mimo łudzącej nazwy „Zamiast pamiętnika”, praca jego jest w gruncie rzeczy pamiętnikiem, w którym pragnę się zająć rozdziałem VI pt. „Okupacja”, a w nim dwoma ustępami.

W pierwszym, na str. 129, Józewski twierdzi, że jako komendant Warszawy i okręgu warszawskiego SZP odmówił mimo nalegań Tokarzewskiego i Roweckiego przystąpienia do nowoutworzonego Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) z tego powodu, że nie był zawodowym wojskowym. To twierdzenie nie zgadza się z prawdą historyczną, gdyż Józewski (pseudo Niemirycz) wszedł do ZWZ jako komendant okręgu Warszawa-Województwo (patrz meldunek Roweckiego do ówczesnego Komendanta Głównego ZWZ, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, z 18 lutego 1940 roku, tom I, str. 123 „Dokumentów AK”). Gdy ten meldunek, albo inne w tej samej sprawie, dotarły do Sosnkowskiego, nakazał on usunięcie z ZWZ jako zbyt kontrowersyjnych politycznie senatorów: Henryka Józewskiego, Zygmunta Hempla, komendanta okręgu Warszawa-Miasto płk. Zdzisława Zajączkowskiego (Cieślaka) oraz mjr. Tadeusza Kruk-Strzeleckiego (Dyrektora), którego spotykałem

przez szereg miesięcy na zebraniach Politycznego Komitetu Porozumiewawczego (PKP) przy ZWZ. (Patrz „Wspomnienia i przyczynki historyczne” płk. Jana Rzepeckiego wydane w roku 1956 w kraju nakładem „Czytelnika”, str. 210; „Najnowsza Historia Polityczna Polski” Władysława Pobóg-Malinowskiego, Londyn 1960, tom III, przypis na str. 347; „Stronnictwo Ludowe w latach 1939-1945” Romana Buczka nakładem „Jutra Polski”, Londyn 1975, str. 110, 111, 252 i 253, wreszcie „Polskie Państwo Podziemne — przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945” Stefana Korbońskiego nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, 1975, str. 107).

Niezależnie od powyższego Józewski twierdzi, że zgodził się na współpracę osobistą z Komendą Główną ZWZ, w związku z czym stał się doradcą politycznym Roweckiego, a później Okulickiego oraz Rzepeckiego, gdy ten został mianowany w roku 1945 Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj. Przytaczając dowody naruszania przez Roweckiego, a także Tokarzewskiego, podstawowych zasad konspiracji, traktuje ich wszystkich bardzo przyjaźnie ale nieco z góry, dając do zrozumienia, że stał się ich przewodnikiem duchowym i inspiratorem. Ale lepiej będzie jeśli ten temat zostawię bardziej do tego powołanym, dotychczas żyjącym wyższym oficerom Komendy Głównej AK.

W drugim ustępie, na stronie 130 Józewski mówi o swojej wizycie u marszałka Rataja i wysuniętych przez niego, Józewskiego, projektach zorganizowania podziemnego Stronnictwa Ludowego. Józewski twierdzi, że za zgodą Rataja rozpoczął niezwłocznie akcję w tym kierunku. W rezultacie mówi Józewski dosłownie: „Tak powstało Stronnictwo Ludowe w kraju”.

Ten ustęp wspomnień Józewskiego ja „między bajki włożę”. Nie kwestionuję przyjęcia go przez Rataja w mieszkaniu na Hożej 14, dokąd ciągnęły całe procesje polityków, w tym wielu z przeciwnego niż Rataj bieguną, na przykład ksiądz Janusz Radziwiłł. Być może kulturalny Rataj słuchał uprzejmie rad wybitnego gościa, ale widocznie nie uważał za stosowne ze względów konspiracyjnych czy innych przerwanie mu uwagi, że rady te są spóźnione, gdyż podziemne Stronnictwo Ludowe już istnieje i działa. Rataj od pierwszego dnia powrotu do Warszawy z wędrowki wojennej rozpoczął w Stronnictwie Ludowym akcję podziemną. Gdy ta praca została przerwana jego aresztowaniem w dn. 28 listopada 1939, podjęły ją w Warszawie trzy osoby: ja, jako następca Rataja w SZP, oraz przedwojenny sekretarz Stronnictwa Ludowego Józef Grudziński i wiceprezes „Wici” Stanisław Miłkowski. Przede wszystkim zwołaliśmy posiedzenie obecnych w Warszawie ludowców w kawiarence przy ul. Kruczej, po czym Grudziński i Miłkowski wyjechali na prowincję, by organizować lokalne komórki podziemne. W Białostockie, gdzie byłem prezesem wojewódzkim, udał się wkrótce w tym celu były poseł, Władysław Praga.

Tę rolę inicjatora ludowego podziemia Józewski Ratajowi odbiera zajmując w stosunku do niego tę samą pozę inspiratora, co wobec dowódców ZWZ i AK.

Rzekoma zgoda Rataja na organizowanie przez Józewskiego podziemnego Stronnictwa Ludowego była nie do pomyślenia i z tego względu, że reprezentował on obóz sanacyjno-piśsudczykowski, zdecydowanie wrogi Stronnictwu Ludowemu i odpowiedzialny za uwięzienie i skazanie w tzw. „procesie brzeskim” takich wybitnych przywódców ludowych jak prezes Wincenty Witos, b. sekretarz generalny Kazimierz Bagiński, b. minister Władysław Kiernik i poseł Józef Putek.

Jak w tych warunkach można wytłumaczyć tę rozbieżność między wyurzeceniami Józewskiego a prawdą historyczną? Osobiście jestem zdania, że Józewski wierzył w to co pisał. Zdarza się bowiem często u ludzi skłonnych

do megalomanii, że wszystko rozumieją tak jak pragną rozumieć, a nie tak jak należało rozumieć.

Niezależnie od tego, z całości wspomnień Józewskiego wyłania się postać wybitnego człowieka i patrioty, obdarzonego zdolnościami przywódczymi, pełnego inicjatywy, odwagi, determinacji i wytrwałości. Jednakże jeśli chodzi o podziemie Józewski przeceniał swoje znaczenie i rolę, która była podrzędna. Gdy dekretem Delegata Rządu z 9 stycznia 1944 została powołana do życia podziemna Rada Jedności Narodowej (RJN), jedno miejsce w tej Radzie uzyskało Zjednoczenie Demokratyczne, będące koalicją czterech ugrupowań, w tym grupy „Olgierda” czyli Józewskiego, ale zajęła to miejsce inna osoba, nie Józewski.

Natomiast należy się Józewskiemu pierwszeństwo i wieniec laurowy jako przywódcy, który pobił rekord należenia do podziemia, w którym się zanurzył natychmiast po wkroczeniu do Polski 17 września 1939 wojsk sowieckich, a wyszedł z niego wskutek aresztowania przez bezpiekę dopiero w lutym 1953, czyli po przeszło dwunastu latach. Trzeba uchylić czoła przed tym wyczynem!

Nazwałbym Józewskiego majorem Hubalem lat powojennych, gdyż tak jak Hubal-Dobrzański nie mógł się pogodzić z klęską wrześniową oraz okupacją niemiecką i walczył dalej, tak Olgierd-Józewski nie mógł się pogodzić z klęską 1945 roku oraz okupacją sowiecką i walczył dalej.

Redakcji *Zeszytów Historycznych* należą się słowa uznania za ogłoszenie pamiętników Henryka Józewskiego i wzbogacenie w ten sposób wiedzy o Polskim Państwie Podziemnym.

Ściskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI



Paryż, 14 marca 1982.

Drogi Panie Redaktorze!

W marcowym numerze *Kultury* w liście do Redakcji p. Stefan Korboński pisze o kręactwie z jakim telewizja warszawska podała w audycji z 18 grudnia 1981 roku wiadomość o projektowanej przez wydawnictwo związkowe „Solidarności” publikacji jego książek, gdzie w pierwszej kolejności miało się ukazać „Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”. W obecnej sytuacji wszystko oczywiście zostało zawieszone.

Można się pocieszać, że będą wkrótce wydawane w Polsce książki tępo- nie obecnie przez cenzurę, a więc rzecz jasna i książki p. Korbońskiego. Nie wiem czy Autor zrobił w „Polskim Państwie Podziemnym” poprawki i uzupełnił braki, jakie wydaje mi się należało koniecznie zrobić. Mam zwłaszcza na myśli ogromne luki dotyczące dywersji i oddziałów partyzanckich w ogóle a w szczególności z okresu tzw. „Burzy”. Jako przykład posłużyć może okręg łódzki, inspektorat piotrkowski, teren osobiście mi znany, na temat którego Autor ogranicza się do wzmianki (str. 167 i 214) o potyczkach 25 pułku we wrześniu 1944 roku, podczas gdy ten sam pułk toczył z Niemcami ciężkie walki w październiku i wytrwał do 9 listopada, czyli chyba najdłużej z wszystkich większych zgrupowań w Polsce środkowej. Co do innych terenów, to Autor traktuje je podobnie i nie wyszedł właściwie poza dane (rażąco niewystarczające) zamieszczone w „Polskich Siłach Zbrojnych”, tom 3 „Armia Krajowa”, który został wydany w Londynie w 1950 roku. (Opublikowane w ostatnich latach przez Studium Polski Podziemnej

monumentalne 5 tomów pt. „Armia Krajowa w dokumentach 1944-1945” wnosi sporo nowego materiału, ale w żadnym wypadku nie przedstawia całokształtu podziemia w poszczególnych okręgach). Podobnie jest ze wzmianką Autora (str. 21), że Hubal został pochowany „z honorami przez Niemców w Tomaszowie”. Ten literacki wymysł Wańkowicza nie ma pokrycia w faktach.

Mimo szczerzego szacunku jaki mam dla p. S. Korbońskiego trudno mi się powstrzymać od uwagi, że brak mu bliższego rozeznania działalności bojowej poza Warszawą, co się odczuwa w jego przewodniku. Osobiście jestem w końcowej fazie pisania książki na temat ruchu oporu z okresu ostatniej wojny. Miałem w ręku setki książek i różnych dokumentów. Jeśli chodzi o Polskę, wszędzie powtarza się to samo: w publikacjach emigracyjnych brak dokładniejszych danych o tym wszystkim co się działo poza Warszawą, a w wydawnictwach krajowych — z wyjątkiem niewielu książek uczciwie napisanych — mowa jest głównie o ludowo-komunistycznym „bohaterstwie”, przy zupełnym zniekształceniu wkładu wniesionego przez AK. Kto ma te braki uzupełnić, żeby nowe pokolenia poznały — z przewodnikiem czy bez — całą prawdę o polskim podziemiu podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku oraz najlepsze pozdrowienia,

Tadeusz WYRWA

SPIS TREŚCI

Jan Kamiński: <i>Polskie lato: kalendarium wydarzeń</i>	3
--	---

WSPOMNIENIA

Henryk Józewski: <i>Zamiast pamiętnika (Prawosławie; Sprawa ukraińska; Wołyń)</i>	65
---	----

RECENZJE

Józef Lewandowski: <i>Polski dziennik Svena Grafströma</i> ..	158
Piotr Wandycz: <i>Historia Dwudziestolecia</i>	207
Emanuel Halicz: <i>Norman Davies</i>	210
Z. S. Siemaszko: <i>Na marginesach historii</i>	216

OKRUCHY HISTORII

Mirosław Wierzbicki i Mirosław Zawodny: <i>Sprawa Brauweiller</i>	222
Władysław Żeleński: <i>Sprawa Witolda Hulanickiego</i>	228



LISTY DO REDAKCJI

Jan T. Gross: <i>Polemika z artykułem St. Korbońskiego (Zeszyty Historyczne nr 58)</i>	233
Stefan Korboński: <i>Uwagi na marginesie wspomnień Henryka Józewskiego (Zeszyty Historyczne nr 59)</i>	234
Tadeusz Wyrwa: <i>Uwagi do książki St. Korbońskiego „Polskie Państwo Podziemne”</i>	236

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 24 MAI 1982
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1982.

N^o d'impression 4930.

